

CZARNA SERIA

KRYMINAŁ



MAGNUS
MONTELIUS

MĘŻCZYŻNA
Z ALBANII

Magnus Montelius

**Mężczyzna z
Albanii**

Wydawnictwo

**CZARNA
OWCA**

www.czarnewca.pl

PROLOG

Jesienią 1989 roku w Europie Wschodniej upada komunizm. Polityka reform, zapoczątkowana kilka lat wcześniej przez radzieckich przywódców, przyniosła skutki, których nikt nie przewidział. Po kilku obfitujących w wydarzenia miesiącach dochodzi do wolnych wyborów w Czechosłowacji, w Polsce i na Węgrzech. Radzieccy przywódcy mają zbyt wiele własnych problemów, by reagować. W partii trwa walka o władzę między siłami reformatorskimi a reakcyjnymi, w wielu radzieckich republikach pojawiają się żądania wolnościowe, gospodarka upada.

Jeszcze bardziej niepewna jest sytuacja w Albanii. Od chwili przejścia władzy przez Komunistyczną Partię Albanii w 1944 roku kraj ten, pod wodzą dyktatora Envera Hodży, prowadził twardą stalinowską politykę, izolując się od świata zewnętrznego. Wszelka opozycja była bezwzględnie tłumiona.

Albania Hodży blisko współpracowała z rządzonym przez Stalina Związkiem Radzieckim. Ale w latach pięćdziesiątych Hodża zaczął mieć obiekcje wobec forsowanej przez Chruszczowa polityki reform. Nie był skłonny iść na żadne ustępstwa, które oznaczałyby większy pluralizm i swobodę życia politycznego. Na początku lat sześćdziesiątych Albania zerwała stosunki ze Związkiem Radzieckim i jego satelitami. Zaczęła szukać oparcia w Chinach, zwracając się w stronę coraz bardziej skrajnego komunizmu. Rolnictwo zostało całkowicie skolektywizowane, zabroniono wszelkich form prywatnej działalności. Jednocześnie rozpoczęto batalię przeciwko religii.

Po wizycie prezydenta Nixona w Pekinie, w 1972 roku, także stosunki z Chinami uległy pogorszeniu. Pomoc Chin ustała, chińscy doradcy wrócili do domów, z Chin wydalono albańskich studentów. Albania znalazła się w całkowitej izolacji.

Zerwanie kontaktów z Chinami poskutkowało wewnętrznymi represjami. Tym razem ich ofiarą padł premier Mehmet Shehu. Wedle oficjalnej wersji popełnił samobójstwo w wyniku załamania nerwowego. W szeregach partii nastąpiły daleko idące czystki, mające na celu usunięcie jego zwolenników ze służb bezpieczeństwa i aparatu państwowego.

Po śmierci Envera Hodży w 1985 roku funkcję pierwszego sekretarza partii objął Ramiz Alia. W związku z katastrofalną sytuacją gospodarczą Albanii podjął próby wprowadzenia ostrożnych reform i otwarcia kraju na świat. Ale partia niechętnie oddawała władzę. W lipcu 1990 roku na Zachód przybyła pierwsza fala albańskich uchodźców. Prawie cztery tysiące Albańczyków przepłynęło wówczas przez morze do Włoch. Po niej przyszły następne, aż w końcu w wyniku pierwszych wolnych wyborów w marcu 1992 roku albańska partia komunistyczna utraciła władzę.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Mężczyzna z Albanii

Sztokholm, wrzesień 1990

1

SVEN EMANUEL szedł nierównym krokiem ulicą Fjällgatan. Mamrotał coś głośno pod nosem. Nie zwracał uwagi na przechodniów. Schodzili mu z drogi, kiedy tupiąc wielkimi buciorami, zatrzymywał się na środku chodnika. W buciorach miał złożoną na cztery gazety. Zapewniała właściwą izolację. Zawiązał mocniej szalik na chudej szyi, chuchnął ciepłym powietrzem w dłonie i ruszył dalej. Niektórzy mogliby uznać, że jest ubrany zbyt ciepło jak na ten co prawda jesienny, ale jeszcze dość łagodny wieczór, ale oni mieli zapewne w perspektywie powrót do swoich ciepłych mieszkań.

Sven Emanuel rozejrzał się i przyspieszył kroku. Po lewej błyszczały odbijające się w wodzie światła neonów. Gdyby chciał, mógłby wskazać wszystkie kościelne wieże i maszty radiowe w mieście, ale nie miał czasu na takie rzeczy. Nie mógł pozwolić, by ktoś zjawił się przed nim albo poznał jego tajemnicę. To jego miejsce. Nie pozwoli, żeby ktokolwiek mu je zabrał. Od czasu kiedy zamknięto Oddział, nigdzie nie sypiał tak dobrze jak tam. Ale potem zjawili się jacyś młodzi ludzie. Niekiedy przesiadywali do późnej nocy, a on musiał wtedy czekać w pobliskich krzakach.

– Co za błoto, niech je szlag! – wymamrotał, chwytając mocniej dwie foliowe torby.

Na końcu ulicy skręcił w prawo, a potem ruszył dalej szybkim

krokiem w stronę diakonii Ersta. Przeszedł pod sklepieniem i znalazł się na niewielkim dziedzińcu. Zmrużył oczy i spojrzał w stronę wzgórza. To tam, na samym szczycie. Ciepłe powietrze wydobywało się z szybu wentylacyjnego tuż nad gładką metalową półeczką, wystarczająco dużą, żeby można było na niej spać. Przyzwyczał się już do lekkiego szumu wentylatora. Właściwe było to całkiem przyjemne. Daszek nad półeczką chronił go przed deszczem, śniegiem i wilgocią. Czasem ktoś przychodził i opróżniał stojące w pobliżu śmietniki, ale to mu nie przeszkadzało. Najczęściej nawet tego nie zauważał.

I właśnie wtedy dostrzegł mężczyznę. Pod latarnią, w jedynym oświetlonym miejscu na całym dziedzińcu. Patrzył na niego od dołu i czuł, jak ściska go w żołądku. Zaniepokoił się. Płaszcz mężczyzny był zniszczony, siwe włosy wyglądały jakby sam je sobie obcinał, a buty były z jednej strony pęknięte wzdłuż podeszwy. Poorana zmarszczkami twarz musiała często doświadczać wiatru i słońca. Cholerny włóczęga. Najwyraźniej zmierzał tam gdzie on.

Kiedy Sven Emanuel podszedł trochę bliżej, obcy odruchowo uniół rękę, jakby chciał się bronić. Potem jednak zamrugał oczami i uśmiechnął się blade. Może próbował zatuszować pierwsze wrażenie, nie chciał zdradzić, jak bardzo się przestraszył? Kiedy się uśmiechnął, widać było, że jeden z przednich zębów jest nadłamany. Gdzieś w głębi jego ust błysnęła kiepska metalowa koronka. Szedł wyprostowany, wzrok miał skupiony, sprawiał wrażenie kogoś, kogo zwykło się traktować poważnie. Svenowi Emanuelowi skojarzył się ze szkolnym woźnym. Poczul, że go lubi. Nie miał powodu do niepokoju. Mężczyzna nie był jego rywalem.

Obcy zatrzymał się i zerknął ponad jego ramieniem. Wpatrywał się w ciemność.

– Czekasz na kogoś? – spytał Sven Emanuel.

Obcy nie odpowiedział. Spojrzał na niego zamyślony, po czym zrobił gest, jakby chciał mu powiedzieć, że go nie rozumie. Do Svena Emanuela dotarło, że najwyraźniej nie jest Szwedem. Kiedy trochę niepewnie ruszył w stronę wzgórza, obcy zachęcająco pokiwał do niego głową. Potem znów

odwrócił się w stronę sklepienia, jakby coś go tam ciągnęło. Pewnie czeka na kogoś ważnego, pomyślał Sven Emanuel.

Dotarłszy na wzgórze, jeszcze raz się odwrócił, jakby chciał się upewnić, że nikt za nim nie idzie. Schylił się i ukrył za krzakami. Spoglądał w dół, na taras. Sympatyczny cudzoziemiec nadal stał pod latarnią. Oświetlała jego twarz, tak że wyraźnie widać było jego rysy. Już się nie uśmiechał. Sven Emanuel podążył za jego spojrzeniem i niemal krzyknął z przerażenia, kiedy dostrzegł samotną postać, cień obok sklepienia. Mężczyzna w zniszczonym płaszczu rozejrzał się i ruszył w stronę poręczy nad urwiskiem. Cień obok sklepienia ruszył w jego stronę. Jakby byli siebie nawzajem świadomi, jakby na siebie czekali.

Nagle cień się odwrócił, może chciał się upewnić, że są sami. Sven Emanuel schylił się, ale nadal śledził ruchy obu postaci. Już wcześniej widział oczy Cienia, jego oskarżające spojrzenie, które wszystko widziało i wszystko pamiętało. Myśli kłębiły mu się w głowie. Miał ochotę głośno krzyknąć, zbiec w dół i ostrzec przyjaciela w zniszczonym płaszczu. Ale nie zrobił tego, tylko odwrócił się i ruszył biegiem przez zbocze, w stronę bezpiecznego miejsca, które znał tylko on.

PORTIER PRZYGLĄDAŁ MU SIĘ podejrzliwie zza szklanej szyby, ale Tobias Meijtnens tylko poprawił się na dużej skórzanej kanapie w holu urzędu gminy. Przeglądał jakąś broszurkę, z pozoru ot tak, od niechcienia, i zdawał się nie przejmować spojrzeniami portiera.

Wiedział, że wszyscy członkowie zarządu gminy już obok niego przeszli. Zapewne nieświadomi, że siedzący na kanapie mężczyzna w sztruksowej marynarce, z niesfornymi włosami do ramion, tyle o nich wie. W ostatnich tygodniach włożył wiele wysiłku w to, żeby zapamiętać, jak wyglądają, do jakiej partii należą, jaki zawód wykonują, i inne drobne, ale istotne szczegóły, takie jak najważniejsze sprawy, którymi się zajmują, a także ich wzajemne relacje. Na górze został już tylko zdający sprawozdanie szef wydziału. A może domyślił się, że Meijtnens na niego czeka, i wymknął się tylnymi drzwiami? Jeśli tak, to będzie musiał go odwiedzić w domu. Nie bardzo mu się to podobało, ale nic nie mógł na to poradzić. Przynajmniej na razie.

Budynek sprawiał wrażenie opustoszałego, ale gdzieś z głębi nagle dobiegł odgłos kroków. Wyraźnie się zbliżały. Kiedy mężczyzna zszedł ze schodów, Meijtnens natychmiast go rozpoznał, chociaż był dość daleko, a oświetlenie było kiepskie. Płaszcz owijał mu się wokół nóg. W rękę kurczowo trzymał teczkę i rozglądał się nerwowo. Biedak, pomyślał Meijtnens, ale nie ruszył się z kanapy.

Kiedy się zrównali, mężczyzna nagle się zatrzymał. Spojrzał na portiera, a potem znów na niego. I ruszył dalej, jak gdyby nigdy nic, jakby nigdy wcześniej się nie widzieli. Meijtnens odczekał kilka sekund, a następnie wstał i wyszedł. Przeciął rynek i dogonił mężczyznę. Odwrócił się i spojrzał na niego.

– Oszalałeś? Wiesz, co się stanie, jeśli zobaczą nas razem?

Pomysł, że ktoś go rozpozna, właściwie Meijtensovi schlebiał, ale puścił to mimo uszu.

– Dzwoniłem do ciebie, zostawiłem ci wiadomość. Muszę mieć potwierdzenie tego, o czym rozmawialiśmy.

Mężczyzna odwrócił się i wymamrotał coś niezrozumiale.

– W zasadzie mamy wszystko, czego potrzebujemy – ciągnął Meijtens. – Ale chcę ci dać szansę. Żebyś mógł potwierdzić to, co mi powiedziałaś wcześniej.

Odczekał kilka sekund.

– Może gdzieś pójdziemy, to powiem ci więcej.

Wiedział, że to kusząca propozycja dla kogoś, kto w ostatnich dniach zapewne o niczym innym nie myślał.

*

Meijtens przyglądał mu się w zamyśleniu. Usiedli przy stoliku w niewielkiej kawiarence przy rynku. Johan Sjöbage był najmłodszym w Szwecji dyrektorem urzędu gminy. W jego partii uważano go za wschodzącą gwiazdę. Miał trzydzieści parę lat i pod każdym względem różnił się od Meijtensa. Włosy miał krótkie, porządnie ostrzyżone, ubrany był zgodnie z aktualnymi trendami. Pracowników kawiarni obdarzał nieco wymuszonym, ale pełnym wdzięku uśmiechem.

Meijtens sięgnął do zniszczonej torby rowerowej i wyciągnął skoroszyt. Zawierał obszerny indeks z ponaklejanymi karteczkami w różnych kolorach i aż pięćdziesiąt od najróżniejszych dokumentów. Sjöbage przyglądał mu się bezradnie. Może się domyślał, że to, czego się obawia najbardziej, jest gdzieś tu, wśród tych papierów. A może zdziwił go kontrast między wyglądem Meijtensa a porządkiem, jaki najwyraźniej utrzymywał w dokumentach.

Sięgając po notes do wewnętrznej kieszeni marynarki, Meijtens zauważył, że podszewka jest rozdarta. Trudno. Tak naprawdę nie potrzebował ani skoroszytu, ani notesu. To były tylko rekwizyty. Wszystko, do czego udało mu się w ostatnich miesiącach dotrzeć, miało swoje miejsce w jego wyjątkowej pamięci.

– Oto, co już wiemy.

Spokojnie i rzeczowo przedstawiał to, czego udało mu się dowiedzieć, i wnioski, które z tego wyciągnął. Nieznane pro memoria zarządów gminy sprzed lat, wypowiedzi niższych rangą urzędników i inne informacje uzyskane z najróżniejszych źródeł. Wiedział, że Sjöbage ma szacunek do faktów i że nie będzie ich kwestionował. Taką po prostu miał naturę. Ale od czasu do czasu przerywał mu i dopytywał się, co dokładnie kto powiedział. Meijtens uśmiechał się wtedy uprzejmie i ciągnął dalej. Systematycznie zmierzał do sedna: mniej więcej rok wcześniej mężczyzna, który teraz siedział naprzeciwko niego i się poccił, wydał swoim podwładnym polecenie. Tereny rekreacyjne wokół niewielkiej mariny miały zamienić się w tereny budowlane, a o wszystkim miał zdecydować zarząd gminy. Zagranie nie do końca fair, ale czytelnicy „7Plus” uwielbiali takie historie.

Od czasu ich ostatniego spotkania jego rozmówca najwyraźniej dostał nerwowych tików, jakby jego ochronny pancerz zaczął pękać, obnażając wrażliwsze wnętrze.

Meijtens zamilkł i zerknął na zegarek. Teraz wszystko zależało od tego, co powie Sjöbage. Ścisnął ołówek tak, że zbiały mu knykcie. Mów, niecierpliwiał się. Wyrzuć to z siebie. Musi dostać potwierdzenie. Dzisiaj. Tego oczekuje redakcja.

– Kiedy rozmawialiśmy pół roku temu...

– Myślałem, że jesteś taksówkarzem.

– Byłem taksówkarzem. Powiedziałeś mi wtedy, że dostałeś nowe instrukcje. Domyślamy się od kogo i chyba nawet wiemy dlaczego.

– Powiedziałem tylko, że mam dosyć polityków. I że chcę zobaczyć marinę, dopóki jeszcze istnieje. Takie gadanie po pijaku.

Mężczyzna nie mógł oderwać wzroku od skoroszytu.

– Ile czasu zabrało ci zgromadzenie tego wszystkiego?

Ważne pytanie. Hanna też ostatnio kilka razy go o to pytała. Podobnie jak jego szef. Nie widział jednak powodu, żeby teraz o tym dyskutować.

– Musisz wiedzieć, że cię sprawdziłem – wybuchnął nagle Sjöbage. – Kancelaria doniosła mi, że w ostatnim czasie ktoś

prosił o udostępnienie setek różnych pism. Wiem też, że kontaktowałeś się z kilkunastoma urzędnikami.

Meijtens przyglądał się swoim dłoniom. Sjöbage się nie mylił.

– A nawet nie jesteś na etacie w tej redakcji.

Widać było, że w ten sposób niewiele osiągnie. Wzmocni tylko jego opór. Wypił ostatnie krople kawy. Uderzyło go, że Sjöbage jest taki lojalny. A przecież musiał się czuć oszukany, musiał być zawiedziony. O ile oczywiście jego podejrzenia są słuszne.

Przez ostatnie tygodnie żył jego życiem, a mimo to siedzący naprzeciw mężczyzna nadal pozostawał dla niego psychologiczną zagadką. Jeśli chodzi o jego przeszłość religijną, a dokładniej o przynależność do Wolnego Kościoła, to trafił na to właściwie przez przypadek. Sjöbage porzucił surową wiarę rodziców jeszcze we wczesnej młodości. Wybrał politykę i partię. Meijtens zastanawiał się, jakie obecnie ma zapatrywania.

– Zebrałem wystarczająco dużo materiału na całkiem spory artykuł – powiedział. – Ale nie jestem do końca zadowolony. Nadal czegoś mi brakuje.

Sjöbage nie spytał czego, bo doskonale wiedział. Meijtens czekał cierpliwie.

– Chcę napisać prawdę – odezwał się w końcu.

Sjöbage spuścił wzrok.

– Nie mogę. To by nie było w porządku. Nie masz pojęcia, jakie to mogłoby mieć konsekwencje.

Meijtens pochylił się do przodu i zniżył głos. Nagle coś przyszło mu do głowy.

– Jeśli przyjdzie wam cierpieć w imię sprawiedliwości, będzie to dla was błogosławieństwem. Nie bójcie się, nie pozwólcie im się zastraszyć.

Sjöbage spojrział na niego zdziwiony. Mięśnie jego twarzy rozluźniły się, jakby go opuściła wszelka energia.

Meijtens włączył magnetofon.

Minęło dobre pół minuty, zanim Sjöhage przemówił. W końcu zaczął opowiadać monotonnym głosem, jak to sam – całkiem na własną rękę – przeforsował realizację projektu Miasto na Szkiełach. Meijters przerywał mu od czasu do czasu, pytał o coś, robił uwagi, wytykał sprzeczności. Wszystko na nic. Sjöhage podjął decyzję i nie zamierzał jej zmieniać.

Meijtersa dziwiło przede wszystkim bogactwo szczegółów w opowieści młodego dyrektora. Najwyraźniej dobrze się przygotował. Dla niego to miała być ostatnia deska ratunku, na wypadek gdyby inne rozwiązania nie zadziałały. Kiedy skończył, wstał i podał mu rękę. Sztywno, jak na pogrzebie. Meijters podjął ostatnią próbę przekonania go. Przytrzymał jego dłoń, położył mu rękę na ramieniu. To bez sensu, zaczął tłumaczyć. Nikt mu za to nie podziękuje, przekonywał. Ale Sjöhage uwolnił dłoń i zniknął w jesiennym mroku.

Gdy Meijters kilka minut później opuszczał kawiarnię, zaczęło padać. Osłaniając głowę teczką, ruszył biegiem do najbliższej budki telefonicznej. Wybrał bezpośredni numer redakcji. Monica poinformowała go, że szef działu wiadomości, Bertil Andersson, właśnie rozmawia przez telefon. Postanowił zaczekać. Od tygodni przygotowywał się do konfrontacji ze Sjöhagem. Rozważał wszelkie możliwe scenariusze, ale na to, co się właśnie stało, nie był przygotowany. Po kilku minutach w słuchawce rozległy się trzaski.

– Tak?

– Mówi Meijters.

– Wiem. Masz potwierdzenie?

Meijters przypomniał sobie pusty głos Sjöhagego, nagle pozbawionego wszelkich sił życiowych. Potrzebował czasu do namysłu.

– Mam historię.

– A związki z zarządem gminy? Potwierdził je?

Krople deszczu uderzały o dach budki. Meijters nagle przypomniał sobie słowa swojego dawnego mentora, Jakuba. Coś o tym, że prawda jest brzydszą siostrą kłamstwa. Po czesku brzmiało to pewnie lepiej.

– Halo? Meijters?

– Tak, jest związek.

Słyszał, że szef zadaje mu kolejne pytanie, ale odłożył słuchawkę.

*

Meijtens wytarł rękawem kurtki zaparowaną przednią szybę i przestawił wycieraczki na maksymalną prędkość. Wiele razy próbował się umówić na dłuższy wywiad z przewodniczącym zarządu gminy, ale zawsze kończyło się na kilku minutach rozmowy między posiedzeniami. Niemożliwe, mam wypełniony kalendarz. To sprawa urzędowa, niech Sjöhage się tym zajmie. Tak naprawdę chciał powiedzieć, że Meijtens jest dla niego nikim, a jego dowody są za słabe. Zarząd gminy zadbał o to, żeby mieć czyste ręce. Jak się nazywa ta gazeta? „7Plus”? To jakiś magazyn weekendowy? Bertil Andersson dostał szału. „Znajdź te powiazania, o których wspominałeś, wtedy ich przyciśniemy. Inaczej będziesz musiał odpuścić”.

Wtedy nikt się jeszcze nie spodziewał, że Sjöhage, z powodów, których Meijtens sam do końca nie rozumiał, weźmie na siebie całą winę. Wszystko zostało skonstruowane tak genialnie, że rzeczywiście trudno było się do czegokolwiek przyczepić. Przypomniawszy sobie jakieś dziwne protokoły, dziwne zbiegi okoliczności i pełne niepokoju wypowiedzi niższych rangą urzędników, którzy zastrzegali, że nie chcą, by ich cytował. Powiązania, które zdawały się wskazywać w całkiem innym kierunku. Na zadufanych polityków, trochę zbyt pewnych siebie i na zbyt wiele sobie pozwalających.

Zdenerwowany bębnił palcami o kierownicę. Bertil Andersson miał być w redakcji jeszcze dwie godziny. Zdążyć porozmawiać o tym, jak artykuł ma wyglądać. Ale jemu wcale się do tego nie spieszyło. Chciał zyskać czas, by pokazać, że potrafi opisać tę historię po swojemu.

Przy nabrzeżu Stadsgårdskajen stało kilka radiowozów i karetka. Wypadek? Coś poważnego? Zatrzymał się, włączył światła awaryjne. Jeśli chce przyjść do redakcji, kiedy wszyscy już wyjdą, potrzebuje wiarygodnego usprawiedliwienia. Zobaczył, jak ratownicy zamykają karetkę i odjeżdżają.

Policjanci spoglądali w górę, na skalny wyłom na szczycie i rozmawiali z kimś przez radio. Meijtns podążył za ich spojrzzeniami i wzdrygnął się. Zrozumiał, że na górze zapewne jest jakiś wyższy rangą funkcjonariusz, który prawdopodobnie wie więcej.

Wjechał na wzgórze i zaparkował przy diakonii Ersta. Przeszedł pod sklepieniem i wkroczył na słabo oświetlony dziedziniec. Kłapał butami na mokrej ścieżce. Rozejrzał się. Krawędź urwiska otaczała stalowa poręcz, ale niezbyt wysoka. Może ofiara próbowała się jej przytrzymać i straciła równowagę? Już miał podejść do stojących w pobliżu umundurowanych funkcjonariuszy, którzy właśnie wygradzali teren, kiedy usłyszał za sobą głos:

– Mogę w czymś pomóc?

Odwrócił się i zobaczył sylwetkę, którą każdy szanujący się sztokholmski reporter rozpoznawał z daleka. Inspektor kryminalny Tilas był wysoki, trzymał się prosto, przyprószone siwizną włosy miał krótko ostrzyżone i zaczesane do tyłu. Meijtns przedstawił się i podał legitymację. Inspektor nawet na nią nie spojrział.

– Pomocnik Anderssona – powiedział.

Meijtns zauważył, że drgnął mu kącik ust. Czyżby to był uśmiech? Mówiono, że Tilas jest jednym ze źródeł Anderssona. Znali się już ponad dwadzieścia lat.

– Nieszczęśliwy wypadek czy samobójstwo?

Światło latarni padało na twarz inspektora. Głębokie bruzdy w okolicy nosa i brody sprawiały wrażenie wykutych w kamieniu. Podmuchy wiatru targały jego ciemnym płaszczem. Poprawił włosy. Meijtns zauważył, że drży mu ręka. Przypomniał sobie, że słyszał o nim jakieś plotki, ale nie pamiętał, o co chodziło.

– Samobójstwo, wypadek, kto wie. Podejrzewam, że dla „7Plus” to nic ciekawego. Proszę to przekazać Bertilowi.

Meijtns pomyślał, że dobrze byłoby coś od niego wyciągnąć, gdyby przyszło mu tłumaczyć szefowi, dlaczego nie wrócił od razu. Nawet jeśli nie będzie mógł tego wykorzystać w artykule.

– Wiadomo, kim jest ofiara?

Tilas odruchowo przeciągnął ręką po płaszczu.

– Nie sądzę, żeby... – zaczął i od razu przerwał.

Wezwał go jeden z funkcjonariuszy. Skinął głową i oddalił się szybkim, zdecydowanym krokiem. Meijtns podszedł do balustrady, chwycił się jej i ostrożnie wychylił. Wypadek był bardzo prawdopodobny. Ktoś pijany z łatwością mógł przejść przez balustradę i wyjść na skalny taras za nią. Ale na samobójstwo to miejsce też się nadawało. Usłyszał szelest liści i odwrócił się. Zobaczył mężczyznę. Musiał się tam zakraść już po odejściu policjantów. Miał na sobie kilka warstw odzieży i cuchnął potem. W rękę trzymał reklamówki.

– Skąd jesteś?

– Z Västerås – odpowiedział zaskoczony włóczęga. Po chwili zrozumiał swój błąd i natychmiast sprostował: – To znaczy stamtąd, spod kościoła.

Uderzył się pięścią w pierś, jakby zawstydzony.

Meijtns spojrział na niego przyjaźnie.

– Znam paru facetów z Västerås. Porządni ludzie.

Mężczyzna posłał mu zdziwione spojrzenie i uśmiechnął się niepewnie.

– Jak się nazywasz? – spytał Meijtns.

– Sven Emanuel.

– Widziałeś, co tu się stało?

Włóczęga odwrócił się, ale nie odpowiedział.

– Jeśli tak, to powinienes porozmawiać z policją. Albo ze mną.

– Nie lubię policji.

– Więc porozmawiaj ze mną.

– Widziałem, jak Cię podszedł do krawędzi. Widziałem jego oczy. Nigdy ich nie zapomnę.

– Widziałeś, jak upadł?

– Nie, ale widziałem Cię. I tego drugiego też.

Meijtns przesunął się trochę, jakby się bał, że jego własny cień może przestraszyć włóczęgę.

– Ale nie widziałeś, jak spadł?

Sven Emanuel pokręcił głową. Meijtns podał mu swoją wizytówkę.

– Jestem pewien, że zauważyłeś coś, o czym policja nie ma

pojęcia. Zadzwonił, jeśli coś sobie przypomnisz.

Włóczęga ze zdziwieniem przeciągnął palcem po gładkim papierze.

– Zapiszę ci też swój numer domowy.

Sven Emanuel najwyraźniej nie zamierzał puścić wizytówki. Meijters wyjął więc drugą i w prawym górnym rogu zapisał numer. Wiedział, że Hanna nie będzie zachwycona, ale było już za późno.

Sven Emanuel uniósł wzrok, na jego twarzy błąkał się niepewny uśmiech. Włożył wizytówkę do kieszeni, którą potem spiął agrafką. Ruchy miał powolne, trochę uroczyste, jakby chodziło o coś naprawdę wielkiego. Zaczął przytupywać i chuchać w dłonie, szorstkie i pokryte drobnymi rankami. Wyglądały strasznie. Meijters przypomniał sobie, że ma w torbie parę dodatkowych rękawiczek. Wyciągnął je i podał mu.

– Chcesz?

Sven Emanuel wziął rękawiczki bez słowa i zaczął powoli naciągać je na dłonie. Spojrzał na Meijtersa po raz ostatni i odszedł.

Po chwili z ciemności wyłonił się Tilas. W ręku trzymał przezrzystą foliową torebkę. Meijters zauważył w niej niewielki okrągły przedmiot. Tilas wsunął torebkę do kieszeni. Czyżby stał i czekał na niego?

– I co? Znalazłeś coś ciekawego?

– Nic, o czym moglibyśmy napisać, jak pan słusznie zauważył.

– Więc po co przyszedłeś tu, na górę?

Meijters wpatrywał się w twarz Tilasa, który wyraźnie czekał na odpowiedź.

– Zobaczyłem policyjne wygrozdzenie i postanowiłem sprawdzić, co się stało.

Tilas odchrząknął.

– Pytałeś, kto to był.

Meijters czekał cierpliwie.

– Miał przy sobie albański paszport.

– Swój?

– To się okaże jutro, kiedy patolog poprawi mu trochę urodę – powiedział inspektor. Skinął głową na pożegnanie i odszedł.

Meijtens obracał kluczyki w dłoni. W końcu postanowił zostawić samochód i ruszył w stronę Folkungagatan. Kiedy w pewnym momencie się odwrócił, zobaczył, że Tilas stoi i patrzy za nim.

„MAESTRO!”.

W Možels Bar panował duży ruch. Ktoś pomógł mu zdjąć kurtkę, ktoś inny podsunął krzesło, zamówił piwo. Ktoś sięgnął po jego torbę rowerową, pytając, czy jest w niej coś, co może pogrążyć rząd. Wpadł na jakiś trop? Pozwolą mu o tym napisać czy może to wszystko gra? Kiedy powiedział, że zostanie tylko godzinę, potraktowano to jako żart. Podobnie jak fakt, że zamówił butelkę wody mineralnej.

Na ścianach zniszczonego lokalu wisiały reklamy czeskiego piwa. W niewielkiej sali jadalnej gwar był nieco mniejszy, ale w barze panował hałas jak na imprezie. Kiedy wszedł, dyskutowano o nowym kanale komercyjnym nadawanym z Londynu, o ogłupiającej ofercie programowej i koncentracji władzy na rynku mediów. Szybko jednak wrócono do zwykłych tematów. Do afer, które wkrótce zostaną ujawnione, książek, które w zasadzie są już gotowe, filmów dokumentalnych, na które ciągle brakuje środków. Meijtens nie mówił nic, siedział i popijał wodę mineralną. Bertil Andersson miał wyjść z redakcji dopiero za godzinę.

Nikt pewnie nie potrafiłby powiedzieć, skąd bywalcy baru się znają. Po prostu obracając się w tych samych kręgach, w pewnym momencie trafili na siebie i na Možels Bar, i tak już zostało. Od czasu do czasu któryś z nich wkraczał na ścieżkę bardziej tradycyjnej kariery, co odbijało się negatywnie na jego życiu towarzyskim, albo zakładał rodzinę, która też miała swoje oczekiwania. I wtedy znikał, podobnie jak członkowie Biura Politycznego, którzy nagle popadali w niełaskę, a potem słuch o nich ginął. Nigdy też nie rozmawiano o skromnych pracach, z których członkowie grupy się utrzymywali. Czasem bywały tematem żartów, a czasem finansowały naprawdę ważne

projekty. Nikt jednak nie był na tyle nieelegancki, by wytykać innym, że tym przypadkowym zajęciom poświęcają niekiedy całe lata. Hanna nazywała to życiem na niby. O ile akurat była w nastroju do żartów.

Kiedy Meijters ją poznał przed dziesięciu laty, nie miał żadnych planów na przyszłość. Żył z dnia na dzień i nie bardzo rozumiał, dlaczego życie zawsze nie może być takie proste. W weekendy dorabiał jako taksówkarz, co przynosiło mu niewielki, ale jednak stały dochód. Czasem grywał na pianinie w hotelowych barach, żeby móc coś odpowiedzieć, kiedy ludzie pytali go, co robi.

Spotkali się na przyjęciu, na które trafiła przez przypadek. Jak zwykle opowiedział jej historię o tym, jak to dwa lata wcześniej nie przyjęto go do Akademii Muzycznej z powodu jakichś technicznych drobiazgów, a teraz pisze książkę o życiu pianisty barowego. O zawiedzionych nadziejach i zaprzepaszczonej szansach. Oczywiście mu nie uwierzyła, ale i tak poszła z nim do jego mieszkania. Oboje traktowali to jako znajomość na jedną noc i oboje byli zdziwieni, kiedy uświadomili sobie, że stało się inaczej. Wspólnych śniadań i kolacji przybywało, podobnie jak jej kosmetyków w jego dość skromnie wyposażonej łazience. W końcu musieli uznać, że mieszkają razem.

Właściwie była trochę za młoda. Zaskakująco sympatyczna studentka medycyny, ukrywająca burzę kasztanowych włosów i mieszczańskie pochodzenie pod tweedowym kaszkietem kupionym na pchlim targu. Co Meijters w niej widział, było jasne dla wszystkich. Co do tego, co ona w nim widziała, zdania były podzielone. W Možels Bar zakładano, że Meijters, podobnie jak kraciasta czapka z daszkiem, był wyrazem młodzieńczego buntu. Czymś, czego łatwiej się pozbyć niż tatuażu.

Ale lata mijały, zadając kłam wszelkim prognozom.

Od samego początku Meijters przygotowywał się na atak, który wydawał się nieunikniony. Na pytania o brak ambicji i planów na przyszłość, o jego beznadziejnych przyjaciół i nieregularne dochody. I jeszcze o jedno: o to, o czym nigdy nie

rozmawiali. Ale Hanna stwierdziła po prostu, że to jego wybór. Jeśli chce marnować życie, to proszę bardzo, rzucała, i biegła na wykłady i egzaminy. A on zostawał sam ze swoimi myślami w swym zdecydowanie za małym mieszkaniu.

Zapisał się na uniwersytet, co samo w sobie nie było zaskakujące i przecież do niczego go nie zobowiązywało. Natomiast fakt, że udało mu się zakończyć studia dyplomem z historii, i to w wyznaczonym terminie, wszyscy uznali za swego rodzaju sensację. Jeszcze bardziej wszystkich zadziwił, kiedy rozpoczął studia doktoranckie w Instytucie Historii. Bywalcy baru uznali, że pewnie miały mu służyć za punkt wyjścia do innych projektów, ale tak do końca nikt chyba tego nie rozumiał. Najbliżej prawdy była pewnie Hanna, gdy stwierdziła, że to wyraz jego lojalności wobec promotora, Czecha, Jakuba Bema.

Przemierzali obaj korytarze uczelni niczym Don Kichot i Sancho Pansa, dyskutując o najbardziej przewrotnych teoriach i organizując seminaria, których już same nazwy odstraszały studentów i budziły przerażenie kolegów. Meijtens twierdził, że jego praca o działaniach Szwecji w czasie kryzysu kongijskiego rzuci nowe światło na szwedzką politykę zagraniczną po drugiej wojnie światowej. Niestety instytucje dzielące dotacje na badania miały co do tego wątpliwości, musiał więc utrzymywać się z doraźnych stypendiów i jeżdżenia po nocach taksówką.

W tym czasie tweedowy kaszkiet Hanny zdążył już wrócić na rynek wtórny, a czarująca zmierzwiona czupryna została okiełznana i zamieniona w elegancką fryzurę. Meijtens wspomniał, że zamierza pisać książki popularnonaukowe, a Hanna rozsądnie nie drażyła sprawy.

Kiedy skończyła studia, dostała od rodziców dwupokojowe mieszkanie w Vasastan, jako nagrodę i zachętę, by kontynuowała to, co zaczęła. Jej siostra powiedziała kiedyś na boku, ale na tyle głośno, żeby on też to usłyszał: „Było fajnie, ale nie sądzisz, że pokazałaś już tacie, że potrafisz postawić na swoim?”.

Postanowili zrobić sobie przerwę. Meijtens rzucił się bez

opamiętania w wir pracy. Uczył, za marne pieniądze, prowadził badania, za darmo, i coraz częściej brał nocną zmianę w korporacji taksówkowej. Pewnego wieczoru spojrzął na sufit w swoim niewielkim pokoju, na miejsce, gdzie jeszcze niedawno wisiała lampa Hanny, i się przeraził. Kiedy jednego z następnych wieczorów oznajmił w barze, że rezygnuje z kariery uniwersyteckiej, nikt się nie zdziwił. Także to, że zamierza się poświęcić dziennikarstwu, nie zrobiło większego wrażenia. Właściwie wielu bywalców baru było dziennikarzami albo byłoby nimi, gdyby nie beznadziejna sytuacja w tej branży.

Meijensowi jak zwykle zabrakło cierpliwości, żeby się zapoznać z praktyczną stroną swojej decyzji. Kiedy nadeszła wiadomość o upadku muru berlińskiego, nie czekał na konkretne zlecenie, o zadatku nie wspominając, tylko natychmiast kupił bilet, na co tak naprawdę nie było go stać.

Przez kilka tygodni pracował jak opętany. W ciągu dnia przeprowadzał wywiady z urzędnikami państwowymi, strażnikami i demonstrantami. W nocy pisał w swoim maleńkim, nędznym wynajętym pokoiku. Żył jak w transie. Wydawcy gazet ocenili jego artykuły wysoko. Były ciekawe i poprawne stylistycznie. Niektórzy nawet sugerowali, że w przyszłości chętnie zamieszczą coś jego pióra, o ile oczywiście znajdą miejsce.

Miał nadzieję, że kiedy jego kariera dziennikarska nabierze rozpędu, pewnego dnia po prostu wpadnie na Hannę, tak przez przypadek. Ale któregoś późnego wieczoru, po berlińskiej porażce, zamiast posłuchać głosu rozumu, pozwolił zdecydować nogom, i nagle stanął niezapowiedziany przed drzwiami jej mieszkania w Vasastan. Jak kot przybłąda, miała potem powiedzieć przyjaciółce. I wprowadził się, złożyłwszy szereg obietnic, o których później żadne z nich nie pamiętało.

Biedniejszy, ale o ileż bardziej doświadczony, postanowił skupić się na czasopismach specjalistycznych. Zabrał się do tego z pasją, z jaką wcześniej oddawał się sonatom fortepianowym i eseistyce historycznej. W ciągu jednej długiej nocy, przygotowawszy wcześniej dzbanek herbaty jaśminowej i kilka numerów „Jedzenia i wina”, „Magazynu

motoryzacyjnego” i „Życia na szkiełach”, zapełnił notatkami cały zeszyt.

Kilka dni później opuścił czytelnię Biblioteki Królewskiej. Wyszedł, mrużąc odwykłe od dziennego światła oczy. Torbę wypełniały notatki, które uczyniły z niego specjalistę w wybranych dziedzinach, takich jak: psy gończe, cygara i renowacje budynków.

Podczas spotkań z redaktorami naczelnymi wybranych pism sprawiał wrażenie faceta idealnie pasującego do ich potrzeb. I nie chodziło tylko o zainteresowania i zaskakującą znajomość szczegółów. Po prostu miał w sobie coś, czym potrafił ich ująć. Coś nieuchwytnego, trudnego do wytłumaczenia. Jego zdecydowane poglądy na temat sposobu, w jaki Urząd Ochrony Przyrody podszedł do kwestii wilków, ujęły szefa pisma „Myśliwy i jego pies”, a redaktor naczelna „Życia na szkiełach” była naprawdę pod wrażeniem jego wiedzy o każdej szopie na łodzie i każdej zatoczce u wybrzeży jej ukochanej wyspy Gräsö. I pewnie by go poprosiła, żeby coś o tym napisał, gdyby nie to, że sama kilka lat wcześniej napisała podobny artykuł.

Z finansowego punktu widzenia jego starania przyniosły skutki raczej mizerne. Opublikował co prawda kilka artykułów w różnych, dość przypadkowych pismach, ale stały kontakt udało mu się nawiązać jedynie z magazynem „Na polowaniu z psem”. Redaktor naczelny go przeproszał: niestety nie mogą mu wiele zapłacić. Uznał tę kwestię za marginalną, ku rozpaczy Hanny. Każdy artykuł wymagał dużego nakładu pracy, ponieważ tak naprawdę nienawidził psów i nigdy nie trzymał w ręku broni. W Možels Bar jego stała rubryka zyskała status felietonu kultowego, ale nigdy nie był w stanie powiedzieć Hannie, ile zarabia na tym swoim pisaniu. Mówił jej, że idzie do baru, a tak naprawdę brał dodatkowe nocne kursy w korporacji taksówkowej.

Kiedy wydawało się, że wszystkie jego starania zawiodły, zadzwonili do niego z redakcji „7Plus”, nowo powstającego weekendowego dodatku do jednego z czołowych dzienników. Jednego z tych, które nie kupiły jego artykułów z Berlina i nigdy nie odpowiedziały na żadne z jego podań. Chodziło o

zastępstwo. Sześć miesięcy. Szeroka tematyka. Reporter od wszystkiego. Czy jest zainteresowany? Zgodził się, zanim zaczęto go przeproszać, że pensja niestety jest dość niska. Sprawa była pilna, ale przedłużenie umowy raczej nie wchodziło w grę, etat tym bardziej.

Ale oczywiście nikt w redakcji nie mógł wiedzieć, że kilka dni wcześniej wiół taksówką młodego dyrektora urzędu gminy ani co ów młody, nie do końca trzeźwy urzędnik mu wtedy zdradził. Miał temat na duży artykuł. Pracował nad nim wieczorami, w święta i w każdej wolnej chwili. Znalazł kilka interesujących protokołów i nawiązał kontakt z niższym rangą urzędnikiem, który zgodził się być jego anonimowym źródłem. Bertil Andersson poszedł mu na rękę i dał nieco więcej czasu, ale w pewnym momencie jego cierpliwość się wyczerpała. Meijtens zdawał sobie sprawę, że artykuł jest jego jedyną szansą na stały angaż. Na nowe życie i rozwiązanie problemu, o którym on i Hanna nigdy nie rozmawiali.

Znów zerknął na wiszący w barze zegar. Była dziewiąta. Nawet szef działu wiadomości „7Plus” nie pracował aż tak długo. Będzie miał całą redakcję dla siebie. I całą noc na napisanie artykułu, który obnaży prawdę. Skinął głową znajomym i wyszedł w jesienny wieczór.

– TO SIĘ NIE TRZYMA KUPY.

Bertil Andersson odrzucił kartkę. Potarł twarz wielkimi dłońmi, jakby ją przemywał wodą. Meijtens, który spędził w redakcji całą noc, nie zdążył zareagować. Szef ciągnął dalej:

– Nie masz żadnego dowodu na to, że zarząd jest w to zamieszany. Bardzo sprytnie to wszystko wymyśliłeś, ale to za mało. Za mało, żeby wyjść z tym na zewnątrz.

Zmrużył jedno oko, drugim bacznie przyglądał się Meijtensowi.

– I co ten Sjöbage ci wczoraj powiedział?

Meijtens oczywiście wiedział, że prędzej czy później będzie musiał odpowiedzieć na to pytanie. Planował – jeśli można uznać, że w ogóle miał jakiś plan – przekonać Anderssona artykułem, w którym krok po kroku przedstawi prawdziwe oblicze sprawy. Wtedy nawet Andersson zrozumiałby, że słowa Sjöbagego były jedynie nędznym wybiegiem. Niechętnie wyjął magnetofon. W milczeniu wysłuchali zarejestrowanej rozmowy. Twarz Anderssona nie zdradzała niczego. Kiedy nagranie się skończyło, odchylił się do tyłu.

– Pewnie możesz jakoś wyjaśnić, dlaczego ten kawałek nie znalazł się w twoim artykule.

Meijtens otworzył usta, ale szef dał mu znak ręką, żeby się nie trudził.

– Pozwól mi podsumować. Uznałeś, że powiedział to wszystko, by chronić swoich szefów. Oczywiście z niezrozumiałych dla nas powodów. Bo inaczej nie pasuje to do twojej teorii, do której od tygodni, przepraszam, od miesięcy próbujesz nas przekonać. Dlatego postanowiłeś pominąć jego wypowiedź i napisałeś to, co od początku uznałeś za słuszne. – Ściszył głos, mówił teraz podejrzanie łagodnie: – Ale zamiast przyjść z tym wszystkim do swojego szefa, tracisz po drodze

kilka godzin na jakiegoś Albańczyka, który padł ofiarą wypadku. Obiecuję ci, że jeszcze do tego wrócimy.

Andersson wstał i podszedł do szklanej ścianki oddzielającej jego gabinet od redakcyjnego morza. Dłuższą chwilę obaj milczeli.

Meijtens skrzyżował ręce na piersi i odchylił się lekko do tyłu.

– On nie jest typem kombinatora.

Bertil Andersson nadal spoglądał na redakcję. Podobnie jak redaktor naczelny, Sverker Rydman, i wielu innych dziennikarzy, trafił tu z redakcji dziennika spółki matki. Jego powolne ruchy i rozkojarzony wzrok mówiły wyraźnie, że żałuje swojej decyzji o przejściu do nowo powstającego magazynu.

– Wiem, jak to jest. Chodzimy za nimi tygodniami, poznajemy ich. Oczywiście, że nie wszyscy są lajdakami, nawet jeśli niektórym palce przykleiły się do słoika z konfiturami. Tyle że naszym zadaniem nie jest ich osądzać, tylko pisać o tym, co wiemy. A to nie zawsze jest takie proste.

Andersson pokręcił głową, raczej ze współczuciem niż z irytacją.

– Mamy wrażenie, że wszystko wiemy, bo za bardzo się do nich zbliżamy. Problem w tym, że cały czas pracujesz sam. Od początku to mówiłem.

Meijtens podążył za jego wzrokiem i zobaczył, że do redakcji weszła młoda kobieta. Pozdrowienia kolegów skwitowała dyskretnym skinieniem głowy. Ubrana na czarno, z ciemnymi, obciętymi na pazia włosami, wyraźnie odcinała się od jasnego otoczenia. Podeszła do swojego krzesła, rzuciła płaszcz na oparcie i – nie siadając – zaczęła przeglądać jakieś papiery. Zwykle zjawiała się w redakcji ostatnia. Mówiono, że wcześniej przychodziła jedynie w dni, gdy zatwierdzano skład, żeby dopilnować, by nie zabrakło miejsca na jej artykuły.

– Nie – powiedział nagle Meijtens.

Gdyby miał się tłumaczyć, nie starczyłoby mu czasu. Zresztą wszystko już powiedział.

– To typowy artykuł w stylu Petrini.

– Nie to było moim zamiarem.

– Nikt cię nie zmuszał, żebyś go pisał. Ale w tej wersji na pewno nie możemy go puścić. Brakuje ci dowodów. A nie możesz poświęcić mu więcej czasu, bo trzeba wypełnić numer. Chyba że szybko coś zmienisz. Przemyśl to i daj mi znać za godzinę.

Meijtens przeczytał tekst jeszcze raz i doszedł do wniosku, że Andersson ma rację. Odpowiedzialni za sprawę sprytnie zatuszowali wszelkie ślady, wykorzystując do tego swojego lojalnego dyrektora. Wymagało to trochę zabiegów, ale takie rzeczy mieli opanowane. Andersson rozmawiał w swojej szklanej klatce z Natalie Petrini. Meijtens był pewien, że jeśli szybko nie dostarczy nowej wersji, szef przekaze temat jej.

Nagle poczuł, że jest zły na Sjöhagego. Dlaczego właśnie na niego zrzucił swoje moralne wątpliwości? Czego oczekiwał? Był przekonany, że w razie czego Sjöhage sobie poradzi. Partia go gdzieś przechowa, a po kilku latach zostanie ministrem. Jego odprawa wyniesie zapewne więcej, niż on zarobił w ciągu ostatnich paru lat.

Wyrzucił artykuł do kosza i zaczął pisać od początku. O dyrektorze z urzędu gminy, który przekroczył swoje uprawnienia.

Kiedy skończył i numer poszedł do druku, uświadomił sobie, że przez kilka ostatnich dni właściwie nie spał. Słowa uznania i gratulacje niemal do niego nie docierały. A chwalił go nawet Sölvebring, redakcyjny malkontent.

– Ostatnio bez przerwy mówi się o metodach i analizach, ale to jest to, co jest naprawdę ważne. Upór i rzetelna praca.

Kiedy wrócił do domu, natychmiast się położył i zasnął. Ale nie przyśnił mu się Sjöhage, tylko bezdomny włóczęga. Wołał coś do niego, a on go nie słyszał. I dobrze, chciał spać i zapomnieć o wszystkim.

*

Sven Emanuel wchodził szybko na górę. Szedł nierównym krokiem schodami prowadzącymi z Stadsgårdsleden. Przenocował pod jednym z miejskich wiaduktów i dopiero teraz odważył się wrócić. Obejrzał się przez ramię, ale policji

już nie było. Widzieli, jak rozmawiał z dziennikarzem, i oczywiście go wypytywali, ale nic im nie powiedział.

Nikommu nie zamierzał nic mówić, a już na pewno nie im.

Znam paru facetów z Västerås. Porządni ludzie.

Sven Emanuel spojrzął na swoje rękawice. Miękkie i ciepłe. Będzie musiał o nie dbać. Przypomniął sobie, jak jego nowy przyjaciel wyjął te fantastyczne rękawice z torby: niczym czarodziej.

Jestem pewien, że zauważyłeś coś, o czym policja nie ma pojęcia.

Nie chciał zawieść czarodzieja. Dowiedzie, że słusznie postąpił, obdarowując go tymi niezwykłymi rękawiczkami. Bo rzeczywiście coś sobie przypomniał, już po rozmowie z policją.

Przypomniął sobie, gdzie wcześniej widział Cięń.

KIEDY DOTARŁ do „7Plus”, w redakcji panowała dziwna cisza. Monica ledwie kiwnęła głową i tylko znacząco spojrzała na zegarek. Kilka osób odpowiedziało na jego pozdrowienie, natychmiast odwracając wzrok. Ale nastroje w dzień po ukazaniu się numeru zwykle bywały nieco przygaszone, pomyślał więc, że może jest przewrażliwiony.

Nalał sobie filiżankę kawy i zaczął przeglądać numer. Jak zwykle w piątkowy poranek. Ale ten dzień był wyjątkowy. Przewracał kolejne strony, aż doszedł do swojego artykułu. Był obszerny i znalazł się na ważnym miejscu.

Minął go Sölvebring, ale po wczorajszej serdeczności nie został nawet ślad. Rzucił za to coś o samochodzie, który Meijdens zarezerwował, a on go teraz potrzebuje. Mówił trochę głośniej niż zwykle, jakby chciał, żeby wszyscy słyszeli.

Dopiero wtedy Meijdens zauważył, że ktoś za jego plecami próbuje zwrócić na siebie jego uwagę. Natalie Petrini.

– Powinieneś porozmawiać z Bertilem.

Posłała mu uważne, ale obojętne spojrzenie. Jej głos brzmiał inaczej niż zwykle. Było w nim coś obcego, coś, czego wcześniej w nim nie słyszał.

Andersson rozmawiał przez telefon. Spojrzał na niego w powagę. Meijdens stwierdził, że zaczeka na zewnątrz. Kiedy Andersson skończył, dał mu znak, żeby wszedł.

– Słyszałeś? – spytał, nie tracąc czasu na pogaduszki.

– Nie. Co?

– Odezwali się twoi przyjaciele z urzędu gminy. Zadzwonili do Rydmana i przedstawili mu swoje uwagi i zastrzeżenia. Zamierzają się odwoływać do wszystkich świętych, łącznie z ombudsmanem i rządem.

Meijdens wzruszył ramionami.

– Wszystko się zgadza, nawet przecinki. Powinni być

wdzięczni, że tak łagodnie ich potraktowałem.

– Twierdzą, że wymusiłeś te wyznania. Że wszystko poprzekręcałeś.

– Bzdura. A co Sjöbage na to?

Andersson siedział chwilę w milczeniu, odwrócił głowę.

– Powiesił się. Dzisiaj rano.

W tym momencie Meijdens uświadomił sobie, co słyszał w głosie Natalie Petrini i co wydało mu się obce i trudne do zidentyfikowania. Współczucie.

*

Nikt nie twierdził, że to, co się stało, było winą Meijdensa, ale też nikt temu nie zaprzeczył.

– Zabrakło wycucia – oświadczył Sölvebring. – Etyka to suma doświadczeń – mówił tym, którzy chcieli go słuchać. – Tego nawet najdłuższe studia człowieka nie nauczą. Nie wystarczy być upartym i dążyć do celu. Trzeba umieć właściwie ocenić to, czego się człowiek dowiaduje.

Publiczna debata ograniczyła się do kilku ripost w konkurencyjnych pismach i kwaśnego komentarza w audycji kulturalnej w radiu. Chwilę później wszyscy znów skupili się na okupacji Iraku przez Kuwejt i na pogłębiającym się kryzysie gospodarczym. Minęło kilka dni i nikt już nie pamiętał, kim był Johan Sjöbage. Kim jest Tobias Meijdens też nie.

Konferencja prasowa zwołana przez szefa urzędu gminy była świetnie przygotowana. Nawet Meijdens musiał to przyznać. Prezes nikogo nie oskarżał i w jakiś sposób udało mu się wnieść ponad tę tragedię.

– Oczywiście przyjrzymy się bliżej procedurom i transakcjom, na które zwrócono uwagę w artykule w „7Plus”. Ale jest chyba zrozumiałe, że w tym momencie naszym priorytetem jest udzielenie wsparcia rodzinie Sjöbagego i naszym zszokowanym pracownikom.

Wszyscy rozumieli.

Początkowo Meijdens upierał się, że powinni pociągnąć sprawę. Napisać to, co od początku zamierzał. Ale Bertil Andersson stanowczo się sprzeciwił.

– Nie możemy ubolewać nad tym, co się stało, i jednocześnie ciągnąć wątku, publikując kolejny artykuł. Niech ktoś inny się tym zajmie.

Po długim spotkaniu z Rydmanem szef wreszcie go wezwał.

– Doszliśmy do wniosku, że na jakiś czas powinienes się usunąć w cień. Żadnych większych artykułów, nic pod twoim nazwiskiem. Wtedy wszystko szybciej ucichnie.

Przydzielono mu felieton „Tydzień, który minął”. Całostronicowe podsumowanie kończącego się tygodnia. Zwykle pisał je ktoś w ostatniej chwili, w oparciu o najważniejsze artykuły z dzienników. Andersson podkreślił, że oczekuje świeżego spojrzenia. Meijters nie powinien uważać tego za karę, zdecydowanie nie. Tak naprawdę była to dla niego szansa rozwoju.

– Tylko się nie wychylaj – ostrzegł go.

O ewentualnym etacie nikt już nie wspominał.

Jeśli ktoś chciał usłyszeć nieco inną wersję wydarzeń, mógł się udać do Možels Bar, gdzie Meijters ostatnio często bywał. Tam nikt nie wypytywał o szczegóły. Nie były interesujące. Nikt tego głośno nie powiedział, ale uznano go za ofiarę zbiegu okoliczności. Im dłużej o tym dyskutowano, tym wyraźniej było widać, że chodzi o coś więcej, a on tak naprawdę jest bohaterem. Fakt, że został skazany na cotygodniowy felieton, tylko to potwierdzał. Znajomi przysięgli, że ten felieton stanie się od teraz ich jedynym źródłem informacji o świecie.

Meijters nigdy nikomu nie powiedział, co dokładnie się wydarzyło. Pozwalał, żeby przyjaciele sami składali fragmenty układanki. Kiedy go o coś pytali, odwracał ich uwagę starymi anegdotkami. Pewnego wieczoru zaprezentował swój pokazowy numer: przedstawił bitwę pod Breitenfeld z punktu widzenia koni. Narysował na obrusie strzałki i z pomocą nieco zażenowanych gości zaczął markować ruchy wojsk. Ale kiedy skończył, wszyscy byli zgodni, że nigdy nie przemawiał równie wspaniale.

A potem, gdy już niemal zaczynało świtać, złamał swoje zasady i zaczął grać na rozstrojonym pianinie. Myślami błądził wokół przyszłości, która mogła być jego. Tak naprawdę.

SVEN EMANUEL stał i rozglądał się po przestronnej recepcji. Co to za miejsce? Dziwne lampy dawały zimne światło. Zaczął się zastanawiać, czy niektórych z nich nie włącza się jedynie po to, by oślepiły gości. Spojrzał na sufit i doliczył się trzech kamer. Postanowił nie zdejmować szala, który zakrywał mu głowę. Pod jedną ze ścian stała skórzana kanapa, ale nie usiadł na niej. Wolał poczekać na stojąco.

Planował odwiedzić czarodzieja z gazety, ale jeszcze nie teraz. Najpierw musi znaleźć Cień. Wtedy mu uwierzą.

Recepcjonistka odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się.

– Niestety, wciąż nie odpowiada. Jest na zebraniu. Mam mu coś przekazać?

Sven Emanuel zaczął się zastanawiać, ale po chwili pokręcił głową. Wiedział już, do kogo ma zadzwonić. Może powinien się też skontaktować z czarodziejem. Wyda parę koron, ale trudno. Odwrócił się do wyjścia, kiedy usłyszał za sobą głos recepcjonistki:

– Mogę prosić o pańskie nazwisko? Może zostawi pan wizytówkę? – rzuciła z lekką pogardą, a jej koleżanka zacisnęła usta, żeby się nie roześmiać.

Sven Emanuel wyjął wizytówki, które zostawił mu czarodziej, i podał jedną. Powinna jej dać do myślenia.

*

Hanna robiła, co mogła, żeby go sprowokować do rozmowy o Sjöhagem, ale odpowiadał monosylabami. Kiedy pytała, jakie ma szanse zostać w redakcji, zbywał ją żartem. Gdy pewnego razu spytała o zaległe honoraria za artykuły z pisma „Myśliwy i jego pies”, zaczął nerwowo przeglądać płyty.

Czy zastanawiał się, co robi, jeśli nie otrzyma propozycji pracy? Umówił się na spotkanie z doradcą, którego poleciła mu

jej siostra? Nie, nie spotkał się z nim i nie zamierzał tego robić.

– Tobbe, ja mówię poważnie.

Wiedział o tym, ale był zajęty innymi sprawami. Poza tym miał dosyć ciągłego usprawiedliwiania się. W końcu oboje dali sobie spokój.

– Mam wyrzucić saksofonistę? – spytał w końcu.

To był ich prywatny kod. Tak często rozmawiali o rozstaniu, że nie mieli już siły na okrągło powtarzać tego samego. Więc Meijters pytał, czy ma wyrzucić saksofonistę, muzyka, któremu wynajął swoje mieszkanie i który od dłuższego czasu zalegał z czynszem, co pozwalało mu wypowiedzieć najem właściwie z dnia na dzień.

Hanna spojrzała na niego ze łzami w oczach, ale w końcu skinęła głową.

– Może powinieneś to zrobić. W każdym razie na jakiś czas, żebyśmy mogli przemyśleć wszystko w samotności.

*

Kilka dni później Meijters się wyprowadził. Saksofonista nie bardzo mógł protestować, skoro nie był w stanie uregulować zaległości. Poza tym miał dziewczynę, u której zamierzał zamieszkać, nie był więc szczególnie zrozpaczony.

Meijters ze zdziwieniem stwierdził, że mieszkanie jest wysprzątane i w ogólnie dobrym stanie. Na stole leżał list, w którym jego były lokator opisywał swoje perypetie z bankami. Ktoś kiedyś popełnił błąd, doszło do komplikacji, ale oczywiście postara się wszystko wyjaśnić i uregulować dług.

Na stoliku znalazł pocztę. Między innymi awizo dotyczące sprawy, o której już od dawna z Hanną nie rozmawiali. Zacerpnął głęboko powietrza i zaczął otwierać. Koperty wyrzucił, listy odsunął na bok, żeby potem ułożyć je według dat.

Nie chodziło tylko o nieterminowe spłaty. To były jego niezrealizowane marzenia i plany. Drogi rower, który kupił na raty. Nie spłacał ich i teraz odsetki rosły. Kredyt z banku, który wziął, gdy razem z przyjaciółmi postanowił wydawać pismo. Wydawało się skazane na sukces, ale po trzech numerach

musieli wydawanie zawiesić. I pożyczki od znajomych i rodziny, żeby sobie poradzić ze smutną rzeczywistością.

Odepchnął stertę rachunków i zajął się przyrządzeniem idealnego espresso.

Wśród listów znalazł pismo z magazynu „Myśliwy i jego pies”, w którym informowano go, że ze względu na brak miejsca redakcja nie jest zainteresowana artykułami, o których wcześniej rozmawiali. Zaczął się zastanawiać, czy nie zawarli z nim jakiejś umowy, ale w końcu machnął ręką.

Redakcja „Tytoniu” nie owijała niczego w bawełnę, tylko – powołując się na „zasady etyczne pisma” – poinformowała go wprost, iż nie jest właściwą osobą, by pisać o honduraskich cygarach. Wyrzwał przez okno na mokrą od deszczu ulicę, oświetloną światłem ulicznych latarni, i roześmiał się cicho.

Po tym jak Sjöbage popełnił samobójstwo, a on został skazany na cotygodniowy felieton, bez przerwy przedstawiał szefowi pomysły na nowe artykuły: o zamachu na kurdyjskich aktywistów, wywiady z młodymi talentami, reportaż ze zjazdu partii. Był gotów podjąć się wszystkiego.

– Nie. Jeszcze za wcześnie – odpowiadał Bertil Andersson.

Oczywiście miał rację. Meijtens uświadomił to sobie, czytając listy z redakcji obu pism, z którymi wcześniej współpracował. W najbliższym czasie powinien się zająć czymś innym. Zacząć poruszać tematy społeczne, wykazać się empatią. Zrobić coś, co odwróciłoby myśli czytelników od afery. I nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

Umiera samotny uciekinier. Los człowieka w nowym, zimnym świecie. Coś w tym stylu. Dokładnie tak. Tragedia człowieka z rozpadającej się Europy Wschodniej. Idealny temat. Do tego drżący z zimna włóczęga jako naoczny świadek. Powinno się udać. Wystarczająco ciekawe, żeby zainteresować Bertila Anderssona, i na tyle bezpieczne, by Meijtens stworzył sobie nowy wizerunek. Mogło się udać. Na pewno. Problem polegał na tym, że nie znał nawet imienia tego człowieka.

*

Skontaktowanie się z Tilasem okazało się zaskakująco łatwe.

– Wszystko wskazuje na to, że ofiarą jest mężczyzna, na którego nazwisko wystawiono paszport. Obywatel Albanii, Aron Bektashi.

– Aron Bektashi? – powtórzył Meijters i zanotował.

Tilas przeliterował.

– Zdjęcie wydaje się autentyczne. Tak przynajmniej uważają pracownicy obozu dla uchodźców. Podobnie wiek i wzrost, co z kolei potwierdzają lekarze z zakładu medycyny sądowej. Urodził się jedenastego kwietnia tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku w Tiranie.

– Od jak dawna był w Szwecji?

– Niedługo. Przyjechał kilka dni temu i natychmiast wystąpił o azyl. Twierdził, że był więźniem politycznym. Dlaczego o to pytasz?

Meijters wiedział, że Tilas czeka na odpowiedź, ale nie miał rozsądnego wytłumaczenia. Przedłużające się milczenie irytowało Tilasa, który zaczął przewracać jakieś papiery. Po chwili wrócili do rozmowy.

– Mówił, że został zwolniony z więzienia, ale nadal go śledzono. Bał się, że ponownie go aresztują. – Inspektor zaczął demonstracyjnie ziewać. – Został skierowany do obozu dla uchodźców w Vilanda. Uciekł po pierwszej nocy, zanim zdążono go przesłuchać. Tak więc niewiele o nim wiemy.

– Wiadomo coś o jego przeszłości?

– To znaczy?

– Dlaczego postanowił uciec akurat do Szwecji?

– Może dlatego, że nie chciał zostać w Albanii?

– Ale dlaczego wybrał właśnie Szwecję? Miał jakieś powiązania? Rodzinę w Sztokholmie?

Tilas wymamrotał coś pod nosem. Meijters uznał to za zaprzeczenie.

– Czy obdukcja wskazała na jakieś okoliczności, które mogłyby...

Inspektor odłożył słuchawkę.

– NIE ODPOWIADAM na żadne pytania. Wiesz o tym.

Liston przeciągnął dwoma palcami po krawędzi biurka. Meijtns pomyślał, że nadal jest tym samym zamkniętym w sobie chłopcem, jak kiedyś w szkole, chociaż teraz na tabliczce na drzwiach było napisane: Dr Henrik Holmström.

To właśnie wtedy nieśmiałoemu piętnastoletniemu chłopcu nadano ksywkę Liston. Oczywiście Henrik nie miał nic wspólnego z królem ciężarowców wagi ciężkiej, ale wszystko ma jakieś wytłumaczenie. Był po uszy zakochany w szkolnej piękności, dziewczynie tak całkowicie poza jego zasięgiem, że budziło to śmiech kolegów. Minęło kilka lat, zanim zdobył się na odwagę, żeby do niej podejść. Zaczęli rozmawiać i wszystko było dobrze do chwili, kiedy się schylił, żeby podnieść z podłogi książki, które upuściła. Gdy się podniósł, uderzył ją głową w brodę tak niefortunnie, że do końca roku musiała nosić kołnierz usztywniający. A Henrik został Listonem.

Jego gabinet w zakładzie medycyny sądowej w Solna był zarzucony raportami, fachowymi pismami i książkami. Brudne szyby przepuszczały tak niewiele słońca, że nawet w ciągu dnia głównym źródłem światła była stojąca na biurku lampa.

– Przekazujemy informacje policji, a ta wypowiada się w mediach – powiedział Liston.

– Nie rozmawiasz z mediami, tylko ze mną.

– Media to ty.

– Nie będę cię cytował. Potrzebuję tylko kilku informacji, by mieć pewność, że to właściwy trop.

– Jesteś dziennikarzem, a ja patologiem sądowym. Nie redaktorem.

– Potwierdziliście jego tożsamość? – spytał Meijtns po chwili cierpliwego milczenia.

Liston nie odpowiedział. Próbował usunąć ze swojego

białego kitla niewidzialną plamę. Meijtns czekał cierpliwie. Nie chciał naciskać na dawnego szkolnego kolegę. W końcu jednak przerwał milczenie:

– Wiem, że miał przy sobie albański paszport, że przyjechał do Szwecji kilka dni temu i że prawdopodobnie nazywa się Aron Bektashi i jest obywatelem Albanii.

– Więc napisz o tym.

– Chciałbym się dowiedzieć, czy potwierdziliście jego tożsamość i co było przyczyną śmierci – ciągnął Meijtns niezrażony. – Nieszczęśliwy wypadek czy samobójstwo? Był pod wpływem alkoholu?

Liston się zachnął.

– Po pierwsze, do identyfikacji potrzebny jest krewny. Albo karta dentystryczna. A ani jedno, ani drugie nie wchodzi w grę, prawda? Natomiast co do drugiego pytania, to niezależnie od tego, czy byłby to wypadek, czy samobójstwo, obrażenia byłyby takie same. I pytanie trzecie: czy znaleźliśmy w jego organizmie alkohol. W śladowych ilościach.

– Więc zginął w wyniku upadku?

Liston zrozumiał, że powiedział za dużo.

– Tak – potwierdził. – I nic więcej ze mnie nie wyciągniesz – dodał.

– Coś mi nie daje spokoju. Trudno tam spaść przez przypadek. Zwłaszcza na trzeźwo. A samobójstwo? Po co ktoś miałby jechać taki kawał drogi, do Szwecji, żeby potem w Sztokholmie odebrać sobie życie?

Liston zwilżył wargi i wzruszył ramionami.

– Nie my odpowiemy na to pytanie, ale rozumiem, że się dziwisz.

– Czy na ciele znaleźliście jakieś inne ślady uszkodzeń, poza tymi, które powstały w wyniku upadku?

– To zależy co masz na myśli. Nie było żadnych obrażeń, które mogły powstać tuż przed wypadkiem.

Meijtns pozwolił, by słowa kolegi zawisły w powietrzu. Po chwili spytał cicho:

– Co to za obrażenia? Te, które były widoczne na jego ciele, ale które nie powstały w wyniku upadku?

Liston zaczął się nerwowo bawić piórem. Spuścił wzrok.

– Do diabła, Meijtns, nie wolno ci o tym pisać. Wiesz, że w ogóle nie powinienem z tobą rozmawiać. Zwróć się do policji.

– Nie napiszę niczego, czego nie potwierdzi inne źródło. Tyle mogę ci obiecać.

– Obiecay, że nie napiszesz nic z tego, co ci powiedziałem. To wszystko jest off the record, jak to mówicie.

– Jasne. Jeśli uznam, że coś jest interesujące, poszukam drugiego źródła.

Liston zagryzł wargę i coraz uporczywiej wpatrywał się w pióro, które trzymał w ręce.

– Na ciele znaleźliśmy szereg obrażeń niezwiązanych z upadkiem – zaczął spokojnym, monotonnym głosem. – Zagojone złamania żeber i kości przedramienia. Charakterystyczne ślady po oparzeniach papierosem. A także blizny wskazujące na uszkodzenie ciała w wyniku ciągnięcia po ziemi. I blizny na potylicy i obojczyku, po uderzeniach zadanych tępym narzędziem. – Podniósł głowę i spojrzał na Meijtnsa. – Według mojej wstępnej oceny większość obrażeń pochodzi sprzed wielu lat, ale jest też kilka nowszych. Trudno jednak o ostateczną ocenę. – Zamilkł, jakby się zastanawiał, czy powinien mówić dalej. W końcu powrócił do przerwanego wątku: – Mam wrażenie, że Aron Bektashi był w pewnym okresie lub w pewnych okresach swojego życia systematycznie torturowany – oświadczył równie chłodno jak poprzednio.

– Jesteś tego pewien?

– Dość pewien. Żaden wypadek nie mógł spowodować niektórych obrażeń, na przykład złamań obojczyka czy blizn na plecach. Musiał być systematycznie dręczony. Poza tym część ran goiła się samoistnie.

Meijtns notował wszystko w milczeniu.

– To właśnie jest zadziwiające – powiedział Liston.

Meijtns cofnął się trochę i zaczął mu się bacznie przyglądać. Po chwili schował notes i ołówek do kieszeni.

– Jest jeszcze coś?

– Co masz na myśli?

– Wiem, że jest jeszcze coś. Widzę to po tobie. Przecież cię

znam.

Liston demonstracyjnie wyglądał przez okno.

– Nie wiem, o czym mówisz. Zresztą ja już się tym nie zajmuję. Przekazałem sprawę odontologom.

– Dlaczego?

Zmieszany Liston zaczął pospiesznie opowiadać o obowiązujących procedurach. Meijtens przypomniał sobie, jak jeszcze w szkole mówili, że Liston nigdy nie kłamie. Jeśli chciał coś ukryć, odpowiadał tak, że niewiele można było z tego zrozumieć. Nagle drzwi się otworzyły i do pokoju weszła młoda kobieta w nieskazitelnie białym fartuchu. Jego poły powiewały przy każdym jej ruchu.

– Sprawdziłam to, o co prosiłeś – odezwała się po angielsku z silnym wschodnioeuropejskim akcentem. – Nie ma żadnych wątpliwości, że...

Liston przerwał jej:

– To Tobias Meijtens. Jest... jakby to powiedzieć...

Poprawił się na krześle. Najwyraźniej nie chciał zdradzić zbyt wiele, a już na pewno nie chciał powiedzieć wprost, że Meijtens jest dziennikarzem.

– Meijtens jest moim przyjacielem, ale tu nie pracuje – powiedział w końcu.

– Elena – przedstawiła się kobieta.

Meijtens skinął głową.

– Elena pochodzi z Jugosławii, czy raczej z Macedonii, powinienem chyba powiedzieć. Pomyślałem, że dobrze będzie ją do tego włączyć, ze względu na aspekt geograficzny sprawy.

– Urwał, spojrzał na Elenę. – Wróćmy do tego później. Mój przyjaciel już wychodzi, odprowadzę go do drzwi.

– Dobrze. Zostawiam ci wyniki.

Elena położyła teczkę z dokumentami na biurku i ruszyła do drzwi. Nagle się zatrzymała, złapała za futrynę i odwróciła się.

– Przyjdiesz wypić zdrowie doktora Svedberga, Henriku? Zbieramy się o piątej.

Liston wziął do ręki pióro i zaczął je nerwowo obracać w palcach.

– Zobaczą, mam jeszcze sporo pracy. To zależy...

Reszta zdania ugrzęzła mu gdzieś w gardle.

Elena uśmiechnęła się i zmarszczyła brwi.

– Proszę. Zrób to dla mnie.

Liston się zaczerwienił i wymamrotał coś, co zarówno Elena, jak i Meijtens wzięli za zgodę.

– Dobrze, zobaczymy się więc po południu. I daj mi znać, gdyby coś w moim raporcie wydało ci się niejasne.

Meijtens postanowił zaryzykować.

– A więc przypuszczenia Henrika okazały się słuszne? – rzucił lekko, jakby po prostu wracał do przed chwilą przerwanej rozmowy.

Liston spojrział na niego wyraźnie niezadowolony i przestraszony, ale nic nie powiedział.

– Zdecydowanie tak – stwierdziła Elena. – Niektóre wypełnienia zostały zrobione w Europie Wschodniej, możliwe że w Albanii. Są naprawdę marne – powiedziała i skrzywiła się.

– Mam wrażenie, że część braków jest wynikiem zewnętrznych obrażeń albo wypadku. – Podeszła do Listona i wskazała na adnotację w protokole, który mu dała. – Część plomb wyraźnie się różni od reszty. Standard zachodnioeuropejski. Mogły zostać zrobione w Szwecji albo w jakimkolwiek innym kraju skandynawskim, w Holandii, w Niemczech Zachodnich, może w Wielkiej Brytanii.

Zamilkła na chwilę. Liston posłał Meijtensowi błagalne spojrzenie.

– Najdziwniejsze jest jednak to – ciągnęła Elena – że te plomby są starsze. Mają co najmniej dwadzieścia lat. Tak uważa doktor Svedberg. W Skopje nie kochamy Albańczyków, ale ten człowiek najwyraźniej nie był zwykłym Albańczykiem. – Na jej twarzy pojawił się ciepły, nieco zagadkowy uśmiech. – Do zobaczenia, Henriku – powiedziała, potrząsając włosami.

Meijtens i Liston przez chwilę siedzieli w milczeniu. Z korytarza dochodziło stukanie obcasów Eleny.

– Ze wszystkich dziewcząt Macedonki są najładniejsze – stwierdził po chwili Liston rozmarzony swoim monotonnym głosem. Patrzył w stronę drzwi i mruzczał coś sam do siebie. Jak kiedyś w szkole. Koledzy drwili z niego z tego powodu.

– Słucham?

– Ze wszystkich dziewcząt Macedonki są najpiękniejsze. To tytuł popularnej jugosłowiańskiej piosenki. Elena śpiewała ją kiedyś na jakiejś imprezie dla pracowników.

Meijtns się roześmiał.

– Organizujecie imprezy dla pracowników?

Liston spojrział na niego z irytacją.

– A dlaczego nie? A wy w redakcji nie organizujecie?

Meijtns uniósł ręce w przeprasającym geście.

– Oczywiście, to normalne. Zastanawiam się tylko, o czym rozmawiacie między jedną a drugą kanapką. O ćwiartowaniu ciała przez mordercę?

Liston zachnął się w swój charakterystyczny sposób.

– Wyobraź sobie, że nie. Czy wy na swoich imprezach rozmawiacie o wielkości czcionki i innych takich?

Meijtns znów uniósł ręce i się roześmiał.

– Na ostatnim spotkaniu rozmawiałem z Eleną o językach słowiańskich. O ich wzajemnych powiązaniach. Nie wiem, czy jeszcze pamiętasz, ale te kwestie bardzo mnie interesują. Nie tylko patologia i medycyna sądowa.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Spróbuję to wszystko podsumować – odezwał się Meijtns.

– Aron Bektashi był obywatelem Albanii. Urodził się prawdopodobnie w 1938 roku. W pewnych okresach życia go torturowano, przypuszczalnie siedział w więzieniu, na pewno był pozbawiony opieki lekarskiej. Przez jakiś czas, kilkadziesiąt lat temu, mieszkał na Zachodzie. Zmarł po upadku z tarasu Ersta. Na jego ciele nie ma śladów, które wskazywałyby na użycie przemocy. Trudno podać przyczynę upadku. Mam rację?

Liston westchnął ciężko.

– Nie wolno ci o tym napisać. Wyrządziłbyś mi krzywdę. I jej też.

– Jak już powiedziałem, nie napiszę niczego, jeśli nie zdobędę potwierdzenia z jeszcze jednego źródła. Powiedz mi tylko, czy wszystko dobrze zrozumiałem?

Liston wziął do ręki brązowoszarą teczkę i zaczął przeglądać znajdujące się w niej protokoły i notatki.

– Tak, wszystko się zgadza – powiedział. – Wygląda na to, że przez dłuższy czas mieszkał na Zachodzie. Wskazują na to liczne plomby. Ale oczywiście są to tylko domysły. – Uniósł głowę i spojrzał na Meijtensa. – A teraz przepraszam, ale muszę wracać do pracy.

Posłał mu nerwowe spojrzenie. Pożegnali się skinieniem głowy. Dwóch mężczyzn znających się niemal całe życie.

Na dworze zrobiło się już ciemno, ale deszcz przestał padać. Meijtens powoli ruszył w stronę swojego roweru. Wziął głęboki wdech, napełnił płuca świeżym jesiennym powietrzem.

Blizny po oparzeniach, prawdopodobnie od papierosów... ślady na potylicy po uderzeniu tępym narzędziem...

Wzdrygnął się, wsiadł na rower i szybko odjechał.

WZDRYGNEŁA SIĘ, kiedy usłyszała dzwonek, chociaż czekała na to od wielu godzin. Spokojnie wyszła na korytarz. Stary dębowy parkiet trzeszczał cicho przy każdym kroku. Podparła się lekko ręką o rokokową komodę, na wypadek gdyby zaczęły jej się trząść nogi. Doszła do drzwi i obserwowała go chwilę przez wizjer. Wiedziała, kto stoi za drzwiami, bo zadzwonił do niej kilka godzin wcześniej, a właściwie już nikt jej nie odwiedzał.

Wyglądał niemal dokładnie tak, jak się spodziewała. Chłodny głos, który słyszała przez telefon, dobrze pasował do mężczyzny, który opierał się o drzwi starej windy. Miał na sobie płaszcz o wojskowym kroju. Jego twarz była pomarszczona, dwie głębokie bruzdy biegły od nosa do kącików ust. Włosy miał zadbane. Stał tak, żeby słabe światło oświetlało mu oczy i policzki. Może doświadczenie nauczyło go, że starsze panie dokładnie przyglądają się swoim gościom przez wizjer, zanim ich wpuszczą do środka, i chciał jej ułatwić zadanie.

Kiedy otworzyła drzwi, przedstawił się i pokazał legitymację. Wymienili kilka zdawkowych uwag, a potem zaprosiła go do salonu. Na stole stały już filiżanki i dzbanek z herbatą. Mężczyzna usiadł w fotelu, wyprostowany, nie dotykając oparcia. Zauważyła, że bardzo się stara ukryć swój akcent, i zaczęła się zastanawiać dlaczego. Może odruchowo, żeby się nie wyróżniać, nie zwracać na siebie uwagi? Długie, bogate w wydarzenia życie nauczyło ją wyczuwać zagrożenia.

Był nieco skrupowany. Poprawił się w fotelu i przeszedł do rzeczy. Opowiedział jej pokrótce o tragicznym wydarzeniu, które stanowiło powód jego wizyty. Uderzyło ją, że mówi krótkimi zdaniem, jakby recytował. Może żeby nie powiedzieć za dużo? W końcu doszedł do sedna. Do wyjątkowych okoliczności, które go sprowadzają.

– Jak wspomniałem przez telefon, w kieszeni zmarłego znaleźliśmy kartkę z pani inicjałami i numerem pani telefonu. Zastanawiam się, czy przypomina pani sobie jego nazwisko i dlaczego zanotował właśnie ten numer.

Spojrzała na niego z dumą i pewną wyższością, przynajmniej taką miała nadzieję.

– Mam wrażenie, że już przez telefon mówiłam panu, panie inspektorze...

Desperacko próbowała przypomnieć sobie jego nazwisko, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

– Tilas. Inspektor Tilas.

– Właśnie. A więc, jak mówiłam, inspektorze Tilas, mimo zaawansowanego wieku pamięć nadal mi dopisuje. Dlatego powtarzam, że nigdy nie spotkałam nikogo o takim nazwisku. O ile dobrze pamiętam, to w ogóle nigdy nie poznałam żadnego Albańczyka.

– I twierdzi pani, że nikt do pani nie dzwonił?

– Czasem ktoś dzwoni – powiedziała cicho.

– Miałem na myśli to, że nie dzwonił do pani nikt, kto mógłby być tym Albańczykiem, który miał na kartce numer pani telefonu.

– Nie – powiedziała, kręcąc głową.

Inspektor w zamyśleniu pokiwał głową. Po chwili wyjął z kieszeni fotografię.

– Zna pani tego człowieka?

Zaczęła się wpatrywać w zdjęcie.

– To on? Ten człowiek, który miał wypadek?

Policjant potwierdził ledwie zauważalnym skinieniem.

– Nie – odpowiedziała w końcu starsza pani. – Jestem prawie pewna, że nigdy go nie widziałam.

Dlaczego to brzmi tak nieprzekonująco? – zastanawiała się. Przecież to prawda.

Policjant powoli pokiwał głową, jakby niechętnie, ale jednak przyjął to do wiadomości. Znów siedzieli chwilę w milczeniu. Zaczęła się zastanawiać, czy to specjalna technika, czy może inspektor chce po prostu w ciszy wszystko przemyśleć. W końcu doszedł do tego, na co czekała.

– Nie możemy oczywiście abstrahować od faktu, że pochodzi z kraju wschodnioeuropejskiego. W tych okolicznościach to, że miał przy sobie numer pani telefonu, jest szczególnie wymowne. Zapewne doskonale to pani rozumie.

Okryła się szczelniej eleganckim swetrem z kaszmirowej wełny.

– Nie, panie Tellus. Prawdę mówiąc, w ogóle tego nie rozumiem.

– Tilas, inspektor Tilas. Nie widzi pani w tym nic szczególnego?

Pokręciła głową, ale nie była już tak wyniosła. Jego głos zabrzmiał ostrzej. Pomyślała, że źle zrobiła, z rozmysłem przekręcając jego nazwisko.

– Zawsze miała pani ten numer?

– Proszę nie żartować, inspektorze. Urodziłam się w Breslau.

Nie zamierzała ułatwiać mu zadania. Nie ma nic za darmo. Nie była do końca pewna, co chce osiągnąć, zadając jej te pytania, ale nie zamierzała mu w żaden sposób pomagać. Odbyłam wiele rozmów z takimi jak pan, inspektorze Tilas. Wiem, do czego pan zmierza, pomyślała.

Inspektor spojrział na nią z wyniosłym uśmiechem.

– Chodziło mi o to... czy po śmierci męża nie zmieniła pani numeru?

Pomyślała, że rozmawia z nią szczerzej niż większość funkcjonariuszy, z którymi przez te wszystkie lata miała do czynienia.

– Jak pan zapewne wie, mój mąż odszedł siedemnaście lat temu. Nie mogę stwierdzić z całkowitą pewnością, że numer nie został zmieniony. Chociaż pewnie nie – dodała po chwili namysłu. – A dlaczego pan pyta?

– Zastanawiamy się, czy może chodzić o dawnego znajomego pani męża.

– Mój mąż nigdy nie stacjonował w Albanii.

Inspektor skinął głową. Oczywiście, że o tym wie.

– Pomyśleliśmy, że może to ktoś, kogo pani mąż spotkał na gruncie niesłużbowym.

Mówił teraz ciszej, z udawaną serdecznością, której zawsze

tak nienawidziła.

– Kontakty towarzyskie mieliśmy dość ograniczone. O ile mi wiadomo, wśród naszych znajomych nie było Albańczyków.

Czuła, że jej odporność powoli się kończy.

Inspektor przestał się uśmiechać i odezwał się ostrym tonem:

– Pomyślałem, że może panowie obracali się w tych samych kręgach... – zawiesił na chwilę głos. – Albo poznali się bliżej w innych okolicznościach.

Ostatnie słowa uderzyły ją jak pejcz. Odwróciła wzrok, jak ktoś, kto się boi razów. Niech pana diabli wezmą, inspektorze Tilas, pomyślała. Pana i wszystkich pańskich kolegów ze wszystkich służb bezpieczeństwa całego świata. Wiele razy miałam do czynienia z takimi jak pan. Tymi pytaniami obraża pan jedynego człowieka, który mnie kochał i szanował. Ale głośno powiedziała tylko:

– Uważam, że powinien pan już pójść. Nie mamy już o czym rozmawiać.

*

Wyjrzała przez okno, żeby się upewnić, czy rzeczywiście poszedł. Po chwili zobaczyła, jak wylania się z bramy i szybkim krokiem przechodzi przez ulicę. Zauważyła, że sama stoi tak blisko okna, że szyba zaparowała od jej oddechu. Westchnęła i wytarła ją rękawem kaszmirowego swetra.

Ostrożnie weszła do biblioteki i zerknęła na telefon, na świecący czerwony guzik poczty głosowej. Nowy aparat był pomysłem jej młodej sąsiadki. Zapewniała ją, że teraz wszyscy mają takie telefony. Więc w końcu ustąpiła i zgodziła się na ten zakup. Oczywiście był to bezsensowny wydatek, bo prawie nikt do niej nie dzwonił, a z domu wychodziła rzadko.

Ale pewnego dnia, kiedy wróciła z zakupów, przycisk się świecił. Wcisnęła go i chyba z dziesięć razy odsłuchiwała krótką wiadomość. Mężczyzna się nie przedstawił, powiedział tylko, że jeszcze zadzwoni. Ale to było w środę, a teraz była sobota. Zaczęła podejrzewać, że już się nie odezwie. Może powinna była powiedzieć o tym temu niesympatycznemu policjantowi?

Prychnęła i wymamrotała coś pod nosem. Zauważyła, że ostatnio nabrała takiego zwyczaju.

A dlaczego miałabym mu o tym mówić? – pomyślała. Poza tym to chyba nie mógł być ten człowiek, o którym rozmawiali. Odsłuchiwała ponownie. Tak, rozpoznała ten głos. Ten sam anonimowy głos, który słyszała raz, dawno temu, i który będzie pamiętać do końca życia, podobnie jak tamtą rozmowę. Uznała, że powinna chronić człowieka, który zostawił jej wiadomość, chronić go przed inspektorem Tilasem i jemu podobnymi. Przypomniała sobie, jak młoda sąsiadka pokazywała jej, jak się obsługuje magiczny aparat. Westchnęła smutno i zdecydowanym ruchem wcisnęła mniejszy guzik, kasując wiadomość.

*

W najnowszym numerze „7Plus” najwięcej było artykułów Natalie Petrini o kryzysie bankowym. Ci, którzy liczyli strony, a w redakcji było takich wielu, mogli stwierdzić, że ponad jedną trzecią numeru wypełniają artykuły podpisane jej nazwiskiem.

Nawet Meijtens słyszał, jak Sölvebring mruczy coś oburzony.

– Takie rzeczy nigdy się tutaj nie zdarzały, przynajmniej do tej pory – wycedził przez zęby.

Zatrudnienie Natalie Petrini wywołało w redakcji spore zamieszanie. Miała zaledwie trzydzieści kilka lat. Ledwie się pojawiła w świecie mediów, natychmiast sięgnęła szczytu, żeby potem równie szybko spaść. Jak meteor. Jako prowadząca magazyn informacyjny „Scoopet” dokonała kilku sensacyjnych odkryć. Zaczęto wręcz mówić o stylu Petrini w dziennikarstwie.

Początkowo wspomniano coś o jakichś skandalach, o nieeleganckich metodach i wyciąganiu uproszczonych wniosków, ale ludzie władzy, którzy w duchu ją przeklinali, zawsze odpowiadali na jej telefony. Nie wyobrażali sobie, żeby mogli nie zareagować. A dumni wydawcy, którzy kiedyś odsyłali ją z kwitkiem, w głębi duszy marzyli, żeby znalazła się na liście ich współpracowników.

Teraz jednak nikt już o tym nie pamiętał. Pamiętano jedynie słynne już ły: załamanie, ogólne wzburzenie, a potem wstyd.

Przez pół roku Natalie Petrini unikała światła reflektorów, by nagle pewnego dnia pojawić się w redakcji „7Plus”. Była sensacyjnym nabytkiem, miała wyprowadzić pismo z niebytu. Pozostali pracownicy redakcji podeszli do tego tak, jak można się było spodziewać: bardzo podejrzliwie.

– Nazywa to dziennikarstwem śledczym, ale wszyscy wiemy, o co jej chodzi – stwierdził Sölvebring stanowczo. – Noga w drzwi, wszystko jest albo czarne, albo białe, do tego paranoja na punkcie władz. Znamy jej historię. Nic dziwnego, że chce kontynuować swoją krucjatę przeciwko instytucjom stojącym na straży prawa.

Mówiono, że lubi działać w pojedynkę, a do tego podobno lubi też we wszystko się wtrącać. Jedni twierdzili, że dyryguje szefem działu wiadomości, inni że załatwia swoje sprawy ponad jego głową. Wszyscy byli zgodni, że Natalie Petrini nie pasuje do zespołu. Kloaczny szczur w designerskich ciuchach, powiedział kiedyś Sölvebring.

Teraz plotki nabrały siły orkanu.

– Jeśli nie nazywasz się Petrini, to nawet nie próbuj się przebić z jakimś pomysłem.

Najwięcej powodów do narzekań miał Meijters. Spędził ponad dziesięć godzin w państwowym banku inwestycyjnym na szukaniu dokumentu, który Bertil Andersson kazał mu znaleźć. Wystarczyło, że Natalie, znana z tego, że uwielbia tajemnice, rzuciła, że potrzebuje go do swojej serii o bankach. Pracował dziesięć godzin bez chwili wytchnienia i byłby może nawet zemdłał, gdyby nie pewna miła sekretarka, która się nad nim zlitowała i przyniosła mu do zakurzonego archiwum talerz ciasteczek.

W redakcji Natalie Petrini wzięła od niego kopię i skinęła głową, mamrocząc pod nosem ledwie słyszalne „dziękuję”. Uznano, że Meijters powinien się obrazić, ale on ignorował wszelkie uwagi tego rodzaju. Z Jakubem wcale nie pracowało mu się łatwiej, poza tym miał znacznie poważniejszy problem.

Po raz kolejny wyjął zapisaną ręcznie kartkę i zaczął się jej przyglądać. Dzwonił Sven Emanuel. Nie podał nazwiska ani numeru telefonu, a Meijters dowiedział się o wszystkim po

dwóch dniach.

– Wyglądał jak szaleniec – powiedziała Monica, wzruszając ramionami. – Poza tym nie wiedziałam, jak długo tu jeszcze zostaniesz.

Szansę na znalezienie bezdomnego włóczęgi, kiedy się nie zna ani jego nazwiska, ani numeru ewentualnej komórki, wydawały się nikłe. Poza tym Meijtensowi nie udało się przekonać szefa, że warto poświęcić czas na artykuł o człowieku z Albanii.

– Prawdę mówiąc, to nawet kuszące zlecić ci, żebyś się zajął kimś, kto już nie żyje, ale nie widzę powodu, żeby to robić.

Meijtens rozejrzał się po redakcji. Ludzie stali w małych grupkach i rozmawiali o tym, co się ostatnio wydarzyło, i planowali kolejny numer, który w całości miał być poświęcony Nowej Europie. Ani jedno, ani drugie go nie dotyczyło. Do końca stażu zostały mu jeszcze cztery tygodnie, cztery felietony „Tydzień, który minął”. Nikt niczego więcej od niego nie oczekiwał. Ale dwie rzeczy nie dawały mu spokoju: jedną były słowa wypowiedziane przez młodą kobietę, odontolożkę z Zakładu Medycyny Sądowej, druga wyszła, o dziwo, od samego Sölvebringa.

OŚRODEK DLA UCHODźCÓW w Vilanda okazał się dokładnie tak ponury, jak Meijdens się spodziewał. Kierownik był chudym mężczyzną z rzadkimi włosami i rozbieganymi oczami.

– Właściwie nic o nim nie wiemy, poza tym że nazywał się Aron Bektashi i pochodził z Albanii.

Zaczął przewracać papiery w teczce, która leżała przed nim. Było to zaledwie kilka luźnych kartek, między innymi kopia pierwszej strony paszportu Albańczyka.

– Trafił do nas w środę, a w czwartek rano, o wpół do ósmej, wybrał się na spacer.

Kierownik streścił Meijdensowi to, co zapisano na jednej z kartek. Bektashi przybył prosto z Albanii, zamierzał ubiegać się o azyl. Twierdził, że nie ma żadnych związków ze Szwecją.

– Rozmawiał z kimś?

– Mieliśmy go przesłuchać w tym tygodniu. Pracownicy z nocnej zmiany przekazali mu krótkie, czysto praktyczne informacje. Poza tym z nikim się nie kontaktował.

– Korzystaliście z pomocy tłumacza?

Kierownik zamilkł i podrapał się po brodzie.

– O ile mi wiadomo, bardzo dobrze mówił po angielsku.

– Rozmawiał z innymi azylantami?

Kierownik wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Może z rodakami.

– Jest tu więcej Albańczyków?

– Garstka.

– Mogę z nimi porozmawiać? Jestem ciekaw, co im mówił.

Kierownik znów pogładził się po brodzie i zmarszczył czoło.

– Nikomu nie bronimy kontaktów ze światem zewnętrznym. Ani z dziennikarzami. Ale muszą się zgodzić. To chyba jasne.

– Oczywiście. Może po prostu ich spytamy?

Kierownik niechętnie pokiwał głową.

– Sprawdzę, czy któryś z nich jest.

Meijtens postanowił zaczekać w sąsiednim pokoju. Po chwili wrócił i sięgnął po brązową teczkę. W korytarzu zauważył kopiarkę. Pozdrowił uprzejmie głową przechodzącego obok mężczyznę, włożył do urządzenia kopię paszportu Arona Bektashiego, domknął pokrywę i wcisnął zielony guzik. Zdążył wrócić do pokoju, kiedy pojawił się kierownik.

Wyszli na dwór i ruszyli w stronę otwartego dziedzińca. Młodzi ludzie grali w kosza, kilku Afrykańczyków dyskutowało zawzięcie. Większość stała jednak bez ruchu, ot, tak po prostu.

– Mamy zaledwie pięć osób z Albanii. Znalazłem trzech mężczyzn, chętnie porozmawiają. Ale muszę pana ostrzec. Tylko jeden z nich mówi po angielsku, niejaki Shefqet Shala, i jest dość... Jak by to powiedzieć... – Kierownik urwał i znów odruchowo przeciągnął dłońią po brodzie. – Przebywa u nas od początku czerwca. Należy chyba do tych, którzy jako pierwsi dotarli tu po odwilży w Albanii. Spędził wiele lat w albańskich więzieniach, ale był też sądzony we Włoszech za kradzieże i przemyt ludzi. Wygląda na to, że dostał się tam na pokładzie kutra i żył całkiem nielegalnie, w dosłownym znaczeniu tego słowa. – Uśmiechnął się.

Meijtens niepewnie odwzajemnił uśmiech.

– Nie zamierzam wnikać, czy działo się to za przyzwoleniem albańskiego reżimu, czy nie. Pewnie tylko Bóg wie, dlaczego był we Włoszech.

Kierownik spojrzął na niego. Próbował się zorientować, jak przyjął jego słowa.

– Twierdzi, że wrócił do Albanii, żeby się zająć chorym krewnym i że zaraz po powrocie został zatrzymany. Może był przekonany że albański system sprawiedliwości okaże się wobec niego łagodniejszy niż włoski, a może to wszystko bluff. Zanim przyjechał do Szwecji, starał się o azyl w Austrii i w Belgii. Odmówiono mu. Teraz Włosi naciskają na nasze ministerstwo spraw zagranicznych, żeby przyspieszyło rozpatrzenie jego podania. Jest zdesperowany. Proszę pamiętać, że pewnie powie wszystko, jeśli uzna, że mu to

pomoże. Jest bardzo przebiegły, manipuluje ludźmi. Nasi pracownicy twierdzą, że stanął na czele grupy Albańczyków, przyjął rolę ich nieoficjalnego rzecznika. Do wszystkiego, co mówi, należy podchodzić z dystansem.

Podeszli do trzech mężczyzn. Jeden z nich, niski, o inteligentnej twarzy i niespokojnym spojrzeniu, wyraźnie już na nich czekał. Przeształ niecierpliwie z nogi na nogę i co chwilę zaciągał się papierosem. Pozostali zachowywali się spokojniej: jeden opierał się o ogrodzenie, drugi palił.

Niski wyciągnął rękę i przedstawił się:

– Shefqet Shala. – Wskazał głową na pozostałych. – Nie mówią po angielsku – wyjaśnił.

Mężczyźni przyglądali mu się spokojnie, bez większego zainteresowania. Shala zażądał legitymacji prasowej Meijtensa. Obejrzał ją, wyjął podniszczony notes i dokładnie przepisał jego dane. Rzucił też podejrzliwe spojrzenie kierownikowi ośrodka.

– Myślę, że teraz poradzimy już sobie sami – powiedział Meijtens.

Kierownik skinął głową i odszedł.

Rozmowa się nie kleiła. Albańczyk mówił po angielsku dość kiepsko, co chwilę sięgał do niemieckiego i włoskiego.

Tak, pamięta Arona, rozmawiał z nim tuż po przybyciu do ośrodka. Nie, nie mówił mu, dlaczego wyjechał z Albanii. Ani dlaczego wybrał Szwecję. Ani że zamierza jechać do Sztokholmu. Shala wzruszył ramionami, jakby uznał, że pytania są nieciekawe, wręcz poniżej jego godności. Tylko raz Meijtens zauważył w jego oczach błysk zainteresowania.

– Znał go pan?

Shala pokręcił głową.

– Wiedział pan, kim jest?

Shala wyglądał, jakby nie potrafił się zdecydować. Tak czy nie. Nagle zmienił temat i zaczął opowiadać o Albanii. I o tym, że postanowił przyjechać do Szwecji, bo słyszał, że to najhjojnieszy kraj na świecie, ale teraz nie był już tego taki pewien. Co chwilę tracił wątek, brakowało mu słów. Mówił, że we Włoszech zaszło jakieś nieporozumienie i dlatego został

stamtąd deportowany. Potrzebował adwokata, kontaktów. Żąda sprawiedliwości, nic więcej. Meijters wyczuł, że chętnie powiedziałby coś jeszcze, ale coś za coś.

– Co wiesz o Bektashim?

Tamten znów dwuznacznie wzruszył ramionami. Zaciągnął się mocno i odwrócił wzrok.

– Masz papierosy? – spytał.

– Nie, sorry.

W końcu Meijters postanowił się pożegnać, chociaż kopia paszportu Arona była jedyną rzeczą, jaką udało mu się zdobyć. Ruszył do drzwi i nagle usłyszał za sobą wołanie. Odwrócił się i zobaczył, że Shala biegnie w jego stronę.

– Musisz mi znaleźć dobrego adwokata. Przydzielili mi jakąś młodą kobietę. Nic nie potrafi. Odeślą mnie do Włoch albo do Albanii – powiedział i pokręcił głową. – To nie może się tak skończyć. Pomóż mi, a opowiem ci o Bektashim. Okej? Nie wiem dużo, ale znam kogoś, kto wie. Jeśli mu każę, wszystko ci powie. Sam niczego się nie dowiesz. Ale najpierw musisz mi pomóc. – Ton jego głosu się zmienił. Teraz był wyraźnie zainteresowany. – Potrzebuję adwokata – powtórzył. – Nie mogę wrócić do Włoch.

Meijters zaczął się zastanawiać, czy mówi prawdę.

– Zobaczmy – powiedział. – Masz mój numer. Zorientuję się, czy mogę ci jakoś pomóc.

Odwrócił się i znów ruszył do wyjścia.

– I huaj.

Meijters zatrzymał się.

– I huaj. Tak go nazywaliśmy. W Albanii jest inaczej niż tu, na Zachodzie. Nie ma dostępu do informacji, w gazetach pokazują tylko wybranych funkcjonariuszy partyjnych. Ale oczywiście krążą plotki, ludzie opowiadają sobie różne rzeczy. Rozmawiają, spekulują. Tyle, na ile się odważą. Nie był bardzo znany, nie był partyjną szychą. Ale znaleźliśmy go. Wiedzieliśmy, kim jest. Wiedzieliśmy, że kiedyś miał władzę. Mówiono na niego i huaj.

Meijters spojrział na niego pytającym zwrokiem. Wyjął notes i zaczął pisać. Shala poprawił mu kilka liter.

- I huaj. To znaczy... jak wy mówicie? Ausländer.
- Cudzoziemiec?
- Tak, właśnie. Cudzoziemiec. Mówiono na niego Cudzoziemiec.

Shefqet Shala zawrócił i szybko się oddalił. Najwyraźniej powiedział już wszystko, co chciał powiedzieć. Za darmo.

*

Kiedy Meijtns wrócił do redakcji, od razu sięgnął po kopię paszportu. Aron Bektashi rzeczywiście urodził się jedenastego kwietnia tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku w Tiranie. Zdjęcie w paszporcie było czarno-białe i nie najlepszej jakości. Jasne włosy, chociaż właściwie trudno było powiedzieć, czy jasne, czy siwe. Jasne oczy. W paszporcie napisano, że niebieskie. Pomarszczona twarz. Kiedyś mieszkał na Zachodzie. Przypomniało mu się, co powiedział Shala: i huaj, cudzoziemiec. Ktoś, kto kiedyś należał do elity władzy.

W Skopje nie kochamy Albańczyków, ale może to nie był zwykły Albańczyk.

Zadzwoił do Tilasa.

– No, Meijtns, masz mi coś do powiedzenia? – powitał go inspektor.

– Zebrałem trochę informacji o Aronie. Ciekaw jestem, czy są zgodne z tym, co wy o nim wiecie.

– Ach tak.

– Wygląda na to, że zanim go uwięziono, był w Albanii dość wpływową postacią. Może dyplomatą, a może ważnym funkcjonariuszem państwowym, delegowanym wcześniej na Zachód.

Odpowiedziała mu całkowita cisza.

– Macie podobne informacje? – ciągnął Meijtns.

– Nie do końca. Skąd o tym wiesz?

– Od albańskich emigrantów.

Z jakiegoś powodu, sam do końca nie rozumiał dlaczego, nie chciał wspominać ani o ośrodku w Vilanda, ani o Shefqecie Shali.

– Albańscy uchodźcy? Są w ogóle tacy? – spytał Tilas bez

przekonania. – Masz coś jeszcze?

Nie miał.

– W takim razie muszę kończyć. Nie znaleźliśmy nic, co by wskazywało na przestępstwo. W każdym razie nie na przestępstwo popełnione w Szwecji.

Meijtens uznał, że to koniec, ale Tilas go zaskoczył:

– Radziłbym nie przywiązywać zbyt wielkiej wagi do tego, co mówią albańscy uchodźcy. Godzinę temu rozmawiałem z albańską ambasadą. Podobno wszystkie albańskie władze twierdzą zgodnie, że w Albanii nie ma nikogo o takim imieniu i nazwisku. Aron Bektashi nigdy nie istniał. Nie był nigdy poszukiwany, ani żywy, ani martwy.

MEIJTENS PRZECIĄGNAŁ PRZEPUSTKĘ przez czytnik i wszedł na dobrze mu znany korytarz. Było wpół do ósmej wieczorem i Instytut był pusty. Powinien już dawno zdać przepustkę, bo od dawna nie był pracownikiem Instytutu Historii. Ale ją zachował. Przez sentyment, a może też dlatego, że Jakub nalegał i osobiście załatwił sprawę z sekretarzem Instytutu. Na wypadek, gdyby czasem potrzebował jego pomocy, tłumaczył mu.

W głębi korytarza zobaczył docenta Jakuba Bema. Zmierzał w jego stronę. Szedł, lekko podskakując, jakby w ten sposób chciał nadrobić skromny wzrost. Pod ręką jak zwykle niósł książki.

– Pan Meijtens, co za miła niespodzianka. Zaraz odłożę te papiery i porozmawiamy.

Wszedł przed nim do pokoju. Meijtens odnotował z pewnym smutkiem, że Jakub Bem znów został zdegradowany. W Instytucie Historii z jego ciągle malejącymi funduszami ważnym instrumentem władzy był podział miejsc do pracy. Kilka lat wcześniej sławny wówczas Jakub Bem urzędował we własnym gabinecie. Jednak wraz ze zmniejszającą się liczbą doktorantów i studentów, zrażonych wygórowanymi wymaganiami, jego pozycja w Instytucie znacznie się osłabiła.

Gdy dziekan zaproponował, żeby zrewidował swoje wymagania egzaminacyjne, zdenerwował się i odpowiedział, że nie zamierza obniżać poziomu nauczania, by zyskać poklask studentów. Następnego dnia jego biurko zostało przeniesione do mniejszego pokoju, który na dodatek przyszło mu dzielić z dwoma młodszymi kolegami.

Teraz znów został przeniesiony, do pokoju dla doktorantów i gościnnych wykładowców. Jego biurko stało tuż przy drzwiach. Meijtens zastanawiał się, co Jakub powiedział tym razem. Jego

dawny promotor szukał czegoś wśród papierów, najwyraźniej zażenowany ostatnimi przenosinami. Unikał jego wzroku i szybko zaproponował, żeby poszli do kawiarni obok biblioteki uniwersyteckiej.

Rozmawiali chwilę o wspólnych znajomych i wrogach. Jakub wyraźnie dystansował się od instytucyjnych intryg.

– Niech sobie robią, co chcą. Ja mam swoje badania i swoich studentów, chociaż przyznaję, że są także źródłem mojego pesymizmu.

Uparł się, że postawi mu kawę. Znaleźli nieco oddalony stolik i usiedli. Jakub wyciągnął rękę i położył mu dłoń na przedramieniu.

– Drogi Tobiasie, próbowałem się skontaktować z dziekanem, ale jest nieuchwytny. Poproszę go... – urwał. Podniósł palec i po chwili dokończył: – Powiem mu, żeby ci wyświadczył przysługę. W taki czy inny sposób.

Meijtens spojrział na niego zdziwiony. Musiał go źle zrozumieć.

– Stała posada, przyzwoita pensja. Na początek będziesz się pewnie musiał zgodzić na staż. Biurokracja rządzi się swoimi prawami. Ale nie będziesz już dłużej uczestniczyć w tych medialnych gierkach.

A więc nie tylko w redakcji wszyscy wiedzieli. Nie dość, że musiał znosić współczucie Hanny i podejrzliwość Listona, to jeszcze Jakub. Wszyscy uważali go za winnego śmierci Sjöhagego.

– Nie z tym przychodzę. Nie rzuciłem dziennikarstwa.

Jakub uświadomił sobie, że się pomylił, i natychmiast zaczął mówić o nienaruszalnych zasadach wolnej prasy i szkodach, jakie wyrządzają wspólnoty religijne, które...

– W porządku. To już mam za sobą. Przyszedłem, żeby porozmawiać o czymś zupełnie innym.

Jakub zaczerpnął głęboko powietrza, po raz pierwszy od chwili, kiedy uświadomił sobie swój błąd.

– Chodzi o jakiś artykuł?

– Jeszcze nie wiem. Mój szef stwierdził, że to nie ma nic wspólnego z dziennikarstwem informacyjnym i prawdopo-

dobnie nigdy nie zostanie opublikowane. Ale coś mnie dręczy i chcę to zrozumieć.

– Co, Tobiasie?

– Chcę zrozumieć, dlaczego facet przyjeżdża tu z Albanii i po niespełna dwóch dobach pada ofiarą wypadku albo odbiera sobie życie.

Jakub Bem odchylił się na krzesło i skrzyżował ręce na brzuchu. Meijtsens zaczął opowiadać o Aronie Bektashim. Wspomniał o jego paszporcie, o plombach różnego pochodzenia i o śladach tortur. O rozmowie z Shefqetem Shalą i o tym, że władze Albanii zaprzeczyły, jakoby ktoś taki jak Aron Bektashi w ogóle istniał.

Kiedy skończył, obaj chwilę milczeli. W końcu Jakub spojrział na swój kubek z kawą.

– Muszę przyznać, że udało ci się zebrać sporo ciekawych informacji – odezwał się w końcu, zamyślony.

– Mój szef wątpi, by ta sprawa miała drugie dno, ale ja chciałbym wiedzieć.

– Myślę, że twój szef może się mylić.

– Jak zinterpretowałbyś to, że Shala nazwał go i huaj, czyli obcy, cudzoziemiec?

Jakub machnął ręką i gestem typowym dla ludzi z Europy Wschodniej pokazał, że nie jest do końca przekonany.

– Jeśli się weźmie pod uwagę całkowitą izolację Albanii, człowiek, który wraca do kraju po kilku latach pobytu na Zachodzie, z pewnością może uchodzić za obcego. Poza tym pan Shefqet Shala nie wydaje mi się wiarygodnym źródłem. Jest za to kilka innych rzeczy, które uważam za ciekawe. – Urwał, chwilę milczał. Meijtsens, który znał wszystkie jego drobne sztuczki, uśmiechnął się w duchu. – W ostatnich miesiącach śledzę dość uważnie rozwój wydarzeń w Albanii. Interesuje mnie to i jako badacza, i jako człowieka – ciągnął. – Sprawy nie posunęły się tam tak daleko jak w innych krajach kontrolowanych kiedyś przez Związek Radziecki. Albania nadal pozostaje krajem komunistycznym. Chociaż wypuszczono niektórych więźniów politycznych i trochę poluzowano cenzurę.

Jakub Bem zaczął mówić o wolności prasy w Europie Wschodniej, ale szybko wrócił do Albanii. Meijters odetchnął z ulgą.

– Bardzo niewielu ludziom pozwolono opuścić kraj. Większość wyjechała do Włoch. Albanie łączą z tym państwem więzy historyczne. Do Szwecji Albańczycy raczej się nie wybierają, co potwierdza twoja relacja z ośrodka w Vilanda. Pięć osób, łącznie z Bektashim. A on najwyraźniej próbował szukać szczęścia również w innych krajach. Historie całej piątki są pewnie bardzo podobne.

Meijters próbował mu przerwać, ale Jakub niezrażony ciągnął dalej:

– Bektashi przyjechał prosto do Szwecji. A na dodatek od razu następnego dnia po przybyciu do ośrodka postanowił udać się do Sztokholmu, nie informując o tym nikogo. Rozumiem, że nic nie wiadomo o żadnych jego kontaktach ze Szwecją? Nie odezwała się żadna zapomniana siostra? Nikt? Nie dziwi cię, że po kilku godzinach w Sztokholmie z jakiegoś powodu trafia do parku przy diakonii Ersta, do miejsca, które, chociaż rozciąga się stamtąd piękny widok, mało który mieszkaniec Sztokholmu zna? – Mówił coraz szybciej, co odbijało się na jego szwedzkiej składni. Zrobił krótką przerwę, wypił łyk kawy i mówił dalej: – Dlaczego? Dlaczego nie został w ośrodku, żeby zagrać ze swoimi rodakami w kanastę? Człowiek, który ucieka, nie traci czasu na podziwianie widoków. Wiem to z własnego doświadczenia – ciągnął, zniżając głos. – Kiedy wychodzisz z więzienia, myślisz przede wszystkim o tym, żeby znaleźć bezpieczne schronienie. A potem zdobyć coś do jedzenia, papierosy, spotkać się ze swoją kobietą. Czy w ogóle z kobietą. Na pewno nie planuje się zwiedzania miasta. Coś musiało sprawić, że Aron Bektashi postanowił przyjechać do Sztokholmu, najszybciej jak to możliwe i w tajemnicy przed wszystkimi. To właśnie mnie zadziwia.

A zatem nie tylko mnie, pomyślał Meijters.

– Jak myślisz, dlaczego przyjechał do Sztokholmu? – spytał głośno.

– Moim zdaniem musiał mieć jakieś powiązania ze Szwecją.

Rodzinę, znajomych. Ale może też chodzić o coś całkiem innego.

Dochodziła dwudziesta i w kawiarni biblioteki uniwersyteckiej zapadła cisza. Tylko przy jednym stoliku siedziała grupka studentów politechniki. Zastanawiali się głośno, jakie tematy mogą pojawić się następnego dnia podczas egzaminu z termodynamiki.

Jakub Bem odchylił się na krzesło i rozejrzał. Jakby się chciał upewnić, czy mogą swobodnie rozmawiać.

– Najprawdopodobniej chodzi o albańskiego urzędnika, który w przeszłości spędził jakiś czas w Szwecji. Zapewne nie ma takich wielu. To może być na przykład były pracownik ambasady. Jeśli tak, jego nazwisko jest w rejestrze ministerstwa spraw zagranicznych, tyle że to nazwisko niekoniecznie musi brzmieć Aron Bektashi – dodał, uśmiechając się pod nosem.

Znów odchylił się na krzesło, jakby chciał dać Meijtenowskiemu czas na zrobienie dokładnych notatek.

– Jest jeszcze coś, co przemawia za tym, że Aron Bektashi skrywa jakąś tajemnicę. Miał paszport, co już samo w sobie wydaje się niezwykle, ale najbardziej fascynuje mnie to, że władze Albanii zaprzeczają, że ktoś taki w ogóle istnieje.

– Dlaczego? Chcesz powiedzieć, że Aron Bektashi to nie jego prawdziwe nazwisko? Że paszport został sfalszowany?

– Niekoniecznie. Oczywiście, że to możliwe, ale ja podejrzewam coś innego.

– Myślisz, że był dysydem?

– Nie tylko to. Jak wiesz, sam byłem persona non grata we własnym kraju. Ale gdyby ktoś oficjalnie zapytał czeskosłowackie władze, jeszcze przed upadkiem komunizmu, czy niejaki Jakub Bem był obywatelem Czechosłowacji, odpowiedź brzmiałaby: tak. Oczywiście dodano by zapewne, że jestem przestępcą, kontrrewolucjonistą, lokajem na usługach imperializmu i tak dalej. Ale nie zaprzeczono by mojemu istnieniu. Wiesz dlaczego? – Nagle spowaźniał, znów ściszył głos. – Dlatego, że byłem nikim. Człowiekiem tak nieistotnym, że nie było powodu, żeby się mnie wyrzekać. W

przeciwieństwie do Bektashiego. Podejrzewam, że w ten czy inny sposób znaczył dla Albanii bardzo wiele. Nie mam pojęcia, jaka historia się za tym kryje, ale nie zdziwiłbym się, gdyby to było coś naprawdę poważnego.

Wstali i wyszli. Opuścili teren uniwersytetu i ruszyli do domu. Kiedy dotarli do miejsca, gdzie Meijdens zostawił rower, zaczęło mżyć.

– Jutro spróbuję dowiedzieć się czegoś więcej o albańskich dyplomatach – powiedział Meijdens. – Mam też jego zdjęcie. Więc nawet jeśli się ukrywał pod innym nazwiskiem, powinienem do czegoś dotrzeć.

Jakub skinął głową, wyraźnie nieobecny.

– Może przyjechał, żeby nawiązać kontakt z lewackimi proalbańskimi grupami? W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych było ich tu kilka – powiedział i podał Meijdensowi parę nazw. – Cienie pełnej błędów przeszłości – dodał.

Uśmiechnął się smutno, odwrócił, skinął głową i sprężystym krokiem ruszył w deszczu w stronę stacji metra.

WŁAŚCIWIE NIE BYŁO POWODU, żeby pracował po godzinach. Toczyło się co prawda kilka śledztw, ale w żadnym z nich nie uczestniczył. Nie po tym, co się stało wiosną. Teraz był ich więźniem. Obiektem żartów, wścibskich dociekań i adresatem pogardliwych uśmieszków. Gdyby coś takiego wydarzyło się dwadzieścia lat temu, skończyłoby się pewnie awanturą, może czasowym zawieszeniem, i to wszystko. Ale w czasach powszechnej troski jest inaczej.

Dochodzenie w sprawie morderstwa zostało zakończone, powiedziano mu to wyraźnie. Po tym przekłętym incydencie odebrano mu sprawę, zanim w ogóle zrobiła się ciekawa. A żadna z tych, które mu przydzielono potem, nie wymagała pracy po godzinach.

Z drugiej strony rozmowa z Meijtensem go zdziwiła. Dlatego postanowił poświęcić wieczór na przyjrzenie się nieszczęsnemu wypadkowi, którego akta ostatnio trafiły na jego biurko.

Sięgnął po kilka przezroczystych plastikowych torebek i zaczął się przyglądać drobiazgom znalezionym w starym porcie w Hammarby przy człowieku, którego pirat drogowy przejechał na placu budowy. Pierwotnie sądzono, że stało się to, kiedy spał, w środku nocy. Z jakiegoś powodu sprawca wypadku uznał, że nie ma potrzeby, by kogokolwiek o tym informować.

Tilas rozpoznał nieszczęśnika, nawet w stanie, w jakim został znaleziony, bo wbrew obiegowej opinii miał świetny wzrok i pamięć do twarzy. I zaledwie kilka dni wcześniej przesłuchiwał go na Erstaterrassen. Jeden z umundurowanych funkcjonariuszy widział, jak niechlujnie ubrany mężczyzna próbuje oddalić się z miejsca zdarzenia, i przyprowadził go do niego. Nie był szczególnie kontaktowy. Sprawiał wrażenie zagubionego, bredził coś o cieniach, twierdził, że policja zawsze go szpiegowała, a potem odmówił wszelkiej współpracy.

Rutynowa kontrola wykazała, że co prawda często pojawiał się w policyjnych rejestrach, ale nie były to sprawy poważne: raz chodziło o gorszące zachowanie, kiedy indziej o stawianie oporu policji. Takie przestępstwa ma na sumieniu pewnie połowa rządu, pomyślał Tilas. Gdyby nie to, że sprawa Albańczyka prawdopodobnie została już uznana za nieszczęśliwy wypadek, ewentualnie samobójstwo, i odłożona na półkę, pewnie by go zatrzymali. A tak zapisano jedynie nazwisko i odnotowano brak adresu.

Znów sięgnął po przezroczyste torebki z rzeczami znalezionymi w kieszeni zmarłego: kilka biletów, karta pacjenta, opakowanie psychofarmaceutyków. Nic, co mogłoby kogokolwiek zdziwić. Ale była też wizytówka: Tobias Meijtsens, „7Plus”. Tilas sądził, że sprawa się wyjaśni, kiedy porozmawiają przez telefon, ale Meijtsens opowiadał tylko jakieś bzdury o albańskich imigrantach.

Inspektor zaklął i z irytacją podrapał się po dłoni. Kiedy prowadził naprawdę ważne dochodzenia, wszyscy zabiegali o jego uwagę. Teraz telefon milczał, musiał mu wystarczyć Meijtsens i jego weekendowy magazyn. Miał opory przed sięganiem po pomoc tego rodzaju pisma, ale co mógł zrobić? Okazało się jednak, że Meijtsens najwyraźniej nie rozumiał. W każdym razie nie podjął gry. Tilas był niezadowolony. Wziął do ręki wizytówkę i zaczął się jej przyglądać.

*

Meijtsens bębnił palcami o blat biurka. Po raz kolejny wyliczał w myślach ostatnie wydarzenia. Nie, nie było innego sposobu. Bertil Andersson wyraźnie go unikał, może miał już dość odmawiania. Nigdy mu nie pozwoli kontynuować dochodzenia na własną rękę, doskonale to wiedział.

Podniósł się i powoli ruszył przez redakcję.

Jesteśmy za dobrzy dla tego systemu. Przypomniał sobie, jak ktoś wyszeptał mu to do ucha w Možels Bar. Niech sami się zajmują swoim piekielkiem.

Przyspieszył, jego kroki stały się bardziej stanowcze. Był gotów rzucić wyzwanie choćby diabłu.

– Natalie, chciałbym z tobą o czymś porozmawiać.

I opowiedział jej o wszystkim, gładko i sprawnie. Był dobrze przygotowany. Mówił o człowieku z Albanii. O tym, czego się dowiedział od Tilasa. I o przemyśleniach Jakuba. I o tym, o czym wspomniał Shefqet Shala. Natalie słuchała go w napięciu. Kiedy skończył, chwilę milczała.

– Zastanawiam się dlaczego – odezwała się w końcu.

Meijtns nie odpowiedział. Pozwolił jej pytaniu zawisnąć w powietrzu.

– Zastanawiam się, dlaczego przychodzisz z tym do mnie – powtórzyła zniecierpliwiona.

– Mam wrażenie, że coś w tym jest.

Natalie odchyliła się do tyłu.

– Jeśli mam być szczerą, nie jest to materiał na artykuł.

Odwróciła się, ale Meijtns nie ruszył się z miejsca. Spędził upojny wieczór na lekturze starych gazet. Poznał różne szczegóły trochę już zapomnianej, ale kiedyś głośnej afery w Telewizji Szwedzkiej. Pojawiły się wówczas spekulacje, że to donoszący policjanci podstawili nogę młodej i dobrze się zapowiadającej dziennikarce. Żeby się zemścić za jej reportaże, sugerowano.

To była jego ostatnia karta przetargowa.

– Jest jeszcze coś. Mam źródło związane z policyjnym dochodzeniem.

Przedstawił dość wiernie to, czego się dowiedział od Listona, ale żeby go chronić, wyposażył go w nieco inne właściwości. Przedstawił jako urzędnika, który coś podejrzewa, ale boi się mówić, którego uwagi się ignoruje, więc zaczął się rozglądać za kimś, kto go wysłucha. Nie wspomniał, że Liston zawsze się bał, że powie za dużo, i chyba już od przedszkola zawsze uważnie się rozglądał.

– Mam wrażenie, że policja usiłuje coś ukryć. Ciekawe, czy znów dali plamę.

Zauważył, że usta Natalie lekko drgnęły. Czyżby posunął się za daleko?

Bertil Andersson skrzyżował ręce na piersi.

– To nadal nie jest temat – parsknął poirytowany.

Natalie wydawała się nieporuszona.

– Daj nam jeden dzień. Jeśli nic nie znajdziemy, odpuszczamy sprawę.

Andersson zaczął stukać ołówkiem w blat biurka, zmarszczył czoło. Od czasu do czasu zerkał ze złością na stojącego w drzwiach Meijtensa.

– Chciałbym, żebyśmy się skupili na temacie najbliższego wydania. I na cotygodniowym felietonie – dodał, spoglądając na Meijtensa.

– Ale to świetnie do tego pasuje – upierała się Natalie.

– Niby jak?

– Los człowieka w Nowej Europie. Człowiek bez narodowej tożsamości, człowiek, do którego nikt nie chce się przyznać.

Andersson zarechotał.

– Doskonale wyważony portret pióra pary znanych humanistów Meijtensa i Petrini.

Ani Natalie, ani Meijtens się nie odezwali. Bertil Andersson poprawił się na krześle. Był rozdrażniony, jakby nagle stało się niewygodne.

– Co zamierzacie zrobić?

– Sprawdzić, czy był w jakikolwiek sposób powiązany ze Szwecją. Przejrzę rejestr dyplomatów. Meijtens zajmie się dawnymi grupami lewackimi.

Tym razem Andersson spojrzał na Meijtensa wręcz wrogo.

– Dam wam wolne popołudnie. Głównie po to, żeby nie musieć tego wysłuchiwać.

Kiedy wyszli z gabinetu, Meijtens wręczył Natalie kopię paszportu Bektashiego. Wzięła ją i zaczęła wkładać płaszcz.

– A jeśli chodzi o twojego bezdomnego, to ludzie z marginesu społecznego zwykle przedstawiają się imieniem i nazwiskiem, kiedy ktoś się do nich zwraca. Taki nawyk. Wiedziałeś o tym?

Nie wiedział.

– Więc może on się po prostu tak nazywa. Ma na imię Sven. A Emanuel to nazwisko. Rozumiesz?

Odwróciła się i wyszła. Meijtens upewnił się, że na pewno go nie usłyszy, i zaklął cicho.

*

Natalie odsunęła na bok lampę nad ostatnim stołem w archiwum i zaczęła wykonywać ramionami okrężne ruchy. Krzesła przy stołach były niewygodne, a ona spędziła tam już kilka godzin.

I były to godziny stracone. W ciągu niespełna dwudziestu lat funkcjonowania poselstwa Albanii w Sztokholmie akredytowano trzydziestu kilku dyplomatów. Żaden z nich nie nazywał się jednak Aron Bektashi i żaden nie przypominał mężczyzny ze zdjęcia. Właściwie równie dobrze mogła wrócić do redakcji, ale zaczęło padać i chciała jeszcze zebrać myśli.

W każdym razie zrobiła coś, na co należał jej terapeuta: podjęła współpracę z jednym z pozostających nieco na uboczu kolegów. Ku własnego zdziwieniu wybrała Meijtensa. Uznała, że w historii, którą jej przedstawił, coś się kryje. Ale niewykluczone, że tym razem instynkt ją zawiódł. Może po prostu kierowała się sympatią, którą poczuła do niego po tej nieszczęsnej historii ze Sjöhagem. Redakcja nie powinna była pozwolić, żeby tak ważnym tematem zajął się ktoś tak niedoświadczony. Ale zaskoczył ją, kiedy wspomniął o ewentualnej wpadce policji. Próbował nią manipulować. Bezczelny gówniarz, pomyślała, i mimo woli się uśmiechnęła.

Nagle zauważyła, że jedna z archiwistek idzie w jej stronę. Szła lekko pochylona, miała siwe włosy i bacznie jej się przyglądała. Kamizelka, którą miała na sobie, wyglądała na zrobioną na drutach.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Pani Natalie Petrini?

Jej głos brzmiał raczej obojętnie.

– Tak. Nazywam się Natalie Petrini.

Kobieta pokiwała głową. Duże drewniane kolczyki zakołysały się lekko.

– Mój mąż i ja bardzo lubiliśmy pani program.

Boże drogi.

– Cieszę się, że wróciła pani do pracy.

To już do tego doszło, pomyślała Natalie. Że współczują mi obce kobiety z drewnianymi kolczykami w uszach.

– Mogę panią prosić o autograf? Może na tym?

Kobieta położyła na stole stary numer jakiegoś tygodnika. Tego artykułu Natalie nie знаła. Wciśnięty między reportaż o jakimś celebrycie a wieści z królewskiego dworu tytuł głosił: „Teraz stawiam na miłość, mówi nam Natalie Petrini, która niedawno przeszła załamanie nerwowe”.

Zamknęła oczy i chwyciła się mocniej krzesła. Poczwała, że robi jej się niedobrze. Starsza pani pochyliła się nad nią i wyszeptwała, jakby chciała jej pomóc:

– Pomyślałam, że może napisze pani „dla mojej przyjaciółki Marie Louise z podziękowaniem za współpracę”.

Natalie zaczerpnęła powietrza.

– Miałabym się podpisać na tej szmacie? Czy pani oszalała?

Kobieta się wzdrygnęła. Rozejrzała się nerwowo.

– Jeśli pani woli, wezmę inną kartkę.

– Proponuję, żeby dała sobie pani z tym spokój. Nie jest pani moją przyjaciółką i nie współpracujemy ze sobą.

Natalie wróciła do przeglądania notatek. Kątem oka zauważyła, że archivistka szlocha gdzieś w boksie w drugim końcu sali. Siedząca obok koleżanka pocieszała ją.

Dosyć tego. Ma ważniejsze sprawy. Podeszła do telefonu, żeby zadzwonić do Meijtensa. Włączyła się poczta głosowa.

– Niech to szlag – rzuciła pod nosem.

*

Meijtens odłożył notes. Zapełnił notatkami już kilka stron, ale wszystkie okazały się całkowicie nieprzydatne. Nie pomogły mu znaleźć Bektashiego. Bez problemu odnalazł natomiast kilkanaście osób, byłych członków dawnych organizacji lewackich, które kiedyś sympatyzowały z Albanią. Tylko że nic mu to nie dało.

Rozmasował bolący płatek ucha. Przejrzał masę list członków najróżniejszych sekt, stowarzyszeń i najdziwniejszych partii i partyjek. Rozmawiał z ich członkami. Zastanawiał się, co myślą o tym wszystkim teraz, kiedy upadł mur berliński, a

komunistyczni przywódcy zostali obaleni przez lud, ale gdy z nimi rozmawiał, taktownie omijał ten temat. Wielu jego rozmówców odnosiło się podejrzliwie do pytań o kontakty z Albanią. Niektórzy nawet rzucali słuchawką. Nie dlatego jednak, że ubolewali nad upadkiem komunizmu albo byli podejrzliwi wobec dziennikarza reprezentującego jeden z wielkich koncernów prasowych. Chodziło o dawne spory w łonie lewicy. Staliści podejrzewali, że jest maoistą, maoiści, że reprezentuje frakcję reform, a jego zainteresowanie Albanią sprawiało, że wszyscy widzieli w nim agenta. Pewnie maoistów.

Co do jednego panowała pełna zgoda: nikt nie znał obywatela Albanii, który by się nazywał Aron Bektashi. Żaden z dyplomatów tego kraju, funkcjonariuszy partyjnych czy przedstawicieli kultury, z którymi w ostatnich latach się kontaktowali, tak się nie nazywał. Co do tego wszyscy byli zgodni i nie miał powodów, by im nie wierzyć. Podawany przez niego rysopis i dane z paszportu nie budziły żadnych skojarzeń.

Nagle jego rozmyślania przerwał głos Anderssona.

– Jak ci idzie?

Streścił pokrótce ostatnie rozmowy.

– Tak więc, prawdę mówiąc, do niczego nie doszedłem. Mam nadzieję, że Natalie miała więcej szczęścia.

– Właśnie z nią rozmawiałem – Andersson wszedł mu w słowo. Jego głos brzmiał łagodnie, niemal serdecznie. – Dzwoniła z archiwum. Powiedziała, że nie ma i nigdy nie było albańskiego dyplomaty pracującego w Szwecji, który nosiłby takie imię i nazwisko. Także na zdjęciach nie znalazła nikogo, kto by go przypominał.

Meijtens spojrział na swoje notatki i pod ostatnim zapisem postawił grubą kreskę. Koniec.

– Pomysł był ciekawy, ale pora dać mu spokój – usłyszał głos szefa. – I zabrać się za podsumowanie tygodnia – dodał, kładąc mu rękę na ramieniu.

Meijtens skinął głową. Powiedział, że wybiera się na Medborgarplatsen, gdzie właśnie odbywa się demonstracja obrońców zwierząt. Przeprowadzi kilka wywiadów. Andersson poklepał go serdecznie po ramieniu i zaproponował, żeby

przeprowadził też wywiad z jakąś norką, a najlepiej z dwiema.

– Jedna niech się opowiada za życiem na farmie, druga za życiem na wolności – powiedział i oddalił się, rechocząc.

Tobias Meijters opuścił redakcję i wyszedł na deszcz. Zapiął guziki płaszcza, podniósł kołnierz i rozłożył parasol. Ruszył w stronę metra, krzywiąc się na wietrze. Zaklął, kiedy w tenisówkach poczuł wodę.

Natalie miała oczywiście rację co do Svena Emanuela. Znajac nazwisko, szybko znalazł pracownicę opieki społecznej, która wiedziała wszystko, czego potrzebował. Umarł, oświadczyła przez telefon. Podała datę śmierci, ale nic poza tym. Dowiedział się wszystkiego, kiedy wykonał kilka innych telefonów. Wzdrygnął się. Dwie niepotrzebne śmierci. Bezsensowne wypadki, ale nic poza tym.

Dotarł do wejścia do metra, zdecydowanym ruchem strząsnął wodę z parasola i z rękawa płaszcza. Jak tylko skończy z obrońcami praw zwierząt, zabierze się za podsumowanie tygodnia. Ma na to dwa dni. Andersson dostanie swój felieton.

Do rozpoczęcia demonstracji zostały dwie godziny. Wystarczająco dużo, żeby sprawdzić jeszcze jeden szczegół, zanim na dobre porzuci sprawę śmierci Albańczyka.

*

Pod ścianami księgarni stały sosnowe regały. Piętrzyły się na nich stopy książek. W kącie tkwiły nierozpakowane kartony. Tytuły mówiły same za siebie: sprzedawano tam wyłącznie literaturę lewicową.

– Paskudna pogoda – stwierdził Meijters.

Sprzedawca podniósł wzrok, ale nic nie powiedział. Wrócił do lektury. Miał około pięćdziesiątki. Najwyraźniej strzygł się sam. Prosta grzywka i luźne kosmyki po bokach. Sztruksowe spodnie były trochę za krótkie, flanelowa koszula sprana. Były rewolucjonista najwyraźniej niemający ochoty na pogawędki o byle czym.

Wielu ludzi, z którymi Meijters tego dnia rozmawiał, wspominało o niewielkiej księgarni, która według nich była

najlepszym źródłem książek o Albanii. Pomyślał, że może w jednej z nich znajdzie zdjęcie jakiejś oficjalnej albańskiej delegacji, na którym będzie Bektashi. Nie sądził, żeby szanse były duże, ale uznał, że mimo wszystko warto spróbować. Przeciągnął palcami po grzbietach książek. Przeczytał tytuł jednej z nich: Chiński poranek. Spojrzał na stos śpiewników z socjalistycznymi pieśniami.

– Szukasz czegoś konkretnego? – spytał sprzedawca, nie podnosząc wzroku znad tekstu.

– Książek o Albanii – powiedział Meijdens.

– Polityka, historia czy gospodarka? A może kultura? Rolnictwo?

Jego głos brzmiał monotannie. Nadal nie przerwał lektury.

– Czegoś o kontaktach szwedzko-albańskich.

Mężczyzna we flanelowej koszuli w końcu uniósł głowę i niechętnie wstał.

– Mamy niewiele prac o Albanii. Nie wiem, czy znajdziesz coś, co cię zainteresuje.

Meijdens zastanawiał się, dlaczego zamiast wyliczać bogatą tematykę książek o Albańskiej Republice Ludowej, po prostu mu ich nie wskazał.

– To, co się działo w Albanii pod koniec lat siedemdziesiątych, sprawiło, że niewiele wiemy o tym, co tam się dzieje obecnie. Można podejrzewać, że kraj wrócił do rewizjonizmu w wydaniu Tity.

W końcu udało im się znaleźć kilka książek o Albanii, napisanych przez szwedzkich autorów. Meijdens zaczął je pospiesznie przerzucać. Patrzył na zdjęcia, szukał w przypisach. Ale nigdzie nie było śladu Arona Bektashiego. Postanowił kupić kilka tomów, chociaż nie bardzo wiedział po co.

– Dlaczego zainteresowałaś się Albanią? – spytał mężczyzna, obliczając należność.

– Jestem dziennikarzem, pracuję w „7Plus” – powiedział Meijdens. – Przygotowujemy artykuł o kontaktach z krajami Europy Wschodniej. Mam zebrać informacje o Albanii i dowiedzieć się czegoś o związkach Szwecji z tym krajem.

Miał nadzieję, że kłamstwo nie będzie zbyt oczywiste. Ze zdziwieniem zauważył, że jego słowa wywołały nie tyle podejrzliwość, ile pogardę. Postanowił zadać ostatnie pytanie, o Bektashiego, i zakończyć sprawę.

– Próbuje między innymi zlokalizować byłego wysokiego rangą albańskiego urzędnika, który zajmował się kontaktami ze Szwecją. Nazywa się Aron Bektashi. Mówi ci to coś? Spotkałeś go może?

Mężczyzna pokręcił głową, ale nadal unikał kontaktu wzrokowego.

– Nie przypominam sobie. Nie powiem, że poznałem wszystkich Albańczyków, którzy kiedykolwiek byli w Szwecji, ale większość na pewno – dodał z szerokim uśmiechem.

– Mam tu jego fotografię – powiedział Meijtns, wyjmując kopię zdjęcia.

Kazał je powiększyć i przyciąć tak, by nic nie wskazywało na to, że pochodzi z paszportu.

Tym razem sprzedawca podniósł głowę. Chwilę wpatrywał się w zdjęcie, mrużąc lekko oczy. Meijtns miał wrażenie, że mężczyzna rozpoznał Bektashiego. Ale ten oddał mu fotografię i pokręcił głową.

– Nie, nigdy nie spotkałem kogoś, kto by go choć trochę przypominał.

Meijtns schował zdjęcie do wewnętrznej kieszeni płaszcza i ruszył do drzwi.

– Skąd je masz? – usłyszał nagle za sobą głos sprzedawcy.

– Słucham?

Powoli zaczynał mieć dosyć jego introwertycznej arogancji.

– Pytam z czystej ciekawości.

– Powiększyliśmy fragment zdjęcia grupowego – skłamał Meijtns. – Delegacji, która odwiedziła Szwecję na początku lat sześćdziesiątych – dodał, kierując się do drzwi.

– Mogłem się domyślić – odezwał się mężczyzna.

Meijtns znów się odwrócił. Zauważył, że sprzedawca jest zirytowany.

– Typowe dla mieszczańskiego dziennikarstwa – rzucił. – Zawsze musicie coś przekręcić. Tym razem też. Powiększyliście

nie tego człowieka, co trzeba.

Meijtens czekał z ręką na futrynie. Udawał zniecierpliwienie. Wiedział, że nie wolno mu pokazać, jak bardzo jest w tę sprawę zaangażowany.

– To nie albański dyplomata ani nawet w ogóle Albańczyk – powiedział sprzedawca z triumfem. – To jest, do licha, Erik Lindman.

KIEDY WIELE GODZIN PÓŹNIEJ Meijters wracał rowerem z redakcji do domu, na dworze panowały egipskie ciemności. Dał sobie spokój z obrońcami praw zwierząt i zajął się przeglądaniem redakcyjnego archiwum. Szukał informacji o Eriku Lindmanie. Wracał do domu z plikiem skopiowanych artykułów w torbie.

Skręcił w wąską uliczkę prowadzącą wzdłuż wody przy parku Tantolunden. Deszcz przestał padać. Powietrze było świeże, opony śpiewały, trąc o mokry asfalt.

Wystarczyła minuta, żeby sobie uświadomił, kogo sprzedawca z antykwariatu miał na myśli. Ta historia wydarzyła się co prawda przed dwudziestu pięciu laty, ale opowiadano o niej jeszcze długo potem. Kiedy wrócił do domu, uporządkował chronologicznie to, co zebrał. Pierwszą serię artykułów opublikowano w 1965 roku. Drugą, tym razem głównie krótkie notatki, na początku lat siedemdziesiątych. Meijters ułożył papiery i zaparzył dzbanek herbaty jaśminowej. Czekala go długa noc.

Zaczął uważnie czytać. Raz, potem drugi. Zapisywał najważniejsze wydarzenia. Kiedy zadzwonił telefon, wzdrygnął się i spojrział na zegarek. Odebrał. Hanna. Była wyraźnie zaniepokojona.

– Tobiasie, to ty do mnie wydzwaniasz?

Minęło kilka sekund, zanim zrozumiał, o co jej chodzi. Stanowczo zaprotestował.

– Ktoś do mnie wydzwania. Kiedy odbieram, rozłącza się. To okropnie nieprzyjemne. Pomyślałam, że może to ty się upiłeś i dzwonisz.

Meijters już chciał spytać, dlaczego pomyślała, że jest pijany w środku tygodnia i dlaczego miałby do niej dzwonić, ale nie zapytał.

– Może jacyś zaniepokojeni rodzice któregoś z twoich małych pacjentów?

Hanna westchnęła.

– Nie ma mnie w książce telefonicznej. Ten numer jest na twoje nazwisko.

Nagle coś mu przyszło do głowy.

– Kiedy miałaś ostatni telefon?

– Przed chwilą. Jakies dziesięć minut temu. Domyślasz się, kto to może być?

Nie, nie miał pojęcia. Jedyna osoba, która przychodziła mu na myśli, już nie żyła.

– Nie wiem – powiedział. – Może któryś z twoich cichych wielbicieli.

– Daj spokój. Jeśli to któryś z twoich kumpli, to powiedz mu, żeby dzwonił do ciebie, a nie do mnie. Ja muszę się wyspać.

Rozłączyła się, zanim zdążył zwrócić jej uwagę, że to ona wydzwania do niego po nocy. Siedział chwilę i z irytacją wyglądał przez okno na ulicę. Potem wrócił do artykułów.

Przeczytał je po raz kolejny i sięgnął po encyklopedię. Sprawdził kilka dat, zapisał je obok nazwiska Erika Lindmana. Potem usiadł do komputera, żeby podsumować to, co zebrał. I opisać historię Erika Lindmana i jego powrót do Szwecji jako Arona Bektashiego. Skończył, wydrukował i włożył kartkę do teczki z artykułami i dokumentami, które następnego dnia zamierzał wziąć ze sobą do redakcji.

Zaczął bębnić palcami w teczkę. Powinien się zaniepokoić jej telefonem? To pewnie nic ważnego. Wyłączył komputer, ziewnął.

A potem zrobił coś, co go zadziwiło.

Do jednego z pierwszych artykułów dołączono zdjęcie Erika Lindmana. Powiększył je i wydrukował kilka kopii. Potem przypiął je do tablicy, obok powiększonej fotografii z paszportu Bektashiego. Zdjęcia dzieliło piętnaście, może nawet dwadzieścia pięć lat. Żadne nie było dobrej jakości. Na pierwszym młody Erik Lindman uśmiechał się szeroko, odwracając lekko głowę od kamery. Na drugim poważny Aron Bektashi, mężczyzna w średnim wieku, patrzył prosto w

obiektyw.

Może nie należało przywiązywać zbyt dużej wagi do podobieństwa tych dwóch mężczyzn. Meijters przeciągnął się i stanął w oknie. Noc była bezwietrzna, zegar na wieży kościoła świętej Zofii wskazywał trzecią. Meijters pomyślał, że wiele rzeczy się zgadza. Ale jeśli Aron to Erik, informacje przedstawione w artykułach nie mogą być do końca zgodne z prawdą. Wersja powtarzana przez lata nijak nie dawała się pogodzić z faktem, że teraz, dwadzieścia pięć lat później, Erik Lindman pojawił się w Szwecji z albańskim paszportem w kieszeni.

*

Meijters popił tabletkę od bólu głowy czarną kawą zaparzoną w niewielkiej redakcyjnej kuchence. Spał zaledwie kilka godzin. Dokończył kawę i poszedł do swojego biurka. Wyjął z torby notatki. I wtedy zauważył leżącą na biurku listę. Zestawienie akredytacji wszystkich albańskich dyplomatów: imiona, nazwiska, stanowiska, daty pobytu i adnotacje odnośnie ewentualnych powiązań z Aronem Bektashim. Na samym dole odręczny dopisek Natalie: „Niestety ani śladu AB”.

Wpatrywał się w jej pismo. Czyżby była zdenerwowana? Podniósł głowę i zobaczył ją za szklaną ścianą gabinetu Anderssona. Stała oparta o regał z książkami, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Zaczął się zastanawiać, o czym rozmawiają.

Dreńczał go pulsujący ból głowy. Znów przerzucił notatki. Wszystko się zgadza, naprawdę mogło tak być. Nawet jeśli wydawaje się to niewiarygodne. Natomiast następny krok będzie już trudniejszy. Jak długo zamierzają tam rozmawiać? Za dwa dni numer idzie do składu. Muszą z tym wyjść pierwsi. A czasu jest mało. Nie może czekać. Czy nie powinien jednak najpierw z nią porozmawiać? Nie, naprawdę nie ma już czasu. Postanowił zaryzykować.

Na drżących nogach ruszył w stronę szklanej klatki.

Bertil Andersson zobaczył go i odruchowo dotknął palcem kołnierzyka koszuli, jakby chciał go poluzować, jakby nagle

zabrakło mu powietrza. Nie było żadną tajemnicą, że nie był zadowolony z ich pracy nad numerem poświęconym Nowej Europie. Meijtens uniósł przygotowaną przez Natalie listę i powiedział cicho „dziękuję”, ale Natalie wydawała się niezainteresowana.

– Meijtens, nasz ekspert od nerek. Opowiedz, jak ci wczoraj poszło, tylko zwięźle. Rozmawiamy.

– Nie poszedłem tam.

Nikt się nie odezwał, powietrze zastygło w bezruchu. Musi się jakoś uwolnić od tych cholernych nerek.

– Natknąłem się na coś innego. Mam wrażenie, że to prawdziwa sensacja.

Andersson zmarszczył czoło. Nie był zachwycony. Natalie bazgrała coś w notesie. Najwyraźniej czekała, aż wyjdzie.

Meijtens postanowił przejść do rzeczy.

– Mam wrażenie, że prawda o facecie, który spadł z Erstaterrassen, to prawdziwa sensacja. Powinniśmy ją dać na pierwszą stronę sobotniego wydania. I mamy mało czasu.

Andersson odchylił się do tyłu, dotknął leżącego na biurku ołówka.

– Dlaczego sobie tego nie odpuścisz? Już raz ci powiedziałem, że...

– Pozwól mu skończyć.

Obaj ze zdziwieniem spojrzeli na Natalie. Mówiła spokojnie, chociaż nawet nie podniosła głowy znad notesu.

– To zajmie mniej czasu, niż gdybyś zaczął go teraz łąać.

Andersson złożył ręce na brzuchu.

– W porządku, Meijtens. Zadziew nas.

Meijtens szybko streścił to, czego się dowiedział wcześniej, po czym opowiedział o swojej wizycie w antykwariacie.

– Erik Lindman? Roznosiciel gazet, który zaginął?

W głosie Anderssona nie było słyhać przekonania, ale najwyraźniej obudził się w nim instynkt dziennikarza.

– Tak – potwierdził Meijtens.

Natalie podniosła głowę znad notesu i patrzyła to na jednego, to na drugiego.

– Jaki Lindman?

Meijtens wyjął teczkę z wycinkami. Właściwie znał wszystkie teksty na pamięć, ale może – podobnie jak Jakub – chciał się pochwalić, ile zrobił. Zwłaszcza że była to jego ostatnia szansa. Wszystko zależało od tego, jak to teraz przedstawi.

*

Latem 1965 roku do sztokholmskiej policji zadzwoniła pewna kobieta. Właśnie wróciła z zagranicznej podróży i odkryła, że jej narzeczony zniknął, nie zostawiając żadnej wiadomości. Ani jego przyjaciele, ani rodzice nie mieli pojęcia, co się z nim mogło stać.

Nie znalazła jego paszportu. Później policja ustaliła, że opuścił Szwecję. Pojechał pociągiem do Monachium, a tam wszelki ślad po nim zaginął. Ta historia mogłaby się wydać banalna, gdyby zaginionym nie był Erik Lindman. Tuż przed zniknięciem pracował jako roznosiciel prasy, ale zajmował się tym od niedawna.

Urodził się w 1938 roku w rodzinie robotniczej w Sandviken. Skończył szkołę z piątkowym świadectwem, po czym wyjechał na studia do Uppsali. Uchodził za wyjątkowo zdolnego, szczególnie jeśli chodzi o języki. W ciągu czterech lat ukończył dwa kierunki. Obronił magisterium z ekonomii i wiedzy o państwie i licencjat z języków nowożytnych. Z najwyższymi ocenami.

Było to duże osiągnięcie, biorąc pod uwagę jego jednoczesne zaangażowanie w inne sprawy. Od wczesnej młodości był komunistą, z przekonania. W Uppsali zaangażował się w działalność stowarzyszenia studenckiego Veritas. Był towarzyski i godny zaufania. Był też znakomitym mówcą.

Miał doskonale wyniki w nauce i talent do języków, nie należy się więc dziwić, że po studiach został przyjęty na staż do ministerstwa spraw zagranicznych. Jego poglądy polityczne okazały się nie stanowić żadnej przeszkody. A może nikt nie zwrócił na to uwagi, ponieważ Erik Lindman nigdy nie był członkiem partii. Pewnie skupiono się głównie na wspaniałych rekomendacjach, jakie otrzymał od czterech wybitnych profesorów z Uppsali. Dziwiło natomiast to, że zaraz po stażu

zrezygnował z pracy w ministerstwie. Nikt nie potrafił tego wyjaśnić. Został roznosicielem gazet. Niektórzy twierdzili, że był też zaangażowany w politykę. A rok później zniknął.

– Nie przypominam sobie, żeby w związku z tą sprawą wspomniano o Albanii – powiedział Andersson zniecierpliwiony.

– I właśnie to jest dziwne – powiedział Meijdens, zerkając w notatki.

Prasa odnotowała zniknięcie roznosiciela gazet. Potraktowano je jako jeden z wielu takich przypadków. Szybko jednak zmieniono zdanie. Cytowano źródła, według których Lindman mógł się udać do Moskwy. Ktoś powiedział, że KGB werboowało szpiegów spośród studentów o lewicowych poglądach. Ktoś w Holandii twierdził, że Rosjanie zwerbowali szwedzkiego studenta, który potem zrobił karierę w radzieckiej administracji.

Szwedzka służba bezpieczeństwa zaczęła podejrzewać, że tym Szwedem mógł być Erik Lindman. Podobno komuś udało się dowiedzieć, że z Monachium pojechał pociągiem do Grecji. Spekulowano, czy stamtąd nie udał się dalej: przez Turcję do Związku Radzieckiego. Ale ani wtedy, ani później nie znaleziono żadnych dowodów na to, że przebywa gdzieś za żelazną kurtyną, i w końcu przestano się nim interesować.

Ale w roku 1973 temat powrócił. Niejaki Sorokin, agent KGB, który został na Zachodzie, zaczął zasypywać swoich kanadyjskich gospodarzy informacjami o agentach KGB na Zachodzie. Dwóch z nich było Szwedami. Jeden został według Sorokina zwerbowany jeszcze w czasie studiów. Informacje, którymi dysponowała szwedzka służba bezpieczeństwa, a które dotyczyły wykształcenia i daty rekrutacji, wskazywały na to, że człowiekiem tym mógł być Erik Lindman.

– Kim był ten drugi agent? – spytała Natalie.

– Szybko go zidentyfikowano. Pierwszy sekretarz szwedzkiej ambasady w Moskwie. Na pewno o tym czytałaś. Został wezwany do Szwecji na dyskretne konsultacje. W prasie pojawiły się spekulacje na temat jego homoseksualnych skłonności i pogłoski o jego działalności szpiegowskiej. Po

jakimś czasie znaleziono go martwego w jego własnej wannie. Popęłił samobójstwo.

– Sprawa Stiernspetza – wymamrotał Andersson pod nosem. Natalie ze zdziwieniem spojrzała na Meijtensa.

– Co Stiernspetz miał wspólnego z Erikiem Lindmanem?

– Właściwie nic. Ale skoro to, co mówił Sorokin, potwierdziło się w przypadku Stiernspetza, szwedzka służba bezpieczeństwa uznała, że zapewne także to, co mówił o Eriku Lindmanie, który miałby być szpiegiem i zniknąć w jakimś wschodnioeuropejskim kraju, jest wiarygodne.

Meijtens urwał. Wyjął zdjęcia Erika Lindmana i Arona Bektashiego i położył je obok siebie. Andersson i Natalie nachylili się i zaczęli się im uważnie przyglądać.

– Jest wyraźne podobieństwo – stwierdziła Natalie. – Chociaż trudno to stwierdzić z całą pewnością, bo jakoś zdjęć nie jest za dobra, no i dzieli je spory kawał czasu.

Andersson potarł twarz dłońmi.

– Nie dajmy się ponieść emocjom. Spróbujmy podsumować to, co wiemy, i to, co nam się wydaje, że wiemy.

Uniósł rękę i zaczął liczyć na palcach.

– Po pierwsze: na nabrzeżu Stadsgårdskajen znaleziono ciało mężczyzny, niejakiego Arona Bektashiego. Miał przy sobie albański paszport, ale albańskie władze zaprzeczają, jakoby był obywatelem tego kraju. Po drugie: albański uciekinier, bez wizy i perspektyw na przyszłość, twierdzi, że Bektashi był nazywany cudzoziemcem. Po trzecie: plomby w zębach Bektashiego wskazują na to, że przez dłuższy czas mieszkał na Zachodzie, ale było to wiele lat temu. Po czwarte: sprzedawca z antykwariatu, który, jak podejrzewam, jest doskonale zorientowany w tej tematyce, twierdzi, że chodzi o zaginionego obywatela Szwecji, a konkretnie o Erika Lindmana. Po piąte: wszyscy troje uważamy, że dość niewyraźne zdjęcie Erika Lindmana z 1965 roku przypomina jeszcze mniej wyraźne zdjęcie Arona Bektashiego, zrobione ćwierć wieku później. Ale pewności nie mamy. – Spojrzał na nich. Dał im czas na przetrwanie tego, co przed chwilą powiedział. – Ostrzegam przed wyciąganiem pochopnych wniosków – dodał i zaczął

chodzić w tę i z powrotem. – Nie mogę zaprzeczyć, że sprawa pachnie niezłym skandalem, jeśli oczywiście to wszystko okaże się prawdą. Zaginiony, podejrzany o szpiegostwo człowiek wraca po dwudziestu pięciu latach i skacze ze skały na nabrzeże. Tylko w „7Plus”! Nasi prenumeratory zaczną się krztusić kanapkami przy śniadaniu i w końcu wzrośnie nam sprzedaż. – Usiadł na brzegu biurka i skrzyżował ręce na piersi. – Wchodzimy w to, ale musicie dać z siebie wszystko. I zdobyć materiały, które potwierdzą tę historię.

Meijters spojrzał na zegarek i poczuł ciarki na plecach.

– Oczekuję, że wykażecie się zdrowym rozsądkiem i ostrożnością. Pamiętajcie, że to polowanie na widmo – dodał Andersson, unosząc ostrzegawczo palec. – I przypominam, że do składu zostały nam dwie doby. Z jednej strony to niewiele, z drugiej wystarczająco dużo, żeby popołudniówki zwierzyły trop. Natalie i ja skontaktujemy się z Tilasem i poprosimy o sprawdzenie karty dentystycznej niejakiego Erika Lindmana. Jeśli się okaże, że się nie mylimy, mam nadzieję, że utrzyma to w tajemnicy przez czterdzieści osiem godzin, jako coś w rodzaju podziękowania za pomoc.

Potem zwrócił się do Meijtersa.

– Porozmawiaj z rodziną, żebyśmy mieli gotowe wywiady. Znasz nazwiska?

– Tak, mam dane rodziców, mieszkają w Sandviken. I dawnego kolegi ze szkoły, który już wcześniej wypowiadał się w prasie. Ktoś z nich powinien jeszcze żyć.

– W porządku. Tylko ani słowa o tym, że możliwe, że jego ciało leży w lodówce w zakładzie medycyny sądowej, bo zrobi się szum i popołudniówki ukradną nam temat. Powiedz, że pracujesz nad artykułem o zaginionych, nie wspominając o Albańczyku, który spadł ze skały. Bierzmy się do pracy. Byłoby dobrze chociaż raz móc się czymś pochwalić.

– Jeszcze jedna rzecz jest według mnie ważna – wtrącił Meijters.

Andersson i Natalie spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

– Jeśli Aron Bektashi okaże się Erikiem Lindmanem i jeśli rzeczywiście spędził ostatnie dwadzieścia pięć lat w Albanii,

jest mało prawdopodobne, a może wręcz niemożliwe, żeby był agentem Związku Radzieckiego.

– Dlaczego? – rzucił lekko zniecierpliwiony Andersson. – Kiedy doszli do wniosku, że może im już tylko zdradzić to, które domy na trasie roznosiciela gazet nie mają windy, przerzucili go do Albanii.

– Nie sądzę, żeby tak było – powiedział spokojnie Meijtns. – Kiedy Erik Lindman zniknął, rozdźwięk między Albanią a Związkiem Radzieckim był już ogromny. Zerwali nawet stosunki dyplomatyczne, więc tym bardziej nie wymieniali się zachodnimi szpiegami. Jeśli Erik Lindman rzeczywiście wrócił z albańskim paszportem i nową albańską tożsamością, całe gadanie o tym, że był agentem KGB, który w pewnym momencie zwiął do Związku Radzieckiego, okaże się nieprawdą.

Szczęki Anderssona poruszały się powoli, rytmicznie. Po chwili znów zabrał głos:

– Na razie się tym nie zajmujmy. Skupmy się na szukaniu informacji, które mogą potwierdzić twoją tezę. Potem nad kufelkiem piwa zastanowimy się nad resztą.

Kiedy Meijtns i Natalie opuścili szklaną klatkę szefa, żadne z nich się nie odezwało. Natalie skierowała się w stronę swojego biurka. Meijtns ją zatrzymał.

– Dzięki, że mnie poparłaś. Uratowałaś mnie.

Natalie stała i wpatrywała się w jakiś punkt gdzieś za nim.

– Znów – odezwała się po chwili głosem, w którym nie było słychać żadnych uczuć.

– Gdybyś nie wykluczyła wszystkich dyplomatów, nie poszedłbym do tego antykwariatu.

– Zawsze coś. Mam nadzieję, że tym razem się nie mylisz.

Ruszyła przed siebie, a stukot jej obcasów odbijał się echem od ścian redakcji. Ja też mam taką nadzieję, pomyślał Meijtns.

BYŁ TO PIERWSZY naprawdę chłodny jesienny wieczór. Deszcz zrobił sobie przerwę, powietrze było czyste i świeże. Nad boiskiem na południowych obrzeżach miasta, na którym jakaś nic nieznacząca drużyna chłopięca grała w piłkę nożną, zaczynał zapadać zmrok. Rosły mężczyzna w obszernej kurtce z logo drużyny na plecach wykrzykiwał coś do zawodników. Albo nie zauważył Meijtensa, albo postanowił się nim nie przejmować.

Meijtens przypiął rower do ogrodzenia. Mężczyzna obwieścił chłopcom koniec treningu. Kiedy ostatni gracze zeszli z boiska, zwrócił się do niego:

– Zakładam, że to pan jest tym dziennikarzem?

– Tak, zgadza się – odpowiedział Meijtens. Podał mu rękę i przedstawił się.

Åke Sundström wziął jego dłoń, skinął głową, ale nic nie powiedział. Pewnie uznał, że nie ma takiej potrzeby. Obaj wiedzieli, kim są i dlaczego się spotykają.

– Przez te wszystkie lata rozmawiałem o Eriku z niejednym dziennikarzem. I niewiele to dało. – Zmrużył oczy, jakby coś go drażniło. W jesiennym zmroku na pewno nie było to światło. – Dlaczego znów się nim interesujecie? Po piętnastu latach milczenia. A może nawet więcej.

– Pracuję nad artykułem o osobach, które zaginęły. Pomyślałem, że wspomnę o Eriku Lindmanie. To był dość szczególny przypadek. Reprezentuję magazyn weekendowy i...

– Tak, wiem. Dobrze.

Åke Sundström odwrócił się i splunął na ziemię.

– Nie macie jakichś starych wycinków prasowych? Mam wrażenie, że powiedziałem już wszystko, co było na ten temat do powiedzenia.

Meijtens nie zamierzał mu tłumaczyć, jak pracuje.

– Rozumiem, że dorastaliście razem. W Sandviken. Pan i Erik Lindman.

– Widzę, że się przygotowałeś.

– A potem studiowaliście razem w Uppsali.

Åke Sundström zaczerpnął powietrza i przytaknął, w sposób charakterystyczny dla ludzi z północy.

– W artykule próbuję odpowiedzieć na pytanie, jak to się dzieje, że niektórzy ludzie nagle postanawiają zniknąć. Przypadek Erika wydaje się bardzo interesujący.

– Tak uważasz? – skwitował Åke Sundström.

Meijtens nie potrafił wyczuć, czy była w tym ironia, czy może po prostu Sundström był małomówny.

– Interesuje mnie pańskie zdanie na temat Erika. Myśli pan, że to możliwe, żeby wyjechał do jakiegoś wschodnioeuropejskiego kraju, nic o tym nikomu nie mówiąc? Tak pisała prasa.

– A ty jak sądzisz? To twój artykuł.

Miał wrażenie, że obaj balansują na cienkiej linii. Najmniejszy fałszywy ruch i jeden z nich spadnie. Dlatego nie chciał nalegać. Czekał, aż Åke Sundström powie coś więcej. Kiedy jednak milczenie się przedłużało, postanowił wyłożyć na stół kolejną kartę.

– Nie wierzę, że pracował dla KGB i nie wierzę, że wyjechał do Związku Radzieckiego. Wbrew temu, co pisano w gazetach, sądzę, że to zbyt fantastyczny scenariusz.

Sundström przyglądał mu się w milczeniu. Nie wyglądał ani na zdziwionego, ani na zaskoczonego. Raczej na zamyślonego.

– Zwykle po treningu wracam do domu na piechotę. To podobno dobre dla zdrowia – odezwał się nagle. – Jeśli masz jeszcze jakieś pytania, możesz mi towarzyszyć.

Ruszyli najpierw ścieżką obok boiska, potem dalej małymi uliczkami. Do Tallkrogen był kawałek drogi, Meijtens pomyślał, że będą mieli okazję o wszystkim porozmawiać. Kiedy wymienili uwagi o kiepskich wynikach Szwecji na mistrzostwach świata w piłce nożnej we Włoszech, Sundström sam wrócił do Lindmana. Wydawał się bardziej odprężony niż jeszcze przed chwilą.

Erik był niezwykle uzdolniony. Sundström powiedział, że to w dużej mierze dzięki jego pomocy i namowom taki średniak jak on zdał maturę i w 1959 roku zdecydował się jako pierwszy z rodziny iść na studia. Razem z Erikiem.

Przyjaźnili się. Ale on nigdy nie podzielał komunistycznych poglądów przyjaciela. W Sandviken, typowo norrlandzkim miasteczku, między socjaldemokratami a komunistami był wyraźny rozdział, a lata tarć zostawiły po sobie dużo podejrzliwości. Jego rodzina należała do obozu socjaldemokratów, podczas gdy ojciec Erika, Arvid Lindman, był znanym w mieście komunistą.

Nagle Sundström się zatrzymał. Uśmiechnął się do Meijtensa porozumiewawczo.

– Facet musiał cierpieć, nosząc takie samo nazwisko jak przywódca prawicy. O ile w ogóle o tym wiedział. Nie mam pojęcia, po kim Erik odziedziczył inteligencję, ale na pewno nie po swoim szalonym ojcu.

Ruszyli dalej, Sundström wrócił do opowieści.

W Uppsali ich drogi się rozeszły. On dużo się uczył, by zdobyć dyplom, który miał mu zapewnić posadę nauczyciela. Poza tym grał w piłkę nożną w drużynie norrlandczyków, no i pod koniec pierwszego roku poznał dziewczynę, która do dzisiaj jest jego żoną. Natomiast Erik już w pierwszym tygodniu studiów poznał grupę studentów o komunistycznych poglądach. Bardzo szybko został ich przywódcą, zyskując poklask i podziw kolegów.

To wszystko działo się jeszcze przed studenckim buntem w 1968 roku. Lewicowe poglądy były wówczas wśród studentów dość popularne, ale bez przesady. Wietnam był jeszcze stosunkowo mało znaną dawną francuską kolonią. Studenci, będący aktywnymi komunistami, postrzegali siebie raczej jako awangardę niż część większego ruchu. Młodzież skupiona wokół Erika stanowiła elitarną grupę, wyróżniającą się nie tylko przekonaniem, ale także sukcesami w nauce. I dobrymi manierami. Niemal wszyscy, z wyjątkiem Erika, pochodzili z typowo mieszczańskich rodzin i – w przeciwieństwie do późniejszych lewicowców – bynajmniej się z tym nie kryli.

Sundström spojrział na przejeżdżające w oddali wagoniki podmiejskiej kolejki. Zamyślił się i jakby posmutniał.

– Nic dziwnego, że w Uppsali się od siebie oddaliliśmy – zaczął cicho. – Erik miał swoje środowisko: synowie dyplomatów i córki dyrektorów, wszyscy zaangażowani w światowy ruch proletariacki. Mnie to nie interesowało, zresztą mną też nikt się nie interesował. – Nadal wpatrywał się w wagoniki podmiejskiej kolejki. – Będę z tobą szczery. Pytałeś, co Erik myślał, w jakim był nastroju przed zniknięciem. Niestety nie mnie powinieneś zadawać takie pytania. Już w Uppsali bardzo się od siebie oddaliliśmy, a jeszcze bardziej po przeprowadzce do Sztokholmu. I to chyba głównie z mojej winy. Ciężko znosiłem jego zaangażowanie polityczne i jego nowych znajomych.

– Skoro się od siebie oddaliliście, to dlaczego po jego zniknięciu dziennikarze rozmawiali głównie z panem? Można odnieść wrażenie, że był pan jedyną osobą, z którą Erik się kontaktował przed wyjazdem.

Sundström znów splunął na ziemię.

– To prawda. To było istne szaleństwo. Faceci ze służby bezpieczeństwa wydzwaniali do mnie po nocach. Jego eleganccy przyjaciele, salonowi bolszewicy, pochowali głowy w piasek. Jak strusie. Chyba jako jedyny przyznawałem się do znajomości z nim. Ale czy tylko ja wiedziałem, że zniknął, to już chyba tylko bogowie wiedzą. – Zwracał się teraz raczej do siebie niż do czytelników „7Plus”. Gestykulował, jakby występował przed niewidzialnym audytorium. – Tak pewnie bywa z przyjaciółmi z dzieciństwa. Wiele nas łączyło, ale z czasem ludzie się od siebie oddalają. To się zdarza. Z drugiej strony w pewnym momencie rzeczywiście okropnie się pokłóciliśmy.

– Doszło do kłótni?

– Wściekłem się. Jak mógł tak marnotrawić swoje zdolności, swój talent. Według mnie to egoizm.

– To że wyjechał?

– Nie. Mam na myśli jego odejście z ministerstwa spraw zagranicznych. Odszedł i został listonoszem! Z przyczyn

ideologicznych. Co za głupota!

– Pewnie miał swoje powody. Kto wie, może to było dla niego odpowiednie zajęcie? – stwierdził Meijdens, myśląc o własnych dziwnych wyborach, które doprowadziły do tego, że szedł teraz obok nauczyciela z gimnazjum, człowieka w średnim wieku.

– Nie, nie było żadnych powodów, i nie było to dla niego odpowiednie zajęcie – wybuchnął Sundström. – Nic nie rozumiesz. Erik nie był zwykłym człowiekiem, przeciętniakiem, który żyje z dnia na dzień, jak ja czy ty. Był wybitnie uzdolniony, dla wielu był wzorem. A to nakłada na człowieka pewne obowiązki. Jego obowiązkiem było wykorzystać swoją inteligencję.

– Mówił coś o tym, dlaczego rezygnuje? Może zwolniono go z przyczyn politycznych?

Sundström uspokoił się równie szybko, jak chwilę wcześniej rozszłościł. Pokręcił smutno głową.

– Pytałem go o to, ale nie. Odszedł na własne życzenie, nikt na niego nie naciskał. Jego zaangażowanie polityczne nie miało z tym nic wspólnego.

– Więc dlaczego odszedł?

Sundström wzruszył ramionami.

– Wiele razy zadawałem mu to pytanie. I nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Rozmawialiśmy o tym. Powiedziałem mu wprost, że zachowuje się jak kretyn, że marnuje życie. A on kazał mi się nie wtrącać. Pewnie miał rację, ale nie do końca.

Szli w milczeniu willową uliczką. Pachniało jabłkami. Gdzieś spod płotu wyskoczył kot.

– Ale przed wyjazdem przyszedł do pana, tak? I powiedział, że nie będzie go przez jakiś czas.

– Tak, to prawda. Przyszedł do mnie.

Meijdens już chciał zadać kolejne pytanie, ale się powstrzymał. Czekał. Jego cierpliwość została nagrodzona. Po chwili Sundström wrócił do opowieści:

– Zjawił się u mnie pewnego wieczoru. Siedzieliśmy w kuchni, piliśmy wino i wspominaliśmy dawne czasy. Jak gdyby nigdy nic. Jakbyśmy się nigdy nie kłócili. Nie wypominałem

mu błędów ani przyjaciół, a on mnie tego, co nazywał apatią. Znów był dawnym Erikiem. Miałem wrażenie, że chce przekreślić to, co było między nami złe. A potem nagle oświadczył, że wyjeżdża. I że nie wie, kiedy wróci. Może za kilka tygodni, a może miesiący. Powiedział, że ma do wykonania pewne zadanie, że jest coś, co musi sprawdzić.

Zamilkł, znów pogrążył się w smutku.

– Powiedział, dokąd się wybiera? – spytał Meijdens, a Sundström ku jego zdziwieniu się roześmiał. Krótki, bezdźwięczny śmiech.

– Teraz, z perspektywy tylu lat, może się to wydać dziwne, ale prawdę mówiąc, nie spytałem go o to. Tajniacy też nie chcieli mi uwierzyć. Ale tak było, takie mieliśmy relacje, ja i Erik. Znaliśmy się tak dobrze, że nie musieliśmy mówić sobie o wszystkim. Pomyślałem, że gdyby chciał mi powiedzieć, toby to zrobił. I nie nalegałem. – Patrzył przed siebie pustym wzrokiem. – Prosił, bym nie miał mu za złe, że wyjeżdża. I żebym o nic nie pytał. Jak wróci, wszystko mi opowie. Tak powiedział: Jak wrócę, wszystko ci wytłumaczę. – Mówił spokojnie, ale jego oczy spochmurniały. – Wydało mi się to dziwne. Nawet trochę melodramatyczne. Ale nie przyszło mi do głowy, że zniknie na zawsze. Po prostu uznałem, że jeśli nie chce o czymś mówić, ma do tego prawo.

– A potem zrobiło się zamieszanie – powiedział Meijdens cicho. Zamiast zadawać pytania, zamienił się w suflera.

– To prawda – przytaknął Sundström.

– Zdaje się, że to jego dziewczyna...

Sundström go nie słuchał, mówił dalej:

– Kiedy jego narzeczona, Sonia, wróciła z urlopu w Provence, rozpętało się prawdziwe piekło. – Specjalnie użył francuskiej nazwy i wymówił ją z nosowym, lekko snobistycznym akcentem. – Zastała puste mieszkanie. To znaczy bez Erika. Natychmiast zadzwoniła na policję. Próbowałem ją uspokoić, ale ona nigdy mnie nie lubiła i nigdy nie zwracała uwagi na to, co mówię. Byłem po prostu świrniętym kumplem Erika z czasów jego norrlandzkiego dzieciństwa. Kto by się przejmował tym, co mówię. Próbowałem jej opowiedzieć o naszym

ostatnim spotkaniu, ale mnie nie słuchała. Ubzdurała sobie, a może ktoś ją o tym przekonał, że Erik jest w niebezpieczeństwie, i postawiła wszystkich na nogi. Za wszelką cenę chciała go znaleźć. Dziennikarze połknęli haczyk i już nie było odwrotu. No bo już nie chodziło o zaginionego listonosza, tylko o szpiega, który mógł zwać na Wschód. Przedostał się za żelazną kurtynę. Bez przerwy ktoś dzwonił, dziennikarze, policja, istny cyrk.

– Nie powiedział narzeczonej, że wyjeżdża? Żeby się nie denerwowała, tylko spokojnie czekała?

– Właśnie nie. – Sundström wszedł mu w słowo. – Tamtego wieczoru spytałem go, czy rozmawiał z nią, zanim wyjechała do Francji. Powiedział, że nie miał okazji, ale zadbał o to, żeby zaraz po powrocie o wszystkim się dowiedziała. Zaproponowałem, że z nią porozmawiam, ale Erik uznał, że to nie najlepszy pomysł. Nie przepadaliśmy za sobą, delikatnie mówiąc. Nigdy. – Zamilkł na chwilę. – Poza tym Erik powiedział, że ktoś ma jej przekazać wiadomość – dodał.

– Kto?

Sundström wzruszył ramionami.

– Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia. Erik był bardzo tajemniczy. Podejrzewam, że mogło chodzić o tego Karla, o Wijkmana.

– O Carla Wijkmana? – zainteresował się Meijters.

To nazwisko pojawiło się w jednym z artykułów o Lindmanie. Sundström kiwnął głową, ale Meijters nie był pewien, czy w ogóle go usłyszał.

– Ale niewykluczone, że był to któryś z jego przyjaciół, jeden z tych salonowych bolszewików, którymi się otaczał. Tak czy inaczej zadbał, żeby Sonia otrzymała wiadomość. Powtarzał to kilka razy. Pewnie się domyślał, że kiedy wróci i go nie zastanie, zrobi się afera.

Dotarli do domu Sundströma. Parterowego, drewnianego domku, jakich w okolicy było wiele.

– Tu mieszkam – oznajmił Sundström. – I chyba wszystko już opowiedziałem. Zresztą równie dobrze mogłeś to wszystko wyczytać ze starych wycinków. Uprowadzałem. Nie mam nic

nowego do dodania.

Meijtens pomyślał, że to nie do końca prawda, bo zdradził mu wiele szczegółów, których nie znalazł w żadnym z artykułów sprzed lat.

– Zamierzasz jeszcze z kimś rozmawiać?

– Jutro wybieram się do Sandviken. Spotkać się z jego rodzicami.

– Z szalonym Lindmanem i jego żoną. Życzę powodzenia. – Sundström się roześmiał i ruszył ścieżką do domu.

Meijtens odwrócił się i już zamierzał odejść, kiedy usłyszał, że Sundström go woła. Zatrzymał się przy furtce.

– Jest coś, o czym jeszcze nikomu nie mówiłem. Przede wszystkim dlatego, że to wszystko wydaje mi się niejasne, a nie chciałbym zostać źle zrozumiany – urwał. Zacerpnął powietrza i mówił dalej: – Jak na dziennikarza wydajesz się dość bystry, mam więc nadzieję, że zrozumiesz mnie dobrze. Bo widzisz, tamtego wieczoru Erik sporo mówił o polityce. Ale nie tak jak zwykle. Powiedziałbym, że wręcz przeciwnie. Miał mnóstwo wątpliwości. Opowiadał o tym, jak korupcja zniszczyła ideologię. Wspominał o prawie małych państw do wyboru własnej drogi i o tym, że socjalizm stał się narzędziem nowej formy imperializmu. – Na chwilę przerwał, próbował coś zdrapać z drewnianej furtki. – Obaj wtedy trochę za dużo wypiliśmy, więc nie pamiętam już wszystkiego dokładnie. – Roześmiał się. – Erik zawsze potrafił mówić. Ubierać myśli w słowa. Pamiętam, że uderzyło mnie jego wahanie. Odniosłem wrażenie, że jego wyjazd ma coś wspólnego z jego wątpliwościami. Ale co ja mogę o tym wiedzieć. – Wzruszył ramionami. – Tak czy inaczej powiedziałem swoje. O wielkim człowieku, który zaginął. Pora coś zjeść i zabrać się za poprawianie prac. Jak różnie układa się życie.

Zawrócił i znów ruszył w stronę domu. Meijtens zaklął, bo właśnie sobie uświadomił, że zostawił rower przy ogrodzeniu boiska.

HANNA OTWORZYŁA DRZWI w chwili, kiedy Meijters nacisnął dzwonek. Objęła go mocno. Poczul przy twarzy jej mokry policzek. Po chwili puściła go i pociągnęła nosem.

– Dobrze, że jesteś. To okropne.

Kiedy wrócił do domu po spotkaniu z Sundströmem, zmęczony i przemarznięty, na automatycznej sekretarce miał wiadomość od niej. Ktoś się włamał do jej mieszkania. Czy może natychmiast przyjść.

Przyjechał na rowerze w ciągu dziesięciu minut.

– Musieli wejść w ciągu dnia – powiedziała Hanna, prowadząc go do salonu. – Co za bezczelność.

Zrobiła listę rzeczy, które zniknęły. Na szczęście nie było tego wiele: stare stereo, magnetowid, trochę francuskich franków, które wymieniła przed wyjazdem na konferencję. Policja poinformowała ją, że przyślą kogoś w najbliższych dniach, i doradziła, żeby zmieniła zamek.

Zadzwoił domofon. Chwyciła go za rękę i krzyknęła przestraszona.

– To Bulten. Mówiłem ci, że zaraz tu będzie.

Meijters podszedł do drzwi i nacisnął guzik.

Hanna oparła głowę na jego ramieniu.

– Bulten – zachnęła się. – Jesteś pewien, że zna się na zamkach?

– Jest najlepszy.

– Jest najlepszy – powtórzyła, przedrzeźniając go. – Skąd ty bierzesz tych swoich znajomków?

Objęła go w pasie i mokrym nosem dotknęła jego szyi.

Bulten zaczął już oglądać pokierszowane drzwi. Przywitał się wesoło, nie spuszczać wzroku z tego, co zostało z nieszczęsnego zamka. Ze swoimi dwoma metrami wzrostu i ponad stu kilogramami żywej wagi zapewniał klientom

poczucie bezpieczeństwa. Szczególnie tym, którzy nie mieli pojęcia o jego burzliwej przeszłości, obfitującej w doświadczenia, które skądinąd okazały się w zawodzie ślusarza bardzo przydatne.

– Macie tylko prosty, pojedynczy zamek – stwierdził, kłaskając z niezadowoleniem.

– Nie lubię mieć dużo zamków – powiedziała Hanna.

Bulten posłał jej uważne spojrzenie, ale nic nie powiedział.

– To znaczy do tej pory nie lubiłam – dodała Hanna, uśmiechając się niepewnie. Meijtns ją objął.

Poprosiła go, żeby dokładnie obejrzał wszystkie pomieszczenia, sprawdził, czy jeszcze czegoś nie brakuje i co ewentualnie zostało uszkodzone. Sama nie miała na to siły. Zaczął się więc przechadzać po mieszkaniu, które jeszcze niedawno było także jego domem. Bulten zabrał się za naprawianie zamka. Bez przerwy coś mówił.

– Mało kto zdaje sobie sprawę, że nie tylko zamek jest ważny. Należy sprawdzić, czy złodziej nie może po prostu wyważyć drzwi. O widzisz, spójrz na to...

Meijtns usłyszał, jak Hanna uprzejmie przytakuje. Sprawdził salon i wszedł do sypialni.

Powiódł palcami po półkach, po biurku. Próbował sobie przypomnieć, jak to wszystko wyglądało przed włamaniem. Rzeczywiście, tak jak powiedziała mu Hanna przez telefon, złodzieje nie tknęli jej biżuterii, kosztowności, które odziedziczyła po babci i które naprawdę były sporo warte. Rzeźbiona szkatułka stała nietknięta na komodzie. Jak to możliwe, że nie zwrócili na nią uwagi? Przejrzał szuflady i szafę. Czytał kiedyś, że przy okazji włamań często giną ubrania. Złodzieje sprzedają je potem w sklepach z używaną odzieżą. Ale najwyraźniej nie ci, którzy włamali się do nich.

W salonie rzuciło się w oczy puste miejsce po magnetowidzie i stereo. Natomiast znacznie droższy i nowszy telewizor został na swoim miejscu. Może był zbyt nieporęczny? Rzuciłby się w oczy? Meijtns powiódł wzrokiem po regale, zatrzymał się przy oprawionych zdjęciach z ich wspólnych wakacji w Portugalii. Plecak, piknik w górach, butelka wina. Szczęśliwe dni.

Weszła Hanna. Od razu zauważył, że wymiana zamka ją uspokoiła. Złapała go za rękę i ścisnęła.

– Miałaś rację. Wygląda na to, że niewiele zginęło.

Hanna się wzdrygnęła.

– Zawsze coś – powiedziała po chwili. – To pewnie sprawka jakichś zdesperowanych narkomanów. Może wpadli w panikę?

Meijtens się rozejrzył.

Jeśli tak, to byli szalenie delikatni, pomyślał. Bo nic w mieszkaniu nie zostało zdewastowane, co – o ile się orientował – przy tego rodzaju włamaniach było raczej normą. Nagle przypomniał sobie głuche telefony, o których wspominała, ale nic nie powiedział.

– Tobbe, chyba jednak zostanę tu na noc sama. Skoro zamek został wymieniony... A ty jutro i tak musisz wcześniej wstać.

– Spokojnie, mam ze sobą wszystko, co potrzebne.

– To nie jest dobry pomysł. Postanowiliśmy się rozstać. Na jakiś czas. Nie mogę dzwonić do ciebie za każdym razem, kiedy się czegoś wystraszę.

Uśmiechnęła się niepewnie, jakby szukała w jego oczach zrozumienia.

Wzruszył ramionami.

– W porządku. Przejdę się po mieszkaniu i poczekam, aż Bulten skończy.

Starając się nie patrzeć na zdjęcie na regale, otworzył szafkę, w której przechowywali whisky i koniak od jej ojca. Obie butelki stały nienaruszone. Czuł, że Hanna przygląda mu się z drugiego końca pokoju. Miał wrażenie, że chce mu coś powiedzieć.

– To pudełko... – zaczęła i urwała.

Czekał cierpliwie.

– To pudełko z twoimi papierami, którego jeszcze nie zabrałeś. Pomyślałam, że może wzięłbyś je do redakcji. Mógłbyś to zrobić?

Najwyraźniej zauważyła, jak na nią patrzy, bo natychmiast dodała:

– Oczywiście nie w tej chwili, tak przy okazji... – Usiadła na kanapie i westchnęła. – To takie nieustające przypomnienie –

powiedziała.

Przypomnienie, pomyślał Meijens. O tym, że jesteście w separacji? Czy o mnie?

– Jasne – powiedział głośno. – Wpadnę w weekend.

Podszedł do pudełka, otworzył je. Właściwie nie zamierzał go zabierać do redakcji. Papiery dotyczyły głównie afery samorządowej, nad którą pracował w domu. Spojrzał na równo ułożone stare notesy. Każdy oznaczony datą. Hanna mówiła mu czasem, że gdyby w jego życiu panował porządek równie idealny jak w jego papierach, mógłby zejść daleko. Znów spojrzał na zawartość pudełka. Część dokumentów pewnie po prostu wyrzuci. Najstarsze zapiski zrobił w Berlinie i w pierwszym okresie pracy w „7Plus”. Sięgnął po notes leżący na samym wierzchu. „3 czerwca 1990–9 września 1990”, przeczytał. Sięgnął po następny. „15 kwietnia 1990–2 czerwca 1991”.

Spojrzał na porządnie ułożone notesy i nagle poczuł, że serce zaczyna mu bić mocniej. Były ułożone w niewłaściwej kolejności. Spojrzał na nie jeszcze raz. Pamiętał, że umieścił je grzbietami do góry, żeby było widać karteczki z datami. Teraz stały jeden obok drugiego, pewnie dlatego, że tak było łatwiej je ułożyć. Wiedział to z doświadczenia. Szczególnie gdy ktoś się spieszy.

Cofnął się i w zamyśleniu wpatrywał się w pudełko. Co mogło zainteresować włamywacza? Dlaczego po prostu nie wyrzucił zawartości na podłogę? Po co wyjmował wszystkie notesy po kolei, a potem odkładał na miejsce? Bardzo starannie. Tylko ktoś, kto przywiązuje dużą wagę do porządku, zauważyłby, że coś jest nie tak, że coś zakłóciło symetrię. A potem jeszcze zamknął pudełko. Miałby to zrobić złodziej, który nie zwrócił uwagi na kasetkę z kosztownościami Hanny i nie zainteresował się ich nowym telewizorem? Który nie tknął butelek z alkoholem? I zniknął, najdyskretniej, jak to możliwe.

W pudełku nie było nic, co mogłoby kogokolwiek zainteresować. Może z wyjątkiem dokumentów dotyczących Sjöhagego, ale to, co w nich było, zostało już opublikowane. Znów zerknął na pudełko. Tak, był pewien, że złodzieje niczego

nie zabrali.

W holu Hanna cierpliwie słuchała wynurzeń Bultena na temat smarów do hamulców rowerowych. Meijtens otworzył swoją torbę, do której przed wyjściem z domu pełen nadziei wrzucił zmianę bielizny i szczoteczkę do zębów. Był tam też notes i mały magnetofon. Rano miał go zabrać do Sandviken. Wziął do ręki notes, zaczął kartkować. Zerknął na napis: 10 września 1990 – ... W głowie kłębiły mu się najróżniejsze myśli, dotyczące spraw, których nie rozumiał. W końcu schował notes z powrotem do torby.

– Bulten, wymienisz też zamki u mnie? To znaczy jak tu skończysz.

– Jasne.

Bulten spojrział na niego uważnie, ale nie skomentował faktu, że Meijtens i Hanna najwyraźniej nie mieszkają już razem. To nie było w jego stylu.

MEIJTENS wypił kolejny łyk lurowatej kawy i wyjrzał przez okno. Firanki w paski pamiętały chyba jeszcze lata siedemdziesiąte. Po drugiej stronie widać było trzypiętrowy blok, równie szary i ponury jak ten, w którym się znajdował. Przyjął, że pewnie cała dzielnica powstała w latach pięćdziesiątych, żeby robotnicy z Sandviken mieli gdzie mieszkać.

Arvid i Lillemor Lindmanowie zajmowali niewielkie trzypokojowe mieszkanie, urządzone całkowicie bezosobowo. Koronkowe serwetki prosto z magła, ozdóbki ustawione w idealnym porządku. Erik Lindman skończył szkołę z najwyższymi ocenami, zawsze był żądny wiedzy, ale na półce w domu jego rodziców stało pięć książek. W tym Manifest komunistyczny i encyklopedia z serii Bra Böcker.

Arvid Lindman był szczupłym, drobnym mężczyzną. Chodził lekko zgarbiony, siwe włosy układały się na czubku głowy w wicherek. Jego żona też była szczupła. Na jej cienkich wargach błąkał się niepewny uśmiech. Włosy miała ściągnięte w węzeł.

– Może jeszcze kawy? – zaproponowała.

– Chętnie – odpowiedział Meijtens.

Był jej wdzięczny, że przerwała ciszę. Bo małżonkowie zdawali się nie mieć wiele do powiedzenia o swoim zaginionym synu. Nie powiedział im, że wyjeżdża, a potem nie mieli już od niego żadnych wiadomości. Nie mieli pojęcia, gdzie może być. Z dumą opowiadali o tym, jaki był zdolny, miły i radosny. Arvid Lindman najpierw długo milczał. Miał przed sobą całą stertę papierów, starych świadectw szkolnych Erika, wycinków prasowych, kopii różnych dokumentów. Od czasu do czasu nerwowym ruchem brał któryś do ręki. Chwilami Meijtens miał wrażenie, że starszy pan chce coś powiedzieć, ale on milczał.

Lindmanowie nie denerwowali się, że po raz kolejny muszą

odpowiadać na pytania dziennikarza. Meijtens opowiedział im tę samą historię, którą wcześniej przedstawił Sundströmowi. Rozmawiali dłuższą chwilę. Chciał zdobyć ich zaufanie, zanim zada najważniejsze pytanie.

– Prasa w pewnym momencie rozpisywała się o tym, że Erik być może wyjechał do Związku Radzieckiego. Co państwo o tym sądzą?

Starsi państwo milczeli. Pani Lindman spuściła wzrok i westchnęła.

– Pewnie nie było państwu łatwo o tym czytać.

Nagle Arvid Lindman wybuchnął.

– Okłamali go – wycedził przez zęby.

Meijtens przyjął jego wybuch ze zdziwieniem.

– Okłamali go, prześladowali go! Był dla nich za dobry, za inteligentny, i dlatego niebezpieczny.

Lindman zrobił się czerwony na twarzy, uniósł się nad stolikiem i znów zaczął czegoś szukać w papierach. Jego żona wyglądała przez okno. Parsknęła, niemal obrażona. Trudno powiedzieć, czy na tych, którzy kłamali w sprawie jej syna, czy na męża choleryka. Meijtens milczał. Był zaskoczony. I słusznie, bo Arvid Lindman po chwili znów zaczął mówić:

– Nie pozwolili mu zostać dyplomatą, łobuzy jedne! Tchórze! Wyrzucili go!

Meijtens uznał za stosowne wtrącić, że o ile mu wiadomo, Erik sam zrezygnował ze stażu w ministerstwie spraw zagranicznych.

– Ze stażu! – prychnął znów Arvid Lindman. – Miał dyplom z wyróżnieniem, najlepsze oceny, a oni dali go na staż! Gdyby nosił nazwisko Virgin albo Wallenberg, od razu zostałby ambasadorem! Dranie cholerne!

Meijtens uśmiechnął się niepewnie i zaczął coś notować. Arvid Lindman sięgnął po indeks syna, jakby chciał udowodnić jego kwalifikacje. Pani Lindman westchnęła i znów pokręciła głową. Raczej z powodu zachowania męża, a nie jego urojonych wrogów, pomyślał Meijtens.

– Kto powiedział, że Erik odszedł z ministerstwa na własne życzenie? – spytał Arvid Lindman, pokazując dyplom syna.

– Åke Sundström, jego przyjaciel z dzieciństwa – odparł Meijtens.

Miał nadzieję, że dawnego kolegę syna Lindman uzna za wiarygodne źródło. Niestety pomylił się. Lindman znów wybuchnął:

– Åke Sundström – parsknął, opluwając ładnie nakryty stolik. – Niech pan tu nie wymienia jego nazwiska. Wie pan, kim on dzisiaj jest? – grzmiał, grożąc palcem. – ABC i siedem razy siedem. Tym właśnie zajmuje się dzisiaj Åke Sundström – zakończył z triumfem.

Meijtens uświadomił sobie, że jest świadkiem skazanej na niepowodzenie walki starszego pana ze zbliżającym się szaleństwem.

– Nie jest wart nawet pyłku kurzu spod butów Erika! Powiem więcej, gdyby nie Erik, Åke rzuciłby szkołę w wieku dwunastu lat, a mając dwadzieścia pięć, byłby alkoholikiem, jak wszyscy faceci z jego przekłętej rodziny!

Lillemor Lindman siedziała bez słowa. Wykręcała nerwowo palce.

– Pewnie, nie musieli go wyrzucać – ciągnął jej mąż. – Wystarczy, że uprzykrzyli mu życie, jak socjaldemokraci mnie, kiedy działałem w związkach. Tacy ludzie jak ja czy Erik są niepotrzebni, trzeba się ich pozbyć.

Pani Lindman zaśmiała się cicho i pokręciła głową.

– Myśli pan, że wyjechał na Wschód? – spytał Meijtens. – „Odskoczył”?

Stary komunista wstał.

– Proszę nie używać tego słowa w moim domu. Ani w artykule. Erik nigdzie nie „odskoczył”. – Usiadł, przeciągnął ręką po włosach. Próbował okiełznać niesforne siwe kosmyki. – Po prostu pojechał tam, gdzie go doceniono i gdzie otrzymał stanowisko, na jakie zasłużył. Biurokraci ze Sztokholmu nie powinni narzekać. Mieli szansę, ale jej nie wykorzystali – dodał, odrzucając głowę do tyłu.

Dla Arvida Lindmana zimna wojna najwyraźniej sprowadzała się do walki o umysł jego syna. Zaczął układać na stoliku stare gazety, wycinki i różne dokumenty. Powstał z tego

dziwny pasjans: materiały propagandowe, kolorowe wycinki z „Wiadomości ze Związku Radzieckiego” zestawione z artykułami ze starych numerów pisma „Veritas”, obok fragmentów prac naukowych.

– Arvidzie, proszę – westchnęła Lillemor Lindman. – Wyjdziemy na durniów. Nie będę mogła się nigdzie pokazać. Przestań!

Ale Arvid Lindman dalej kładł swojego pasjansa.

– Nie, Lillemor. Niech świat się dowie. Niech wszyscy, którzy przez lata obgadywali naszego Erika, dowiedzą się, czego dokonał!

Drżącym palcem wskazał na artykuł z „Wiadomości ze Związku Radzieckiego”. Meijtens z grzeczności pochylił się nad wycinkiem i zaczął czytać o rekordowych zbiorach na Kaukazie, osiągniętych dzięki oparciu produkcji na dużych gospodarstwach. Po chwili podniósł głowę, dając do zrozumienia, że skończył, a w każdym razie że nie zamierza kontynuować lektury. Wtedy Lindman wskazał palcem na kilka kartek. Była to praca semestralna Erika, studenta uniwersytetu z Uppsali, zatytułowana: „Skutki działań państwa na rzecz racjonalizacji rolnictwa”.

Meijtens przerzucił pospiesznie tekst i stwierdził, że jest to zestawienie danych liczbowych, dotyczących prognozowanych zbiorów po kolektywizacji rolnictwa. Uniósł głowę i ze zdziwieniem spojrzał na starszego pana, który przyglądał mu się z uśmiechem. Jego żona siedziała z twarzą w dłoniach. Po chwili wszystko się powtórzyło. Arvid Lindman wskazał palcem na kolejny artykuł z „Wiadomości ze Związku Radzieckiego”. Tym razem o tournée teatru Bolszoi po Azji Centralnej, a następnie na artykuł, który jego syn opublikował w piśmie „Veritas”. Wskazywał na poszczególne słowa, zdania, i komentował je znaczącym „aha”! Meijtens nie zawsze potrafił dostrzec związek między jednym a drugim.

Lindman pochylił się do przodu, postukał palcem w stolik.

– Jest tam. Pracuje dla Rosji. Nie pozwolili mu zostać ambasadorem, bo nie był dla nich dość dobry. Więc teraz jest doradcą samego Biura Politycznego i buduje socjalizm.

Lillemor Lindman przestała wzdychać. Podniosła głowę i powiedziała spokojnie:

– Dosyć tego, Arvidzie. Ten pan nie napisze o tym w swoim artykule. Nie napisze, że Erik jest doradcą w Rosji, tylko pewnie że stary ojciec Erika zwariował.

Meijtens miał wrażenie, że kobieta mówi to w równym stopniu do nich obu. Zastanawiał się, jak przerwać starszemu panu ten surrealistyczny wywód. Nagle przypomniał sobie, co powiedział Sundström. O ostatniej rozmowie z Erikiem i zmianie, która w nim zaszła.

– Czy Erik nie zmienił swych przekonań tuż przed zniknięciem? – spytał. Pilnował, żeby tym razem nie odnieść się bezpośrednio do słów Sundströma.

Pani Lindman zaczęła coś mówić, ale mąż natychmiast jej przerwał.

– Pozostały niewzruszone – stwierdził. – Erik nie zmieniał zdania.

Zapadła nerwowa cisza. Po chwili pani Lindman znów zaczęła mówić, spokojnym, pewnym głosem. Jej mąż zerkał na nią zaniepokojony.

– Erik wpadł do nas kilka tygodni przed wyjazdem. Bardzo się ucieszyliśmy, bo rzadko nas odwiedzał. Przyjechał i prawdę mówiąc, sprawiał wrażenie...

– Równie przekonanego jak zawsze! – wtrącił się jej mąż, po czym zwrócił się już bezpośrednio do Meijtensa: – Erik był świetnie wykształcony i był dobrym towarzyszem. Czasem jednak przychodził do mnie po radę. Ja całe życie poświęciłem partii i też niejedno widziałem. Przyszedł więc do mnie i zaczęliśmy rozmawiać. Jak towarzysze. Zadał mi kilka pytań, odpowiedziałem mu na nie, rozwiąłem jego wątpliwości. – Nagle odwrócił się do żony. – Ty tego nie rozumiesz – powiedział wysokim głosem. – Ty i Sundström opowiadacie mieszczańskiej prasie różne brednie. Zresztą nigdy go nie rozumieliście. Tylko ze mną mógł być naprawdę szczerzy.

Pani Lindman westchnęła i pokręciła głową.

– Mam wrażenie, że już wystarczy – zwróciła się do Meijtensa.

Meijdens w milczeniu skinął głową. Arvid Lindman patrzył przed siebie pustym wzrokiem.

Zanim Meijdens wyszedł, obejrzał jeszcze dawny pokój Erika. Przez te wszystkie lata pozostał nietknięty. Porządnie posłane łóżko, poźółkle plakaty drużyn piłkarskich na ścianach. Na niewielkim biurku ołówek, gumka i linijka. Nagle usłyszał, że w salonie starszy pan zaczął płakać. Pomyślał, że chciałby, by się okazało, że Aron Bektashi jednak nie jest Erikiem, żeby Arvid Lindman nadal mógł wierzyć, że jego syn żyje i jest bezpieczny.

Mam nadzieję, że wylegujesz się gdzieś na Kubie, przyjacielu, pomyślał Meijdens. Z mojito w jednym ręku i cygarem w drugim, a całe Biuro Polityczne je ci z ręki. Bo Bóg mi świadkiem, że zasłużyłeś na coś lepszego.

*

W drodze na stację poczuł mdłości. Może to ta kawa? Zaczerpnął głęboko powietrza i przyspieszył. Ze stacji zadzwonił do redakcji. Po chwili usłyszał niski, dudniący głos Bertila Anderssona.

– Gdzie ty, do diabła, jesteś? Wszędzie cię szukamy!

Odpowiedział poirytowany, że pojechał do Sandviken porozmawiać z rodzicami Erika Lindmana.

– Jasne. A teraz wsiadaj w pociąg, bo zaraz idziemy do druku, więc i ty i Petrini macie co robić. Jest cała lista artykułów, pod którymi powinieneś postawić to swoje dziwne nazwisko. Jeśli jeszcze tego nie wiesz, to teraz się dowiesz, na czym polega ciężka praca.

Zapadła cisza.

– Racja, nie było cię ostatnio w redakcji, więc nie wiesz, co się stało – powiedział nagle Andersson. – Tilas potwierdził, że Aron Bektashi to Erik Lindman. Mamy to na wyłączność. Mam też błogosławieństwo Rydmana. Możemy zrobić wokół tego trochę szumu.

Meijdens przypomniał sobie mały chłopięcy pokój, z ołówkiem i linijką na biurku. I słowa Sundströma: Erik nie był przeciętnym człowiekiem, średniakiem, który po prostu stara się jak może, jak ty czy ja.

– Tilas jest tego pewien?

– Karta dentystryczna nie kłamie. Wieczorem skontaktuje się z jego rodzicami. Chce to zrobić osobiście. Pewnie policja poprosi, żeby go zidentyfikowali. To formalność. Mamy temat na wyłączność, więc nie spóźnij się na pociąg.

Meijtens zapewnił, że się nie spóźni.

– A poza tym gratuluję. Dobra robota, tylko teraz trzeba to wszystko napisać. A ty jesteś mi jeszcze winien felieton.

Rozłączył się.

Meijtens stał chwilę z telefonem przy uchu, a potem powoli opuścił rękę. Nagle zobaczył Lillemor Lindman, szła w jego stronę.

– Przepraszam za męża. Oboje bardzo przeżyliśmy zniknięcie Erika. Proszę nie pisać o tych wszystkich głupotach, o których mówił Arvid. O tym, że Erik jest w Rosji i doradza tamtejszym władzom.

Meijtens obiecał, chociaż miał świadomość, że to, co napisze, będzie stokroć gorsze. Starał się unikać jej spojrzenia.

– O czym wtedy rozmawiali? Erik i pani mąż? – spytał.

Pani Lindman westchnęła ciężko.

– O Związku Radzieckim. Jak zwykle. Z Arvidem nie da się rozmawiać o niczym innym. Zostawiłam ich samych, jak zwykle w takich sytuacjach, więc nie pamiętam szczegółów. Ale dyskusja była bardzo ożywiona. Pewnie dlatego potem tak bardzo przeżył jego zniknięcie.

– Co mu wtedy powiedział?

– Że jest intelektualistą. Rewizjonistą, który nie rozumie, na czym polega walka Związku Radzieckiego. To były ostatnie słowa Arvida do jedyne go syna, zanim zniknął.

Z TEGO, CO SIĘ WYDARZYŁO później, Meijters zapamiętał głównie chaos. Wszystko zaczęło się w chwili, gdy dwanaście godzin przed wysłaniem numeru do druku Bertil Andersson poinformował redakcję, że numer o Nowej Europie zastąpi seria artykułów autorstwa Natalie Petrini i Tobiasa Meijtersa.

Kroniką tygodnia miał się zająć Sölvebring.

– Telewizyjna primadonna i jej pomocnik dokonują zamachu w dniu, w którym numer idzie do druku, a nasz tak zwany szef na wszystko się zgadza.

Zarzut był niesprawiedliwy. Tego wieczoru Bertil Andersson zachowywał się jak kapitan statku podczas sztormu. Z rękami na sterze i twarzą wystawioną na wiatr prowadził redakcję przez wzburzone fale. Biegał między głównymi bohaterami dramatu i sprawdzał każdy szczegół, każdą uwagę.

W pewnym momencie krzyknął na całą redakcję:

– Dzwonił Tilas. Rodzice zostali powiadomieni, mamy wolną rękę.

Ktoś zauważył, że w takim razie rodzice są w lepszej sytuacji niż większość dziennikarzy w redakcji.

Meijters i Natalie nie byli świadomi narastającego napięcia. Siedzieli w skupieniu przed monitorami, wymieniali się notatkami, dyskutowali o wprowadzanych zmianach. Natalie wykreśliła z jego tekstu kilka niepotrzebnych zdań, on zaproponował, żeby dodała akapit do swojego artykułu.

– Jak dwaj pianiści, którzy dzielą się nutami, grają w duecie – wymamrotał Sölvebring, zajęty wycinaniem artykułów z dzienników z ubiegłego tygodnia.

Meijters postanowił zaufać Natalie. Pozwolił, żeby przeredagowała jego komentarz i wymieniła wszystkie fakty w ramce pod artykułem. Zrobił to częściowo ze względów taktycznych i z braku czasu, a częściowo dlatego, że zaczynał ją

podziwiać. Co jednak przyznawał dość niechętnie.

Dotarła do trzech listonoszy, którzy pamiętali swego zaginionego kolegę. Wspominali go w bardzo wzruszających słowach. Meijters miał nadzieję, że były to ich własne przemyślenia, że nie zasugerowała im ich Natalie. Poza tym udało jej się dotrzeć do dawnego szefa Lindmana z ministerstwa spraw zagranicznych, a także do kilku dokumentów mających związek z zaginionym dyplomata.

W jednym punkcie nie ustąpił. Natalie miała wątpliwości co do proponowanego przez niego zakończenia. W końcu jednak się z nim zgodziła. Szkic artykułu trafił w kompetentne i władcze ręce szefa. Meijters zerknął w stronę szklanej klatki i wypił łyk zimnej kawy. Kiedy Andersson wezwał ich do gabinetu, już po tonie jego głosu zorientowali się, że nie będzie łatwo.

Czekał na nich z artykułem w ręce. Odsunął go trochę od siebie, jakby bał się sparzyć.

– Mam nadzieję, że wiecie, że stąpacie po cienkim lodzie – oznajmił. – Jeśli twierdzicie, że Erik Lindman nie był szpiegiem, musicie mieć na to dowody. To, że przed wyjazdem zaczął wątpić w stalinizm, że bez podania powodu zrezygnował z pracy w ministerstwie spraw zagranicznych, i to, że pan adiunkt Meijters uważa, że Erik Lindman wybrał na miejsce pobytu niewłaściwe państwo, nie równoważy tego, przy czym wywiad upiera się już od niemal ćwierć wieku.

Meijters próbował coś wtrącić, ale szef natychmiast mu przerwał. Tym razem zastosował swoją najskuteczniejszą broń: łagodny sarkazm.

– Bo jednak może się zdarzyć, że nasz wywiad, przy wszystkich swoich brakach, może jednak wiedzieć coś, o czym spółka Meijters & Petrini nie wie. I jeśli wydaje wam się, że pozwolą, żeby dwoje nieopierzonych dziennikarzy z ledwie powstałej gazety kwestionowało istnienie jednego z niewielu szpiegów, jakich udało im się wykryć, może rzeczywiście trochę późno, ale jednak, to grubo się mylicie – powiedział, zerkając to na Meijtersa, to na Natalie. – Zjedzą nas żywcem, jeśli wystąpimy z czymś takim bez poważnych dowodów!

Meijtens wyjął z teczki kartkę.

– Prawdę mówiąc, mamy coś jeszcze. List pożegnalny Erika Lindmana. Do ministerstwa spraw zagranicznych.

Natalie znalazła go w teczce Lindmana, ale to Meijtens dostrzegł jego wagę. Potwierdzał bowiem to, co od początku podejrzewał. I na co zdawały się wskazywać również słowa Sundströma.

Zreferował treść listu Anderssonowi. Szef słuchał w napięciu.

– Właściwie nie ma w nim nic zaskakującego, poza tym że jest trochę przydługi i zadziwiająco pozytywny jak na wypowiedzenie pracy. Lindman chwali ministerstwo, wymienia nazwiska osób, którym jest wręcz wdzięczny. Najbardziej zadziwiające wydaje się jednak samo zakończenie.

Meijtens zawiesił głos. Andersson rzucił, że za trzy kwadransy numer idzie do druku, co trochę osłabiło efekt. Ale Meijtens postanowił i tak odczytać wybrany fragment:

„Dlatego, choć to dla mnie bolesne, muszę stwierdzić, że z powodów, na które nie mam wpływu, i bez związku z działalnością ministerstwa spraw zagranicznych i jego pracowników, czuję się zmuszony odejść z ministerstwa. Doszedłem bowiem do wniosku, że dzięki temu będę mógł lepiej służyć interesom Szwecji i niezależnej polityce zagranicznej naszego kraju”.

Andersson rozłożył ręce.

– I? Co z tego wynika? Poza tym że w dość pokretny sposób postanowił oznajmić, że postradał zmysły?

– Posłuchaj – powiedział Meijtens niemal błagalnie. – „Doszedłem do wniosku, że dzięki temu będę mógł lepiej służyć interesom Szwecji i niezależnej polityce zagranicznej naszego kraju”. Czy to nie brzmi dziwnie? Jakby chciał coś powiedzieć, nie mówiąc tego wprost.

Andersson już chciał to skomentować, ale powstrzymał się i spojrzął na Natalie. Stała kilka kroków za Meijtensem, oparta o szafkę z dokumentami.

– Natalie?

Kobieta zwilżyła usta i przeniosła ciężar ciała na drugą nogę.

– Tobias może mieć rację. Jest kilka rzeczy, które wydają się

przeczyć temu, że Lindman był szpiegiem.

Ale Andersson pozostał niewzruszony. Czyżby wyczuł ich wahanie?

– Przeceniacie tych ludzi. Oni nie dokonywali żadnych dogłębnych analiz. Nie zastanawiali się nad znaczeniem Boga czy Lenina, nie zależało im na niezależności małych państw. To była banda gówniarzy. Palili haszysz, podrywali dziewczyny kumpli, a potem spokojnie przejmowali rodzinne firmy.

Meijtens pokręcił głową.

– Mam wrażenie, że Erik Lindman był inny. I że to, co wiemy, stanowi tylko czubek góry lodowej.

– Ten list niczego nie zmienia – stwierdził Andersson spokojnie. – Nie macie nic, co by dowodziło, że nie był szpiegiem. Skupcie się na tym, co jest pewne. I pospieszcie się.

Meijtens chciał zaprotestować, ale Natalie pociągnęła go za rękaw, dając mu do zrozumienia, że to nie ma sensu.

Podsumowali swoje uwagi w kilku zdaniach. Nie tyle coś stwierdzali, ile zadawali pytania. Nawet wrażliwi na własnym punkcie pracownicy wywiadu nie mogli się poczuć dotknięci. Zwłaszcza po tym, jak Bertil Andersson wprowadził jeszcze kilka zmian, łągdując niektóre wnioski.

Kiedy numer poszedł do druku, siedzieli chwilę i czekali, aż ciśnienie spadnie. Meijtens nie potrafił zapomnieć o liście.

– Powinniśmy napisać, że był niewinny.

Natalie pokiwała głową, ale unikała jego wzroku.

– Tak. – Chwila ciszy. – Może.

Moment wahania. Słyszał je, kiedy Andersson zadał jej to pytanie. No i teraz też.

– Nie zgadzasz się?

Milczenie.

– Nie o to chodzi.

– A o co?

– To nie jest news. Newsem jest to, że wrócił, po tym jak przepadł gdzieś w Albanii. To, czy był szpiegiem, czy nie, zostawmy pokrytym kurzem historykom. – Nagle dotarło do niej, co powiedziała, i ugryzła się w język. – Sorry.

Meijtens nie zareagował. Pomyślał o Lillemor Lindman. I o

Sjöhagem.

Ale kiedy wyszedł z redakcji i stanął na ulicy, pozwalając, by nocne powietrze schłodziło mu rozpaloną twarz, wiedział, że to i tak będzie coś dużego. Miał tego pełną świadomość.

Gdzieś za plecami usłyszał, jak obcasy Natalie uderzają o chodnik. Pomachała do niego, nie odwracając się, i szybkim krokiem ruszyła w stronę parku, jakby się spieszyła na spotkanie. Wsiadł na rower i ruszył w kierunku mostu Vasabron. I nagle przypomniał sobie, że miał jej coś powiedzieć. Zawrócił i spojrzał przed siebie. Ale ona zdążyła już zniknąć.

CZEŚĆ DRUGA

Mieszkanie przy Tegnérlunden

17

KIEDY USŁYSZAŁA wiadomość w radiu, od razu wiedziała, że ten okropny policjant wkrótce znów do niej zadzwoni. Ubrała się i zeszła na dół, żeby w kiosku na rogu kupić gazetę, a potem szybko wróciła do domu, by w spokoju przeczytać artykuł. Nareszcie zrozumiała, kto do niej dzwonił i zostawił wiadomość, chociaż nadal nie pojmowała dlaczego. Kiedy się zastanawiała, czy powinna powiedzieć o tym policji, zadzwonił telefon. Inspektor Tilas nadal nalegał, a ona nadal upierała się przy swoim.

Nie, nigdy nie spotkała owego Erika Lindmana. Przecież powiedziała mu poprzednim razem, kiedy pokazał jej zdjęcie.

Tak, chyba sobie przypomina, że coś o nim pisano.

Nie, nadal nie ma pojęcia, dlaczego Erik Lindman miał w kieszeni palta kartkę z jej numerem telefonu.

Tak, jest pewna, że jej mąż też go nie znał.

To wszystko była prawda. Może nie do końca, ale wierzyła, że on tego nie zauważy. W głębi jej duszy szalała jednak burza. I wtedy inspektor Tilas powiedział coś, co przesądziło sprawę:

– Rozumiem, że Erik Lindman nigdy się nie odezwał, żeby wspominać dawne czasy.

– Jak już mówiłam, nie znaliśmy się. Nie było czego wspominać – odparła. Starła się panować nad sobą. – Nie sądzę, żebym miała coś więcej do dodania. Do widzenia.

Odłożyła słuchawkę.

Nareszcie mogła sobie zaparzyć pierwszą filiżankę kawy. Tak jak robią ludzie, którzy mają dużo czasu. Powinna była

wspomnieć o krótkiej wiadomości, którą zostawił jej ktoś, kto według niej mógł być Erikiem Lindmanem? Albo o anonimowym telefonie sprzed lat, prawdopodobnie od tego samego człowieka? Parsknęła głośno.

– Nie, panie policjancie. Już prędzej zabiorę to ze sobą do grobu – wymamrotała sama do siebie i jak miała w zwyczaju, zabrała się za mycie filiżanki.

*

Meijtens obudził się dokładnie wtedy, kiedy zaczynało się „Echo dnia”. Najpierw poinformowano o spadkach na giełdzie, a zaraz potem zaczęto mówić o Eriku Lindmanie. Powoływano się na artykuł z „7Plus”. Andersson przesłał informację do prasy, jak tylko numer poszedł do druku. Najwyraźniej okazało się to skuteczne. Meijtens podszedł do drzwi po poranne gazety.

Obie piwały o Lindmanie. Macierzysty dziennik „7Plus” zamieścił adnotację w lewym górnym rogu na pierwszej stronie, a na ósmej dłuższą notatkę autorstwa Natalie.

Przeczytał wszystko, uśmiechając się pod nosem. Włączył ekspres do kawy i zaczął kartkować drugą poranną gazetę. Nagle przeszył go zimny dreszcz. Jego uwagę przykuła notatka wciśnięta między rubrykę sportową a wiadomości, tam, gdzie zwykle zamieszczano artykuły o tematyce społecznej.

Nalał sobie kawy i zaczął powoli czytać. Artykuł był świetnie napisany, poruszający. W zasadzie to nie był artykuł – to był wywiad. Nie miał mu nic do zarzucenia. Ale za każdym razem, kiedy zerkał na tytuł, jego twarz wykrzywił mimowolny grymas. „Te artykuły popchnęły mojego męża do samobójstwa”. I zdjęcie wdowy po Sjöhemem.

Nie sądził, żeby ktokolwiek z redakcji miał to skomentować. Głównym tematem rozmów będzie zapewne ostatni numer „7Plus”. Andersson poklepie go po plecach, powie, że to stare dzieje i że nikt już o tym nie pamięta. I doda, żeby się cieszył swoim sukcesem i patrzył w przód.

Meijtens postanowił na razie nie myśleć o redakcji, tylko iść popływać.

*

Zanurzając się w basenie, nadal się zastanawiał, dlaczego żadna z gazet nie skomentowała tego, co Andersson kazał im ścisnąć do kilku linijek i zamieścić w ramce pod właściwym artykułem. Chodziło o stwierdzenie, że jest mało prawdopodobne, żeby Erik Lindman był szpiegiem pracującym dla Związku Radzieckiego. Żaden z dzienników nie podjął tematu.

Po raz kolejny próbował sobie przypomnieć, co mu powiedział bezdomny. W końcu doszedł do wniosku, że pewnie nic ważnego. To, że powiązał to z włamaniem do mieszkania Hanny, było zapewne winą jego nieco wybujałej wyobraźni. Ale pytania nie dawały mu spokoju. Dlaczego Erik Lindman poszedł na Erstaterrasen? Jak wróć, wszystko ci wytłumaczę. Przypieszyl.

Kiedy wszedł do sauny, czuł wysiłek w mięśniach. Już dawno nie pływał tak ostro. Dwóch starszych panów, najwyraźniej zaprzyjaźnionych ze sobą stałych bywalców basenu, dyskutowało o najnowszych wydarzeniach. Meijtens przysłuchiwał się im lekko ubawiony. Nagle ze zdziwieniem usłyszał, że rozmawiają o Lindmanie. Jeden przedstawiał drugiemu skróconą, ale dokładną wersję wydarzeń, chociaż z rozmowy wynikało, że obaj czytali artykuł. Potem chwilę milczeli. Polewali agregat wodą.

– Prawdę mówiąc, trudno w to uwierzyć – odezwał się w końcu jeden z nich.

– W co?

– Że ktoś może w taki sposób zdradzić swój kraj.

Drugi ze smutkiem pokiwał głową.

– Tak, to cholernie przykre.

Meijtens się nie odezwał. Po prostu wstał i wyszedł. Postanowił przepłynąć jeszcze kilka długości basenu.

*

Wiadomości telewizyjne na pierwszym miejscu informowały o dyskusji w łonie rządu o sprawach związanych z energią

jądrową. Zaraz potem podano informację o Eriku Lindmanie. Meijdens zrobił głośniej.

„Mężczyzna, którego tydzień temu znaleziono na nabrzeżu, to podejrzany o szpiegostwo Erik Lindman, który w 1965 roku zaginął bez śladu. Wiele wydaje się wskazywać na to, że Lindman ukrywał się w Albanii, a teraz wrócił do Szwecji z albańskim paszportem i nową tożsamością”.

Następnie przedstawiono życiorys Lindmana, ilustrując go starymi wycinkami prasowymi z lat sześćdziesiątych i cytatami z artykułów „7Plus”. Potem prowadzący oddał głos redakcyjnemu komentatorowi, mężczyźnie w średnim wieku, o rzadkich, przyprószonych siwizną włosach.

– Zapewne służba bezpieczeństwa będzie teraz mogła z dużym zadowoleniem potwierdzić wcześniejsze domniemania, że podejrzany o szpiegostwo Erik Lindman przez te wszystkie lata przebywał w którymś z krajów Europy Wschodniej. Po latach spekulacji sprawa zwerbowania szpiega na uniwersytecie w Uppsali na początku lat sześćdziesiątych będzie w końcu mogła zostać zamknięta. Działania Lindmana prawdopodobnie nie wyrządziły naszemu krajowi większych szkód, ponieważ w wyniku prowadzonego przeciwko niemu dochodzenia bardzo szybko zakończył służbę w ministerstwie spraw zagranicznych.

Meijdens pokręcił głową.

Prowadzącemu program udało się zadać komentatorowi pytanie:

– Nie dziwi pana, że Erik Lindman wyjechał właśnie do Albanii i że został obywatelem tego kraju?

– No właśnie – mruknął Meijdens pod nosem.

– Właściwie nie. To dość powszechne, że uciekinier otrzymuje nową tożsamość. Szczególnie gdy ucieczka, jak w tym przypadku, jest utrzymywana w tajemnicy.

Meijdens wstał z krzesła. Założył ręce za głowę i wpatrywał się w ekran, jakby się przyglądał nieudanemu karnemu podczas meczu piłki nożnej.

– A co z pierwszą częścią pytania, człowieku? Wróć do niej! – podpowiadał głośno prowadzącemu.

Ten jakby czytał w jego myślach. Ponowił pytanie.

– Nie wiemy jeszcze, jak to się stało, że Erik Lindman trafił do Albanii, a skoro nie żyje, pewnie nigdy się tego nie dowiemy. Należy jednak pamiętać, że od jego wyjazdu ze Szwecji minęło dwadzieścia pięć lat i wiele mogło się w tym czasie wydarzyć.

Meijdens jęknął.

– Co o śmierci Lindmana mówi policja? Czy aby na pewno był to nieszczęśliwy wypadek?

– Oczywiście nie można też wykluczyć samobójstwa. Nikt nie wie, co czuł, wracając tu po tylu latach. Może bał się reakcji przyjaciół, mediów, o rządzie nie wspominając. Proszę pamiętać, że popełnił ciężkie przestępstwo, nawet jeśli miało miejsce ćwierć wieku temu.

Prowadzący przeszedł do kolejnych wiadomości, Meijdens wyłączył telewizor. Siedział zamyślony w fotelu z pilotem w rękę. Zarówno wstawka, jak i wypowiedzi komentatora bazowały na jego artykułach.

Powinien był dobitniej podkreślić, że Erik Lindman nie był szpiegiem. Nie powinien się zgodzić na poprawki szefa, który jego najważniejsze pytanie umieścił w niewielkiej ramce pod właściwym artykułem. Nagle przypomniał sobie pokój muzeum w mieszkaniu rodziców Lindmana. Pomyślał, że teraz będą wszystko przeżywać od nowa.

Gdyby nie ulewny deszcz, pewnie wybrałby się na rower, żeby przewietrzyć głowę. Ponieważ jednak padało, został w domu i otworzył butelkę taniego hiszpańskiego wina, które jeden z bywalców Možels Bar ochrzcił Parafino. Potem nie potrafił powiedzieć, jak długo tak siedział, patrząc przez okno, słuchając deszczu i próbując zebrać myśli.

Wzdrygnął się, kiedy usłyszał dzwonek do drzwi. Pomyślał, że to któryś z sąsiadów w sprawie klucza do pralni albo świadkowie Jehowy. Otworzył drzwi i ze zdziwieniem stwierdził, że w progu stoi Natalie.

– Dlaczego nie odbierasz telefonów?

Płaszcz miała przemoczony, mokre włosy kleiły jej się do twarzy. Powiedział, że go wyłączył. Twarz Natalie wykrzywił

grymas, ale w mroku klatki schodowej nie potrafił go dobrze odczytać.

– Wpuścisz mnie czy jesteś zajęty? – Roześmiała się.

Meijtens otworzył szeroko drzwi.

– Wejdz, proszę.

Pomógł jej zdjąć płaszcz, przyniósł ręcznik i narzucił szkocki pled na jedyny w mieszkaniu fotel.

– Bertil zastanawiał się, co się z tobą dzieje. Ale ci wybaczył.

– Doprawdy? Wina?

Natalie skinęła głową.

– Prawdę mówiąc, na początku też się trochę dziwiłam, ale domyślałam się, o co chodzi.

Utkwiła wzrok w gazecie, nadal otwartej na stronie z wywiadem z żoną Sjöhagego. Meijtens sięgnął po czysty kieliszek.

– Musisz się od tego uwolnić. To nie twoja wina – powiedziała z powagą. Meijtens przypomniał sobie program, który prowadziła w telewizji, ale nic nie powiedział, tylko nalał jej wina.

– Moim zdaniem ten wywiad jest trochę historyczny – stwierdziła Natalie.

Meijtens pokręcił powoli głową.

– Ona ma rację. I właśnie to jest najgorsze. Wszystko, co mówi, to prawda. On nie był karierowiczem. Był do bólu lojalny i miał kompleks Jezusa.

Przypomniał sobie cytat z Biblii i na chwilę zamknął oczy.

– W porządku. Nie był łajdakiem, co nie znaczy, że twojemu artykułowi można coś zarzucić. Napisałeś to, co ci powiedział. Po prostu. Koniec kropka.

Wypiła łyk wina, skrzywiła się.

– Herbaty?

Skinęła głową.

– Wiesz, że pewnie nikt nie rozumie cię lepiej ode mnie.

– Mam tylko taką – powiedział, wskazując na pudełko z herbatą jaśminową.

Natalie zaczęła coś mówić, ale przerwał jej:

– Oglądałaś „Wiadomości”?

Uśmiechnęła się tajemniczo i skinęła głową.

– To stek bzdur! Facet nic nie zrozumiał. – Natalie się roześmiała. – Nazywają go Prawda, bo jego analizy zawsze się zgadzają z oficjalną polityką rządu. Obojętne jakiego.

– Ale skąd on czerpie te informacje? Ma źródło w tajnych służbach?

– Zapewne, ale nie tylko. – Natalie poprawiła ręcznik na głowie. – Wie także ode mnie – dodała.

Meijters spojrzał na nią zdziwiony.

– Od ciebie?

– Tak – rzuciła obojętnie.

– Mówiłaś, że nie wierzysz, żeby był szpiegiem. Miałaś tylko wątpliwości, czy można to uznać za news.

Odwrócił się i włączył czajnik. Natalie milczała.

– Nie powinnaś była najpierw porozmawiać ze mną?

– Nie było cię tam.

Stał tyłem do niej, więc nie widział, że wzruszyła ramionami, ale niemal słyszał to w jej głosie.

– Nie przykładaj do tego zbyt dużej wagi. Miał już oficjalną wykładnię. Chciał tylko wiedzieć, co znaczyło pytanie w ramce pod artykułem, jak to określił. Uspokoiliam go, że to bez znaczenia, żeby mógł dalej ciągnąć swoją szpiegowską historię. I tyle.

– Ale dlaczego? – Meijters odwrócił się i podał jej filiżankę herbaty.

Wzięła ją, poprawiła się w fotelu, podkuliła nogi.

– Skieruje uwagę w niewłaściwą stronę, a to da nam trochę czasu.

– Na co?

– Na dowiedzenie, że Erik Lindman był niewinny.

Meijters poprawił leżącą na stoliku stertę papierów.

– Powiedziałaś, że to żaden news.

Natalie zdjęła z głowy ręcznik i potrząsnęła włosami.

– Wiesz, że news to coś, co próbuje się utrzymać w tajemnicy. To prawda, że na początku odnosiłam się do twoich teorii trochę sceptycznie. Ale najwyraźniej są ludzie, którym bardzo zależy, żeby podtrzymać wersję o winie Lindmana. Tak

bardzo, że przekazali Prawdzie to, co chcieli, tego samego dnia, kiedy ukazały się nasze artykuły. Tego samego dnia!

– Więc chcesz dalej nad tym pracować? To usiłujesz mi powiedzieć?

Natalie przeciągnęła ręką po mokrych włosach.

– Uznałam, że najpierw powinnam spytać o to ciebie. To ty wpadłeś na ten trop. Poza tym jest jeszcze sporo szczegółów, które trzeba będzie...

– Ja, czyli ten zakurzony historyk?

Roześmiała się.

– Mam nadzieję, że się nie obraziłeś.

Wiedział, że Bertil Andersson raczej nie pozwoli mu ciągnąć sprawy w pojedynkę. A ona? Co tak naprawdę chodziło jej po głowie? Chciała powiedzieć, że jeśli się nie zgodzi, sama przejmie temat?

Natalie najwyraźniej czytała w jego myślach, bo nagle się roześmiała.

– Co ty na to, Meijtnens? Działamy razem?

Zadzwoił telefon, posłał jej zdziwione spojrzenie.

– Włączyłam – wyjaśniła spokojnie. – Uznałam, że to głupie mieć wyłączony telefon.

Meijtnens odebrał i usłyszał znajomy głos.

– A więc pan Meijtnens nadal żyje. Cały dzień wydzwaniam, bez skutku. Jakby cię ziemia pochłonięła. Czy jest jakaś możliwość skontaktowania się z moim ulubionym studentem? Inna niż przez artykuły w gazecie? – Jakub nie był w stanie ukryć podniecenia. Mówił szybko, z wyraźnym słowiańskim akcentem: – Posłuchaj. Janka zabrała się za generalne porządki, a ja mam kilka spraw, które chciałbym z tobą przedyskutować. Może więc zaszalejemy i wybierzemy się na kolację? Tam gdzie zawsze.

Meijtnens zerknął na Natalie. Siedziała przy stole i przeglądała zebrane przez niego materiały o Lindmanie. Wyraźnie wypatrywała czegoś interesującego. Z irytacją zauważył, że odkłada kartki nie na tę kupkę, na którą powinna.

– Mogę zabrać ze sobą koleżankę po fachu? – spytał.

MEIJTENS SPRÓBOWAŁ WINA, które Jakub wybrał, i poczuł, jak ciepło wraca mu na policzki. Na dworze wiał zimny wiatr, ale tu, w restauracji, chroniła ich od chłodu drewniana boazeria i wiszące na ścianach tarcze z herbami. Przychodzili tu, kiedy chcieli coś uczcić. Ze względu na wystrój i kuchnię, ciężką, typowo środkowoeuropejską. To jedyne miejsce, gdzie nie zmuszają człowieka do jedzenia sałaty, twierdził Jakub.

Jakub już po raz trzeci wznosił toast za – jak to określił – ich dziennikarski strzał w dziesiątkę. Wieczór okazał się udany, chociaż początkowo Meijtnens trochę się denerwował. Jakub bywał nieprzewidywalny, a Natalie była, jaka była.

Ale tego wieczoru poznał ją od zupełnie innej strony. Owinęła sobie starszego pana wokół palca, jakby był watą na patyku. Pytania, które zadawała, wyraźnie mu schlebiały. Uwodziła go uśmiechem, a kiedy nachyliła się nad stołem i położyła rękę na jego dłoni, Jakub sprawiał wrażenie, jakby w ogóle zapomniał o obecności Meijtnensa.

Ku jego zdziwieniu starszy pan wydawał się zachwycony, że siedzi przy jednym stoliku z gwiazdą telewizji. Na ogół złorzeczył na wszystkie programy telewizyjne, chociaż Meijtnens wiedział, że tak naprawdę pilnie je wszystkie ogląda.

Zjadł ostatnią łyżkę zupy z kasztanów, odłożył łyżkę i zerkając to na Meijtnensa, to na Natalie, uśmiechnął się szeroko:

– A teraz chciałbym usłyszeć, jak wpadliście na trop tej historii.

Opowiedzieli mu po kolei o tym, co się działo w ostatnich dniach. Słuchał zafascynowany. Od czasu do czasu zadawał bardziej szczegółowe pytania. Widać było, że uważnie przeczytał wszystkie ich artykuły. Kiedy mówiła Natalie, słuchał jej w takim skupieniu, że można było odnieść wrażenie, iż bezgłośnie powtarza każde zdanie.

W pewnym momencie spytał, czy oglądali „Wiadomości”, a Natalie uraczyła go anegdotką o Prawdzie. Jakub zaśmiewał się oczarowany. Meijtns nie zdradził, że niektóre informacje dostarczyła Prawdzie sama Natalie.

Jakub przekonywał ich, że nie należy się przejmować tym, że artykuł został okrojony, ani bzdurami wygłaszanymi w telewizji.

– Durniów nikt nie przekona. A każdy, kto ma trochę oleju w głowie, bez problemu zrozumie, o co wam chodzi.

Jakub, który ze wszystkich akademickich dyskusji wychodził pokonany, wykształcił własny mechanizm obronny. Meijtns zaczął się zastanawiać, czy nie dlatego właśnie od niego odszedł. Miał dosyć przelykania kolejnych porażek i tłumaczenia ich tym, że wszyscy wokół to kretyni.

– Chciałem, żeby było napisane czarno na białym, że jest niewinny – powiedział Meijtns.

Jakub nagle posmutniał.

– Nie zawsze można postawić na swoim, Tobiasie. Czasem musi nam wystarczyć świadomość, że mamy rację.

– Ale dlaczego służby bezpieczeństwa wydają się tak pewne swego? – dopytywała się Natalie.

– Życie nauczyło mnie nie ufać za bardzo służbom bezpieczeństwa. Uważam, że należy kwestionować zarówno ich motyw, jak i kompetencje – powiedział Jakub, zerkając na nią. Uśmiechnęła się do niego.

Meijtns uświadomił sobie, że w twarzy Jakuba zawsze można było czytać jak w otwartej książce. Kiedy był młodym człowiekiem, z entuzjazmu do nowej Czechosłowacji wstąpił do partii komunistycznej. Ale jego entuzjazm dość szybko osłabł i kiedy nadarzyła się okazja, po jakimś kongresie po prostu został w Szwecji. Zachował jednak wiarę w demokratyczny socjalizm, a kiedy nastąpiła wiosna, wrócił do ojczyzny.

Jego nadzieja umarła dopiero wtedy, gdy pewnego ranka zobaczył na ulicach swojej ukochanej Pragi radzieckie czołgi. Szwedzki paszport uratował go przed internowaniem, ale nie uchronił przed trwającymi wiele tygodni przesłuchaniami. Nigdy do tego nie wracał. Po powrocie do Szwecji poświęcił się

całkowicie badaniom naukowym. Porzucił socjalizm, tym razem już na zawsze. Przyzwoity człowiek może być tylko cynikiem, mawiał.

– Jeśli nie był szpiegiem, dlaczego został w Albanii? – spytała Natalie.

Jakub wpatrywał się uważnie w kieliszek z winem.

– Mogę wam przedstawić własną teorię, jeśli oczywiście zechcecie mnie wysłuchać.

Cierpliwie czekał, aż wyrażą zgodę.

– A więc założmy na początek, że Erik Lindman pojechał do Albanii już w 1965 roku. Tego jeszcze nie wiemy na pewno, ale uważam, że to bardzo prawdopodobne. Jak wspomnieliście w artykułach, Albania była wtedy krajem odizolowanym od reszty świata.

Zaczął opowiadać o paranoi na punkcie radzieckich agentów, o brakach na rynku. Podkreślał, że jedynym kontaktem Albanii ze światem zewnętrznym byli nieliczni chińscy doradcy.

– Zapewne przybył tam na jakieś spotkanie polityczne, które zapewne odbywało się w największej tajemnicy. Inaczej w ogóle by go nie wpuszczono. Musieli to zaaranżować tak, żeby potem nikt w jego ojczyźnie niczemu się nie dziwił. Tak więc Lindman przybywa do Tirany incognito, z powodów, które pozostaną dla nas tajemnicą. – Zrobił krótką przerwę. Meijtens zauważył, że choć cały czas mówił, zdążył w tym czasie zjeść drugie danie. Spojrzał ze smutkiem na pusty talerz, a potem wrócił do przerwanej wątku: – Spróbujcie sobie wyobrazić reakcję jego albańskich gospodarzy, gdy szwedzkie gazety zaczęły się rozpisywać o jego zaginięciu. Skoro to robią, niewykluczone, że Erik Lindman naprawdę jest radzieckim szpiegiem. W takim wypadku nie chciałbym być na jego miejscu. Za żadne skarby, za całe piwo Pilzna – zarzekął się. – Właściwie to nic dziwnego, że postanowił pojechać do Albanii w tajemnicy przed wszystkimi – dodał po chwili. – Biorąc pod uwagę podejrzliwość Albańczyków i napiętą sytuację międzynarodową, na pewno chciano zachować jak najdalej idącą dyskrecję.

Przerwał i po długiej i wyczerpującej dyskusji z kelnerem

zamówił deser. Natalie i Meijtns zadowolili się kawą. Rozmawiali chwilę o wszystkim i o niczym, ale kiedy tylko kelner się oddalił, Jakub natychmiast wrócił do opowieści:

– A jednak zrobiło się zamieszanie. To było najgorsze, co mogło mu się przytrafić. Obawiam się, że odpowiedź na pytanie, dlaczego nie wrócił, jest prosta: Albańczycy mu nie pozwolili. I nie chodziło tylko o to, że młody Szwed mógł mieć kontakty z Moskwą. Podejrzewam, że pierwotnie planowano, że wróci na Zachód równie dyskretnie, jak przyjechał do Albanii.

Kelner podał kawę i zamówiony przez Jakuba deser. Tym razem Jakub nie przerwał wywodu.

– W Szwecji zrobił się szum. Gdyby Lindman wrócił, musiałyby się gęsto tłumaczyć. Gdzie był, dlaczego tam pojechał, i tak dalej. Nie sądzę, żeby władzom w Tiranie zależało na tego rodzaju rozgłosie i na problemach, które w związku z tym mogły powstać. – Zamilkł na chwilę i po raz kolejny pokręcił głową. – Może przemawia przede mną własne doświadczenie uciekiniera. Może dlatego tam, gdzie inni widzą przypadek albo zrządzenie losu, ja dopatruję się spisku i intryg. Ale nie mogę nie zadać pytania: dlaczego? Co było powodem tego zamieszania? Dlaczego rozpętała się burza? Skąd to nagłe zainteresowanie młodym mężczyzną, któremu do tej pory pozwalano mieć takie poglądy, jakie miał? Skąd się wzięły pogłoski o jego rzekomej pracy na rzecz Związku Radzieckiego? Które, jak już teraz wiemy, okazały się fałszywe. A może ktoś wręcz miał interes w tym, żeby Erik Lindman został w Albanii, uwięziony przez paranoicznych gospodarzy? Ta myśl nie daje mi spokoju.

Przy stoliku zapadła cisza. Po chwili Meijtns i Natalie zaczęli się zastanawiać, jak mogliby się dowiedzieć, co się działo z Lindmanem w Albanii. I czy to w ogóle możliwe. Jakub słuchał ich, wyskrobując dokładnie łyżeczką resztki crème brûlée. Kiedy skończył, odsunął talerzyk i delikatnie, ale bardzo dokładnie otarł usta.

– Nie wiem, czy zechcecie wysłuchać rady starego, zmęczonego życiem docenta – powiedział łagodnie.

Oboje uznali pytanie za retoryczne i cierpliwie czekali na dalszy ciąg. Byli już w restauracji sami. Podszedł kelner. Spytał, czy są zadowoleni i czy wszystko im smakowało. Jakub zapewnił, że jak najbardziej, po czym przekonał Meijtensa i Natalie, żeby zamówili po kieliszku koniaku. Najwyraźniej jeszcze coś leżało mu na wątrobie.

– Mam wrażenie, że odpowiedzi na większość waszych pytań należy szukać w jego przeszłości. Co mówił przyjaciółom zanim zniknął? Znajomym, z którymi mógł rozmawiać bardziej otwarcie niż z przyjacielem z dzieciństwa?

Kelner podszedł z koniakiem i rachunkiem. Zapewne było to wbrew ogólnie przyjętym zasadom.

– Nie jestem pewien, czy jego znajomi zechcą z nami rozmawiać – rzucił Meijtens, mając w pamięci to, co powiedział Sundström.

– Wydaje mi się, że będę mógł wam pomóc, chociaż przyznaję, że zrobię to niezbyt chętnie – wtrącił Jakub, krzywiąc się lekko. – Jak wiesz, Tobiasie, podczas pierwszego pobytu w Szwecji pozostałem wierny swoim poglądom. Przez pewien czas poruszałem się nawet na obrzeżach środowiska związanego z pismem „Veritas”. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek spotkał Erika Lindmana, ale chyba będę mógł wam kilka ciekawych rzeczy powiedzieć. I podać jedno nazwisko. – Wziął do ręki kieliszek z koniakiem i zaczął go obracać. – W tym okresie „Veristas” było jeszcze otwarte dla wszystkich lewicowych studentów: radykalnych socjaldemokratów, komunistów, a nawet liberałów. Naprawdę tak było, chociaż kontrolę nad pismem sprawowała partia komunistyczna. To był świetny sposób rekrutacji nowych członków, ale nie tylko. Każdy, kto mógł zrobić coś dla partii, nawet nie będąc jej członkiem, był mile widziany. Pożyteczny kretyń, jak ja. Tak więc na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych partia komunistyczna, wówczas wierna Moskwie, praktycznie sprawowała władzę nad pismem, chociaż starała się to robić dyskretnie. A dbał o to Johan Rooth. Docent socjologii, późniejszy członek parlamentu, dziennikarz. Udało mu się połączyć dwie najpoważniejsze, zdawać by się mogło

niemożliwe do połączenia, przywary naszych czasów, mianowicie akademicki snobizm z proletariackim romantyzmem. Podobno nie były to jego jedyne wady – dodał z przekąsem. – Tak czy inaczej „Veritas” było jego dzieckiem. Chociaż należał do trochę starszego pokolenia, miał duży wpływ na skupionych wokół pisma młodych ludzi. Był ich arcykapłanem, obrońcą i przyjacielem. Z ich szeregów werbował przyszłych członków partii i zapewne nie tylko. – Zamilkł i wypił ostatnie krople koniaku. – To z nim przede wszystkim powinniście porozmawiać.

Nagle się skulił. Po czym zwrócił się bezpośrednio do Meijtensa, jakby rozmowa z Natalie o tych sprawach była dla niego zbyt bolesna:

– Wiesz, że nigdy nie czułem goryczy, już taki jestem. Ale moje wspomnienia z pierwszego pobytu w Szwecji nie są przyjemne. W tych kręgach nigdy nie byłem mile widziany, chociaż wiem, że sam jestem sobie winien. Byłem naiwny. Nie mam pretensji do młodych ludzi, którzy dali się porwać ideologii, która mojemu krajowi i mnie osobiście przysporzyła tyle cierpienia. Jak to możliwe? Cóż, sam też przez chwilę w tym uczestniczyłem, chociaż w innych okolicznościach. Więc nawet jeśli pobudki tych młodych ludzi wydają mi się naiwne, ani nimi nie gardzę, ani nie jestem na nich zły. Ale Johan Rooth to zupełnie inna historia.

Restauracja opustoszała. Pracownicy zaczęli demonstracyjnie gasić światła. Jakub spojrzał Meijtensowi w oczy i dodał cicho:

– Bo Johan Rooth to człowiek wyjątkowo nieprzyjemny.

SVEN GÖRAN FAHLÉN, nie wypuszczając z dłoni telefonu, dawał Tilasowi znaki, żeby do niego podszedł. Inspektor zatrzymał się, ale w końcu wszedł do pokoju. Fahlén nadal rozmawiał przez telefon. Nie zwracał na niego uwagi. Nagle Tilas uświadomił sobie, że jego szef z pewnością jest o dobrych piętnaście lat od niego młodszy. Zdjęcia na biurku potwierdzały to przypuszczenie. Dzieci w wieku szkolnym i młoda żona z takim samym szerokim uśmiechem, jaki zawsze prezentował Fahlén. Nowi szefowie na nowe czasy, pomyślał.

Kiedy Fahlén wreszcie skończył rozmawiać, odwrócił się do Tilasa i obdarzył go promiennym uśmiechem. Położył dłonie na biurku, jakby za chwilę zamierzał wznieść się w powietrze, ale najwyraźniej był to jedynie gest, mający symbolizować witalność i władzę. Nadal siedział na krześle i nadal się uśmiechał.

– Mam tu twoje sprawozdanie.

Sięgnął po dokument i z entuzjazmem uniósł go nad głowę. Tilas odnotował, że nie powiedział, że go przeczytał.

– Niezła robota. Z pomocą czwartej władzy. – Fahlén promieniał. – W każdym razie cieszę się, że mamy to już za sobą.

Stąd to nagłe spotkanie, pomyślał Tilas.

– Tak chyba nie brzmiała zawarta w raporcie rekomendacja – powiedział głośno.

Fahlén odchylił się do tyłu i zaczął uderzać palcami w podłokietniki.

– Spotkałem się z kolegami z bezpieczeństwa. Ostatnio coraz częściej nam się to zdarza. Reorganizacja. – Uśmiechnął się, a Tilas zaczął się zastanawiać dlaczego. Reorganizacja. Co to niby miało oznaczać?

– Muszę ci powiedzieć, że nasi koledzy nie są zachwyceni

sposobem, w jaki przedstawiono sprawę w „7Plus”. Uważają, że te artykuły narobiły niepotrzebnego zamieszania. I prawdę mówiąc, rozumiem ich.

Tilas wzruszył ramionami.

– Nikt inny chyba nie przyjął ich punktu widzenia.

Fahlén spojrział na niego z powagą.

– Prawdę mówiąc, twoim raportem też nie są zachwyceni.

– Naprawdę?

– Uznali, że wiążąc tę sprawę ze Stiernspetzem, posunąłeś się za daleko. I że to niestosowne.

Tilas zaczął się zastanawiać, czy jego szef ma własne zdanie w tej sprawie. Wyglądało na to, że nie.

– Mamy dwóch mężczyzn podejrzanych o szpiegostwo – zaczął Tilas. – Jeden znika, drugi popełnia samobójstwo. Pierwszy pojawia się ćwierć wieku później pod zmienionym nazwiskiem. Kilka dni po przybyciu do Szwecji znajdują go martwego. W kieszeni płaszcza ma kartkę z numerem telefonu wdowy po tym drugim. Uznałem to za dość szczególny zbieg okoliczności.

– Podajesz nazwiska.

– Ponieważ pojawiły się w dochodzeniu w sprawie Stiernspetza i mają związek z Lindmanem.

Fahlén znów się uśmiechnął.

– To oczywiste, że niektóre nazwiska mogą się powtarzać. Szwecja to mały kraj. A sprawozdanie, na które się powołujesz, jest z lat siedemdziesiątych.

Tilas nie odpowiedział. Wszystko zawarł w raporcie.

– Rozmawiałeś z wdową po Stiernspetzu. Potrafiła wyjaśnić, skąd w kieszeni tego człowieka wzięła się kartka z jej numerem?

– Nie. Twierdzi, że nikt do niej nie dzwonił. I jeśli można jej wierzyć, ani ona, ani jej mąż nie znali Lindmana.

Fahlén przeciągnął ręką po brodzie.

– Mam nadzieję, że nie byłeś wobec niej zbyt szorstki. Na pewno nie miała łatwego życia z człowiekiem, który okazał się szpiegiem.

– I pedałem – dodał Tilas obojętnym tonem.

Fahlén spojrzał na niego uważnie.

– To działka kolegów z Säpo, którzy zresztą uważają, że obie sprawy, Stiernspetza i Lindmana, to już zamknięty rozdział. A ja nie mam powodu, by to kwestionować.

– Ja też nie zamierzam, chyba że będzie to miało wpływ na moje dochodzenie w sprawie śmierci Lindmana.

– Dobrze. W ten sposób zbliżamy się do sedna. O ile dobrze się orientuję, nic nie wskazuje na to, że Lindman zginął w wyniku przestępstwa. A to znaczy, że nie ma powodu kontynuować dochodzenia. Zwłaszcza teraz, kiedy jesteśmy tak przeciążeni pracą.

Tilas przymknął oczy, jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

– Nadal jednak trudno mi się pogodzić z tym, że to po prostu nieszczęśliwy wypadek albo samobójstwo – powiedział.

– Ale też nie ma żadnych dowodów, które przemawiałyby za morderstwem, prawda?

Tilas siedział bez ruchu, tylko skrzydełka nosa lekko mu drgały.

– Guzik – powiedział w końcu.

Fahlén się roześmiał.

– Czytałem o tym w twoim raporcie. Rzeczywiście może się to wydawać trochę dziwne, ale nie jest to wystarczający powód, żeby wszczynać dochodzenie. Można znaleźć kilka całkiem naturalnych wyjaśnień.

Fahlén zamilkł. Wyjął ołówek z wewnętrznej kieszeni marynarki i zaczął nim lekko stukać w blat.

– A może brakuje ci adrenaliny? Może dlatego potrzebujesz tego śledztwa? Jeśli wszystko się skończy pomyślnie, dopilnuję, żeby ci przydzielono jakąś sprawę. Zawsze trzeba dawać ludziom szansę i takie tam.

Tilas spuścił wzrok. Miał wrażenie, że w pokoju nagle zrobiło się duszno.

– Nadal chodzisz na te swoje spotkania? Rozumiem, że wszystko jest w porządku?

Inspektor przytaknął, ledwie zauważalnie.

– Wiesz, że musiałem spytać. W razie czego będziemy ci próbowali pomóc jakoś inaczej. Pamiętaj, że chcę, żebyś wrócił.

Tilas się wyprostował i wyjrzał przez okno. Wiedział, że przegrał. Nie miał argumentów.

– Powiedziałem kolegom ze służb, że jesteś do ich dyspozycji. Gdyby mieli jakieś pytania. I że zamykamy sprawę Lindmana.

Fahlèn był gorącym zwolennikiem biurokratycznych kompromisów. Stanowiły podstawę wszelkich jego działań. Skinął głową, dając Tilasowi do zrozumienia, że skończyli. Po chwili sięgnął po telefon, jakby ich spotkanie było jedynie krótką, niezaplanowaną przerwą w jego codziennych zawodowych obowiązkach.

*

Przez okno tramwaju Meijters patrzył na sielankowe dzielnice willowe. Żeby się umówić na to spotkanie, wystarczył jeden telefon. Spodziewał się nieufności, a spotkał się niemal z entuzjazmem.

Oczywiście powinien był najpierw uzgodnić wszystko z Anderssonem. Ale on zapewne uznałby to za stratę czasu, za powtórkę tego, co już zostało powiedziane. Umawiając się na spotkanie, Meijters kierował się czym innym.

Zadzwoił do drzwi szeregowego domku. Dom był stary, okna z okiennicami, całość przypominała trochę klasyczną architekturę angielską. Jarzębina w małym ogródku od frontu nadal miała czerwone owoce. Meijters nie mógł się nadziwić, że tak zatwardziały komunista jak Johan Rooth zdecydował się zamieszkać w takim miejscu.

Drzwi otworzył młody czarnoskóry mężczyzna o ujmującym uśmiechu. Miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu, delikatne rysy i łagodne, eleganckie ruchy. Krzyknął coś po francusku w głąb domu i po chwili do holu wyszedł starszy pan. Wspierając się na lekkiej metalowej lasce na trzech nóżkach.

– Pan Tobias Meijters, tak? – spytał z promiennym uśmiechem. – Bardzo mi miło. Proszę wejść. Ogrzeje się pan.

Poprowadził go do salonu, co chwilę wykrzykując coś to po szwedzku, to po francusku, w zależności od tego, do kogo akurat się zwracał.

– Mam nadzieję, że dotarł pan bez problemów? Veux-tu débarrasser notre ami de son manteau, s'il te plaît. Jean Claude weźmie pański płaszcz. Proszę nie zdejmować butów. Ça sera tout. Merci. Mówi pan po francusku?

– Niestety nie – odparł Meijtns.

– Szkoda, naprawdę szkoda. Jean Claude pochodzi z Haiti i jeszcze nie nauczył się szwedzkiego.

Meijtns zrobił gest, jakby chciał przeprosić za to, że nie zna języków.

– Jean Claude i ja opiekujemy się sobą nawzajem – oświadczył starszy pan i z wyraźnym trudem ruszył do salonu.

Meijtns wiedział, że Rooth ma około siedemdziesięciu pięciu lat. Mimo problemów z poruszaniem się wyglądał jednak na znacznie młodszego. Miał gęste, dobrze ostrzyżone ciemnobrązowe włosy, bez śladów siwizny. Meijtns zastanawiał się, czy je farbuje. Miał na sobie koszulę i rozpinany sweter, a w rękawie czystą wyprasowaną chusteczkę.

Salon był przyjemny, ale urządony bez przepychu. Ciężkie zasłony wpuszczały jedynie pojedyncze promienie światła. Jedną ścianę w całości, od podłogi do sufitu, zabudowano półkami. Stały na nich i leżały książki i sterty czasopism. Meble klasyczne, ale z różnych epok. Rośliny w doniczkach, podobnie jak cały salon, pokrywała cienka warstwa kurzu.

Dwa fotele stały naprzeciwko siebie, jakby specjalnie na tę okazję. Rooth usiadł w jednym, drugi wskazał Meijtnsowi.

Na niewielkim stoliku leżała rozłożona gazeta, z mnóstwem podkreśleń i uwag na marginesach. Meijtns zauważył, że to ostatni numer „7Plus”. Rooth podążył za jego spojrzeniem i z szerokim uśmiechem wziął gazetę do ręki.

– Oczywiście czytałem twoje artykuły. I oczywiście byłem zdruzgotany tragiczną wieścią o Eriku, jak my wszyscy zresztą – powiedział Rooth, nie wyjaśniając, kogo ma na myśli. – Najpierw to tragiczne zniknięcie, a teraz ta straszna strata. Jego biedni rodzice muszą okropnie cierpieć. Znam Arvida, dobry towarzysz, stara szkoła. – Strzepnął pyłek z nogawki spodni. – Chociaż z Erikiem nigdy nie mógł się równać.

Potem wymienili kilka uwag na temat „7Plus” i porannej

gazety koncernu. Rooth przeplatał gorzkie uwagi pod adresem mieszczańskiej prasy pochwałami pod adresem jego artykułu. Meijtens miał wrażenie, że wszystko to zostało dokładnie przygotowane, wręcz wyreżyserowane.

Rozmowa urwała się, kiedy do salonu wszedł Jean Claude z tacą z czajnikiem z herbatą, talerzem z ciasteczkami i miseczką świeżych truskawek. Dość niezwykły widok o tej porze roku. Na środku tacy w podstawce na jajka leżał kwiatek. Zadowolony Rooth rzucił coś po francusku. Jean Claude skłonił się lekko i zniknął. Meijtens desperacko szukał w pamięci grzecznościowych zwrotów po francusku.

– Jean Claude jest rzeźbiarzem i wszystko, do czego się zabiera, staje się dziełem sztuki – powiedział Rooth, wskazując na tacę. Po chwili spoważniał. – Zanim zaczniemy mówić o nieszczęsnym Eriku, chciałbym poznać cel naszej rozmowy – zaczął. – Planujecie dalsze artykuły na ten temat? Jak postrzegacie tę sprawę, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi? – uśmiechnął się, ale już nie tak promiennie jak wcześniej.

Meijtens odparł, że redakcja zastanawia się nad kolejnymi tekstami o Lindmanie. Pomyślał, że w ten sposób nie wzbudzi jego podejrzeń i będzie mógł mu zadać jeszcze kilka pytań.

– Dowiedzieliśmy się, że to on, zaledwie dobę przed oddaniem numeru do druku. Dlatego teraz rozważamy, czy nie powinniśmy podać więcej szczegółów o samym Lindmanie.

Rooth uniósł brwi.

– Jeśli rzeczywiście mieliście tak niewiele czasu, muszę przyznać, że dobrze go wykorzystaliście. – Znow uśmiechnął się szeroko. Wokół jego inteligentnych oczu pojawiły się delikatne zmarszczki. – Przez lata pisano o Eriku w zasadzie same bzdury. Dlatego z ciekawością zapoznałem się z treścią waszego bardzo wyważonego artykułu.

Lekko drżącymi rękami nalał do filiżanek herbaty. Do swojej włożył kilka truskawek.

– Rosyjski zwyczaj, naprawdę godny polecenia – powiedział, wskazując głową na truskawki w herbacie.

Meijtens poszedł za jego przykładem, zastanawiając się w duchu, ilu obywateli Rosji stać na świeże truskawki o tej porze

roku.

Rooth pochylił się do przodu i położył dłoń na jego ręce.

– Kiedy skończysz zadawać pytania, mam nadzieję, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebym i ja zadał ci kilka.

– Oczywiście, będzie pan mógł to zrobić.

Meijtens wypił łyk herbaty i z uznaniem pokiwał głową. Zastanawiał się, o co może chcieć go spytać.

Rooth rozparł się wygodnie w fotelu, ręce położył na kolanach.

– Proszę, pytaj – powiedział uprzejmie.

Meijtens wyjął magnetofon i spytał, czy może nagrywać. Rooth skinął głową.

– Jak już wspomniałem, chcemy przedstawić nieco dokładniejszy i pełniejszy obraz Erika Lindmana. Nie zdążyliśmy jeszcze porozmawiać z jego dawnymi przyjaciółmi, skupionymi wokół pisma „Veritas”. Ponieważ pan odgrywał w tym środowisku ważną rolę, zarówno jako ideolog, jak i jako mentor, uznałem, że najpierw powinienem zwrócić się do pana. O ile dobrze zrozumiałem, mieliście panowie wiele wspólnego.

Schlebiaj mu, Tobiasie, schlebiaj, ile tylko możesz. Wtedy jego próżność weźmie górę nad niechęcią do dziennikarzy. Tak mu poradził Jakub, kiedy poprzedniego wieczoru wychodzili z restauracji.

I rzeczywiście Johan Rooth uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Proszę mi mówić po imieniu, przyjacielu. Bardzo proszę.

*

Meijtens zadał kilka pytań, które wcześniej przygotował, ale tak naprawdę wcale nie musiał tego robić, bo Rooth sam z siebie zaczął opowiadać o środowisku skupionym wokół pisma. Podawał kluczowe nazwiska, sypał anegdotami. Ze wzrokiem wbitym w jakiś punkt za jego plecami odmalowywał słowami obraz nastrojów panujących na początku lat sześćdziesiątych. W czasach, kiedy idee lewicowe zaczynały zyskiwać popularność, ale na wybuch studenckiego buntu trzeba było czekać jeszcze kilka lat.

Meijtens od czasu do czasu próbował wtrącić jakieś pytanie, wyjaśnić jakieś szczegóły, ale Rooth odpowiadał wymijająco i

szybko wracał do przerwanej wątku, jakby się trzymał opracowanego wcześniej scenariusza. Czasem, gdy Meijtns zadawał mu pytanie, stary rewolucjonista podnosił po prostu dłoń, dając mu do zrozumienia, że odpowie później. A potem przerwał, by dolać sobie i Meijtnsowi herbaty.

– Oczywiście natychmiast dostrzegłem ich potencjał. Wszyscy zjawili się w Uppsali w tym samym czasie, jesienią pięćdziesiątego dziewiątego roku, o ile dobrze pamiętam. I już po kilku tygodniach wszyscy się znali. Byłem wtedy związany ze sztokholmską Wyższą Szkołą Nauk Społecznych, ale oczywiście regularnie odwiedzałem środowiska skupione wokół naszego pisma we wszystkich ważniejszych ośrodkach akademickich. Podczas jednej z wizyt w Uppsali zauważyłem, że nasze barwne trio bardzo szybko zdominowało tamtejsze środowisko „Veritasu”.

– Kogo ma pan na myśli?

Rooth przyglądał mu się chwilę zdumiony.

– Barwne trio, czyli kto? – powtórzył Meijtns.

– Przepraszam, nie pomyślałem – roześmiał się Rooth. – Wybacz, proszę, staremu człowiekowi. Zapomniałem, że ich nie znasz. Miałem oczywiście na myśli Carla Wijkmana, Sonię Terselius i Erika Lindmana. To właśnie oni stanowili dowód na to, że moja teza, mówiąca, iż uzdolnieni ludzie mogą – z różnych pobudek – skupić się wokół naszej sprawy, jest jak najbardziej prawdziwa. Bardzo się różnili, jeśli chodzi o osobowość, a także o pochodzenie. Ale kiedy pojawili się w Uppsali, wszyscy troje byli już marksistami. Wszyscy troje byli też bardzo uzdolnieni, chociaż Carl oczywiście zawsze pozostał Carlem. – Podał Meijtnsowi talerz z ciasteczkami, sam też wziął jedno. – No, cóż – zaczął po chwili – wszyscy mamy swoje demony, a demonem Carla był jego ojciec. Zapewne nie miałeś okazji poznać Claesa Adama Wijkmana. Był ambasadorem Szwecji w Paryżu, w Waszyngtonie i w Delhi. Oczekiwał, że synowie spełnią nadzieje, które w nich pokładał. Podobno wszyscy mężczyźni z tej gałęzi rodziny prędzej czy później zostawali albo ambasadarami, albo admirałami. To była poprzeczka, którą ojciec wyznaczył swoim synom. Starsi

bracia Carla robili kariery, a on, ostatnie dziecko starzejących się rodziców, nie poszedł ich śladem. Wyrzucano go po kolei ze wszystkich szkół, w Szwajcarii, we Francji, w Anglii. – Nagle pochylił się w stronę Meijtensa. – Na pewno nie znasz francuskiego? Bo widzisz, chciałbym, żeby Jean Claude też usłyszał tę historię.

Meijtens pokręcił głową.

– No, cóż, trudno – skwitował Rooth i wrócił do opowieści. – W końcu Carl Wijkman trafił do prywatnej szkoły z internatem w Sigtunie. Ojciec wybrał mu ją nie dlatego, że znajdowała się w Szwecji, tylko dlatego, że była daleko od Paryża, gdzie był ambasadorem. A Carl rzeczywiście odnalazł tam swoje miejsce i zyskał przyjaciół na całe życie. Ale jego wcześniejsze szkolne doświadczenia obudziły w nim buntownika. Nikt nie potrafił powiedzieć, co wpłynęło na to, że już w wieku szesnastu lat zaczął otwarcie opowiadać się za marksizmem. W klasie, na forum szkoły, gdzie tylko nadarzyła się okazja. Pamiętaj, że mówimy o latach pięćdziesiątych, czasach szalejącego antykomunizmu. Opowiadano mi kiedyś, że jego starsi koledzy stwierdzili w pewnym momencie, że mają go serdecznie dosyć, i za cichym przyzwoleniem kadry zdarli z niego ubranie, pomalowali na czerwono i wciągnęli na maszt.

Meijtens, który właśnie jadł ciasteczko imbirowe, zakrztusił się i gwałtownie zakasłał.

– Carl zaczął śpiewać międzynarodówkę i w końcu musieli go spuścić na ziemię – dokończył Rooth chłodno, bez uśmiechu.

Meijtens nagle zobaczył przed sobą zupełnie innego człowieka, ale trwało to tylko chwilę, bo starszy pan niemal natychmiast podjął opowieść:

– W Uppsali Carl Wijkman już podczas pierwszego semestru stał się czołową postacią środowiska skupionego wokół pisma. Ale – co może się wydać dziwne – nie stracił kontaktu z przyjaciółmi z liceum w Sigtunie, a nawet został członkiem stowarzyszenia Trefinerorden, zrzeszającego byłych uczniów renomowanych szkół prywatnych w Sigtunie i Lundsbergu. Głównym zajęciem jego członków były wtorkowe spotkania w knajpach. Pili reńskie wino i śpiewali studenckie piosenki. Carl

grał nawet na banjo w jakiejś okropnej orkiestrze. – Rooth z rozbawieniem pokręcił głową. – Ale o ile, jeśli chodzi o przekonania, był wierny, o tyle w miłości wręcz przeciwnie – ciągnął Rooth, mrugając do Meijtensa porozumiewawczo. – Zwykle wybierał dziewczęta ze swojego dawnego środowiska, z klasy wyższej, niezainteresowane polityką.

Rooth sięgnął po truskawki. Włożył je do filiżanki z herbatą, po czym zaczął opowiadać o jednej z pańienek Carla, którą długo widywano u jego boku. A potem zaczął sypać anegdotami o jego kolejnych podbojach.

– A Sonia Terselius? – wtrącił Meijtens, gdy uznał, że o życiu miłosnym Carla Wijkmana wie już dostatecznie dużo.

– Sonia właściwie nie zwracała na nich uwagi – powiedział Rooth. Najwyraźniej źle zrozumiał jego pytanie. – Nie interesowali jej, ale też jej nie przeszkadzali.

Nagle zaczął wypytywać Meijtensa, co szwedzka prasa pisze o sytuacji w Kuwejcie. Meijtens odpowiadał wymijająco, nie chciał go drażnić. Rooth zmrużył oczy i bacznie mu się przyglądał, jakby nie był pewien wyniku testu, któremu go poddał.

– Pytałeś o Sonię – powiedział nagle. Można było odnieść wrażenie, że rejestruje pytania Meijtensa, ale odpowiada na nie wtedy, gdy sam uzna za stosowne. – No cóż, podobnie jak Carl Wijkman Sonia Terselius pochodziła z wykształconych wyżyn, ale na tym kończą się wszelkie podobieństwa między nimi. Jej ojciec był dyrektorem wielkiej fabryki, gdzieś w środkowej Szwecji. Takiego zakładu, co to daje zatrudnienie całej okolicy. Robotnicy mieszkają na dole, w dolinie, urzędnicy i inżynierowie w nieco lepszych domach na zboczach, a na szczycie wznosi się potężna willa pana dyrektora. Dla mnie, marksisty, to Szwecja w miniaturze. Sonia była jedynaczką, oczkiem w głowie tatusia. Do tego wszystkiego było bardzo piękna. Miała długie ciemne włosy, wyraziste rysy i brązowe oczy. Typ nazywany niekiedy, chyba nie do końca słusznie, walońskim. Oczywiście w szkole była gwiazdą. Dla niej życie było snem. – Rooth spojrział na zegarek. – Chyba musimy zgrzeszyć i mimo wczesnej pory wypić po kieliszeczku sherry. Jeśli mam opowiadać dalej, muszę czymś zwilżyć gardło.

Wstał i poszedł po kieliszki, a potem zaczął szukać w barku odpowiedniego napoju. Meijters uznał, że jak na aperitif pora rzeczywiście jest wczesna. Po chwili Rooth wrócił, nalał do kieliszków sherry i znów zaczął mówić:

– Latem, rok przed maturą, nagle wszystko się zmieniło. Nie do końca wiadomo, czy powodem były złe wyniki finansowe fabryki, czy jakieś nieprawidłowości, ale dyrektor Terselius został nagle poddany kontroli. Poważni panowie ze Sztokholmu, w ciemnych garniturach, odwiedzali go bez przerwy. Sytuacja stawała się coraz trudniejsza. Świadomość zbliżającego się końca musiała być nieznośna. To Sonia znalazła go pewnego czerwcowego ranka w jego ukochanej altanie wśród bzów. Strzelił sobie w usta z jednego ze swoich sztucerów – powiedział Rooth, popijając sherry. – Słyszałem, że co roku w czasie kwitnienia bzów Sonia wyjeżdża z kraju, ale nie wiem, czy to prawda.

Wyciągnął z rękawa chusteczkę i otarł nią kąciki ust. Najwyraźniej jeszcze nie skończył.

Meijters wypił łyk sherry i cierpliwie czekał.

– Sonia i jej matka nagle znalazły się w całkiem nowej sytuacji. Matka, trochę na pocieszenie, dostała kiepsko płatną pracę biurową w fabryce i razem z córką przeniosła się do służbowego mieszkania. Komornik zabrał wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość, a rodzina odwróciła się do nich plecami. Sonia oczywiście skończyła szkołę, ale ostatni rok na pewno nie wyglądał tak, jak sobie kiedyś wyobrażała. Grono jej wielbicieli mocno się przerzedziło. O żadnym balu maturalnym nie mogło być mowy, bo pieniędzy brakowało na bardziej podstawowe potrzeby. Świat, którego kiedyś była niekoronowaną królową, okazał się nieprzyjazny i zimny, a ci, którzy dawniej byli jej najlepszymi przyjaciółmi, nie oszczędzili jej najbardziej wymyślnych złośliwości. – Zamyślił się i spojrzał na kieliszek. – Młodzi ludzie potrafią być bardzo okrutni – powiedział cicho, jakby do siebie. – Sonia zagryzła jednak zęby i zdała maturę. Uczciły to razem z matką. Spędziły samotny wieczór w nowym, skromnym mieszkaniu. Nie czekali na nią żadni goście. Ale egzaminy zdała z najwyższymi ocenami. A

jesienią zaczęła studiować prawo na uniwersytecie w Uppsali.

– Rozumiem, że Erik Lindman odgrywał ważną rolę w środowisku skupionym wokół pisma.

Rooth dolał sobie i jemu sherry.

– Sporo pewnie już wiesz – zaczął zdecydowanie lżejszym tonem. – Wiesz, że był niezwykle uzdolniony, że potrafił dyskutować i że był niepoprawnym optymistą. Nie wiem, kiedy on i Sonia zostali parą. Mam wrażenie, że zawsze nią byli. Nazywałem ich trójkę triem z Uppsali. Chciałem ich zwabić do Sztokholmu. Byłem przekonany, że towarzyszom ich formatu należy dać pole do działania.

Był ich arcykapłanem, obrońcą i przyjacielem. Z ich szeregów werbował przyszłych członków partii i zapewne nie tylko.

– I w końcu się zjawili, wszyscy troje, prawda?

Rooth się roześmiał.

– Szli jak burza. To było chyba jesienią sześćdziesiątego trzeciego. Sonia zasiadała w sądzie, Erik został przyjęty na staż do ministerstwa spraw zagranicznych, a Carl postanowił spróbować szczęścia w dziennikarstwie. O ile dobrze pamiętam, dostał posadę w „Stockholmstidningen”. Miasto było ich. Wiesz, o co mi chodzi?

Meijtens pokiwał głową. Nie chciał mu przerywać.

– Wszyscy troje wprowadzili się do wielkiego mieszkania Wijkmanów przy Tegnérlunden. Carl przejął je, kiedy jego ojciec postanowił osiedlić się we Francji. Erik i Sonia dostali wspaniałą sypialnię z dużym okiennym wykuszem, a Carl zajął dawny gabinet ojca z wielkim balkonem. Od razu zawiesił na nim czerwoną flagę, ale po awanturze z sąsiadami musiał ją zdjąć. – Rooth znów uśmiechnął się z rozmarzeniem. – Przez pewien czas na początku lat sześćdziesiątych to mieszkanie było centrum działalności środowiska sztokholmskiego „Veritasu”. Ludzie przychodzili, wychodzili, w pokojach gościnnych pomieszkiwali towarzysze z różnych stron świata. Na stałe mieszkała tam tylko ta trójka. Stanowili trzon grupy. Zawsze się tam coś działo. Jakieś zebrania, dyskusje, no i szalone imprezy Carla. Mnie też zdarzało się na nich pojawiać. Zawsze można tam było spotkać kilkunastu młodych ludzi

przeprowadzających marksistowską analizę kryzysu kubańskiego, opowiadających fascynujące historie o koloniach, które właśnie odzyskały wolność. A do tego Carl czasem przygrywał nam na banjo. Obok niego zwykle siedziała jego aktualna zdobycz, panienska z dobrego domu w tweedowej spódniczce i sweterku bliźniaku, i przyglądała się wszystkiemu z fascynacją, ale i z przerażeniem. Robiłem mu wymówki, że przyprowdza ją na takie imprezy. Chodziło mi o bezpieczeństwo, ale w tej sprawie nigdy mnie nie słuchał. – Roześmiał się po ojcowsku. – Ależ się rozgadałem. No, cóż, przedstawiłem ci tło, a teraz czekam na pytania.

– Jaki był stan ducha Lindmana, zanim zniknął?

Rooth jakby stracił część entuzjazmu. Zamyślił się i zaczął się bawić kieliszkiem. Mruczał coś pod nosem.

– W pewnym sensie Erik zawsze był marzycielem – odezwał się w końcu. Odstawił kieliszek na stół.

– W jakim sensie?

– Zastanawiał się nad wieloma rzeczami, jak to młodzi ludzie w tym wieku.

– Na przykład?

– Miałbym podać przykład? To było tak dawno temu. Na szczęście miał przy sobie Sonię, która była jego opoką.

– To znaczy?

Rooth znów zaczął mówić. Raczej wyjaśniał znaczenie tego, co powiedział, niż podawał przykłady. Słuchając go, Meijters w pewnym momencie zauważył na ścianie relief przedstawiający Lenina. Pomyślał, że jego gospodarz nie należy do tych, którzy się nad czymś głębiej zastanawiają, mimo wieku.

Rooth z rozbawieniem podążył za jego spojrzeniem.

– Jedyne w swoim rodzaju po tej stronie torów tramwajowych.

Spojrzeli na siebie i roześmiali się.

– Dlaczego wybrał akurat Albanie? Nie zdziwiło to pana?

Rooth zaczął się przyglądać swojej dłoni i obracać ją w różne strony.

– W Albanii od dawna nie dzieje się dobrze. Wcześniej zerwali kontakty z innymi państwami socjalistycznymi i

znaleźli się w izolacji... – przerwał, zawiesił głos.

Meijtns czekał. Rooth w końcu chyba zrozumiał, że tak łatwo nie uchyli się od odpowiedzi, bo po chwili wrócił do przerwanej kwestii. Nadal uważnie przyglądał się swojej dłoni.

– Są tacy, którzy zawsze byli zainteresowani tym krajem, ale o ile mi wiadomo, Erik nigdy do nich nie należał. Tak więc odpowiedź na twoje pytanie brzmi: nie mam pojęcia – stwierdził, patrząc Meijtnsowi prosto w twarz.

Na kolejne pytania odpowiadał tak samo wymijająco. Nie wiedział wiele o tym, co Lindman robił tuż przed zniknięciem. Nie powiedział nic ponad to, co Meijtns już wiedział. Jego zapał nagle gdzieś się ulotnił. Meijtns podziękował i odłożył notes, ale magnetofon pozostał włączony.

– Pan też miał do mnie jakieś pytania – przypomniał.

Rooth założył nogę na nogę.

– Co mówi policja o tym, co się stało po powrocie Erika do Szwecji?

– Że to był nieszczęśliwy wypadek.

– Naprawdę? – Na chwilę się zamyślił. – Wiesz może, czy Erik kontaktował się z kimś po powrocie do Szwecji?

– O ile mi wiadomo, nie, ale nie rozmawiałem jeszcze z żadną z osób, o których pan wspomniał.

– Myślałem raczej o kimś... – Rooth się zawahał, szukał właściwego słowa. – O kimś spoza naszego niewielkiego kręgu. Może z rodzicami czy z tym jego przyjacielem z dzieciństwa...

Meijtns pokręcił głową. Zastanawiał się, kogo Rooth mógł mieć na myśli.

Nagle starszy pan wstał. Tak energicznie, że Meijtns spojrział na niego zdziwiony.

– To było bardzo przyjemne spotkanie, naprawdę – zapewnił go Rooth. – Pamiętaj, że zawsze jesteś tu mile widziany. Daj znać, gdybyś miał jeszcze jakieś pytania.

Kiedy Meijtns ruszył w stronę przystanku tramwajowego, zorientował się, że wypił trochę za dużo sherry i powinien coś zjeść. Uznał też, że było to bardzo dziwne przedpołudnie, ale nie potrafił powiedzieć dlaczego.

ZANIM MEIJTENS WRÓCIŁ do redakcji, zdążył wytrzeźwieć. Głównie dzięki porządnemu lunchowi, po którym zafundował sobie długi spacer. Wszedł do środka i zrobiło mu się dziwnie przyjemnie. Może dlatego, że Monica chociaż raz nie spojrzała na zegarek, mimo że pojawił się już po lunchu. Nagle gdzieś w głębi zauważył Sverkera Rydmana, rzadkiego gościa na tym piętrze.

Odkąd zaczął pracować w „7Plus”, nie raz złorzeczył pod nosem redaktorowi naczelnemu. Ale teraz pomyślał, że cokolwiek by o nim mówić, nie ma wątpliwości, że wygląda jak rasowy dziennikarz intelektualista. Miał rozwichrzone włosy, a okulary nosił na ogół na sznurku na szyi. Plotka głosiła, że były z nieszlifowanego szkła.

Kiedy Meijdens zrozumiał, dlaczego sam naczelny przyszedł do redakcji, było już za późno.

Redakcja właściwie podlegała Anderssonowi, stanowiła jego teren. Sverker Rydman urzędował na jedenastym piętrze, na którym mieli gabinety wszyscy szefowie koncernu. Czasem jednak pojawiał się na dole, w pokojach redakcji, by wygłosić kolejną płomienną mowę.

Była to ponoć tradycja, która się narodziła, kiedy kierował jednym z lokalnych dzienników. Może tam te przemówienia spełniały swoją funkcję, pomyślał Meijdens, chociaż co do tego też nie miał pewności. Mowy były rzeczywiście płienne, pompatyczne, pełne literackich cytatów, zwykle zapisanych wcześniej na kartce, i nigdy nie trwały krócej niż pół godziny.

Miały ponoć podnosić morale zatrudnionych w redakcji dziennikarzy, ale najczęściej budziły jedynie zażenowanie. Kiedy Rydman podejmował, jak to określał, próbę „zwerbalizowania tego, co nas łączy”, ludzie zazwyczaj spuszczaali wzrok.

Gdy Meijdens wszedł do redakcji, Rydman się rozpromienił.

– Nasz redakcyjny historyk, no proszę!

Jedną rękę położył mu na ramieniu, drugą próbował przywołać Natalie, która jednak pospiesznie schowała się za filar. Musiał się więc zadowolić Meijtensem.

Po chwili wyciągnął z kieszeni marynarki kartkę i zaczął czytać:

– Dziennikarze! – Tak zaczynały się wszystkie jego przemówienia.

Meijdens czuł na sobie spojrzenia kolegów, a na szyi rękaw tweedowej marynarki naczelnego.

Rydman pochwalił jego artykuły. Podkreślił, jak ważne jest zwrócenie uwagi na rolę jednostki w wielkich historycznych wydarzeniach. Te teksty są wyrazem wszystkiego, co uosabia redakcja „7Plus”. Podkreślił to dwoma cytatami z Tingstena i dodał kilka ciepłych słów o Natalie i o nim.

– Za wcześnie szacować dzisiejszą sprzedaż – powiedział – ale już mamy sygnały, że idzie w górę. Muszę pochwalić Bertila za promocję numeru. Cytują nas wszystkie najważniejsze media.

Skończył. Stał, najwyraźniej oczekując oklasków, których jednak zabrakło. Andersson uznał, że musi wkroczyć do akcji.

– Teraz trzeba zakasać rękawy i wyprodukować kolejny numer, który spełni oczekiwania rosnącego grona naszych czytelników – powiedział.

Rydman zaczął bić brawo, ale nie znalazł naśladowców.

Sölvebring zaczął mu opowiadać, nad czym właśnie pracuje, a Rydman coraz bardziej niecierpliwie zerkał w stronę wyjścia.

Meijdens poszedł nalać sobie kawy. Kiedy wrócił, na jego biurku siedziała Natalie.

– Dlaczego się schowałaś?

– Nie znoszę takich przemówień.

– A myślisz, że ja lubię?

Natalie się roześmiała. Nagle zaczęła głośno pociągać nosem.

– Cuchniesz deserowym winem.

– Nic dziwnego. – Meijdens się roześmiał. Nagle przypomniał sobie, jak Rydman go obejmował, i zaklął.

Natalie zażyczyła sobie, żeby opowiedział jej o wszystkim, o czym rozmawiali z Roothem. Słuchała go z szeroko otwartymi oczami i z uśmiechem na ustach. Zachichotała, kiedy zaczął mówić o umizgach Rootha do Jean Claude'a. Już wcześniej zauważył, że uwielbia takie szczegóły.

– No to mamy ręce pełne roboty – skwitowała, kiedy skończył. – Jestem pod wrażeniem. Dużo udało ci się z niego wyciągnąć. Jak znajdę chwilę, chętnie przesłucham tę taśmę.

Meijtens obiecał, że da jej kasetę, ale nie wyjął jej z torby. Natalie zebrała swoje papiery.

– Kiedy ty piłeś sherry ze swoimi nowymi przyjaciółmi, mnie udało się namówić Bertila na kolejny artykuł. O ile oczywiście znajdziemy coś ciekawego.

Grzebała w torbie i niezadowolona mruczała pod nosem.

– Spróbuję załatwić wywiady z Wijkmanem i Terselius, a ty możesz zadzwonić do obozu przejściowego w Vilanda.

Meijtens spojrzał na nią pytającym wzrokiem.

– Racja, nie zdążyłam ci powiedzieć.

Znalazła to, czego szukała. Wyciągnęła z torby karteczkę i podała mu ją.

– Shefqet Shala wydzwaniał całe przedpołudnie. Twierdzi, że ma ci jeszcze coś do powiedzenia, ale coś za coś. Podobno wiesz, o co chodzi.

*

Kiedy Meijtens wsiadł na rower i ruszył do domu, była już ósma. Miał za sobą długi dzień.

Nadal słyszał schrypnięty głos Shali w słuchawce.

Mam przyjaciela, który wie wszystko o człowieku, który interesuje twoją gazetę.

Ale oczywiście sprawa nie była taka prosta. Należało pojechać do Belgradu, i nie tylko.

Nic nie powie, jeśli nie załatwicie dobrego adwokata. I jemu, i mnie. Takiego, który zadba o to, żebyśmy obaj mogli tu zostać.

W pierwszej chwili Meijtens zaprotestował. Powiedział, że w takich przypadkach obowiązują oficjalne procedury. Są pewne

zasady. I wtedy dostał od Natalie kartkę. „Wszystko załatwię”. Słyszała, co mówił, i chociaż sama w tym czasie załatwiała tysiące różnych spraw, domyśliła się, o co chodzi. I wiedziała, do kogo należy się zwrócić. Pewien prawnik w pewnej dużej kancelarii specjalizował się w tego typu sprawach. W wolnym czasie, kiedy nie występował w sądzie, najwyraźniej oglądał telewizję, bo po serii jej programów zaczął ją mocno adorować. Na granicy molestowania, dodała, wybierając numer jego biura. Meijtns zauważył, że nie wykasowała go z kontaktów. Po chwili ze zdziwieniem słuchał, jak radośnie ćwierka do słuchawki. Dziesięć minut później Shefqet Shala zyskał przedstawiciela prawnego. Adwokata miało to kosztować kolację, a Natalie wolny wieczór.

Meijtns przejechał przez kałużę i zaklął.

Ale Natalie miała też inne zalety. Przekonała Anderssona, że podróż do Belgradu jest absolutnie konieczna, i chociaż szef początkowo protestował, skapitulował niemal równie szybko jak adwokat. Chociaż pewnie z innych powodów, które dla Meijtnsa pozostawały nadal zagadką. Usiłował skontaktować się z Wijkmanem i Terselius oficjalnymi kanałami. Zostawiał wiadomości sekretarkom i wysyłał faksy, Natalie przez sieć swoich kontaktów próbowała zdobyć ich numery domowe. Oczywiście te zastrzeżone, których nie było nawet w bazie danych macierzystej redakcji. I powiodło jej się, przynajmniej z Wijkmanem.

– Zadzwońię do niego później – powiedziała. Przeciągnęła się i ziewnęła.

Dotarcie do Soni Terselius okazało się trudniejsze. Była sędzią w sądzie apelacyjnym. Rozwiedziona, bezdzietna, mieszkała sama w mieszkaniu w pobliżu Tegnérunden, które przejęła od Wijkmana. Miły gest jednego byłego rewolucjonisty wobec drugiego. Jej numer trudniej było zdobyć. Co prawda sekretarka obiecała, że pani sędzina z pewnością oddzwoni, ale nie brzmiało to przekonująco.

Meijtns dojechał do ratusza i zatrzymał się. Spoglądał na wodę. Światła neonów mieniły się na falach Riddarfjärden. Jesienny wiatr zwiewał liście na chodnik. W redakcji

przedłużono mu staż do końca roku.

– A potem coś wymyślimy – powiedział Andersson, klepiąc go po plecach.

Nagle, właściwie bez żadnego powodu, Meijtens zawrócił i ruszył w stronę mostu Barnhusbron. A czemu nie, pomyślał. To był impuls, upierał się, kiedy później opowiadał o tym Natalie.

Niewielki park Tegnérslunden był pusty. W żadnym z okien wychodzącego nań budynku nie paliło się światło. Powiódł wzrokiem po numerach na domofonie. Odstawił rower, cicho, bezgłośnie. W przejmującej ciszy najmniejszy ruch zdawał się hałasem.

Meijtens stanął obok posągu po drugiej stronie ulicy i przyglądał się budynkowi. Bez problemu domyślił się, które mieszkanie należy do Soni Terselius. To na pierwszym piętrze. Erik i Sonia dostali wspólną sypialnię z dużym okiennym wykuszem, a Carl zajął dawny gabinet ojca z wielkim balkonem. Tyle że teraz nie odbywały się tam już dyskusje i szalone imprezy. Nie było śpiewów i grania na banjo. Była tylko cisza i ciemność.

Nagle pod drzwiami podjechała taksówka. Ledwie się zatrzymała, natychmiast otworzyły się tylne drzwi. Pasażer najwyraźniej często korzystał z taksówek i pewnie miał już w dłoni odliczoną kwotę. Po chwili usłyszał stukanie obcasów i zobaczył rozwiane poły płaszcza. Cofnął się jeszcze dalej za posąg, który teraz niemal całkowicie go zasłaniał.

Po chwili na górze zapaliły się światła, kilka, jedno po drugim. Ktoś szybko szedł przez mieszkanie: sypialnia z wykuszem, dwa okna salonu i pokój z balkonem. Tobiasz zastanawiał się, czy znów jest gabinetem. Firanki się rozsunęły i zobaczył kobietę. Stała i rozmawiała przez telefon. Widział jej ciemne włosy i wyraźne rysy. To typ nazywany niekiedy, chyba nie do końca słusznie, walońskim.

Musiała to być rozmowa o czymś ważnym, bo gestykulowała i nerwowo dotykała firanek. W końcu odłożyła słuchawkę i zaczęła masować czoło. Czyżby i ona odebrała w zeszłym tygodniu nieoczekiwany telefon? Czy rozmawiając, stała dokładnie w tym samym miejscu co wtedy? Czy właśnie tu

usłyszała znajomy głos byłego narzeczonego: „To ja, kochanie. Wypuścili mnie. A jeśli chodzi o...”.

Wyszła na balkon, zapaliła papierosa.

Najwyraźniej miała taki zwyczaj, bo na małym stoliku stała popielniczka. Wielu palaczy nie znosi dymu papierosowego. Sonia Terselius chyba też do nich należała. Ledwie zdążyła się kilka razy zaciągnąć, kiedy zadzwonił telefon. Czekala na to, bo postawiła aparat przy drzwiach na balkon i odebrała po pierwszym dzwonku.

Stała bokiem do wnętrza mieszkania, z ręką z papierosem przy skroni. Poruszała się nerwowo, wyraźnie zdenerwowana. Meijtns postanowił zaryzykować. Szybko przebiegł przez ulicę i zniknął w ciemnej bramie. Oparł się o domofon i próbował podsłuchać toczącą się na balkonie piętro wyżej rozmowę. Wychylił się lekko i spojrział w górę. Sonia Terselius stała plecami do niego, ale mowa jej ciała była jednoznaczna. Była napięta jak struna, gotowa w każdej chwili rzucić się na rozmówcę, gdyby to tylko było możliwe.

Nagle odwróciła się i strzepnęła popiół. Meijtns przezornie cofnął się do bramy. I wtedy usłyszał jej głos. Wyrwane z kontekstu zdanie:

– To nie nasza sprawa, Calle. Wiesz o tym.

Potem znów zamilkła. Meijtns wyraźnie widział na jej twarzy grymas bólu, a może złości. Czyżby złe wieści? Ktoś próbował ją przekonać, żeby zrobiła coś, czego zrobić nie chciała?

Kiedy w końcu znów się odezwała, zabrzmiało to jak wybuch:

– Ale to ty musisz z nimi porozmawiać!

Zgasiła papierosa. Meijtns znów się cofnął. Miał wrażenie, że słyszy, jak popielniczka uderza o blat metalowego stolika. A potem usłyszał, jak Sonia Terselius zamyka drzwi.

Powoli wyszedł na ulicę. Jakaś kobieta z pieskiem na smyczy spojrzała na niego podejrziwie. Uśmiechnął się, najpierw do niej, potem do psa.

– Domofon znów się psuje – powiedział, przewracając oczami.

Po chwili wahania kobieta odwzajemniła uśmiech.

*

Podobnie jak wcześniej Sonia Terselius, gdy tylko wszedł do domu, chwycił za telefon. Natalie jak zwykle zażądała szczegółowej relacji i zmusiła go, żeby powtórzył wszystko kilka razy. Tak dokładnie, jak potrafi.

– To na pewno niejedno tłumaczy... – powiedziała i zamilkła, pogrążając się we własnych myślach.

Po dłuższej chwili Meijtens przypomniał jej, że nadal jest na linii.

– Wijkman najpierw nie chciał rozmawiać, ale po dziesięciu minutach sam zadzwonił i zaproponował spotkanie. Już jutro. Wyglądało na to, że mu na tym zależy. A w każdym razie nie był niesympatyczny.

NATALIE SZYBKIM KROKIEM przeszła przez hol Muzeum Narodowego, po czym udała się na dół, do kawiarni. Znów pomyślała, że Carl Wijkman wybrał dziwne miejsce na spotkanie. Zobaczyła go. Siedział przy stoliku w kącie, plecami do ściany, tak, żeby widzieć cały niemal pusty o tej porze lokal. Na jej widok wstał i odruchowo przeciągnął dłonią po grafitowej marynarce, jakby chciał się upewnić, że wszystko jest w porządku.

– Dzień dobry, Natalie. Znam cię z telewizji.

Uśmiechnął się ciepło, mocno uściśnął jej dłoń. Rozpoznała go bez problemu ze zdjęć w piśmie. Zachował młodzieńczy wdzięk, chociaż dobiegał już pięćdziesiątki. Spojrzenie miał czujne, ciemne włosy dobrze ostrzyżone. Chłopięca grzywka lekko przyprószona siwizną. Był uderzająco niskiego wzrostu, ale drogi garnitur nosił z wyszukaną, niewymuszoną elegancją. Zadziwiająco łatwo wślizgnął się w swoją pierwszą skorupę, pomyślała Natalie.

– Moje biuro jest tuż obok, ale uznałem, że lepiej będzie, jeśli spotkamy się tutaj. Nie chcę, żeby potem wszyscy plotkowali, że umówiłem się na wywiad z Natalie Petrini – dodał z uśmiechem.

Bardzo sprytnie, pomyślała Natalie. Zauważył, że jest zdziwiona, że wybrał to miejsce, i na oczekaniu znalazł niewinne, okraszone komplementem wytłumaczenie, najwyraźniej przekonany, że odtracona gwiazda telewizji połknie haczyk, gdy przedstawiciel wielkiego medialnego koncernu okaże jej zainteresowanie.

Wijkman zaproponował, że przyniesie kawę. Uprzejmość przychodziła mu naturalnie. Natalie przyglądała mu się dyskretnie.

Opowieść Johana Rootha skończyła się w momencie, gdy

Carl Wijkman był młodym buntownikiem u progu dziennikarskiej kariery. Nie powiedział, jak ta kariera przebiegała, ale Natalie bez problemu uzupełniła luki, dzwoniąc do kilku dobrze poinformowanych źródeł.

Po przybyciu do Sztokholmu Wijkman szybko porzucił zawód dziennikarza dla kariery urzędnika państwowego. Początkowo pisał przemówienia, żeby potem, pod koniec lat sześćdziesiątych, zostać rzecznikiem prasowym ministra, a następnie sekretarzem ministra. Funkcję tę pełnił aż do upadku rządów socjaldemokratycznych w 1976 roku. Przejście odbyło się w sposób bardzo naturalny. Należał do większej grupy byłych radykalnych studentów, którzy weszli w skład rządzącej partii socjaldemokratycznej. Początkowo tworzyli jej lewe skrzydło, by z czasem znaleźć się gdzieś w politycznym środku. Ich pochodzenie nie było dla nikogo tajemnicą. Powszechnie uważano, że przechwytywanie lewicowych działaczy jest rozsądną taktyką.

Po upadku socjaldemokratów przez jakiś czas działał w najróżniejszych organizacjach robotniczych. Czekał, aż będzie mógł wrócić do kancelarii rządu. Zajął się ponownie dziennikarstwem i przez pewien okres był redaktorem naczelnym jednego z lokalnych pism ruchu robotniczego. Kiedy partia znów doszła do władzy, lekko odnowiony Wijkman otrzymał stanowisko sekretarza stanu w jednym z ważniejszych ministerstw. Teraz uważano go za przedstawiciela prawego skrzydła partii. Wkrótce zasłynął jako architekt nowej polityki deregulacyjnej rządu. Według jednego ze źródeł Natalie miał duże wpływy, mocno przewyższające ministerialne kompetencje, zaś w trudnych negocjacjach z prywatnym sektorem gospodarki uchodził wręcz za nieocenionego. Złośliwi twierdzili, że to dlatego, że po drugiej stronie stołu siedzieli jego dawni szkolni koledzy. Ale Wijkman cieszył się pełnym zaufaniem swojej partii.

Wkrótce znów wszystkich zadziwił. Zamiast cierpliwie czekać na stanowisko ministra, którego w zasadzie mógł być pewien, postanowił zaangażować się w tworzenie nowego koncernu medialnego. Jego powstanie było poniekąd następstwem

polityki deregulacyjnej rządu, prowadzonej w swoim czasie właśnie przez Wijkmana. Przyglądając się eleganckiemu mężczyźnie, Natalie pomyślała, że jego kariera zatoczyła koło. Podczas kolejnego spotkania absolwentów liceum w Sigtunie będzie znów na swoim miejscu.

– Gratuluję artykułów o Eriku – powiedział, kiedy wrócił do stołu z kawą. Brzmiało to neutralnie, mówił raczej jak dziennikarz niż dawny przyjaciel Lindmana. – Nie rozumiem tylko, dlaczego dopiero teraz, po napisaniu artykułu, kontaktujecie się z jego dawnymi znajomymi.

– Uznaliśmy, że temat jest rozwojowy.

– Naprawdę? – Przyglądał jej się, mrużąc oczy. – Odniosłem wrażenie, że artykuły były bardzo wyczerpujące. – Znów mimowolny ruch ręką, dotknięcie marynarki. – Sam uznałbym temat za zamknięty.

Grzeczne, ale stanowcze stwierdzenie z ust światowca. Natalie rozkoszowała się jego talentem.

– Wiele kwestii pozostaje niewyjaśnionych. Dlaczego zniknął? Dlaczego tam został? No i okoliczności jego powrotu.

Wijkman się zamyślił. Po chwili na jego ustach pojawił się nieco wymuszony uśmiech.

– Zagadka Lindmana. Niestety jego los pozostaje także dla mnie w dużej mierze zagadką. Nie sądzę, żeby do tego, co napisaliście, można było jeszcze coś dodać.

– Po jego wyjeździe nie miał pan od niego żadnych wiadomości?

Wijkman pokręcił głową.

– Mimo że się przyjaźniliście? Uppsala, „Veritas”, mieszkanie przy Tegnérlunden...

– Widzę, że jesteś dobrze poinformowana. Z kim rozmawialiście?

Natalie wymieniła Lindmanów, Sundströma, a po chwili również Johana Rootha. Wijkman kiwał głową, jakby uznał ten wybór za oczywisty. Ale gdy wspomniała o Roocie, zmarszczył brwi.

– Rozmawiamy z różnymi ludźmi, którzy znali Erika Lindmana – powiedziała Natalie, ulegając impulsowi.

– Na przykład z kim? – spytał Wijkman uprzejmie.

Natalie nie odpowiedziała, a on oczywiście nie naciskał. W jego oczach zobaczyła nawet przeblysłk szacunku. Może rozumiał, że musi jej coś rzucić, żeby nie nabrała podejrzeń.

Nigdy nie należał do polityków wyznających zasadę zamkniętych drzwi, nie wysyłał też nic niemówiących oświadczeń do prasy. Próbował raczej zdobyć zaufanie drugiej strony. Był uprzejmy, ale charyzmatyczny, czuł się u siebie zarówno w środowisku „Veritasu”, jak i w towarzystwie członków Trefinerorden. Równie popularny w partii, jak nieoceniony w koncernie. Należał do tych, których chętnie wybiera się do zarządu, bo są powszechnie lubiani.

Odsunął na bok grzywkę i uśmiechnął się zaraźliwie.

– Może spróbuję ci naświetlić pewne rzeczy.

Zaczął opowiadać. Natalie właściwie nie usłyszała nic nowego, ale musiała przyznać, że potrafił mówić. Opowiedział, jak Lindman przybył do Uppsali, żądny wiedzy, w buntowniczym nastroju. W kręgach Veritasu znalazł to, czego szukał. Wijkman poznał go podczas spotkania studentów pierwszego roku, zaledwie dwa tygodnie po rozpoczęciu nauki. Od tamtego czasu trzymali się razem.

– Zabawne, ale to chyba jedyne, co z tamtego okresu pamiętam. Nie imprezy czy przyjęć. Nie same studia. Pamiętam tylko to, co robiliśmy w ramach Veritasu. Wszystko, ze szczegółami. Lokal, w którym się spotykaliśmy, stał się moim domem, a wykształcenie zdobywałem podczas odbywających się tam dyskusji. Nagle nie byłem już osamotnionym buntownikiem, tylko częścią czegoś większego. Veritas stał się moim światem.

– A Erik Lindman?

W oczach Wijkmana pojawiła się dziwna surowość.

– Erik Lindman był najinteligentniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znałem – stwierdził.

Kiedy przyjechał do Uppsali, był pewny siebie, dojrzały i odcytany. Miał niezłomną wolę i potrafił mówić, cytował z pamięci polityczne doktryny.

– Marksistowskiej dialektyki uczyłem się od Erika Lindmana

– dodał. Nagle jakby stracił trochę dystansu do swojej opowieści. Szybko jednak się zreflektował i odzyskał kontrolę nad sytuacją. – Nie wolno zapominać o atmosferze, jaka wówczas panowała – powiedział, zerkając na jej notes. – Daliśmy się ponieść, a z czasem, jak wszyscy, zaczęliśmy się zmieniać. Bo z upływem lat człowiek nie tylko siwieje, ale i mądrzeje. Gdyby Erik nie zniknął, zapewne odegrałby ważną rolę w polityce naszego kraju.

– Dlaczego odszedł z ministerstwa spraw zagranicznych? Nie znajdujemy żadnego wytłumaczenia.

Na to pytanie Wijkman najwyraźniej nie był przygotowany. Starł serwetką niewidzialną plamę ze stolika.

– Cóż, nikt z nas tego nie rozumiał.

– Nie wydaje się kimś, kto mógłby rzucić dobrze zapowiadającą się karierę i z powodów sentymentalnych nagle zostać roznosicielem gazet. Już prędzej ktoś taki jak pan mógłby tak postąpić – powiedziała Natalie.

Zacząła się zastanawiać, czy aby nie posunęła się za daleko, ale Wijkman tylko się uśmiechnął.

– Możliwe. Chociaż przyznaję, że my nigdy tak nie myśleliśmy.

– A co na to wszystko Sonia Terselius?

– Tak samo jak my wszyscy nic z tego nie rozumiała.

W jego głosie pojawiła się rezerwa, jakby chciał jej dać do zrozumienia, że nie zamierza powtarzać plotek. Natalie zaczęła przeglądać notatki, jakby czegoś szukała.

– Mniej więcej w tym okresie Lindman zaczął mieć wątpliwości – nie tyle spytała, ile stwierdziła.

– Kto tak mówi?

Teraz w jego głosie słyhać było napięcie.

Czy właśnie o tym rozmawiali wczoraj z Sonią Terselius? – zastanawiała się Natalie. I postanowili wybadać, co oni wiedzą? „Musisz z nimi porozmawiać, Calle”. A może takich instrukcji udzielił im Rooth?

– Chcę poznać pańską wersję.

– Natalie, to wszystko działo się bardzo dawno temu.

Uśmiechnął się i rozłożył ręce, jakby na przykładzie swojego eleganckiego garnituru chciał zademonstrować upadek ideolo-

gii. Urocze, ale tak łatwo się nie wywinie, pomyślała Natalie.

– W przypadku Erika Lindmana było inaczej. To nie był proces. Zmiana nastąpiła nagle.

Nie była to przemyślana refleksja. Zaczęła tak uważać, kiedy przeczytała list pożegnalny Lindmana oraz uwagi Sundströma i dowiedziała się o niechęci Rootha do tej kwestii. Gula w żołądku mówiła jej, że jest na tropie.

– Do czego zmierzasz? – spytał Wijkman i zdziwiony uniósł brwi.

– Mam na myśli zmianę, która w nim zaszła.

Wijkman czekał, aż powie coś więcej, ale nic takiego nie nastąpiło. W końcu rzucił nonszalancko:

– Chodzi o tę nieszczęsną kolację w naszym mieszkaniu?

Natalie przyglądała mu się, ale nic nie odpowiedziała. Wzruszył ramionami trochę zbyt obojętnie, powiedział to zbyt lekko.

– To naprawdę nie miało większego znaczenia – westchnął w końcu Wijkman. – To była jedna z wielu takich imprez. Kolacja dla podobnie myślących. Niedługo po tym, jak Erik odszedł z ministerstwa spraw zagranicznych. Jesienią 1964 roku.

Zaczął opowiadać. Mówił krótkimi, urywanymi zdaniami, nie wdając się w szczegóły. Natalie uzupełniała jego opowieść tym, co Meijters przekazał jej po rozmowie z Roothem. Coq au vin przygotowany przez Sonię Terselius i podany na rodowej porcelanie Wijkmanów. Dyskusje polityczne, poczucie ideowej wspólnoty, banjo i nowa dziewczyna Wijkmana w tweedowej spódnicy i bliźniaku. Prerażona. I zafascynowana. Nagle atmosfera się zmieniła.

– Erik mówił jak karabin maszynowy. Uznałem, że to za sprawą wypitego wina. Wszystkim przerywał. Jakby każdy, kto ośmielił się mieć inne zdanie, automatycznie stawał się zdrajcą. To był zupełnie inny Erik.

– Kwestionował marksizm? – spytała Natalie.

Wijkman pokręcił głową.

– Raczej Związek Radziecki niż socjalizm jako ideę. Erik, który wiarę w ZSRR wyssał z mlekiem matki, zaczął opowiadać o ryzyku związanym z nowym radzieckim imperializmem –

powiedział Wijkman i zamilkł. – Uznałem, że to przejściowe – dodał po chwili.

– Ale tak nie było. Nie przestał mieć wątpliwości, prawda?

Wijkman wodził wzrokiem po sali. Zerkał to na drzwi, to na puste stoliki. Nadal byli w kawiarni sami. W końcu przytaknął. Tak, rzeczywiście tak było.

Życie w mieszkaniu przy Tegnérunden toczyło się dalej. Erik i Sonia zajmowali dużą sypialnię, Wijkman rezydował w gabinecie z balkonem. Ale imprezy odbywały się coraz rzadziej, coraz rzadziej organizowano też dyskusje i debaty. Erik zaczął się zamykać w sobie, a przez jego wybuchy gniewu życie towarzyskie zaczęło zamierać.

– I nagle zniknął – wtrąciła Natalie.

Wijkman przytaknął, ale odpowiedział dopiero po chwili.

On sam był w podróży służbowej. Pracował nad jakimś reportażem. Kiedy wrócił, zastał spanikowaną Sonię. Spędzała wakacje we Francji, a kiedy wróciła, Erika nie było w domu. Zniknął, nie zostawiając żadnej wiadomości. Nikt nie miał pojęcia, co się z nim stało.

– Ale przecież Sundström powiedział jej, że Lindman musiał na jakiś czas wyjechać. I żeby się nie martwiła – dodała Natalie.

Wijkman chwilę milczał.

– Z tego co pamiętam, nie było to jednoznaczne. Poza tym Sundström i Sonia nie przepadali za sobą. Sonia była na swój sposób straszną snobką.

– Erik w ogóle się do niej nie odezwał? Nie rozmawiał z nikim, do kogo miała zaufanie?

Ku zdziwieniu Natalie Wijkman nagle wstał. Rzucił serwetkę.

– Znów cytujesz Sundströma. Na tym chcecie się opierać? Na wypowiedziach zgorzkniałego człowieka, który w tamtym czasie właściwie już nie znał Erika?

Na skroni Wijkmana pojawiła się żyłka, której jeszcze przed chwilą tam nie było.

– Jeśli mamy rozmawiać dalej, to chciałbym, żebyśmy rozmawiali poważnie.

– Kontaktujemy się z różnymi ludźmi. Z Sundströmem, z

panem. Przecież pan wie, jak to jest. – Ostatnie zdanie zabrzmiało jak wyrzut, chociaż tego nie chciała.

Wijkman usiadł.

– Przepraszam, oczywiście masz rację. Tylko że cała ta sprawa z Erikiem... Ale nie, nie dostaliśmy żadnej wiadomości. Ani ja, ani Sonia. Nic nie wiedzieliśmy.

– A potem rozpętała się burza – przypomniała Natalie cicho.

Czuła, że nie może za bardzo naciskać. Ale po chwili Wijkman sam podjął wątek. Jakby był równie zdziwiony jak ona. Bo nagle w mediach zaczęły się mnożyć artykuły przynoszące coraz to nowe szczegóły z życia Lindmana. Z jego politycznego życia. To było coś nieprawdopodobnego. W oczach ogółu natychmiast stał się szpiegiem, a ponieważ nic nie wiadano na pewno, założono, że wyjechał do Moskwy.

Wijkman westchnął ciężko.

– Ale, jak sami piszecie w swoim artykule, wydaje się to mało prawdopodobne. Wtedy też tak uważaliśmy.

Zapadła cisza. Słyszać było jedynie dobiegające z kuchni stukanie talerzy.

– Jedna rzecz nas dziwi – odezwała się Natalie po dłuższej chwili.

Wijkman uniósł głowę. Nagle wydał jej się zmęczony.

– Czy to możliwe, żeby po tym, jak prasa zaczęła się o nim rozpisywać, Albańczycy nie chcieli go wypuścić? To dlatego tam utknął?

Wijkman podniósł głowę. Widziała jego czerwone oczy i drobne, świadczące o wzburzeniu tiki. Dała mu chwilę, żeby doszedł do siebie. Ale chwila się przedłużała.

– Dlaczego akurat Albania?

Pytanie kompletnie go zaskoczyło.

– Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia.

– Był jakoś związany z tym krajem?

Wijkman wpatrywał się w filizankę, jakby nie mógł się jej nadziwić.

– Byłoby mi łatwiej, gdybyś zechciała mi powiedzieć, co już wiesz.

W jego głosie słyszać było łagodną reprimendę, ale Natalie

milczała. Zauważyła, że znów jest skupiony, opanowany. Uważny.

– Czy ktoś już wam mówił o kongresie w Bukareszcie?

– Niech pan mi przedstawi swoją wersję – odparła, sięgając po notes.

– Nie rozdmuchujmy tego, proszę.

W końcu jednak zaczął opowiadać. To było w ostatnim okresie ich studiów w Uppsali. Kongres Młodzieży w Bukareszcie. Czy raczej Kongres Pokoju. Forum spotkań przedstawicieli krajów komunistycznych i ich sympatyków. Atmosfera była napięta, rozłam między Związkiem Radzieckim a Chinami stał się już właściwie faktem.

– Pojechaliście tam w trójkę?

Wijkman spojrzał na nią uważnie, a po chwili skinął głową.

– Tak. Pojechaliśmy tam w trójkę.

Podczas kongresu supermocarstwa toczyły ze sobą walkę. Wymieniano się pismami, proklamacjami, wzajemnymi oskarżeniami. Plotki rozchodziły się jak kręgi na wodzie.

– To wszystko było okropnie deprymujące – stwierdził Wijkman.

Wydawał się zamyślony. Natalie zastanawiała się, czy dlatego, że stara się przypomnieć sobie tamte wydarzenia, czy może zastanawia się, co jej powiedzieć.

– To właśnie w tym chaosie się ze sobą zaprzyjaźnili – odezwał się w końcu. – Nie pamiętam, jak tamten człowiek się nazywał. Mówiliśmy chyba na niego Behxhet. Był trochę starszy od nas. Albańczyk, studiował na uniwersytecie w Leningradzie, ale wrócił do ojczyzny po tym, jak jego kraj zerwał stosunki ze Związkiem Radzieckim. Na kongresie reprezentował Albanie i oczywiście popierał obóz chiński. Ale przede wszystkim, podobnie jak Erik, był wizjonerem. I to ich połączyło – powiedział Wijkman i znów zamilkł na chwilę. – To było naprawdę bardzo dawno temu. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

– Sądzi pan, że Behxhet może nas naprowadzić na trop? Że to przez niego Lindman wyjechał?

Wijkman wzruszył ramionami.

– Nie wiem, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy. To jedyny znany mi kontakt Erika z Albanią. – Nagle spojrzął na zegarek. – Muszę już iść.

– Czy znajomość z Behxhetem miała coś wspólnego ze zmianą, która w nim zaszła?

Wijkman spojrzął na drzwi.

– Nie sądzę. Nie wierz we wszystko, co słyszysz, Natalie.

Co miała słyszeć? I od kogo? Co sugerował?

Nagle zaczął się niecierpliwić. Może ją przejrzał? Zrozumiał, że nie miała pojęcia o kongresie w Bukareszcie? Że dowiedziała się o nim dopiero od niego?

– To wszystko jakieś bzdury. Nadal tak uważam.

Pożegnali się przed gmachem muzeum. Carl Wijkman trochę za długo przytrzymał jej dłoń w swojej, a potem odwrócił się i energicznym krokiem ruszył przed siebie. Elegancki mężczyzna u szczytu kariery. Były sekretarz stanu z intratną posadą w gospodarce. Twoje drogi były kręte, Carlu Wijkmanie. Ale gdyby twój ojciec mógł cię teraz zobaczyć, pewnie byłby z ciebie dumny, pomyślała Natalie.

*

Tilas wysiadł z samochodu i spojrzął w stronę ogrodzonego płotem placu budowy. Właśnie tutaj, nad wodą, rozciągały się dawniej tereny przemysłowe Sztokholmu i stała stara gazownia. Zakłady zostały już dawno zlikwidowane, teraz miały tu powstać mieszkania. Jakies sto metrów niżej wygrodzono już teren. Po jednej stronie wznosił się wysoki płot, po drugiej była woda, a jeszcze dalej, przy końcu ogrodzenia widać było stary ceglany mur, ślepe zakończenie drogi.

Wymarzone miejsce dla bezdomnych, ale żeby mogło tu dojść do wypadku samochodowego, w którym zginął człowiek? Od początku wydawało mu się to dziwne. Zaczął schodzić na brzeg. Zatrzymał się tam, gdzie znaleziono mężczyznę. Policyjne taśmy zostały już usunięte, ale pamiętał dokładnie, gdzie leżał.

Paskudna sprawa, powiedział Fahlén. Jakiś kretyn wybrał się na przejażdżkę i przejechał bezdomnego biedaka, który spał na

nabrzeżu. A potem uciekł. To musiały być jakieś podejrzane interesy, bo czego tam szukał po nocy?

Już wtedy Tilas powziął pewne podejrzenia, ale ponieważ relacje z Fahlénem miał napięte, zatrzymał je dla siebie. Tak więc nie zwrócił szefowi uwagi na to, że rzeczy bezdomnego, wepchnięte w foliowe torebki, znaleziono jakieś piętnaście metrów dalej, bliżej muru. I że jeśli ktoś by na biedaka najechał, pewnie samochód pociągnąłby ciało za sobą. Technicy umyli ręce: w nocy lało i deszcz spłukał wszystkie ślady. Nie można było jednoznacznie stwierdzić, w którą stronę jechał samochód.

W pierwszej chwili zrobił to, co mu kazał Fahlén: uznał to za ucieczkę z miejsca zdarzenia. I skupił się na innych sprawach, na kradzieżach w sklepach. Żeby nikt nie mógł potem powiedzieć, że inspektor Tilas nie zna swojego miejsca w szeregu.

Ale potem przyszedł raport z Zakładu Medycyny Sądowej i zmienił wszystko. Przyczyną śmierci było złamanie karku. Ofiara stała, kiedy samochód na nią najechał. Siła uderzenia prawdopodobnie rzuciła mężczyznę na dach. A potem z niego spadł. I wtedy, kiedy już leżał na ziemi, został przejechany. Tilas rozmawiał z Holmströmem, zdenerwowanym patologiem z Zakładu Medycyny Sądowej. Był przekonany, że w chwili wypadku mężczyzna na pewno nie leżał na ziemi, a samochód jechał z prędkością mniej więcej siedemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Tilas odwrócił się i spojrzał na drogę. Był pewien, że z taką prędkością nikt tu nie jeździ. Odwrócił się w drugą stronę i spojrzał na ciągnący się za płotem mur. W głębi zobaczył stary zardzewiały podnośnik. Podeszedł bliżej i stanął między nim a murem. Potem obejrzał się za siebie i zamyślił. Tak, to możliwe. Zdecydowanie tak.

Wrócił i wziął plastikowe pachołki z placu budowy. Jeden postawił tam, gdzie znaleziono bezdomnego, drugi tam, gdzie leżały torby z jego rzeczami. Potem wycofał samochód na skraj ogrodzonego terenu, sprawnym ruchem wyminął pachołek i zaparkował między podnośnikiem a murem. Bez najmniejszego problemu. Wyłączył silnik i stwierdził, że co

prawda jest w stanie dojrzeć dalszy pacholek, ale znacznie lepiej widzi ten, którym zaznaczył miejsce, gdzie leżały foliowe torby z rzeczami bezdomnego. Widział go wyraźnie w szczelinie między przednim kołem a karoserią.

Wziął głęboki oddech i spróbował się skupić. Włączył silnik i gwałtownie ruszył. Na wszelki wypadek rzucił okiem na wodę. Odległość wydała mu się bezpieczna. Kiedy uderzył w pierwszy pacholek, rozległ się głuchy huk. Kiedy po chwili trafił w drugi, spojrzął na szybkościomierz. Jechał z prędkością nieco ponad pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Zatrzymał samochód, wyszedł i zaczął się zastanawiać. Jechał bardzo ostrożnie. Poza tym rozpraszał go drugi pacholek. Odsunął go, po czym znów ustawił pierwszy. Potem się wycofał. Znów stał obok podnośnika, tyle że tym razem bardziej ukośnie. Żeby móc ruszyć szybciej. Wyłączył silnik i na chwilę zamknął oczy. Pomyślał, że zapewne właśnie tak działali sprawcy. Na pewno byli tu wcześniej i ćwiczyli.

A Sven Emanuel, bo tak się nazywał ów bezdomny, wcale nie spał na ziemi. Stał i czekał w umówionym miejscu. Prawdopodobnie patrzył w zupełnie innym kierunku. Nawet nie pomyślał, że za podnośnikiem może się ukrywać samochód. Z wyłączonymi światłami. Że czeka, aż się nadarzy okazja.

Tilas przekręcił kluczyk, wcisnął pedał gazu i ruszył na dwójce. Patrzył przed siebie, a jego jedynym celem było uderzyć w pacholek z jak największą prędkością. Po lewej od wody dzielił go metr, po prawej drugi od wysokiego płotu placu budowy.

Może bezdomny próbował się wdrapać na ogrodzenie? Może rozważał, czy nie skoczyć do wody? Ale Tilas nie sądził, żeby tak było. Sven Emanuel, jak każdy w takiej sytuacji, spanikował. Kiedy zobaczył pędzący na niego samochód, zaczął uciekać. Aż dobiegł do miejsca, w którym kończy się płot, nie zdążywszy się nawet zastanowić, czy to ma sens. Samochód z impetem uderzył w pacholek, który przeleciał przez dach. Szybkościomierz wskazał siedemdziesiąt pięć kilometrów na godzinę. Inspektor zatrzymał samochód, wyszedł i spojrzął do tyłu, na mur. Był pewien, że właśnie tak się to odbyło.

MEIJTENS OTWORZYŁ OKNO i wyjrzał na Belgrad. To Jakub polecił mu hotel Moskwa.

– Jeśli redakcja pokrywa koszty, nawet się nie wahaj – powiedział. – To najlepszy hotel w mieście. A kawiarnia na dole ma w sobie coś ze starej Europy, a jednocześnie jest kameralna.

Bertil Andersson zgodził się z pewnymi oporami.

Skąd wiadomo, że temu Albańczykowi można zaufać? Na Bałkanach na pewno mnóstwo ludzi podaje się za kumpli Bektashiego vel Lindmana. Wystarczy, że zaprosisz ich na kawę i poczęstujesz papierosem.

Ale to, co mówił Shefqet Shala, brzmiało przekonująco. Szczegóły, które podał, były fascynujące. Jeszcze tego samego dnia Meijtens polecił do Belgradu. Z okien hotelu miał widok na plac Terazije. Zapadał zmierzch, na chodnikach były tłumy. Przepełnione trolejbusy były pełne ludzi. Ludzie gromadzili się także wokół charakterystycznych ośmiokątnych stojaków na gazety. Zastanawiał się, skąd się bierze ten specyficzny zapach. Znał go z wcześniejszych pobytów w Europie Wschodniej. Może to dlatego, że palą węglem? Spojrzał na zegarek. Do spotkania z doktorem Pecaninem została jeszcze godzina.

Od czasu, gdy ukazały się artykuły, nie rozmawiał z Hanną. Postanowił do niej zadzwonić. Odniósł wrażenie, że jest w dobrym nastroju, ale nie spytała go o teksty. A przecież chyba je czytała?

– Tak, czytałam – odpowiedziała, kiedy w końcu ją o to spytał. – Nie wiedziałam, że pracujesz z Petrini. Jaka ona jest?

Od czego miał zacząć?

– Jestem w Belgradzie. Muszę tu coś sprawdzić.

– W Belgradzie? I dzwonicz, żeby pogadać? Oszalałeś?

Zaczął tłumaczyć, że chciał sprawdzić, jak się czuje.

– A tak przy okazji, policja postanowiła się zająć tym włamaniem – wtrąciła. – Któregoś dnia wpadł tu policjant i spisał raport.

– Zawsze tak robią. Chodzi o ubezpieczenie.

Odsunął firanki i wyjrzał na ulicę. Kolejka do księgarni? Zdziwił się.

– To jeszcze nie koniec – usłyszał znów głos Hanny. – Potem zadzwonił jakiś inspektor policji. Rozmawialiśmy dobre dwadzieścia minut.

– Naprawdę?

– Zadawał mi mnóstwo pytań. Co zostało skradzione, co nie. Pytał też o te rozmowy telefoniczne. I twój karton. I też uznał, że to dziwne, że go przeszukali.

– Co dokładnie chciał wiedzieć?

– Przypuszczam, że zainteresował się tym, bo cię zna. Przedstawił się, ale nie zrozumiałam, czy podał imię, czy nazwisko.

Tilas, pomyślał Meijtnens. O co mu, do diabła, mogło chodzić?

*

Początkowo zamierzał wybrać stolik przy ścianie, ale w końcu wybrał jeden z tych przy dużym oknie wychodzącym na plac. Sala była duża, z sufitu zwisały kryształowe żyrandole. Część gości najwyraźniej mieszkała w hotelu, ale większość stanowili mieszkańcy Belgradu. Starzy przyjaciele siedzieli, palili papierosy i rozmawiali, pijąc kolejne filiżanki mocnej, parzonej po turecku kawy. Była też para zakochanych i rodziny z dziećmi rozkoszujące się słynnymi ciastami.

Kiedy do sali wszedł doktor Pecanin, Meijtnens natychmiast go rozpoznał. Miał na sobie długi zniszczony płaszcz, za ciepły jak na przyjemny jesienny wieczór. Oprawki okularów z grubego bakelitu, zadbana, przyprószona siwizną broda. Sprawiał wrażenie, jakby trafił tu przez przypadek i bał się, że może komuś przeszkadzać samą swoją obecnością. Kiedy zobaczył, że Meijtnens wstał z krzesła, uchylił kapelusza i uśmiechnął się ciepło. Towarzyszyła mu młoda kobieta.

– Mam nadzieję, że nie będzie pan mi miał za złe, że

poprosiłem siostrzenicę, żeby mi towarzyszyła – powiedział, kiedy już usiedli przy stoliku. – Mój angielski nie jest najlepszy, więc w razie czego nam pomoże.

Zamówili kawę. Doktor Pecanin opowiedział o sobie trochę więcej niż podczas rozmowy telefonicznej. Czym się zajmuje i jak to się stało, że znalazł się w Belgradzie. Jego angielski właściwie był bez zarzutu, poza tym że mówił z dość wyraźnym obcym akcentem. Przez lata pracował na uniwersytecie w Tiranie, a tam raczej nie miał kontaktu z cudzoziemcami.

Jako jeden z czołowych ekspertów w dziedzinie nauk ścisłych zasiadał nie tylko w radzie naukowej uniwersytetu, ale także został członkiem komitetu centralnego rządzącej partii robotniczej. Przez wiele lat był doradcą do spraw rozwoju przemysłu.

– Moją pracę dotyczącą produkcji fosfatów opublikowano w międzynarodowym czasopiśmie. Może jest panu znana?

Meijtens grzecznie pokręcił głową.

W latach osiemdziesiątych pozycja doktora mocno osłabła, ale przynajmniej nie padł ofiarą czystek. Jego upadek nastąpił później i nie miał nic wspólnego z politycznymi zawirowaniami. Chodziło raczej o nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Jeden z jego studentów został złapany podczas próby ucieczki z kraju. Trafił do więzienia i poddano go torturom. Pytano go między innymi o krytyków reżimu.

– Biedny chłopak nie znał żadnych krytyków reżimu, właściwie w ogóle nie był opozycjonistą. Chciał po prostu uciec od biedy i spróbować szczęścia na Zachodzie. W końcu nie wytrzymał bicia, załamał się i zaczął wymieniać nazwiska tych, których znał, byle tylko uniknąć bólu. Kiedyś oblałem go na egzaminie, więc moje nazwisko było jednym z pierwszych. – Uśmiechnął się łagodnie. A kiedy jego siostrzenica powiedziała coś z oburzeniem po albańsku, złapał ją za rękę i spokojnie uściśnął. – Nie oceniamy go zbyt surowo. Mam podobne doświadczenia, więc nie żywię do niego urazy.

Kiedy nadeszła polityczna odwilż, doktor Pecanin został wypuszczony jako jeden z pierwszych i postanowił wyjechać, ale nie jak większość do Włoch czy Niemiec Zachodnich, tylko

do Jugosławii, ponieważ w Prisztinie miał wielu albańskich znajomych. Kiedy jednak dotarł do Belgradu, okazało się, że władze mają obsesję na punkcie pochodzenia etnicznego, i podróż do Prisztiny okazała się niemożliwa.

– Powiedziano mi, że w Kosowie jest już wystarczająco dużo Albańczyków. A potem zaczęły się niepokoje i tamtejszy parlament rozwiązano. W obecnej sytuacji wyjazd jest absolutnie niemożliwy. Tak więc na razie mieszkam z siostrzenicą. Problem w tym, że wkrótce moja wiza straci ważność, więc pewnie każą mi wyjechać.

Meijtens zaczął coś mówić, ale Pecanin położył dłoń na jego rękę i pokręcił głową.

– Mam kontakty w Anglii, rodzinę, która od dawna tam mieszka. Poradzę sobie. A teraz zajmijmy się tym, po co się spotkaliśmy.

Zamówili kawę. Meijtens zaproponował, by coś zjedli, ale Pecanin odmówił.

– Mam nadzieję, że nie jechał pan tak daleko na próżno. Bo nie wiem zbyt dużo o człowieku, którego znaleźliśmy jako Arona Bektashiego. Ale oczywiście opowiem panu wszystko.

Meijtens szybko się przekonał, że doktor nie docenia wartości tego, co wie.

*

– Aron Bektashi przebywał w Albanii już od wielu lat, kiedy zaczęto publicznie o nim mówić. Niektórzy twierdzili, że przyjechał tam jako student, inni że w ramach wymiany partyjnej. Wiadomo było, że pochodzi z jednego z krajów zachodnich, ale nikt nie wiedział dokładnie z którego. Wspominano o Niemczech Zachodnich, Anglii i Skandynawii. Dopiero znacznie później poznałem, jak sądzę, prawdziwą wersję wydarzeń.

Meijtens pomyślał, że doktor jest znakomitym informatorem. Nie dawał się ponieść uczuciom, nie fantazjował i powstrzymywał się od osobistych komentarzy. Jego angielski z każdą minutą był lepszy i znudzona siostrzenica tylko od czasu do czasu wtrącała jakieś słowo, którego mu brakowało.

– Aron Bektashi miał albańskiego przyjaciela – ciągnął Pecanin. – Członka partii, wykształconego w Związku Radzieckim. Kiedy przyjechał do Albanii, obaj byli jeszcze młodzi. Była połowa lat sześćdziesiątych. Bektashi przybył pod własnym nazwiskiem, tym, które potem stało się tak starannie strzeżoną tajemnicą. Mówiono, że przedostał się nieoficjalnie, najprawdopodobniej przez Grecję. Wszystko było okryte tajemnicą, żeby nie niepokoić władz jego ojczystego kraju. Jego przyjaciel załatwił wszelkie formalności, wszystko uzgodnił wcześniej z wysoko postawionymi osobami. Byli parą młodych idealistów. Nie orientowali się, co się dzieje na partyjnych szczytach. Jak się później okazało, był to poważny błąd. Kilka tygodni po pojawieniu się młodego człowieka w Albanii, władze zaczęły otrzymywać niepokojące wiadomości z jego ojczyzny. Jego zniknięcie wywołało nie lada szum. Już samo w sobie nie było to dobre. Bo widzi pan, Albanii w tamtym okresie zależało na dobrych stosunkach z krajami Zachodu. Po zerwaniu ze Związkiem Radzieckim potrzebowaliśmy partnerów handlowych. Na pewno zaś nie potrzebowaliśmy skandalu wywołanego przez młodego zachodniego komunistę, który w tajemnicy przed wszystkimi przybył do Albanii.

Chociaż Meijtns nagrywał rozmowę, od czasu do czasu, z przyzwyczajenia, także coś notował. Pecanin czekał cierpliwie, aż skończy.

– Sprawa przybrała zdecydowanie zły obrót – zaczął znów po chwili. – Prasa w kraju, z którego pochodził ów młody człowiek, podała, że jest szpiegiem. Że szpieguje dla Związku Radzieckiego! W siedzibie partii w Tiranie ta wiadomość wywołała ogromne poruszenie. Oczywiście nie trzeba było długo czekać, żeby Sigurimi aresztowała obu młodych mężczyzn.

Meijtns podniósł głowę znad notatek.

– Sigurimi? Co to takiego?

– Albańska policja polityczna.

Meijtns poczęstował doktora papierosem. Przezornie kupił paczkę na lotnisku Arlanda. Pecanin zapalił i wyraźnie się tym delectował, a potem mówił dalej:

– Młody mężczyzna z Zachodu nie potrafił oczywiście wyjaśnić tego, co robili dziennikarze w jego kraju. Nie w sposób, który Sigurimi uznałyby za wiarygodny. Ale jego przyjaciel znalazł się w jeszcze gorszej sytuacji. Ściągnął do Albanii cudzoziemca, którego w jego własnym kraju podejrzewano o szpiegostwo na rzecz Związku Radzieckiego. To był niewybaczalny błąd.

– Jak się nazywał? Ten albański przyjaciel?

Pecanin szukał chwilę w pamięci, zaciągając się dymem.

– Musi pan zrozumieć, że o tym wszystkim dowiedziałem się znacznie później. Często były to plotki. Nie wiem, na ile prawdziwe. Mam wrażenie, że nazywał się Halitaj. Imienia nie pamiętam.

– Behxhet? Nazywał się Behxhet Halitaj?

Starszy pan skinął głową.

– Niewykluczone. Behxhet Halitaj. Oczywiście w końcu go zastrzelili – dodał i znów zaciągnął się papierosem.

– Ale Bektashiego nie?

Doktor pokręcił głową.

– Nie, Bektashiego nie. Był dla nich zbyt cenny. Może coś wiedział. Poza tym sądzono, że w przyszłości będzie można go wykorzystać, wymienić. Tak czy inaczej pozostał tajnym więźniem policji bezpieczeństwa. Odcięty od świata, całkowicie zdany na ich łaskę. Dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wyobrażam sobie, że pewnie nie raz myślał, że jego przyjaciel miał jednak więcej szczęścia.

Zgasił papierosa, zamyślił się. Meijtens zauważył, że siostrzenica Pecanina nagle się ożywiła. Słuchała jego opowieści z taką samą fascynacją jak on.

– I właśnie w tym momencie historia Arona Bektashiego staje się wyjątkowa – odezwał się doktor. – Między przesłuchaniami, żeby nie zwariować, zaczął się uczyć albańskiego. Od współwięźnia, drobnego złodziejaska z Shkodër, skazanego na dożywocie za przemyt. Kiedy go spotkałem wiele lat później, mówił po albańsku prawie idealnie, miał tylko lekki północnoalbański akcent. Musiał być niezwykle uzdolniony językowo.

Meijtens pokiwał głową.

– Po jakimś czasie jeden z najbliższych współpracowników premiera Mehmeta Shehu, wysoki rangą funkcjonariusz Sigurimi, zainteresował się młodym cudzoziemcem. Podobno zaczął osobiście prowadzić przesłuchania. Podobno z czasem zamieniły się w poważne dyskusje na różne tematy. Co z kolei sprawiło, że więzień zdobył zaufanie i szacunek służb. Pod koniec lat sześćdziesiątych wypuszczono go na wolność. Nie była to oczywiście wolność taka, jak my ją rozumiemy, raczej rodzaj... – Urwał. Szukał właściwego słowa, poprosił o pomoc siostrzenicę. – To był areszt domowy – powiedział po chwili z uśmiechem. – Dostał nowe imię i nazwisko. Aron Bektashi. Partia uznała zapewne, że tak będzie bezpieczniej. Że łatwiej będzie utrzymać jego obecność w kraju w tajemnicy, gdy nada mu się albańską tożsamość.

– Dlaczego go wypuszczono? Udało mu się ich przekonać, że jednak nie jest radzieckim szpiegiem?

– Możliwe. Ale samo to by nie wystarczyło. Albańskie więzienia są pełne ludzi, o których Sigurumi wie, że są niewinni, a mimo to trzyma ich w zamknięciu, bo uważa, że tak jest lepiej. Albo po prostu biurokracja działa zbyt wolno. – Wyjrzał przez okno na plac. Już po chwili mówił dalej, równie obojętnym tonem. Jakby mówił do ludzi za oknem, spieszących się do swoich codziennych spraw. – Musieli uznać, że może im się przydać. W kręgach partyjnych rozeszły się plotki, że pełni funkcję doradcy premiera Shehu. Podobno sam przewodniczący partii, Enver Hodża, wysoko cenił jego zdolności analityczne i zasięgał jego opinii podczas szczególnie trudnych rokowań handlowych. Ale jak już wspominałem, to tylko plotki. – Chwilę milczał, a potem sięgnął po kolejnego papierosa z paczki, którą dostał od Meijtensa. – Musi pan wiedzieć, że kiedy Albania odzyskała po wojnie niepodległość, należała do najsłabiej rozwiniętych krajów Europy. Większość obywateli była analfabetami. Brakowało ludzi wykształconych, a izolacja tylko pogarszała sprawę. Bektashi okazał się niezwykle darem. Był inteligentny i miał wiedzę o świecie, od którego Albania się odcięła. To, że nauczył się języka i pod

przymusem, ale jednak przystosował do panujących w kraju warunków, odróżniało go od wcześniejszych doradców radzieckich. Ci mieli w Albanii uprzywilejowaną pozycję, ale izolowali się od Albańczyków, postrzegających ich z kolei jako bardzo aroganckich.

– A zatem Bektashi został uprzywilejowanym doradcą? – spytał Meijtens ze zdziwieniem.

Doktor Pecanin pokręcił głową.

– To nie takie proste. Złota klatka pozostaje klatką. Nie był całkiem wolny, nie mógł się kontaktować ze światem. Uzyskał natomiast dostęp do wielu reglamentowanych towarów. Pozwolono mu nawet ożenić się z Albanką, dziewczyną z Korça. Była oczywiście w partii, a osobiście podejrzewam, że łączyły ją też powiązania ze służbami. Ale przynajmniej kogoś miał. Podobno urodziło im się nawet dziecko, ale tego nie jestem pewien. Bektashi doskonale wiedział, że jeden błąd, próba kontaktu z ojczyzną czy rozmowa z niewłaściwą osobą może mieć poważne skutki, z więzieniem włącznie. Sądzę, że Sigurimi cały czas go obserwowała. Presja musiała być ogromna. Do tego dochodziła świadomość, że władze są skłonne utrzymywać go przy życiu wyłącznie tak długo, jak długo będzie im potrzebny.

Meijtens odchylił się do tyłu i w zamyśleniu przeciągnął dłonią po włosach. Nawet przez chwilę nie wątpił w to, co mu opowiadał doktor Pecanin, ale wiedział też, że Andersson będzie oczekiwał potwierdzenia z innego źródła, zanim zgodzi się podać do publicznej wiadomości, że więziony w Albanii Erik Lindman był doradcą przywódcy tego kraju.

– Skąd pan zna tyle szczegółów, skoro jego pobyt w Albanii, ukrywano?

Pecanin się roześmiał.

– Kiedy ludzie się spotykają, rozmawiają o różnych rzeczach. Nawet w Komitecie centralnym albańskiej partii komunistycznej. Poza tym, jak już wspomniałem, raz się z nim spotkałem.

Obaj byli członkami dużej albańskiej delegacji udającej się z wizytą do Pekinu. To było w kwietniu 1974 roku. W jej skład

wchodzili naukowcy i badacze, zarówno cywilni, jak i wojskowi. I oczywiście spora grupa oficerów służby bezpieczeństwa. Bektashi należał do grupy, która miała prowadzić rokowania handlowe z Chińczykami. Przez większość czasu trzymano go z dala od pozostałych członków delegacji, ale już sam fakt, że pojechał, świadczyło o jego wysokiej pozycji.

– Podczas kilku nieformalnych spotkań mieliśmy okazję wymienić kilka słów. Wydał mi się niezmiernie uprzejmy i wybitnie inteligentny. A potem nagle rozpułała się burza. Bektashi zaginął. Sigurimi szukało go wszędzie. Przeczesano hotel i całą okolicę. Po kilku godzinach znaleziono go w pobliskim parku. Pił herbatę w jakimś barze. Tłumaczył, że miał ochotę się przejść, rozprostować nogi, a nie chciał przeszkadzać oficerowi, który właśnie odpoczywał. Nieszczęsny chłopak pewnie już do końca życia patrolował niedostępne górskie tereny. A Bektashi dostał dodatkową ochronę i do końca pobytu siedział w swoim pokoju hotelowym. Kiedy teraz wspominam ten incydent, podejrzewam, że pewnie się obawiano, że będzie próbował się skontaktować z ojczyzną. Kilka tygodni później zjawił się w komitecie centralnym, żeby przedstawić jakiś problem. Zakładam, że upewniono się, że do żadnego kontaktu nie doszło. Że rzeczywiście chciał chwilę pobycć sam i wypić filiżankę herbaty. Czasem najprostsze wytłumaczenie okazuje się prawdziwe.

– Więc nie trafił do więzienia?

– Nie, to się stało znacznie później. Po zerwaniu z Chinami zaczęły się czystki. Tym razem celem byli sam premier Mehmet Shehu i jego zwolennicy. Po ich aresztowaniu stało się oczywiste, że wkrótce przyjdzie kolej na niego. To była tylko kwestia czasu. I rzeczywiście wkrótce usłyszałem o zatrzymaniu Arona Bektashiego. Oskarżono go o szpiegostwo na rzecz krajów zachodnich. Nie podano natomiast, że sam z takiego kraju pochodzi. Potem już nigdy o nim nie słyszałem. Do czasu, kiedy pan zadzwonił.

– A jego rodzina? Jego albańska żona, dziecko?

Pecanin uśmiechnął się smutno.

– Obawiam się, że w moim kraju w takich sytuacjach kara

rozciąga się na całą rodzinę.

Pecanin stwierdził, że to wszystko, co wie. Wyszli na ulicę i się pożegnali.

– Shefqet obiecał, że spróbuje mi pomóc, kiedy sam dostanie pozwolenie na pobyt. Więc niewykluczone, że kiedyś spotkamy się w pańskim kraju.

– Jak to możliwe, że panowie się znają? Intelektualista, człowiek nauki i członek komitetu centralnego i ktoś taki jak Shefqet Shala?

Doktor Leonard Pecanin roześmiał się uprzejmie.

– No cóż, powiem tylko, że to przypadek podobny do tego, który połączył Arona i drobnego złodziejaska w Shkodër. Dzieliliśmy kiedyś celę.

W SALI ODPRAW nie było okien. Tilas nie czuł się tu dobrze, chociaż pozostałe trzy osoby zdawały się w ogóle nie zwracać na to uwagi. Był wśród nich przedstawiciel służb bezpieczeństwa, z którego inicjatywy zwołano spotkanie. Chodziło ponoć o koordynację działań. Wymiana informacji w celu uniknięcia nieporozumień, jak to określili.

Obaj przedstawiciele wydziału bezpieczeństwa sztabu obrony w napięciu słuchali sprawozdania policji. Nikt się nie odzywał, czekali, aż to trochę przydługie wystąpienie się skończy.

– Wiemy to i owo o śmierci Erika Lindmana – zaczął Hansson, starszy z nich. Miał na sobie kraciatą marynarkę i krawat w kolorze ziemi, jakby przed chwilą wrócił z polowania. Mówił z wyraźnym skańskim akcentem. – Chodzi o raport, a raczej o jego fragmenty – podkreślił.

Tilas milczał. Siedział wyprostowany, z dłońmi złożonymi na kolanach. Słyszał, że Hansson należy do tych nielicznych, którzy wyszli cało ze skandali lat siedemdziesiątych i utrzymali stanowiska w wywiadzie sztabu. Poza tym podobno to właśnie on doprowadził do wykrycia dwóch największych szpiegów działających na terenie Szwecji po wojnie. Jeden z nich zniknął w Albanii, drugi popełnił samobójstwo, więc może nie był to aż taki powód do dumy, pomyślał Tilas.

– To bardzo ważne, żeby rutynowe działania policji nie zakłócały działań operacyjnych kontrwywiadu. Co do tego chyba wszyscy jesteśmy zgodni – powiedział Hansson i uśmiechnął się do niego.

Inspektor nie odwzajemnił uśmiechu. Hansson na chwilę zamilkł, wyraźnie skonsternowany jego milczeniem. Jego młody współpracownik odruchowo pokiwał głową. Miał wylupiaste oczy, był spięty. Wyglądał, jakby cały czas był z czegoś niezadowolony.

– Powiem szczerze, wolelibyśmy, żeby policja skontaktowała

się z nami, zanim przesłuchała wdowę po jednym z naszych najbardziej znanych szpiegów. Szczególnie że chodzi o tak drażliwą kwestię – ciągnął Hansson.

Tilas czuł, że napięcie rośnie.

– Trwa dochodzenie. Nie musimy prosić straży nadbrzeżnej o pozwolenie, żeby porozmawiać z powiązaną ze sprawą starszą panią – powiedział.

Hansson uśmiechnął się uprzejmie.

– Chodzi o to, że nie widzimy żadnych powiązań.

– Bo takich powiązań nie ma – dopowiedział wylupiastooki.

Hansson pochylił się lekko do przodu.

– Lindman mógł mieć w kieszeni tę kartkę z wielu powodów. To naprawdę nie musi nic znaczyć.

– A jeśli te nazwiska pojawiają się w obu sprawach? – spytał Tilas.

– Możliwe, że te osoby znały Lindmana i pojawiły się na marginesie sprawy Stiernspetza. Na marginesie, podkreślam. Policja nie ma pełnego obrazu sytuacji.

– I nie może mieć – podkreślił wylupiastooki, po czym demonstracyjnie zwrócił się do przedstawicieli służb bezpieczeństwa, chociaż swoją wypowiedź adresował zapewne do Tilasa. – Wszystko to zostało uwzględnione w piśmie, które skierowaliśmy do was wtedy, jakieś piętnaście lat temu. Tłumaczyliśmy wówczas, że nie ma żadnych wątpliwości co do winy Stiernspetza, a także zapewnialiśmy, że osoby, których nazwiska teraz znów się pojawiają, nie miały nic wspólnego ze sprawą. – Uniósł ręce. – Dlaczego teraz znów musimy odpowiadać na te same pytania?

Tym razem Tilas nie był już w stanie się powstrzymać.

– Dlatego, że facet spadł ze skarpy i się zabił. A my nie potrafimy wyjaśnić, jak to się stało. I nie obchodzi nas, czy pracował dla Rosjan, dla Chińczyków czy dla Armii Zbawienia! Czy działał sam, czy z kimś. Jeśli któryś z tych ludzi ma coś wspólnego ze śmiercią Erika Lindmana, to naszym obowiązkiem jest to zbadać!

Na twarzy Hanssona znów pojawił się uśmiech.

– Nie rozumiemy, dlaczego śmierć tego człowieka tak

angażuje policję. Przecież to był wypadek. Tilas patrzył przed siebie pustym wzrokiem. Zmuszono go do uczestnictwa w tym spotkaniu i jeśli tylko udało mu się zachować coś dla siebie, uważał to za swoje zwycięstwo. W pokoju zapadła cisza.

– Tilas, uważam, że powinieneś powiedzieć o guziku – powiedział jeden z funkcjonariuszy.

Tilas posłał mu wściekle spojrzenie. W raporcie przesłanym do wydziału bezpieczeństwa sztabu nie było o tym mowy.

– Wszystko zostanie w tych czterech ścianach – zapewnił go funkcjonariusz. – Ale muszą wiedzieć, dlaczego nie wykluczamy przestępstwa. Musimy być otwarci. Fahlén to rozumie.

Tilas błagał Fahléna, żeby nie odrzucał wersji morderstwa, ani w przypadku Lindmana, ani w przypadku bezdomnego. Ale jego szef postawił jeden warunek: musi współpracować ze służbami.

– Daj tym ludziom szansę. Wyświadcz sobie przysługę. Chociaż raz okaż wolę współpracy.

Tilas poprawił się na krześle i niechętnie zabrał głos:

– Przy ciele Lindmana znaleźliśmy guzik. Były na nim odciski jego palców. I nikogo innego. W guziku nadal tkwił kawałek nitki, jakby wyszarpany z materiału. Ale materiał nie pasował do płaszcza Lindmana, ani w ogóle do rzeczy, które zostawił w obozie dla uchodźców. – Zamilkł i nieporuszony dolał sobie kawy ze stojącego na stole termosu. – Podejrzewamy, że to guzik napastnika. Lindman chwycił za niego, kiedy ten spychał go ze skarpy.

– Więc dlaczego nie ma na nim śladów palców napastnika? – spytał Hansson.

Trochę za szybko, pomyślał Tilas. Jakby już o tym wiedział.

– Pewnie był to górny guzik płaszcza albo trencza, rzadko używany. Jest dość pospolity, ale dobrej jakości. Technicy nie są w stanie stwierdzić, czy pochodzi z męskiego, czy damskiego płaszcza. Ale na pewno nie z Albanii.

Hansson uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Nadal uważam, że pewnie udałoby się jakoś inaczej wyjaśnić, skąd się tam wziął ten guzik.

Tilas otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale Hansson dał mu znak, żeby się nie fatygował.

– Zatrzymajmy się przy tym na chwilę. Wtedy podejrzenie padłoby przede wszystkim na rosyjskich mocodawców Lindmana. Może bali się, że coś powie, i woleli się zabezpieczyć? W takiej sytuacji należałoby oczywiście włączyć do dochodzenia służby.

– Zdecydowanie należałoby to zrobić – dodał wylupiastooki.

W twarzy Tilasa nie drgnął żaden mięsień.

– Nadal mamy do czynienia z morderstwem. To znaczy teoretycznie.

– I zamierzacie to dalej ciągnąć?

– Jeśli będzie taka potrzeba.

– Co może oznaczać kolejne rozmowy z panią Stiernspetz?

– Ewentualnie.

– I z innymi?

– Z innymi?

Teraz Tilas musiał się uśmiechnąć. Funkcjonariusz policji bezpieczeństwa najwyraźniej miał już dosyć.

– Jeśli dobrze zrozumiałem Fahléna, to ani pani Stiernspetz, ani nikt inny nie będzie nagabywany, dopóki nie zostaniemy o tym poinformowani. Tak? – spytał, spoglądając na Tilasa.

Inspektor wzruszył ramionami. To była jedyna odpowiedź, na jaką mogli liczyć.

– Mamy prośbę, żeby policja nie kontaktowała się z tymi osobami – odezwał się Hansson po chwili.

– Ach tak.

– Boimy się, że w ten sposób mogą ucierpieć niewinni. Po co robić tyle szumu w tak drażliwych sprawach.

– Szumu? – Tilas zaczął mieć dość.

– Mogą w to zostać wciągnięci ludzie, którzy wyświadczyli naszemu krajowi wielkie przysługi. Należy mieć to na uwadze, badając okoliczności śmierci Erika Lindmana.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Hansson westchnął.

– Jeśli zamierzacie kontynuować dochodzenie, jest szereg spraw, o których musicie wiedzieć – powiedział, otwierając leżącą przed nim brązową teczkę.

GDY MEIJTENS POJAWIŁ SIĘ w hali przylotów na lotnisku Arlanda, w tłumie oczekujących rodzin i taksówkarzy walczących o klientów ze zdziwieniem zobaczył Natalie. Skinęła głową, odwróciła się i ruszyła do wyjścia.

– Nie mamy czasu – krzyknęła do niego przez ramię.

Meijtens przyspieszył i ruszył za nią.

– Właściwie zamierzałem dzisiaj sprawdzić to, co powiedział Pecanin.

– Nie teraz. Za pół godziny jesteśmy umówieni na wywiad z Terselius.

Wskoczyli do jednego z redakcyjnych wozów. Natalie skręciła, wpychając się między dwie taksówki, i szybko wyjechała z parkingu. Był pod wrażeniem.

– Widzę, że udało ci się zarezerwować samochód – powiedział.

– Trzeba go rezerwować? – rzuciła zdziwiona, skupiając się na szukaniu właściwego wjazdu na autostradę.

Meijtens pomyślał, że Sölvebring na pewno im tego nie daruje.

Pędzili zewnętrznym pasem. Natalie odchyliła się w fotelu, z dwoma palcami na dolnej części kierownicy. Tobiasz zastanawiał się, skąd ten pośpiech. Kiedy był w Belgradzie, rozmawiali kilka razy przez telefon, ale nie wspomniała o spotkaniu z Sonią Terselius. Mówiła tylko o tym, jak trudno ją złapać.

– Jak zdołałaś umówić się na wywiad? – spytał.

– Już straciłam nadzieję, że uda mi się obejść jej zadzierającą nosa sekretarkę, ale rano wpadłam na pewien pomysł. No i godzinę temu dostałam odpowiedź.

Wyraźnie zniecierpliwiona, wyprzedziła taksówkę.

– Pani sędzia jest bardzo zajęta, pani sędzia nie udziela

wywiadów. Pani sędzia to, pani sędzia tamto. Miałam ochotę udusić babę własnymi rękami.

Meijdens domyślał się, co sekretarka Soni Terselius myśli o Natalie. Spojrzał na pola rozciągające się za oknem.

– Dawna dziewczyna Erika Lindmana daleko zaszła – rzucił zamyślony.

– Nie powiedziałabym. Stanowisko sędziego sądu apelacyjnego to oczywiście sporo w karierze prawnika, ale wyobrażam sobie, że Sonia Terselius mierzyła wyżej.

Sięgnęła do torby i nie odrywając wzroku od drogi, wyjęła paczkę gumy do żucia. Poczęstowała Meijtensa i sama wzięła drażetkę.

– Kiedy byłeś w Belgradzie, zasięgnęłam języka. Popytałam o naszą znajomą. Po odbyciu stażu w sądzie zaczęła robić karierę jako prawnik. Prawdopodobnie chciała zostać sędzią. Ale podobnie jak Wijkmanowi, i chyba nawet w tym samym czasie, zaproponowano jej wysokie stanowisko w administracji państwowej. W jej przypadku w ministerstwie sprawiedliwości. Zaczęła tam pracować i szybko awansowała. Wszyscy, którzy mieli z nią do czynienia, wychwalają ją pod niebiosa. Na początku lat siedemdziesiątych przygotowała szereg nowych ustaw, promowała też nowe spojrzenie na więziennictwo. Po pewnym czasie wróciła do sądownictwa. Jest autorką kilku poważnych opracowań rządowych, robionych na zlecenie zarówno socjaldemokratów, jak i partii mieszczańskich.

– Uważasz, że sędzia sądu apelacyjnego to mało?

– Sonia Terselius jest osobą niezwykłą. Ma dużą wiedzę, ale też sieć kontaktów partyjnych. Dziwne, że nie zajmuje ważnego stanowiska w ministerstwie albo w kancelarii rządu. Jedna z osób, z którymi rozmawiałam, podejrzewa, że czeka na okazję. Może chce zostać przewodniczącą Sądu Najwyższego albo kanclerzem sprawiedliwości.

– Więc pewnie jest zachwycona, że dwoje dziennikarzy chce z nią rozmawiać o jej rewolucyjnej przeszłości – wtrącił Meijdens.

Natalie zaczęła chichotać, a Meijdens zastanawiał się, gdzie znajduje źródła.

– Kilka lat po tym, jak Erik Lindman zniknął, wyszła za mąż. Za jakąś szybę z kancelarii rządu. Po pewnym czasie się rozwiedli i od tamtej pory jest sama.

Natalie zerknęła na zegarek i przyspieszyła, przeklinając pod nosem. Dojechali do Norrtull. Natalie skupiła się na szukaniu jak najszybszego skrótu do budynku Sądu Najwyższego.

– Mam do ciebie prośbę – odezwała się nagle, nieprzepisowo zmieniając pas. – Pozwól, żebym to ja prowadziła wywiad.

– Więc mogę cię już zostawić. Wiesz, co powiedział Pecanin...

Natalie zaczęła ze zniecierpliwieniem machać ręką.

– Musisz iść ze mną. Prawdę mówiąc, tylko pod tym warunkiem zgodziła się na wywiad. Później ci wszystko wytłumaczę, ale pozwól mi prowadzić rozmowę do chwili, kiedy dam ci znać, dobrze?

Meijtens czekał na wyjaśnienia, ale bez skutku. W popołudniowym świetle sączącym się przez przyciemnione szyby oczy Natalie były bardziej mroczne niż zwykle.

– Zamierzam odbyć poważną rozmowę z Sonią Terselius.

*

Ruszyli truchtem przez niemal pusty Riddarholmen.

– Wiesz, w którym budynku urzęduje? – spytał Meijtens, zerkając na fasadę starego pałacu.

Natalie skinęła głową. Jej obcasy uderzały o bruk. Przeszli pod niskim sklepieniem i znaleźli się na dziedzińcu. Zgłosili się w recepcji. Już po chwili zjawiała się kobieta w średnim wieku. Miała na sobie elegancki kostium, w ręku trzymała oprawny w skórę notes.

– Natalie Petrini? Rozmawialiśmy przez telefon – powiedziała.

Natalie przedstawiła Meijtensa. Sekretarka uśmiechnęła się do niego, jakby chciała pokazać, że potrafi być uprzejma, ale zależy to od tego, z kim rozmawia.

– Pani sędzia Terselius może państwa przyjąć. Tylko bardzo proszę nie przedłużać rozmowy. Za kwadrans ma kolejne spotkanie – oznajmiła.

Ruszyła przodem. Najpierw schodami, potem korytarzem, w

stronę dużych podwójnych dębowych drzwi. Zapukała ostrożnie i zaczęła nasłuchiwać. Minęło dobre pół minuty, zanim usłyszeli: „Proszę!”.

Sekretarka wpuściła ich do środka. Kiedy ją mijali, Meijtens usłyszał, jak syczy: „Kwadrans, nie więcej”.

Pokój był ogromny. Dwa duże okna wpuszczały trochę światła. Po drugiej stronie przy masywnym ciemnym biurku siedziała Sonia Terselius. Coś pisała. Nie odrywając się od pracy, pokazała im ręką, żeby usiedli.

Dopiero po chwili podniosła głowę. Na jej twarzy na chwilę pojawił się zawodowy uśmiech. Jej ciemne włosy przecinało pojedyncze siwe pasemko. Miała wysokie kości policzkowe i dość ostro zarysowaną brodę.

– Co mogę dla państwa zrobić? – spytała, zakręcając wieczne pióro.

– Chcielibyśmy pani zadać kilka pytań. Chodzi o Erika Lindmana – zaczęła Natalie.

Sonia Terselius nawet mrugnięciem oka nie zdradziła, że ją to zainteresowało. Natalie przedstawiła w kilka zdaniach, czym się zajmują i czego dotyczyły ostatnie artykuły w „7Plus”.

– Może je pani czytała?

– Przejrzałam pobieżnie.

– Planujemy kolejny artykuł i mamy kilka pytań dotyczących życia Lindmana tu, w Szwecji.

Sonia Terselius zacisnęła lekko usta, ale poza tym zachowała kamienną twarz.

– Więc chcecie rozmawiać o sprawach osobistych, a nie dotyczących Sądu Najwyższego?

Natalie przytaknęła, ale Meijtens zauważył, że jest tak samo zdziwiona jak on.

Sonia Terselius zaczęła opowiadać, czy raczej zdawać sprawozdanie z życia, jakby referowała coś przed sądem. Studia w Uppsali, przeprowadzka do Sztokholmu. Ich związek, jego zaangażowanie polityczne, a potem zniknięcie. Krótkie, neutralne zdania czy raczej równoważniki zdań.

– Przepraszam, ale to wszystko już wiemy – wtrąciła Natalie.

Meijtens zwrócił uwagę na jej niemal przymilny uśmiech i

zaczął się zastanawiać, do czego zmierza.

– Podobno ma pani mało czasu, więc może od razu przejdźmy do rzeczy. Do pytań, na które nadal nie znamy odpowiedzi.

Sonia Terselius po raz pierwszy była bliska zrzucenia maski. Natychmiast jednak się opanowała. Skinęła głową i czekała.

– Dlaczego zadzwoniła pani na policję, kiedy Erik Lindman zniknął? Nie otrzymała pani od niego wiadomości, że wyjeżdża?

Natalie starała się, żeby to brzmiało sympatycznie, jakby jej pytania miały pomóc rozwiązać jakiś ważny problem.

Sonia Terselius spoglądała nieufnie to na nią, to na Meijtensa. W jej oczach widać było błyski złości.

– Grzebiecie w życiu człowieka, z którym wtedy byłem. Jest częścią mojego życia, mojej młodości. A wy pytacie, dlaczego zadzwoniłam na policję? To jedyne, co chcecie wiedzieć?

Jeśli Natalie zamierzała ją wyprowadzić z równowagi, to jej się udało.

– Nie chcemy zajmować pani cennego czasu, a właśnie tego kawałka układanki nam brakuje – powiedziała Natalie grzecznie.

Sonia Terselius zdołała opanować złość, ale widać było, że dużo ją to kosztuje.

– To stare dzieje, nie pamiętam szczegółów.

– Ten szczegół wydaje się mieć duży wpływ na późniejsze wydarzenia.

Sonia Terselius zmrużyła oczy, jakby nagle coś ją zabolalo. Najwyraźniej zrozumiała, co dziennikarka próbuje powiedzieć.

– A co miałam zrobić? – zapytała, raczej samą siebie niż Natalie i Meijtensa. – On zaginał.

– Ale powiedział przyjacielowi, że wyjeżdża. Åke Sundström pani tego nie powtórzył? – nie odpuszczała Natalie.

Sonia Terselius odchyliła się do tyłu. Była przygotowana na to, że będzie musiała przedstawić złagodzoną wersję swojej buntowniczej młodości, ale nie na coś takiego. Pokręciła głową.

– Nie mogłam słuchać tylko jego. Według mnie nie miał rozeznania.

– Nie mogła pani słuchać tylko jego? – powtórzyła Natalie. – Mam rozumieć, że inni wręcz zachęcali panią, żeby pani zawiadomiła policję?

Sonia Terselius milczała.

– Carl Wijkman? Carl Wijkman chciał, żeby pani zadzwoniła na policję? Johan Rooth? Kto jeszcze?

Natalie nadal brzmiała uprzejmie, ale jej pytania miały wyraźny podtekst. Kiedy wspomniała o Roocie, Sonia Terselius skrzyżowała ręce na piersi i spuściła głowę.

– Nie pamiętam wszystkich szczegółów. Ale to chyba normalne, że dziewczyna dzwoni na policję, kiedy się okazuje, że zaginął jej narzeczony.

– I już nigdy się nie odezwał? Nawet po powrocie?

Sonia Terselius pokręciła głową.

– Nie uważa pani, że to dziwne, że wrócił i się nie odezwał?

Na twarzy Soni Terselius pojawił się cień. Meijtens nie potrafił powiedzieć, czy był to wyraz bólu, czy złości. Podeszła do okna i wyjrzała na ulicę. Nie widzieli jej twarzy.

– Naprawdę nie wiem. Proszę zrozumieć, że to wszystko działo się bardzo dawno temu. A poza tym to jedno z najbardziej dramatycznych wydarzeń mojego życia. Mój narzeczony zniknął bez śladu. W końcu człowiek zaczyna wypierać pewne zdarzenia, żeby w ogóle móc iść do przodu. Kilka lat później poznałam mężczyznę, który po jakimś czasie został moim mężem. Potem się rozwiedliśmy, ale życie toczy się dalej.

Spojrzała na zegarek, ale nie odwróciła się.

– Mam niewiele czasu, zaraz zacznę kolejne spotkanie. Mówiła pani... To znaczy zostawiła pani wiadomość mojej sekretarce, że wie pani coś o tym, jak Erikowi ułożyło się w Albanii. Jak zapewne rozumiecie, chętnie bym się czegoś dowiedziała.

A zatem do tego był jej potrzebny. Żeby opowiedzieć o tym, o czym mu powiedział Pecanin. Natalie miała genialny pomysł. Obiecała Soni Terselius, że opowie jej, czego się dowiedział o życiu Erika w Albanii.

Zwільzył usta. Nie chciał przysparzać Soni Terselius więcej

bólu, przedstawił więc skróconą i trochę złagodzoną wersję tego, co mówił Pecanin. Nie wspomniał o torturach i pomiął większość szczegółów dotyczących pobytu Lindmana w więzieniu.

– Czyli mimo wszystko nie było mu tam najgorzej? – spytała Sonia Terselius.

– Momentami nie. Ale oczywiście nie pozostawał tam z własnej woli.

– Tyle zrozumiałam.

Zapadła cisza.

– Wspomniał pan, że założył tam rodzinę? Wiadomo, co się stało z jego żoną i dzieckiem?

Meijtens pokręcił głową. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że Sonia Terselius stoi plecami do nich, więc nie może go widzieć.

– Nie, nic nam o tym nie wiadomo – powiedział głośno.

Sonia Terselius spuściła głowę i oparła się o parapet.

– Muszę prosić, żeby państwo już poszli.

Pożegnali się, ale ona nawet się nie odwróciła.

KIEDY WRÓCILI DO REDAKCJI, Meijtens nie mógł się powstrzymać:

– Czemu to miało służyć? – spytał.

– Co?

– Prowokowałaś ją. Po co?

– Nic jej nie będzie.

– Ale niczego się nie dowiedzieliśmy.

– I tak byśmy się niczego nie dowiedzieli. Nie możemy bez przerwy zadawać im miłych, grzecznych pytań. Zawsze się wyłgają. Czasem trzeba potrząsnąć drzewem i zobaczyć, co z niego spadnie. – Rzuciła torbę na biurko. – Obiecałam Bertilowi dalszy ciąg tej historii do najbliższego numeru. Chce wiedzieć, co mamy. Inaczej odbierze nam temat.

– Do następnego numeru? Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

Natalie machnęła z lekceważeniem ręką.

– Nie miałam czasu. Napisziesz coś o rozmowie z Pecaninem?

– Muszę znaleźć kogoś, kto potwierdzi to, co powiedział. Inaczej nie mogę napisać, że był doradcą albańskiego rządu.

– Ile czasu ci to zajmie?

– Na pewno tydzień.

Natalie zaczęła przewracać oczami, ale Meijtens postanowił się nie przejmować.

– To mały, zamknięty kraj, a nie dowiedziałem się tego wszystkiego oficjalnie. Pewnie należałoby polecieć do Tirany, ale tam teraz panuje chaos.

– Jeśli nie będziemy mieli więcej materiałów, Bertil nigdy ci nie pozwoli lecieć do Tirany.

Przerwał im zmierzający w ich stronę Sölvebring. Rozłożył ręce, jakby w geście zdziwienia i niedowierzania.

– Tu jesteście. Wszędzie was szukają. Cholerne zamieszanie.

Bertil i Rydman czekają na was na jedenastym piętrze. A ja ganiam i wszędzie o was pytam. Myślicie, że nie mam nic innego do roboty? – wybuchnął, wyraźnie współczując samemu sobie.

– W porządku, już idziemy – rzucił Meijters i spojrzął na Natalie: – Wiesz może, o co chodzi?

Po raz pierwszy wezwano go na spotkanie z Rydmanem.

– Proponuję, żebyśmy najpierw przedstawili im, co mamy.

– I jeszcze jedno – nie odpuszczał Sölvebring. – Nie wiecie przypadkiem, co się stało z jednym z redakcyjnych wozów? Zniknął, chociaż nikt go nie rezerwował. Miałem wyjechać, ale...

Natalie bez słowa rzuciła mu kluczyki.

– Chyba powinniśmy już iść – powiedziała do Meijtersa.

Ruszyli przed siebie. Zostawili Sölvebringa samego, napawającego się własną złością.

*

Kiedy znaleźli się w gabinecie Rydmana na jedenastym piętrze, Meijters od razu wyczuł, że coś jest nie tak. Redaktor naczelny siedział sztywno przy stole konferencyjnym. Naprzeciwko niego siedział zły Bertil Andersson. Kiedy ich zobaczyli, skinęli głowami. Natalie i Meijters zajęli miejsca przy stole.

Rydman przyglądał się im uważnie, jakby oczekiwał, że zaczną się tłumaczyć.

– Może powiecie nam, co wyprawiacie – odezwał się w końcu.

– Co my wyprawiamy? – odparowała Natalie, zanim Meijters zdążył się odezwać.

Andersson spuścił wzrok i zaczął się przyglądać swoim dłoniom.

– Szczęcę się tym, że wydaję gazetę, którą śmiało określam jako odważną i niezależną – ciągnął Rydman. – Współpracownikom zawsze zapewniam dużą swobodę działania. – Andersson przytaknął. – Dlatego oczekuję, że będą przestrzegać podstawowych zasad dziennikarskiej etyki.

Meijters zastanawiał się, do czego zmierza. Słyszał, jak

Natalie zaczerpnęła powietrza.

– Podobno odwiedzacie dawnych przyjaciół Erika Lindmana. Rzucacie całkowicie bezpodstawne oskarżenia, insynuujecie różne rzeczy.

– Bzdura! – natychmiast zaprotestowała Natalie. – Kto tak twierdzi?

– To nie ma znaczenia – powiedział Rydman. – Chcę wiedzieć, czy to prawda i dlaczego podejmujecie tak drażliwy temat bez akceptacji Bertila?

Andersson z powagą pokiwał głową. Sprawiał wrażenie autentycznie zatroskanego. Zawiedziony ojciec, którego dzieci trafiły do aresztu, a on musi je teraz wykupić.

– Zgodziłem się na wywiad z tym facetem w Albanii, ale to wszystko.

– Rozmawialiśmy z kilkorgiem jego dawnych znajomych, o przeszłości. Nie podejmowaliśmy żadnych drażliwych tematów.

– Więc dlaczego dzwonią do mnie wysoko postawieni ludzie i opowiadają o przesłuchaniach i o maccartyzmie? – przerwał jej Rydman.

Natalie już miała odpowiedzieć, ale Meijters ją uprzedził:

– Przecież wychodzimy z założenia, że Lindman nie był szpiegiem. Więc o co chodzi z tym maccartyzmem?

– To nie takie proste – stwierdził Andersson.

– Sytuacja jest skomplikowana i drażliwa – dodał Rydman. – Nie wiecie wszystkiego.

– Mianowicie czego? – nie poddawał się Meijters. – Czego nie wiemy?

– Nie macie pojęcia, jak drażliwe to kwestie. Wiemy, że sprawę bada policja bezpieczeństwa. Bardzo dokładnie. Ośmieszamy się, próbując oczyścić z zarzutów dawnego szpiega. A wina Lindmana została udowodniona.

Zapadła niezręczna cisza.

Wszyscy pamiętali historię faceta z Almeryd, kierowcy autobusu oskarżonego o zamordowanie żony. Proces był poszlakowy, ale mężczyzna został skazany w sądzie pierwszej instancji. Miejscowa gazeta, której redaktorem naczelnym był wówczas Rydman, opublikowała serię artykułów wskazujących

na błędy popełnione podczas dochodzenia przez policję. Rozpętała się prawdziwa burza i w wyższej instancji kierowca został uniewinniony. Zanim emocje opadły, na jego działce podczas prac ziemnych przy okazji usuwania awarii wodociągu znaleziono ciała dwóch kobiet, który zaginęły wiele lat wcześniej. Facet się załamał i przyznał do popełnienia trzech morderstw, w tym do zabójstwa żony. Wyszło na jaw, że groziła, że ujawni jego zbrodnie, więc musiał ją uciszyć. Zdjęcie Rydmana, który w geście triumfu unosi do góry rękę – jak się później okazało – zabójcy, znalazło się na pierwszych stronach wszystkich dzienników.

– Nie zamierzamy pisać o niczym, czego nie jesteśmy pewni – oświadczyła Natalie.

Meijtens zaczął opowiadać, do czego udało im się dotrzeć, ale Rydman natychmiast mu przerwał, wyraźnie zirytowany:

– Nie rozumiecie, że rozgrzebując tę historię, możecie nieźle namieszać?

– Jak to namieszać? – spytał Meijtens.

Andersson odchrząknął.

– Chodzi też o nasze możliwości finansowe. Jesteśmy małą redakcją. Nie mogę pozwolić, żeby dwie osoby cały swój czas poświęcały sprawie, którą osobiście uważam za wątpliwą.

– To też należy brać pod uwagę – podchwycił Rydman, wskazując na Anderssona, jakby ten właśnie wygrał turniej telewizyjny.

Dyskusja toczyła się dalej, ale Rydman wyraźnie już podjął decyzję. Odchylił się do tyłu i włożył okulary.

– Bertil i ja postanowiliśmy chwilowo zawiesić sprawę. Jeśli pojawi się coś nowego, dajcie znać Bertilowi, a on skontaktuje się ze mną. Tym razem chcę być informowany o wszystkim. Poza tym – ciągnął niewzruszenie – postanowiliśmy, że gdyby sprawa miała mieć jakiś dalszy ciąg, włączymy do niej nowych ludzi.

Natalie zaczęła protestować, ale Andersson położył dłoń na jej ręce.

– Sprawa jest bardzo delikatna, dlatego chciałbym, żeby w pracach uczestniczyli doświadczeni dziennikarze. Mam

nadzieję, że to rozumiecie.

Rydman kiwnął głową na znak, że skończyli.

Kiedy wsiedli do windy, Natalie zakłęła pod nosem. Meijtns milczał. Złość na Rydmana już mu minęła i znów zaczął się zastanawiać nad tym, co mu opowiedział Pecanin.

– O czym myślisz? – spytała Natalie.

Meijtns spojrział w sufit.

– Zastanawiam się, co się stało z przemówieniem Rydmana o naszym historyku.

Drzwi windy rozsunęły się. Natalie się roześmiała.

*

Pół godziny później Andersson wrócił do redakcji. Ledwie zdążyli wejść do jego gabinetu, natychmiast przystąpił do ataku:

– Zawsze bronię swoich ludzi, nawet jeśli popełniają błędy, ale chcę wiedzieć, czym się zajmują.

– Nie było czasu – odpowiedziała Natalie. – I co to znaczy, że należy włączyć do sprawy kogoś nowego?

Andersson rozłożył ręce.

– Słyszałaś. Mówił poważnie. Jeśli pojawi się coś nowego, przekaże sprawę komuś innemu. – Zanim zdążyli zaprotestować, zaczął mówić dalej: – Sami jesteście sobie winni. Zabrakło wam wyczucia. Nie można nachodzić ludzi na wysokich stanowiskach i pytać, co robili w szalonych latach sześćdziesiątych. Ani kiedy ostatnio mieli wiadomość od dawnego znajomego, który został szpiegiem. I nie liczyć się z tym, że mogą być problemy.

Natalie pokręciła głową.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego się skarżą. A jeszcze mniej, dlaczego Rydman tak się przejmuje skargami Wijkmana i Terselius.

– Odpowiem po kolei: po pierwsze, nie przejmuje się, a po drugie, to nie oni się skarżyli.

Widać było, że Natalie i Meijtns nadal nie rozumieją, o co mu chodzi. Ich szef uśmiechnął się przebiegle.

– Powinniście bardziej się przyłożyć. Wtedy wiedzielibyście,

że Terselius wyszła później za mąż za Petera Laurena.

– To wiemy – odparła Natalie. – A co w tym takiego szczególnego?

Andersson pochylił się do przodu i uniósł brwi.

– Peter Lauren? To szara eminencja partii. Bywalec salonów władzy. Nie ma go na pierwszych stronach gazet, bo robi swoje w ciszy, dyskretnie. Przygotowuje grunt. – Patrzył na nich, zadowolony, że udało mu się ich zaskoczyć. – Jest zaprzeczeniem rewolucjonisty. Socjalista w garniturze, który nigdy nie brał udziału w żadnej demonstracji, chyba że w błogosławionej przez kierownictwo partii i wywiad. Ostatnie czego pragnie, to ujrzeć w prasie nazwisko byłej żony. W artykule o salonowych bolszewikach i znanym szpiegu, dawnym narzeczonym tej samej byłej żony – powiedział, wypływając do kosza prymkę tytoniu.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego Rydman dostaje hysterii z powodu kilku niewinnych pytań, które zadaliśmy byłej żonie Laurena – stwierdziła Natalie.

– Bo Rydman to śliwka.

Meijtsens i Natalie ze zdziwieniem spojrzeli na szefa. Andersson milczał dłuższą chwilę, jakby chciał pokazać, że ma przewagę, a potem przymknął powieki i złożył ręce na brzuchu.

– Śliwka – powtórzył. – Niebieski na zewnątrz, czerwony w środku. Jest tajemnicą poliszynela, że Rydman to człowiek socjaldemokratów, który awansował, bo właścicielom koncernu zależy na dobrych kontaktach ze związkami. Jego relacje z Laurenem sięgają czasów prehistorycznych. Kiedy więc dawny przyjaciel zadzwonił i powiedział, że nie życzy sobie, żeby dwoje gówniarzy z „7Plus” grzebało w rewolucyjnej przeszłości Terselius, Rydman posłusznie wykonał polecenie. Jak sami widzieliście. Od tego powinniście byli zacząć.

Przerwał, bo nagle zobaczył Rydmana. Kroczył przez redakcyjne morze w stronę jego szklanej klatki. Wszedł, zasunął za sobą drzwi i od razu zwrócił się do Meijtsensa:

– Mam wrażenie, że nie do końca rozumiecie powagę sytuacji, do której doprowadziliście. I nie zdajecie sobie sprawy, że budowanie zamków na piasku może być ryzykowne.

Przykro mi.

Meijtens zauważył, że Natalie wstała, podeszła do niego i położyła rękę na oparciu jego krzesła. Próbowła coś powiedzieć, ale Rydman podniósł rękę i ciągnął dalej.

– Chciałeś mieć pełny obraz sytuacji, więc będziesz go miał – zwrócił się do Meijtensa. – Załatwiłem ci spotkanie, ale pod pewnymi warunkami. Nie wolno ci pisać o tym, czego się tam dowiesz. Ten zakaz obowiązuje także, jeśli zakończysz współpracę z redakcją. Rozumiemy się?

– Z kim mamy się spotkać? – spytała Natalie.

– Propozycja dotyczy tylko Meijtensa – odpowiedział Rydman, nie patrząc na nią.

– Wykluczone, to absurd. Poza tym możemy chyba przyjąć, że...

– W porządku, zgadzam się – przerwał jej Meijtens.

Natalie spojrzała na niego z wściekłością. Tupnęła nogą.

– Tobbe, do diabła, nie widzisz, do czego oni zmierzają?

Meijtens nie potrafił powiedzieć, kogo miała na myśli. Zapewne jednak chodziło jej o to, że tajemniczy informator wolał rozmawiać z niedoświadczonym dziennikarzem, takim jak on, niż z nią.

Do rozmowy wtrącił się Andersson. Razem z Natalie próbowali przekonać Rydmana, że nie jest to dobry pomysł.

Ale Meijtens był przygotowany. Lepiej, niż Natalie i Andersson podejrzewali. Miał za sobą niezliczone dyskusje z Jakubem, nieopublikowane artykuły z Berlina i przemyślenia po śmierci Sjöhagego. Nie obchodziło go, dlaczego informator Rydmana chce rozmawiać tylko z nim i jaką ma o nim opinię jako o dziennikarzu. Chciał usłyszeć, co ma mu do powiedzenia.

– Spotkam się z nim – powiedział na tyle głośno, żeby się przebić przez wymianę zdań między Anderssonem a Natalie.

I rzeczywiście oboje zamilkli i spojrzeli na niego zdziwieni.

– Nieważne, dlaczego chce rozmawiać tylko ze mną. Jeśli stawia taki warunek, nie mamy wyboru, prawda?

Rydman i Meijtens patrzyli na siebie dłuższą chwilę, a potem Rydman wziął do ręki słuchawkę.

*

Tilas schylił się i otworzył ostatnią szufladę biurka. Zerknął na drzwi i sięgnął po trzy teczki leżące pod zszywaczem i egzemplarzem popołudniówki sprzed trzech dni.

Wiedział, że nie powinny tam być. Że w ogóle nie powinien poświęcać im czasu. Zalecenia były jasne: miał co tydzień chodzić na swoje spotkania, informować szefa, a nie zajmować się zakończonymi sprawami, nawet jeśli chodziło o morderstwa.

Otworzył pierwszą teczkę. Niby od niechcenia, jak się przegląda gazetę w bibliotece publicznej. Spojrzał na listę rzeczy, które Sven Emanuel miał przy sobie w dniu wypadku. Koc, jakieś ubrania, kilka gazet. Puszka anchois, nieotwarta. Puszka ravioli, nieotwarta. I ubrania, które miał na sobie tego dnia.

Jedna rzecz zwróciła jego uwagę. W cuchnącej kurtce była wewnętrzna kieszonka. Sven Emanuel zapinał ją na agrafkę. Dość zrozumiałe w przypadku kogoś, kto mieszka na ulicy. Ale gdy go znaleziono, agrafka była odpięta, a kieszonka pusta. Można było przypuszczać, że miał w niej to, co potem znaleziono w zewnętrznej kieszeni. Przeprowadzający oględziny technik też zwrócił na to uwagę. Zasugerował, że motywem mógł być rabunek. Ktoś go potracił, potem szukał pieniędzy, znalazł wewnętrzną kieszeń, opróżnił, a to, co go nie interesowało, wcisnął do kieszeni kurtki. Fahlén uznał, że na tym etapie należy zakończyć dochodzenie i nawet nie chciał go słuchać.

Nikt nie rozjeżdża bezdomnego włóczęgi po to, żeby go okraść. Zachowajmy jakieś poczucie rzeczywistości, powiedział.

Tilas uniósł przezroczystą torebkę z cenniejszymi rzeczami Svena Emanuela. I wizytówkę Meijtensa. Potem sięgnął po brązową teczkę. Żadnego numeru ewidencyjnego, żadnego pokwitowania. To była jego prywatna teczka. W prawym rogu napisał: Tobias Meijtens. Na razie była w niej pojedyncza kartka z kilkoma odręcznymi notatkami.

Poprosił jedną z aspirantek, żeby przejrzała rejestr

skazanych. Nic nie znalazła. Meijtens nie rozrabiał po pijanemu, nie brał udziału w demonstracjach. Młoda aspirantka okazała się jednak ambitna. Postanowiła się wykazać.

Tilas wziął do ręki kopię zwięzłego raportu, który zwykle pisze się po włamaniu. Standardowy formularz, który ma znaczenie jedynie dla firmy ubezpieczeniowej i niekiedy może dać poszkodowanemu poczucie, że ktoś coś w jego sprawie zrobił. Tilas zauważył, że również jeśli o to chodzi, ludzie jakby stali się ostatnio bardziej cyniczni.

Ale ten raport go zainteresował. Rozmowa z narzeczoną czy partnerką Meijtensa tylko potwierdziła jego przypuszczenia. Widział już w życiu niejedno: mieszkania zniszczone przez narkomanów załatwiających potrzeby fizjologiczne na perskie dywany, złodziei szukających cennych zbiorów filatelistycznych i zostawiających drogie telewizory. Ale z czymś takim spotkał się po raz pierwszy: włamywacze zostawili nietkniętą szkatułkę z biżuterią, za to bardzo dokładnie przekartkowali z pozoru nic niewarte notesy.

Z irytacją bębnił w wizytówkę. Gdzieś tam na zewnątrz Meijtens próbował dociec prawdy. Czy zdawał sobie sprawę z tego, co się wokół niego dzieje? Pewnie nie. W artykułach pominięto to, co było najważniejsze. Jemu zabroniono się tym interesować, ale Meijtens nie musiał się przejmować Fahlénem ani służbami, które mówiły, co mu wolno, a czego nie.

Rozejrzał się i sięgnął po trzecią teczkę.

WIATR HULAŁ PO PARKU. W dolnej części amfiteatru wirowały opadłe liście. Miejsca wokół sceny, owiewane chłodnym wiatrem znad Riddafjärden, były zimne i mokre. O tej porze roku nikomu nie przysłoby do głowy cokolwiek tam wystawiać.

Zaczął zmierzchać. Zbliżając się do pustej alejki, Meijters pomyślał, że tutaj na pewno nikt nie będzie im przeszkadzał. Bliżej wody widział ludzi wyprowadzających psy. Słyszał też krzyki dzieci bawiących się na pobliskich huśtawkach. Rozejrzał się i szybko doszedł do wniosku, że zapewne ma się spotkać ze starszym panem w nieforemnym tweedowym kapeluszu i przeciwdeszczowej kurtce. Stał nieopodal i wyraźnie na kogoś czekał. Z ostatniego rzędu amfiteatru miał widok na cały park.

– Tobias Meijters, tak? – zagaił śpiewnym skąnskim dialektem. – Hansson – przedstawił się.

Podali sobie ręce. Hansson uśmiechnął się przyjaźnie. Nie powiedział, jak ma na imię ani kim jest, więc samo nazwisko zabrzmiało trochę sztucznie, jakby się pod kogoś podszywał. Zgodził się z nim spotkać w drodze wyjątku, Tobias przypomniał sobie słowa Rydmana. Szef powiedział to tonem pełnym szacunku, niemal unizonym. Spotkasz się z kimś, kto zna całą prawdę o Eriku Lindmanie, zapewnił go.

Człowiek, który przedstawił się jako Hansson, patrzył chwilę na Meijtersa, a potem odwrócił głowę w stronę parku.

– Najpierw muszę wam pogratulować artykułów o Eriku Lindmanie. To dzięki wam udało się go zidentyfikować. Chociaż w końcu pewnie i tak byśmy do tego doszli.

Meijters podziękował za ten nie do końca szczery komplement.

– Czy Rydman przekazał, na jakich warunkach będziemy

rozmawiać?

– Powiedział, że nie wolno nam pana cytować. O to pan pyta?

Hansson znów na niego spojrzał.

– Robię to ze względu na Sverkera. Znamy się od lat.

Meijdens głębiej wcisnął ręce do kieszeni, szczerzej owinął się płaszczem. Hansson powoli pogładził się po wąsach, jakby się zastanawiał, od czego zacząć.

– Zapewne rozumie pan, że praca w wywiadzie to skomplikowane i dość niewdzięczne zajęcie. Tu liczą się informacje i wiedza. Brak informacji często bywa niebezpieczny, podobnie jak niebezpieczne może też być to, że ktoś niepowołany wie coś, co może zaszkodzić naszemu krajowi. Na tym bazuje kontrwywiad.

Meijdens słuchał. Od czasu do czasu dmuchał w dłoń.

– Ale jest coś, co jest jeszcze bardziej niebezpieczne – ciągnął Hansson. – A tym czymś jest dezinformacja. Fałszywe informacje skłaniają państwa do reakcji wbrew ich interesom, do podejmowania niesłusznych decyzji. To również może przynieść szkody niewinnym ludziom. – Przyglądał się chwilę Meijdensowi, a potem mówił dalej: – Wykorzystują to służby bezpieczeństwa na całym świecie, głównie w krajach Europy Wschodniej. Szerzenie fałszywych informacji jest pod wieloma względami równie ważne jak zdobywanie prawdziwych. Niekiedy wykorzystuje się do tego celu władze albo prasę danego kraju. Zwykle robi się to bardzo starannie. Czasem chodzi o zmniejszenie poczucia zagrożenia albo o działanie wbrew narodowym interesom. Ale można też działać przeciwko ludziom, którym z jakiegoś powodu chce się zaszkodzić. – Urwał, zamilkł na chwilę. – Mamy wrażenie, że ktoś usiłuje wykorzystać was właśnie w takim celu – stwierdził po chwili.

– Nikt nie próbuje nas wykorzystać – odparł Meijdens, patrząc mu prosto w oczy. – Napisałismy prawdę.

Hansson uniósł dłoń w ugodowym geście.

– Wasze artykuły były znakomite, dziennikarstwo śledcze par excellence. Tyle że forsujecie tezy, które nie tylko są fałszywe, ale też mogą zaszkodzić interesom Szwecji i

skrzywdzić niewinnych ludzi.

– Nie forsujemy żadnych tez. Przedstawiany fakty.

Hansson zdecydowanie pokręcił głową.

– Niestety nie mogę się z panem zgodzić. Wasze artykuły to w dużej mierze spekulacje. Sverker powiedział mi, że zamierzacie iść dalej w tym kierunku.

– Tak i prawdę mówiąc, dowiedzieliśmy się wielu interesujących rzeczy.

Hansson znów pokręcił głową.

– To by było nieodpowiedzialne. Ustawiacie się w pozycji sędziów, chociaż brakuje wam dowodów. Poza tym obawiam się, że to, co nazywacie faktami, to właśnie dezinformacja, o której przed chwilą wspominałem. Musisz zrozumieć, Tobiasie – zaczął tonem lekkiego pouczenia – że ludzie, którzy wam te informacje przekazali, mogli to robić w dobrej wierze. Pewnie sami nie mają pojęcia, że zostali oszukani. Tak to często wygląda.

Meijtens zauważył, że Hansson zaczął się do niego zwracać po imieniu, chociaż sam nie powiedział, jak ma na imię.

– Podajesz w wątpliwość to, o czym piszemy, ale nie proponujesz nic w zamian – powiedział głośno.

Hansson się roześmiał.

– Obawiam się, że będziesz musiał się zadowolić tym, co powiem, i nie szukać potwierdzenia. Wiele spraw dotyczących Erika Lindmana nadal jest tajemnicą.

Zrobiło się ciemno, zostali w parku sami.

– Jedno mogę stwierdzić: jesteśmy pewni, że Erik Lindman został zwerbowany przez Związek Radziecki.

*

Ruszyli promenadą wzdłuż wybrzeża. Przeszli pod potężnym przesłem mostu, a potem okrążyli niewielki cypel. Mimo wojskowej postawy Hansson szedł powoli. Mówił też powoli. I cicho. Opowiadał mu o szwedzkim wywiadzie, jakby w ten sposób chciał się w jego oczach uwiarygodnić.

– Pan osobiście prowadził sprawę Erika Lindmana? – spytał Meijtens. Chciał wrócić do głównego wątku.

Hansson pokręcił głową.

– Nie jestem z policji bezpieczeństwa. Powiedzmy, że pracuję dla wywiadu.

– Dla wywiadu wojskowego?

– Można to tak określić. – Hansson się roześmiał. – Proponuję nie wchodzić w szczegóły.

Meijtens się nie odezwał. Domyślał się, o jaki wydział Hanssonowi chodzi, ale będzie musiał to sprawdzić.

– W artykule powoływaliście się na fakty, o których już wcześniej pisała prasa. Ale rozumiesz chyba, że media nie miały pełnego obrazu sytuacji. Nie przekazywaliśmy im wszystkiego. Kwestie szczególnie drażliwe zachowaliśmy dla siebie.

– Na przykład to, że Erik Lindman był agentem, że zwerbowano go jeszcze kiedy był studentem, żeby informował o szwedzkiej administracji?

Hansson skinął głową.

– Nie jest tajemnicą, że Szwecja zawsze współpracowała z wywiadami innych krajów Zachodu. Niekiedy dostajemy od nich informacje o ewentualnych zagrożeniach. Na początku lat sześćdziesiątych pojawiły się pogłoski, że KGB rekrutuje na Zachodzie agentów ze środowiska lewicowych studentów. W 1964 roku otrzymaliśmy konkretną informację od Holendrów. Ktoś z KGB, działający pod płaszczykiem dyplomaty, odskoczył w Hadze. Zastawiono na niego klasyczną pułapkę. Uwiodła go młoda kobieta pracująca dla holenderskiego wywiadu. Dość szybko udało jej się go przekonać do zalet zachodniej demokracji. – Hansson zatrzymał się i spojrzał na wodę. Może się zastanawiał, ile może zdradzić. – Szybko się okazało, że facet był mało znaczącym pionkiem i niewiele wiedział. Miał jednak pewien atut. Miał zostać przeniesiony do Szwecji, żeby tu nawiązał kontakt z młodym szwedzkim agentem, oczywiście w ścisłej współpracy z pracownikiem ambasady reprezentującym KGB. Nie zdążył się dowiedzieć zbyt wiele. Właściwie tylko tyle, że szwedzki agent jeszcze przez kilka lat nie będzie wykorzystywany. Chodziło o to, żeby młody człowiek wyrobił sobie mocną pozycję w szwedzkiej administracji. KGB chciało

jednak nad nim czuwać, na wypadek gdyby coś poszło nie tak. Trudno powiedzieć, czy słusznie, ale Rosjanin uznał, że dla jego kariery oznacza to krok do tyłu. I właśnie rozgoryczenie sprawiło, że zdecydował się uciec.

Dotarli już na brzeg przy cyplu Smedudden. Hansson odczekał, aż minie ich idąca z przeciwka kobieta z foksterierem. Obejrzał się przez ramię i wrócił do tematu:

– Okazało się, że to właściwie wszystko, co mógł przekazać. Że chodzi o młodego Szweda, któremu powszechnie wrócono wielką karierę. Znał jeszcze jego ksywkę: Tristan. To niewiele. Nie mamy nawet pewności, czy chodzi o mężczyznę, czy o kobietę. Mogliśmy jedynie żałować, że Holendrzy nie wiedzieli o tym, zanim uciekł, bo wtedy moglibyśmy go przejąć i wykorzystać jako podwójnego agenta. Może doprowadziłby nas prosto do Tristana. Coś jednak mieliśmy. Musieliśmy się tym zadowolić i oczywiście zarzucić sieci.

– To znaczy?

– Policja bezpieczeństwa nawiązała kontakt, oczywiście nieformalnie, z sekcją sztabu, w której pracowałem. W tamtym czasie wiedzieliśmy sporo o udziale członków partii komunistycznej w międzynarodowych kongresach, a także o ludziach, których podejrzewaliśmy o szpiegostwo przemysłowe.

– Chodzi o rejestrację poglądów?

– Nazwij to, jak chcesz. Osobiście uważam, że to niedobre określenie, nieoddające tego, czym się zajmowaliśmy. Rejestrowaliśmy działania, nie poglądy.

Meijters ze zniecierpliwieniem machnął ręką. Nie zamierzał się wdawać w dyskusję na temat semantyki. Chciał, żeby Hansson wrócił do tematu.

– Wiedzieliśmy, że Tristan jest młodym człowiekiem, studentem stojącym u progu zawodowej kariery. Na tej podstawie, opierając się na wcześniej zebranych informacjach, zdołaliśmy sporządzić listę ewentualnych kandydatów. Była długa, obejmowała ponad dziesięć nazwisk.

– Wszystkie te osoby były członkami jakiejś organizacji komunistycznej?

– Bynajmniej. Taka lista nie byłaby tak długa. Zakładaliśmy,

że Rosjanie pewnie wolą trzymać Tristana poza partią. Mógł ewentualnie być członkiem jakiejś organizacji lewicowej, na przykład Veritasu. Wiedzieliśmy, że z takich właśnie kręgów werbuje się agentów.

– Erik Lindman znalazł się na tej liście?

– Oczywiście. Prawdę mówiąc, pasował idealnie. Świetny student o radykalnych poglądach, rozpoczynający staż w ministerstwie spraw zagranicznych. Jak wiesz, nigdy nie był członkiem partii, ale aktywnie działał w innych organizacjach.

Podmuch wiatru uniósł z ziemi śmieci. Meijtens zamknął oczy, próbował się skupić. Pragnął zapamiętać każdy szczegół.

– Chciałbym, żebyś zrozumiał jedno – ciągnął Hansson. – To, że czyjeś nazwisko znalazło się na naszej wstępnej liście, nie oznaczało, że ten ktoś stanowi zagrożenie. Kilkoro z tych ludzi zrobiło potem wielkie kariery. Nigdy nie zrobili nic niezgodnego z prawem. To, że znaleźli się na liście, gdy szukaliśmy Tristana, było czystym przypadkiem. I to wszystko.

Meijtens pokiwał głową. Ruszyli dalej ścieżką nad wodą.

– Po pewnym czasie udało nam się skrócić listę do pięciu bardzo ciekawych nazwisk. Postanowiliśmy porozmawiać z całą piątką.

– Przesłuchaliście ich?

Hansson się roześmiał.

– Nie użyłbym tego słowa. Chodziło o kontakt nieformalny. Podczas spotkań nie padło ani jedno słowo, które by wskazywało na ich prawdziwy cel. To były, jak to określaliśmy, rozmowy rutynowe. Ostrożne. Dyskretne – podkreślił to określenie skinieniem głowy. – Ale Erik Lindman najwyraźniej domyślił się, o co chodzi. Zdziwiliśmy się, gdy nagle odszedł z ministerstwa spraw zagranicznych. Nie wiedzieliśmy, jak to tłumaczyć. Na naszej liście figurowało wówczas pięć osób. I właśnie wtedy zniknął. Bez śladu. Domyśliliśmy się, że chyba znaleźliśmy Tristana. – Przyglądał się Meijtensowi. Jakby próbował wyczytać z jego twarzy, czy uznał te wyjaśnienia za wiarygodne. – Tak więc masz odpowiedź na dręczące cię pytania: dlaczego zrezygnował z kariery dyplomaty, dlaczego tak nagle zniknął. Po prostu poczuł na karku nasz oddech.

Pewnie spanikował albo Rosjanie wezwali go do siebie. Nie chcieli dopuścić do skandalu. Tego do końca nie wiemy. Nie mamy natomiast żadnych wątpliwości, że Erik Lindman to Tristan.

– Rosjanie go nie wezwali – zauważył Meijtens. – Wyjechał do Albanii, kraju, który już wtedy...

– Wiem, co chcesz powiedzieć. Rzeczywiście, jest w tej sprawie kilka niedokończonych wątków i nie do końca jasnych szczegółów, ale obraz całości jest klarowny.

Usiedli na ławce z widokiem na marinę. Dookoła było cicho, jesienna pogoda nie zachęcała do spacerów wokół cypla. Hansson ciągnął dalej:

– Potem dostaliśmy potwierdzenie z innego źródła.

– Ma pan na myśli Sorokina?

– Więc wiesz o tym? Vladimir Sorokin to ważna postać, nie można go porównywać z pracownikiem radzieckiej ambasady w Hadze. Kiedy w 1973 roku wystąpił o azyl w Kanadzie, był pułkownikiem KGB, z dużym doświadczeniem w służbie wywiadowczej. Minęło jednak dobre pół roku, zanim Kanadyjczycy przekazali nam informacje na temat radzieckiej działalności na terenie Szwecji. Pracowali nad nim kilka miesięcy, zanim przekazali go w ręce kolegów z Langley. Tak czy inaczej to, czego się dowiedzieliśmy, było sensacyjne.

Gdzieś w pobliżu krzyknęła mewa. Meijtens spojrział na wodę i pobliską małą marinę. Zauważył, że Hansson czuje się swobodniej, kiedy na niego nie patrzy.

– W Szwecji działał bardzo wysoko usadowiony szpieg. Przekazywał Rosjanom tajne informacje, istotne dla bezpieczeństwa naszego kraju. Sorokin miał na przykład najświeższe informacje na temat stanowiska Szwecji w rokowaniach w sprawie Umowy Helsińskiej. Dostęp do nich miała jedynie garstka urzędników ministerstwa spraw zagranicznych i niektórych innych ministerstw. – Hansson odwrócił się i znów na niego spojrział.

– Nie mówię tego po to, żeby ci dostarczyć materiału na fantastyczny artykuł. Przeciwnie. Nie chciałbym, żebyście napisali coś, co potem będziemy musieli dementować.

– Tyle zrozumiałem.

Minął ich mężczyzna zmierzający w stronę któregoś z jachtów. Nadal cumowały w marinie. Hansson zamilkł na chwilę, a kiedy mężczyzna się oddalił, wrócił do przerwanej wątku:

– Dość szybko doszliśmy do wniosku, że źródłem był jeden z pracowników szwedzkiej ambasady w Moskwie, i wezwaliśmy go na rozmowę. Coś jednak musiało pójść nie tak, bo zanim do tej rozmowy doszło, w prasie kolorowej zaczęły się pojawiać informacje o jego, powiedzmy, młodzieńczych skłonnościach. Ale tę historię zapewne znasz.

– Tym człowiekiem był Henric Stiernspetz. Popęlił samobójstwo.

Hansson westchnął.

– Tak. Paskudna historia. Przypuszczam, że zainteresowanie prasy się do tego przyczyniło. Nawet nie zdążyliśmy z nim porozmawiać. Policja sprawdziła, czy w grę mogło wchodzić morderstwo. Pomyśleliśmy, że może Rosjanie chcieli go uciszyć, ale okazało się, że nie. Podciął sobie żyły w wannie. Drzwi łazienki były zamknięte od środka. Bez wątplenia było to samobójstwo.

Meijtens spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Podejrzewacie, że Stiernspetz miał jakieś powiązania z Tristanem? Z Erikiem Lindmanem?

– Właściwie nie. Ale Sorokin wiedział różne rzeczy o Tristanie, a to, że pomógł nam zdemaskować Stiernspetza, świadczy o jego wiarygodności.

Hansson zamilkł na chwilę, jakby znów się zastanawiał, na ile może się otworzyć.

– Sorokin był przez pewien czas związany z jednostką, która zajmowała się propagandą kierowaną do ruchów pokojowych, w szczególności lewicowych. Na Zachodzie. I właśnie wtedy usłyszał o szwedzkim agencie Tristanie. Nie wiedział, kto to jest, ale zapamiętał zadziwiająco dużo szczegółów z raportów, które trafiały do niego od pracownika prowadzącego Tristana. Doskonale się orientował w szwedzkich ruchach lewicowych, znał środowisko Veritasu i sympatyków partii komunistycznej,

także tych, którzy do niej nie należeli. Część tych informacji nie miała większego znaczenia, można powiedzieć, że były to właściwie plotki, ale ich charakter sprawił, że uznaliśmy, że ich źródłem mógł być właśnie Lindman.

– Albo setki innych – wtrącił Meijdens.

Hansson się wyprostował.

– Sorokin wiedział o Tristanie także inne rzeczy. Rosjanie zwrócili na niego uwagę jeszcze w Uppsali, ale zwerbowano go dopiero podczas tak zwanego Kongresu Pokoju w Bukareszcie. To było dla nas kluczowe. Pole naszych poszukiwań istotnie się zawężyło.

Meijdens pomyślał, że Hansson zapewne jest już w wieku emerytalnym. Najwyraźniej udało mu się przetrwać różne zawirowania i skandale wybuchające od czasu do czasu w służbach. Zmieniały się kombinacje liter: grupa B, IB, nazwy sekcji i tak dalej. Ale praca szła jak zawsze, a on miał teraz przed sobą człowieka, który ją wykonywał.

Uświadomił sobie, że obnażenie działalności Lindmana i Stiernspetza było prawdopodobnie największym osiągnięciem jego życia. Może w swoim środowisku był wręcz legendą. Może jego nazwisko wymawiano z uznaniem. Może ich artykuły zagroziłyby nie tylko raz ustalonej prawdzie i zakłóciły sen ludziom wysoko postawionym, ale godziłyby także w dobre imię starszego pana.

– Informacja o tym, że studiował w Uppsali, zmniejszyła liczbę kandydatów. Wkrótce też udało nam się potwierdzić, że Erik Lindman rzeczywiście uczestniczył we wspomnianym kongresie. Ostatnia część układanki trafiła na swoje miejsce.

Zapadła cisza. Meijdens czuł, że Hansson ostrożnie na niego spogląda, jakby próbował dociec, czy zdołał go przekonać o winie Lindmana.

– Sorokim mylił się tylko co do jednego szczegółu. Według niego Tristan i szpieg, który przekazywał informacje o rokowaniach w sprawie Konferencji Helsińskiej, to jedna i ta sama osoba. Kanadyjczycy poprosili go, niejako w naszym imieniu, żeby to przedstawił trochę dokładniej. Wtedy przyznał, że informacje o Tristanie i o szpiegu z ambasady

pochodziły z dwóch różnych źródeł i że to on je ze sobą połączył. Wszyscy czasem, całkiem podświadomie, dopuszczamy się takich spekulacji – dodał z uśmiechem.

– Jak zareagowaliście, kiedy Lindman wrócił? – spytał Meijters.

– Byliśmy trochę zdziwieni. Przyznaję.

– Jak pan sądzi, dlaczego wrócił?

Hansson wzruszył ramionami i zaczął strzepywać z kurtki jakieś drobinki.

– A dlaczego agenci wracają? Z tęsknoty, z powodu problemów w swoim nowym kraju. Czy to wiadomo? W przypadku Lindmana może znaczenie miały także zmiany zachodzące w krajach Europy Wschodniej. W artykule napisaliście, że w nowej ojczyźnie nie układało mu się za dobrze.

– Ale w pierwszej dobie po powrocie nie skontaktował się ani z rodzicami, ani z dawnymi przyjaciółmi. A potem umarł.

– Wszystkiego pewnie nigdy się nie dowiemy – wtrącił Hansson.

Wstał. Meijters uznał, że to znak, że wywiad, czy cokolwiek to było, dobiegł końca. Wrócili przez park, ale nie wspominali już ani o Tristanie, ani o Eriku Lindmanie, ani o Stiernspetzu. Meijters doskonale wiedział, że nie dostanie odpowiedzi na pytania, które nadal go dręczyły.

Nagle Hansson zatrzymał się i podał mu dłoń.

– Życzę ci powodzenia. Zrobiłeś świetną robotę, doprowadzając do zidentyfikowania Lindmana. Cieszę się, że mieliśmy okazję porozmawiać.

Meijters wziął jego dłoń, pożegnał się i wrócił do redakcji. Chciał jak najszybciej porozmawiać z Natalie.

MIESZKAŁA NA NAJWYŻSZYM PIĘTRZE kamienicy w jednej z maleńkich bocznych uliczek na Norr Mälarstrand, niemal tuż przy ratuszu. Na drzwiach widniała tabliczka z nazwiskiem Ehrensward, dokładnie tak jak mu powiedziała. Pod nią wciśnięto karteczkę „Petrini”. Meijdens zastanawiał się, czy jej chłopak jest w domu, ale nagle przypomniał sobie, że przecież jej chłopak mieszka w Londynie. Zadzwoił. Drzwi były duże, podwójne. Ze zdziwieniem zauważył, że ktoś otworzył drugie, mniejsze, tuż obok tych dużych.

– Kiedy Larsa nie ma, zawsze używam drzwi kuchennych. Sama nie wiem dlaczego.

Kiedy Meijdens wrócił do redakcji, czekała na niego kartka z wiadomością: „Zadzwoń do Natalie, do domu”. Uzgodnili, że lepiej nie rozmawiać o Lindmanie w redakcji. Poprowadziła go do jadalni asymetrycznym korytarzem, zabudowanym półkami i szafkami od podłogi po sufit.

– Chcesz coś? – spytała.

– Napiłbym się herbaty.

Wskazała na salon, a sama wróciła do kuchni.

– Nie jestem doświadczoną gospodynią – rzuciła.

Salon składał się z dwóch pokoi w amfiladzie. Oba były większe od mieszkania Meijdensa. Kanapę przykrywał pokrowiec. Nigdzie na wierzchu nie leżało nic osobistego. Oszczędne światło padało na ciemne mahoniowe meble i orientalne dywany.

Jeden róg pokoju był zdecydowanie jaśniejszy i lepiej oświetlony. Pod dużym francuskim oknem stał fotel z podnóżkiem, obity żółtym materiałem. Nad nim górowała nowoczesna stalowa lampa, wygięta w łuk nad oparciem fotela. Obok leżały stosy książek i czasopism, a na niewielkim składanym stoliku stały filiżanka herbaty, talerz z owocami,

słoik miodu i kilka sucharków.

Fotel stał po przekątnej, pewnie po to, by padało na niego jak najwięcej przedpołudniowego światła. Wydał mu się zbyt osobisty, żeby mógł w nim usiąść, więc usiadł na stojącym obok krześle.

Natalie weszła z dzbankiem z herbatą i filiżanką. Nie miała na sobie eleganckiego kostiumu, tylko jeansy i za dużą bluzę z napisem „Princeton University”.

– Witaj w moim małym mieszkanku – powiedziała, nalewając im obojgu herbaty.

– Nie takim znów małym.

– To zależy. Kiedy Lars wyjeżdża, mieszkam głównie w tym fotelu. To jedyny mebel, który jest mój. Lars odziedziczył mieszkanie wraz z wyposażeniem po rodzicach i ciągle nie mamy czasu, żeby coś tu zmienić.

Usiadła w fotelu i pozwoliła łyżeczce miodu powoli spłynąć do filiżanki.

– A teraz opowiedz mi wszystko o spotkaniu w parku.

Meijtens opowiedział jej o rozmowie z Hanssonem. O Sorokinie i o pracowniku ambasady w Hadze, o podejrzeniach wobec Erika Lindmana. Natalie słuchała uważnie, od czasu do czasu coś notowała.

– A nie mówiłam? – powiedziała, kiedy skończył. – Czasem trzeba potrząsnąć drzewem i zobaczyć, co spadnie.

Szybkimi, urwanymi ruchami zaczęła obierać pomarańczę.

– Kiedy wyszedłeś, Rydman powtórzył ostrzeżenie – powiedziała. – Poczęstujesz się? – spytała.

Podawała mu kilka cząstek pomarańczy. Podniosła głowę i spojrzała na niego z powagą.

– Musisz zrozumieć, że nie mogę sobie pozwolić na to, żeby znów mnie wykopali.

– Z telewizji cię wykopali?

– Przestań. Nie czytasz gazet?

– Bo załazaś im za skórę tym reportażem?

– Bo byłam dla nich niewygodna, bo straciłam panowanie nad sobą podczas audycji na żywo i podobno byłam stronniczka.

– Wierzę ci – powiedział Meijtens, wznosząc do góry ręce.

– Mam gdzieś, co ludzie sobie myślą – weszła mu w słowo i zaczęła opowiadać.

Chwilami jej głos brzmiał neutralnie, chwilami wydawała się poruszona, chwilami smutna. Jej wersja różniła się oczywiście od tej, którą znał z rozhisteryzowanych popołudniówek. Ale przecież nie powinien się dziwić. Jej reportażom nie można było nic zarzucić. Obnażyła w nich działania dwóch firm budowlanych, które płaciły robotnikom na czarno, a kontrakty nie zawsze zdobywały do końca legalnie.

Ogłoszono triumf programu i Natalie Petrini. Aż nagle jedna z popołudniówek odkryła, że jej wuj ma firmę działającą w tej branży i mógłby skorzystać na jej rewelacjach. Kiedy ją o to spytano w kolejnym programie, wybuchła i kamera uchwyciła jej łzy.

– Nie czułam się przyciśnięta do muru. Byłam po prostu wściekła. Nie dostałam od rodziny żadnego cynku. Nie wiem nawet dokładnie, czym ta jego firma się zajmuje.

– Pochodzisz z bogatej rodziny?

– Z rodziny Cyganów i parobków. Dziadek miał głowę do interesów i teraz pół rodziny ma domy w Saltsjöbaden, pełne drogich i okropnie brzydkich mebli. – Podciągnęła nogi i oparła brodę na kolanach. – Bardzo potrzebuję tej pracy.

Meijtens odstawił filiżankę.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie będziesz tego dalej ciągnąć?

Natalie pokręciła głową.

– Nie, do licha. Działamy dalej, nie zamierzam przekazywać wszystkiego w łapy kóregoś z pudelków Rydmana, rozumiesz?

– Jasne.

– Ale nie chcę, żeby mnie wyrzucili. Dlatego musimy się zastanowić co dalej.

– Żadnych nocnych rozmów z dawnymi przyjaciółmi Erika Lindmana?

– W ogóle żadnych rozmów. Musimy to załatwić jakoś inaczej. – Wstała i otworzyła okno. Spojrzała na rozgwieżdżone niebo i sięgnęła po papierosa. – Lars nie chce, żebym paliła w domu.

Meijtens przeciągnął palcami po włosach i zaczął masować

skronie.

– Sam już nie wiem, co o tym wszystkim sądzić. Może Hansson ma rację, może Tristan to rzeczywiście Lindman.

– Nie. Jestem coraz bardziej przekonana, że od początku masz rację – stwierdziła Natalie. Usiadła na podłodze. Rękę z papierosem wyciągnęła w stronę otwartego okna. – Jest coś, co nie daje mi spokoju – powiedziała, wydmuchując kółka dymu. – Można odnieść wrażenie, że jedne fakty przeczą innym, ale tak naprawdę jest zupełnie inaczej. Wszystko zaczyna się zgadzać. – Meijtens ze zdziwieniem uniósł brwi. – Większość z tego, co słyszeliśmy, to prawda. Możemy założyć, że obaj Rosjanie, którzy uciekli na Zachód, pracownik rosyjskiej ambasady w Hadze i ten facet, jak on się nazywa....

– Sorokin – odpowiedział jej Meijtens.

– Dzięki. Tak, Sorokin. A więc załóżmy, że obaj mieli rację. Że Tristan naprawdę istniał. I że był nim szwedzki student z Uppsali, którego KGB zwerbowało podczas kongresu w Bukareszcie. Dlaczego nie?

Spojrzała na Meijtensa, który powoli przytaknął.

– Ale załóżmy też, inaczej niż twój przyjaciel z parku, że to nie Erik Lindman nim był. Tylko ktoś inny, ktoś z kręgu jego najbliższych przyjaciół. Wtedy kawałki układanki zaczynają do siebie pasować. – Patrzyła na światło latarni za oknem. Wyglądało na to, że trochę się rozmarzyła. – Lindman pojechał do Uppsali na studia. Był z przekonania komunistą, jak twierdzi jego ojciec, ale też uroczym facetem. Co do tego wszyscy się zgadzają. W Uppsali szło mu świetnie. Szybko się odnalazł w nowym środowisku, zdobył przyjaciół, poznał śliczną dziewczynę, zaręczył się z nią.

Meijtens nalał sobie herbaty i poprawił się na krześle. Starał się nie robić hałasu.

– Tak więc wszystko szło idealnie, żadnych chmur na horyzoncie. Podczas kongresu w Bukareszcie na pewno dostrzegł rozdział między dwiema komunistycznymi potęgami, ale nie sądzę, żeby to miało jakikolwiek wpływ na jego przekonania. Podejrzewam natomiast, że właśnie tam jego nowy znajomy, Behxhet, powiedział coś, czego znaczenia

Lindman w pierwszej chwili w ogóle sobie nie uświadomił. Zrozumiał to znacznie później – powiedziała, gasząc papierosa. – Powinnam była mocniej docisnąć Wijkmana – dodała. – A więc Lindman trafił na staż do ministerstwa spraw zagranicznych. Miał przed sobą wielką karierę. I nagle pewnego dnia stanął przed nim człowiek w trenczu i zaczął go pytać o Bukareszt. Nasz przyjaciel Hansson zapewnia, że wszystko odbyło się bardzo dyskretnie, ale mam pewne wątpliwości. Podejrzewam, że coś, co ów człowiek w trenczu powiedział podczas tej rozmowy, sprawiło, że Lindman zrozumiał, iż w jego najbliższym otoczeniu działa szpieg. To mógł być jego najbliższy przyjaciel, może nawet narzeczona. Ktoś, kto dał się zwerbować, podczas gdy Lindman zachował niewinność i ideały. I wiesz, co jeszcze sądzę?

Meijtens zauważył, że ma wilgotne oczy, jakby się upajała własnym głosem. Zaczął się zastanawiać, czy właśnie tak przeprowadzała swoje słynne wywiady.

– Sądzę, że Lindman się domyślił, że ten ktoś go wykorzystał. Lindman był wschodzącą gwiazdą naszej dyplomacji. Nie zapominaj, że Sonia Terselius i Carl Wijkman dopiero zaczynali. Ona była początkującą prawniczką, on początkującym dziennikarzem. Ktokolwiek był Tristanem, Lindman uświadomił sobie wtedy, że był dla niego znakomitym źródłem.

– Nie zagalopowałaś się?

– Może, ale to by dużo wyjaśniało. Dlatego zaczął się dziwnie zachowywać, dlatego stracił humor. A przede wszystkim dlatego odszedł z ministerstwa spraw zagranicznych. Nie chciał dłużej służyć Tristanowi za źródło. Dlatego został roznosicielem gazet. Nie chciał otwartej konfrontacji z przyjaciółmi, bo nie wiedział, kto jest Tristanem. A może nie miał odwagi się dowiedzieć? Tak czy inaczej zaczął roznosić gazety. Czekał. Po jakimś czasie doszedł do wniosku, że jest ktoś, kto może mu pomóc: jego przyjaciel Behxhet z Albanii. Powiedział wtedy coś, co Wijkman uznał za melodramatyczne wynurzenie. Może Lindman miał nadzieję, że Behxhet wie coś, co mu umożliwi dotarcie do prawdy.

– A może po prostu chciał poznać komunistyczny kraj niekontrolowany przez Związek Radziecki, żeby odzyskać wiarę?

– Może jedno i drugie. Tak czy inaczej pojechał do Albanii. To wiemy na pewno. I wiemy też, że z jakiegoś powodu nikomu o tym nie powiedział.

– Ale Tristan się domyślił, dokąd Lindman wyjechał i dlaczego to zrobił. Może dowiedział się tego od swoich rosyjskich przyjaciół, a może sam na to wpadł. W każdym razie wiadomość o zniknięciu Lindmana dotarła do niego albo do niej. Tristan udał, że wie równie mało jak wszyscy, ale dopilnował, żeby wokół sprawy zrobił się szum. Jednocześnie do prasy zaczęły przeciekać informacje o politycznej działalności Lindmana, z naciskiem na jego kontakty ze Związkiem Radzieckim. W prasie zaczęto trąbić o tym, że Lindman jest radzieckim szpiegiem.

– I wtedy Albańczycy położyli uszy po sobie.

– Tak. To był genialny plan. Tak genialny, że podejrzewam, że nie wymyślił go Tristan, tylko jego radzieccy mocodawcy. On tylko posłusznie odgrywał swoją rolę. Starał się, żeby jego przyjaciel na dobre ugrzązł w albańskich więzieniach. A co ważniejsze, nie dość, że w ten sposób pozbyto się kłopotliwego, poszukującego prawdy człowieka, to jeszcze podano wywiadowi na tacy szpiega, o którym opowiadał radziecki dyplomata. Ten, który „odskoczył” w Holandii. A Tristan mógł spokojnie dalej robić karierę.

Meijdens widział to teraz równie wyraźnie jak Natalie.

– Tyle że nikt się nie spodziewał, że Erik Lindman przeżyje więzienie Hodży, a polityczna odwilż umożliwi mu ucieczkę. Wrócił więc ze swoją albańską tożsamością. Dążył do konfrontacji z Tristanem, żeby raz na zawsze rozwiązać wszystkie podejrzania, które przez lata nie dawały mu spokoju. Pewnie wiedział, kogo szukać. Ale była jeszcze jedna rzecz, którą musiał wyjaśnić, zanim spojrzy Tristanowi w oczy. Potem mógł się już skontaktować z policją pod prawdziwym imieniem i nazwiskiem. Więc pojechał do Sztokholmu i poprosił o spotkanie dawnego przyjaciela albo byłą narzeczoną. Mieli się

spotkać na Erstaterrassen. Idealne miejsce na taką okazję.

Meijdens skończył. Chwilę siedzieli w milczeniu.

– Tak. Tak to się chyba odbyło – powiedziała Natalie, kiwając głową.

– W takim razie zostaje jeszcze jedno pytanie.

– Właśnie.

CZEŚĆ TRZECIA

Tristan

28

PO RAZ KOLEJNY zaczęła bolącymi palcami kartkować gazetę. Oczywiście nie miało to sensu, bo w ostatnich dniach przeglądała ją wiele razy i nie znalazła tego, czego szukała. Gdzieś w głębi duszy miała nadzieję, że może się do niej odezwą, ta para dziennikarzy, którzy napisali artykuł o tym nieszczęsnym człowieku. Wtedy nareszcie będzie mogła wszystko wyjaśnić. Bo po co sugerować w artykule, że ktoś jest niewinny, żeby potem do tego nie wracać? Podeszła do okna, okryła się szczelniej kaszmirowym sweterkiem. Po drugiej stronie ulicy jakiś mężczyzna schował się w bramie przed deszczem. Wydał jej się znajomy. Zaczęła się zastanawiać, czy znów zaczęli obserwować jej mieszkanie.

– Zwariowałaś – wymruczała pod nosem sama do siebie. Ostatni raz widziała ich dobre dziesięć lat temu.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Zdziwiona spojrzała na zegarek. Tylko młoda dziewczyna z sąsiedztwa odwiedzała ją czasem niezapowiedziana. Ale o tej porze powinna być w szkole. Podeszła do wiszącego w holu lustra i poprawiła włosy. Potem podeszła do drzwi i wyjrzała przez wizjer. Zobaczyła męską postać, ale nie tego nieprzyjemnego policjanta, którego chyba widziała przed chwilą w bramie, tylko kogoś znacznie starszego. W kapeluszu i z laską z trójnogiem. Wydał jej się znajomy i nagle przeszył ją dreszcz. Ale dopiero gdy otworzyła drzwi, dotarło do niej, kto przed nią stoi. A wtedy było już za późno. Mężczyzna uniósł kapelusz i uśmiechnął się oficjalnie.

– Nie wiem, czy pani sobie mnie przypomina.

– Niestety aż za dobrze. Co mogę dla pana zrobić?
– Może mnie pani wpuści? Będzie nam się swobodniej rozmawiało.

– Jestem zajęta. A o co chodzi?

Johan Rooth nadal się uśmiechał. Wyraźnie dawał jej do zrozumienia, że jednak nie zamierza rozmawiać na schodach. W końcu wpuściła go do mieszkania.

– Cokolwiek by to było, nie mam dużo czasu – stwierdziła i zaprowadziła go do salonu. Szła przodem, za plecami słyszała stukanie jego laski.

Rooth usiadł w fotelu i znów uśmiechnął się uprzejmie. Kobieta najwyraźniej nie zamierzała niczym częstować nieproszonego gościa. Usiadła wyprostowana na krześle, z rękami złożonymi na kolanach, i czekała.

– Chciałem się tylko upewnić, czy u pani wszystko w porządku – odezwał się Rooth. – Po tym zamieszaniu w prasie zacząłem się niepokoić. Pomyślałem, że może i panią zaczęto nachodzić.

Prychnęła, ale Rooth nieporuszony mówił dalej:

– Chcę tylko jeszcze raz podkreślić, że zawsze, podkreślam: zawsze, jesteśmy gotowi służyć pani pomocą.

– Panie Rooth...

– Proszę mi mówić Johan.

– Panie Rooth, doskonale pan wie, że nigdy was o to nie prosiłam – ciągnęła. Była zła. – A gdy mimo wszystko upieraliście się, żeby mi pomóc, kończyło się to dość niefortunnie.

Rooth odchylił się do tyłu. Uśmiech zastygł na jego wargach.

– Zawsze kierowaliśmy się dobrem Henrica.

Nie była w stanie się opanować. Uniosła pięść.

– Proszę nie mówić o nim po imieniu. Nie znaliście go. Nigdy nie był jednym z was. I dobrze o tym wiecie – prawie krzyczała.
– Kiedy opublikowaliście ten artykuł w swojej partyjnej gazecie, przedstawiając Henrica jako ofiarę szwedzkiej zimnej wojny... czego się spodziewaliście? Równie dobrze mogliście od razu napisać, że jest winien! A potem ledwie jego ciało ostygło, zaczęliście biegać tu z kwiatami i pełnymi obłudy

kondolencjami. W bramie codziennie ktoś wystawał, podsłuchiwaliście mój telefon. Więc jak mieli zareagować?

– Wrócili? – spytał nagle Rooth. Zignorował jej żale.

Spojrzała na niego, nie bardzo rozumiejąc, o co mu chodzi.

– Policja bezpieczeństwa. Czy kontaktowali się z panią po tym, jak zjawił się Erik Lindman?

Rozłożyła ręce.

– A niby dlaczego mieliby się ze mną kontaktować? Henric nie znał tego Lindmana.

– Obawiam się, że nasi przyjaciele z policji bezpieczeństwa nie poświęcają zbyt wiele czasu na dogłębne analizowanie rzeczywistości. – Rooth się roześmiał. – Zakładają, że dwóch szwedzkich szpiegów na pewno się spotykało i że skoro obaj szpiegowali dla Związku Radzieckiego, to na pewno jadali razem kawior.

– Henric nie był szpiegiem.

Rooth uniósł dłoń w ugodowym geście.

– Nie twierdzę, że był. Poza tym nie sądzę, żeby Związek Radziecki kiedykolwiek prowadził działalność wywiadowczą skierowaną stricte przeciwko szwedzkim interesom. Zdaję sobie sprawę, że zapewne jestem dość osamotniony w swoich poglądach, ale może wynika to z tego, że jestem lepiej poinformowany.

Roześmiał się, zadowolony z siebie, ale jej nie interesowały jego polityczne analizy.

– Dlaczego to robicie? Piszecie artykuły i wprowadzacie zamieszanie? Nie rozumiecie, że właśnie to zaszkodziło Henricowi? I mnie. Nie mam z wami nic wspólnego.

Rooth pogładził się po brodzie. Zegar na półce wybił czwartą, w salonie zapadła cisza. Po chwili Rooth się pożegnał.

Sprawdziła, czy drzwi są dobrze zamknięte, a potem szybkim krokiem podeszła do okna. Ostrożnie odsunęła firankę i wyrzła na ulicę. Zobaczyła, jak Rooth wychodzi z bramy. Zatrzymał się, jakby nie był do końca pewien, w którą stronę ruszyć. Mężczyzna w bramie po drugiej stronie ulicy nadal tkwił na posterunku. Była niemal pewna, że znowu zaczęli ją obserwować. Tylko dlaczego? Nagle z przestrachem

spostrzegła, że Rooth wciąż stoi na chodniku przed jej domem.

– Rusz się, człowieku. Nie stercz tu tak – wycedziła przez zęby sama do siebie.

Mężczyzna w bramie po drugiej stronie ulicy zauważył Rootha. Sięgnął po gazetę, a Rooth ku jej rozpaczy uchylił kapelusza i spojrzął na nią. Próbowwała się ukryć za firanką, ale było już za późno. Widziała, jak do niej macha.

Puściła firankę, jakby ją parzyła. Przez wąską szparkę widziała, jak Rooth zatrzymuje taksówkę.

Opadła na fotel. Po chwili sięgnęła po egzemplarz „7Plus” i zaczęła przeglądać listę współpracowników. Podkreśliła nazwiska autorów artykułu i położyła gazetę na stoliku stojącym przy kanapie. Chciała to jeszcze raz przemyśleć.

*

Natalie odłożyła ostatni z trzech tomów w czerwonych okładkach i starła kurz ze stolika. Na dworze zapadł już zmrok. W czytelni Biblioteki Królewskiej było zaledwie kilka osób. Założyła ręce za głowę, wygięła kręgosłup.

Spojrzała na wiszący na ścianie zegar i wzdrygnęła się. Pracowała już od blisko pięciu godzin. Owoce jej działań leżały przed nią: kopie wybranych artykułów i notatki dotyczące trzech tomów, w których zebrano roczniki „Veritasu” z lat 1959-1963. Zaczęła je przeglądać, w porządku chronologicznym. Nie było w nich rewolucyjnej iskry, którą miała nadzieję znaleźć. Artykuły były ugrzecznione, wręcz nudne, pisane bez wyobraźni. Zawierały polityczne komentarze niemal do wszystkiego, począwszy od muru berlińskiego, na szwedzkiej polityce edukacyjnej skończywszy. Wszystko przeplatane recenzjami książek i wystaw. I ogłoszeniami zachęcającymi do podróży do krajów Europy Wschodniej, i reklamami pism takich jak „Nowości ze Związku Radzieckiego”.

Ani słowa o Kongresie Pokoju w Bukareszcie. Żadnych artykułów, sprawozdań.

Otworzyła na pierwszej stronie, którą zaznaczyła. Trzeci numer z 1959 roku.

Raport sekcji z Uppsali

W piątek 24 września odbyło się spotkanie Veritasu, na którym Johan Rooth wygłosił prelekcję o Indochinach przed słuchającym go nabożnie audytorium. Po ożywionej dyskusji zwerbowano nowych członków.

Pełni entuzjazmu nowi członkowie szybko zadomowili się w organizacji. Już po kilku miesiącach znaleźli się w nowym zarządzie sekcji w Uppsali. Przewodniczącym został Erik Lindman, sekretarzem młoda studentka prawa Sonia Terselius, a skarbnikiem Carl Wijkman. W następnych latach wszelkie zmiany w składzie zarządu polegały na tym, że ta trójka zamieniała się stanowiskami. Nowi członkowie zarządu wspierali pismo artykułami swojego autorstwa, pisali notatki, recenzje. Carl Wijkman angażował się w coraz to nowe tematy. Na początku często opisywał brutalność francuskiej policji wobec algierskich demonstrantów we Francji, a potem przerzucił się na komentowanie polityki Stanów Zjednoczonych. Natalie podejrzewała, że wiele artykułów powstało podczas jego wizyt u ojca, ambasadora Szwecji najpierw w Paryżu, a potem w Waszyngtonie. Czytając artykuły, miała przed oczami jego lekko ironiczny uśmiech. Tak samo uśmiechał się, kiedy rozmawiali w kawiarni Muzeum Narodowego.

Wyzwolenie Algierii zaktywizowało we Francji ruchy faszystowskie, które grożą terrorem i użyciem przemocy wobec pojedynczych Algierczyków. Nie skłoniło to jednak szwedzkiego rządu do jakiegokolwiek reakcji. W tej kwestii, podobnie jak w przypadku amerykańskiej agresji na Kubę, szwedzcy ministrowie stają się tubą sił reakcji.

Artykuły Soni Terselius były bardziej dogmatyczne. Najczęściej były to notatki dotyczące pozyskiwania nowych członków albo zwiększenia sprzedaży prasy, ale pisywała też polityczne komentarze o sytuacji obu państw niemieckich i kwestii Berlina.

Notatka z Tygodnia Morza Bałtyckiego w Rostocku

W tej dorocznej imprezie jak zwykle uczestniczyło wielu studentów z krajów nadbałtyckich, z wyjątkiem Republiki

Federalnej Niemiec. Uczestnicy prowadzili ożywione dyskusje, jak zawsze bardzo ciekawe, ale mogli też na własne oczy przekonać się, jak fantastycznie rozwija się Niemiecka Republika Demokratyczna. Dla każdego jest oczywiste, że NRD pod każdym względem prześcignęła swojego zachodniego sąsiada. To fakt, który szwedzka prasa z uporem pomija. NRD notuje obecnie wyższe średnie spożycie zarówno tłuszczów spożywczych, jak i cukru niż RFN.

Natalie szybko zorientowała się, że większość notatek Soni jest utrzymana właśnie w takim tonie. Artykuły Erika Lindmana były nieco inne i poruszały inne tematy. Dotyczyły polityki wewnętrznej, sytuacji w południowo-wschodniej Azji i kwestii ekonomicznych. Poza tym też pisał recenzje filmowe. Był baczny obserwatorem i miał lekkie pióro. Przypomniało jej się jego zdjęcie, które Meijters powiesił na tablicy nad swoim biurkiem.

Ostatnią imprezą tej wiosny była prelekcja Erika Lindmana na temat naukowego marksizmu i szwedzkiej drogi do socjalizmu. Przyciągnęła rekordową liczbę słuchaczy, którzy nagrodzili prelegenta rześzystymi brawami. Wieczór zakończyło wystąpienie w nieco lżejszej tonacji – na temat jazzu w socjalistycznej Europie. Tym razem prelegentem był porywający jak zawsze Carl Wijkman, który dodatkowo podgrzał atmosferę, grając na banjo.

I ani słowa o Albanii. Nic, co mogłoby wskazywać na to, że właśnie ten kraj zwrócił uwagę Erika Lindmana. Natalie westchnęła głęboko. Uznała popołudnie za stracone. Żeby się pocieszyć, znów sięgnęła po kopie artykułów, na których napisała: CK! Właściwie nie było w nich nic szczególnego. Były to pretensjonalne, dogmatyczne rozważania na temat sztuki. Niektóre autorstwa członków sekcji z Lundu, jeden o konieczności upaństwowienia rynku mieszkań. Ten uznała za szczególnie zabawny. Poza tym mógł się okazać przydatny. Był bowiem podpisany nazwiskiem, które stwarzało możliwość obejścia zakazu Rydmana.

Przez salę przeszła bibliotekarka. Uderzała w gong. Natalie stwierdziła, że zbliża się ósma. Sięgnęła po kartkę, na której

zanotowała numery stron. Dodała kilka słów o tematyce poszczególnych artykułów. Po chwili uznała, że są jej niepotrzebne, zmięła papier i zaczęła się rozglądać za koszem na śmieci.

*

Na podeście nad czytelnią poruszyła się jakaś postać. Ktoś zaczął powoli schodzić po schodach, cicho jak cień. Gdyby ktoś go zauważył, pomyślałby zapewne, że to osoba niezwykle pedantyczna, ściśle przestrzegająca zasad regulaminu biblioteki. Bo komu chciałoby się zbierać porzucone karteczki z notatkami, przyglądać się im, a potem wkładać je do kieszeni?

MEIJTENS JECHAŁ SZYBKO ROWEREM ulicą Åsögatan. Wokół było cicho i ciemno. W oknach widział palące się nad stołami lampy w jadalniach i migoczące ekrany telewizorów, ale na ulicy nie było żywego ducha. Pracował tego dnia do późna, żeby nadrobić zaległości i wywiązać się z rozlicznych zadań, których szef bez przerwy mu dostarczał. Ale jego myśli cały czas krążyły wokół koperty, którą miał w torbie przypiętej do siodełka.

Wjechał na podwórze i niemal w biegu zeskoczył z roweru. Kiedy wszedł do swojego niewielkiego mieszkania, wyjął z torby kopertę, położył ją na stole i poszedł zaparzyć herbatę. Nie miał powodu się spieszyć. Chciał przeczytać wszystko w spokoju. Do tej pory tylko rzucił okiem na zawartość koperty, ale to wystarczyło, by stwierdzić, że redakcja nie jest właściwym miejscem na lekturę.

Usiadł wygodnie z filiżanką herbaty i szkłem powiększającym w rękę i zaczerpnął głęboko powietrza. Przed nim leżała zwykła brązowa koperta formatu C4, bez logo, w ogóle bez jakiegokolwiek nadruku, który mógłby coś powiedzieć o jej pochodzeniu. Ktoś napisał na niej drukowanymi literami TOBIAS MEIJTENS, pod spodem „7Plus” i adres redakcji. Nadawca pozostał anonimowy. Meijtens ostrożnie wyjął z koperty dwa dokumenty i kartkę z kilkoma zdaniem napisanymi na maszynie.

Pierwszy dokument był kopią pisma, oznaczonego pro memoria, z 11 lutego 1974 roku. W rogu widniało logo szwedzkiego sztabu obrony. Dokument został sporządzony przez biuro do spraw wywiadu, ale zaczerpnięte miejsca utajniały wszelkie informacje o źródle, numery akt i dane odbiorcy.

Meijtens zaczął powoli, spokojnie czytać. Najpierw chciał

poznać fakty, potem je przeanalizować. Tego zawsze uczył go Jakub.

Niniejsze PM powstało w związku z zapytaniem dotyczącym dochodzenia związanego ze szpiegowską działalnością radcy ambasady Stiernspetza i jego śmiercią. Radca, zgodnie z raportem kanadyjskiej policji, został przesłuchany odnośnie jego działalności szpiegowskiej skierowanej przeciwko Szwecji, XXXXX. Nie ma wątpliwości, że wskazanym przez Sorokina szpiegiem, który przekazał zagrożające bezpieczeństwu kraju informacje dotyczące XXXXX radzieckim służbom bezpieczeństwa, był właśnie Stiernspetz. Miał dostęp do informacji związanych z Konferencją Helsińską, na które powołuje się Sorokin, a popełnione samobójstwo wydaje się świadczyć o jego winie.

Jeśli chodzi o trzy osoby, których nazwiska początkowo pojawiały się w dochodzeniu, to można je już definitywnie wykreślić. Wszyscy wymienieni wchodzili w skład grupy urzędników, którzy, podobnie jak Stiernspetz, zostali w latach 1970–1972 oddelegowani do prac przygotowawczych w związku z planowaną konferencją.

Jeśli chodzi o panią L. z ministerstwa spraw zagranicznych, która została dołączona do zespołu w charakterze eksperta, to początkowo budziła ona wątpliwości w związku z zaangażowaniem jej męża w ruch pokojowy, a także z dwoma wcześniejszymi pobytami na Kubie. Ale pani L. nic nie łączy z żadnym ruchem o zabarwieniu komunistycznym, a jej rola w przygotowaniach do konferencji była na tyle marginalna, że osoba ta nie mogła być źródłem, wskazanym przez Sorokina. Pani L. została później przeniesiona do innego działu, zajmującego się pomocą międzynarodową.

Podczas wcześniejszego dochodzenia dotyczącego W. i T., zatrudnionych w ministerstwie przemysłu i ministerstwie sprawiedliwości, podkreślano początkowo, że oboje byli dobrymi znajomymi zaginionego Erika Lindmana, który prawdopodobnie uciekł do Związku Radzieckiego. Mimo powiązań z Lindmanem (T. była narzeczoną Lindmana) i zaangażowania zarówno T., jak i W. w działalność organizacji

studenckiej Veritas, wszelkie podejrzenia co do T. i W. zostały oddalone. Między innymi dzięki informacjom pochodzącym od wyjątkowo wiarygodnego źródła, „Rewizora”, który przez szereg lat przekazywał wiadomości o działalności organizacji lewicowych wśród studentów. W 1966 roku według XXXXX donosił on, iż W. i T. byli związani z lewicą podczas studiów w Uppsali (nigdy jednak nie zostali członkami partii komunistycznej). Według naszego źródła oboje byli tak poruszeni zniknięciem i zdradą Lindmana, że zerwali z organizacją i obecnie należą do umiarkowanego skrzydła partii socjaldemokratycznej.

Obecnie nie ma podejrzeń co do żadnego z trzech wymienionych urzędników, którzy niniejszym zostają wyłączeni z dochodzenia. Jeśli zaś chodzi o radcę Stiernspetza, jego wina wydaje się bezsprzeczna, mimo że wcześniej nie figurował w żadnych rejestrach, ani Fst/Säk, ani RPS. Częściowo można to tłumaczyć tym, że motywy jego postępowania prawdopodobnie nie były natury ideologicznej. W tym przypadku chodziło raczej o szantaż.

Sprawę należy tym samym uznać za zamkniętą.

Meijtens dolał sobie herbaty i zabrał się za lekturę drugiego dokumentu. Był datowany na dobry miesiąc później i jeszcze bardziej zadziwiający. Była to prawdopodobnie pisemna odpowiedź na pismo którejs z sekcji służb bezpieczeństwa. Może chodziło o korespondencję między policją bezpieczeństwa a sztabem obrony. Wszelkie dane nadawcy i adresatów i wszelkie odnośniki zostały zakreślone.

Dot.: Podania o spotkanie ze źródłem „Rewizor”

Wniesiono prośbę o możliwość zadania kilku pytań bezpośrednio „Rewizorowi” XXXXX. Prośba zostaje zdecydowanie oddalona, ponieważ „Rewizor” jest dzisiaj wysoko postawionym urzędnikiem i nie życzy sobie, by go wiązano z prowadzoną ostatnio gorącą debatą na temat służby bezpieczeństwa. Występują też okoliczności natury osobistej. Odsyłamy do naszego wcześniejszego PM, podkreślając, że sprawa Stiernspetza została zamknięta.

Meijtens bębnił palcami w stolik. Miał wrażenie, że

pierwotnie dokument był dłuższy. Ktoś najwyraźniej postanowił ukryć przed nim, jak sprawa się skończyła. A może uznał, że nie musi znać zakończenia? Korespondencja zapewne była obszerniejsza, więc dlaczego dostał tylko tyle? W głowie cały czas miał słowa Hanssona: o tym, że prasa bywa wykorzystywana do dezinformowania. Na jaki trop chciało ich naprowadzić anonimowe źródło?

Może mógł to wyjaśnić ostatni dokument, a właściwie kartka z napisanym na maszynie jednym zdaniem:

„Dlaczego nie piszecie o Stiernspetzu?”

NATALIE SPOJRZAŁA na zegarek i przyspieszyła. Szła alejką. Dochodziła szósta. Przecięła trawnik. Idąc, rozgarniała kolorowe jesienne liście. Przed wejściem do galerii sztuki paliły się dwa duże znicze. W środku za szybą widać było stół zastawiony pustymi kieliszkami. Najwyraźniej pozostały po wernisażu. Kiedy otworzyła drzwi, rozbrzmiał delikatny dzwonek. Z głębi doszło ją entuzjastyczne ćwierkanie, zapewne ostatniego już gościa.

– Fantastyczne, naprawdę fantastyczne! Takie witalne. Aż człowiek... mmm! Naprawdę!

– Zaraz zamykamy, zapraszam jutro... – Właścicielka spojrzała na Natalie i zamilkła, jakby nagle głos uwiązł jej w gardle.

Natalie usiłowała odpowiedzieć, ale nie mogła, bo chwilę wcześniej włożyła do ust małą kanapkę. Właścicielka galerii poszła w głąb lokalu. Zachwycona klientka wróciła do swojego monologu i podążyła za nią. Natalie wzięła do ręki kieliszek. Zerknęła na niego, uznała, że jest czysty, i naląła sobie czerwonego wina. Gość, młoda kobieta, wyszła z zaplecza. Zobaczyła ją i uśmiechnęła się niepewnie. Natalie uniosła kieliszek w geście powitania. Kobieta podeszła do jednego z wystawianych obrazów.

– To jest mocne – powiedziała. Wskazała na małą czerwoną kropkę oznaczającą, że obraz został już sprzedany, i westchnęła. – Powinnaś być tu wczoraj. A ty powinnaś się domyślić, że mi się spodoba, i go dla mnie zarezerwować – dodała, uderzając lekko właścicielkę folderem w rękę.

– Jeśli kupiec nagle się rozmyśli, dam ci znać.

– Przyklejają te kółeczka po to, żeby wzbudzić zainteresowanie – powiedziała Natalie. – Będzie twój,

zobaczysz.

Kobieta odwróciła się i spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Ale ostrzegam, że to mało prawdopodobne – ciągnęła właścicielka. Chyba nie usłyszała uwagi Natalie. – Zwłaszcza że obraz rzeczywiście jest wyjątkowy.

Zdenerwowana kobieta spojrzała na Natalie, po czym uśmiechnęła się do niej.

– Tak wspaniale łapie światło, prawda?

Natalie uniosła kieliszek do ust. Przyglądała się obrazowi ze zmarszczonym czołem.

– Czy ja wiem? Mam wrażenie, że czegoś tu brakuje. Należy zadać sobie pytanie, czy sztuka, która nie odzwierciedla problemów współczesności, tak naprawdę w ogóle ma prawo istnieć.

Zdezorientowana kobieta spoglądała to na Natalie, to na wypatrującą czegoś za oknem właścicielkę galerii. Natalie wypila kolejny łyk wina i ciągnęła dalej:

– Każdy wykształcony człowiek jest dzisiaj świadom, że sztuka konwencjonalna powstaje w celu odwrócenia uwagi od historycznych niesprawiedliwości, a kapitalizm wspiera sztukę, która te funkcje pełni.

Kobieta nadal się uśmiechała, ale widać było, że czuje się coraz bardziej skrępowana. Nagle odwróciła się do właścicielki galerii.

– Pójdę już, skarbie. Było super, dzięki!

Kiedy wyszła, właścicielka zamknęła drzwi od środka i powiesiła tabliczkę z napisem: ZAMKNIĘTE. Tabliczka kołysała się chwilę na drzwiach. Właścicielka galerii odwróciła się na pięcie i spojrzała na Natalie, która brała do ręki kolejne kanapki, obracała je na wszystkie strony i przyglądała się im uważnie.

– Zamykam, Natalie. Chciałaś czegoś?

– Byłam ciekawa wystawy, cioteczko kochana. Masz może jeszcze te z grzybami?

– Nie wiedziałam, że interesujesz się sztuką. Nigdy się z tym nie zdradzałaś.

– Do tych z szynką mam pewne wątpliwości. Ale jestem

okropnie głodna, więc muszę coś zjeść.

Włożyła do ust kolejną kanapkę i zaczęła przeżuwać.

– Nie mam czasu na twoje żarty.

– Całkiem niezłe. Ale masz może jeszcze jakieś z grzybami...

– Natalie, czego chcesz? O co ci chodzi? Nie możesz się tu nagle zjawiać i straszyć mi klientów.

Natalie usiadła w fotelu i oparła rękę o podłokietnik. W dłoni trzymała kieliszek z winem.

– Ranisz mnie, cioteczko kochana. Naprawdę. To właśnie moje zainteresowanie sztuką i nasze silne więzy rodzinne sprawiły, że wyszłam na dwór w tę jesienną zawieruchę i przyszedłam tu do ciebie.

Kobieta skrzyżowała ręce na piersi.

– Nie mam na to czasu – powtórzyła.

– A ja miałam nadzieję, że docenisz moje komentarze.

– Opowiadałaś bzdury. Piłaś?

– Tylko jeden kieliszek, przed chwilą przyszedłam.

Wyciągnęła rękę z kieliszkiem, ale ciotka zignorowała jej gest. Patrzyła na drzwi. Natalie wzruszyła ramionami i podeszła do stołu, dolać sobie wina.

– Gdybyś mnie słuchała uważniej, pewnie byś zauważyła, że były to niemal dosłowne cytaty.

– Naprawdę? Cieszę się, że obudziło się w tobie zainteresowanie sztuką, ale obawiam się, że w tej chwili nie mam czasu o tym z tobą rozmawiać.

Zaczęła ustawiać puste kieliszki na tacy. Natalie wróciła na fotel. Nawet nie zaproponowała, że jej pomoże.

– „Veritas”, wczesne lata sześćdziesiąte. Znawczyni sztuki, cioteczko kochana. Nosząca wówczas arystokratyczne nazwisko, obecnie przez małżeństwo zaliczana do nowobogackiej rodziny Petrinich o cygańskim rodowodzie. Coś ci to mówi? – ciągnęła Natalie uprzejmie.

Ciotka stała zwrócona do niej plecami. Przestała ustawiać kieliszki.

– Jesteś okropna, Natalie. Dlaczego wygrzebujesz takie rzeczy? – spytała. Jej twarz wykrzywił grymas. Była wściekła.

Natalie pokiwała smutno głową.

– Ranisz mnie. Natknęłam się na twoje artykuły przez czysty przypadek i prawdę mówiąc, nie mogłam się doczekać, kiedy będę mogła się z tobą podzielić swoim odkryciem. Nasza rodzina potrzebuje edukacji. Pomyślałam, że podczas najbliższego rodzinnego obiadu zacytuję co ciekawsze kawałki. A twoje artykuły o upaństwowieniu rynku mieszkań powinny zainteresować wuja. Może w końcu przestanie kupować i sprzedawać te wszystkie nieruchomości.

– Nikogo nie obchodzą te stare historie.

– Nie byłabym taka pewna. To znany mechanizm, że niestety nowobogackie rody są znacznie mniej tolerancyjne niż prawdziwa arystokracja, z której się wywodzisz. My bynajmniej nie uważamy, żeby tego rodzaju grzechy młodości były urocze. To drobnomieszczańskie? Oczywiście. Nietolerancyjne? Jak najbardziej. Próżne? Obawiam się, że i w tym względzie masz rację. Przyznaję się do wszystkiego.

– Czemu odgrzebujesz te stare historie?

– Przeceniasz samą siebie. Nie obchodzą mnie twoje niegdysiejsze poglądy. Bawią mnie, ale nie ma z nich żadnego pożytku.

Wypiła trochę wina i zaczęła się przyglądać kieliszkowi.

– Ale pomyślałam sobie, że może wiesz coś, co może mi się przydać.

– Wątpię.

– Erik Lindman. Sonia Terselius, Carl Wijkman.

Ciotka przez chwilę patrzyła na nią ze zdziwieniem, a potem odetchnęła z ulgą.

– Twoje artykuły. A wiesz, że je czytałam?

Usiadła na drewnianym krześle i naląła sobie wina. Nawet nie sprawdziła, czy kieliszek jest czysty.

– Właściwie to ich nie znałam. Studiowali w Uppsali, a ja w Lundzie. I cokolwiek myślisz, zapewniam cię, że nie działałam szczególnie aktywnie. W tamtych czasach nie ja jedna robiłam takie rzeczy.

Więc po prostu robiłaś to co wszyscy. Jak zwykle, pomyślała Natalie.

– Chodzi mi o to, że nie byłam komunistką. Nic z tych rzeczy.

– A oni byli?

Ciotka wzruszyła ramionami.

– Zakładam, że tak. Ale, jak powiedziałam...

– Nie znałaś ich dobrze. Tak, pamiętam. Coś jednak możesz mi chyba o nich opowiedzieć. W końcu działaliście razem w tym wspaniałym stowarzyszeniu.

– Nie bardzo wiem co. Chłopcy byli sympatyczni, szczególnie Erik. Pewnie każdy na swój sposób. Najlepiej znałam Callego, mieliśmy wspólnych przyjaciół. Ona była prawdziwą pięknoscią i straszną jędrą.

– Dlaczego tak uważałaś?

– Była fanatyczką. No i gardziła każdym, kto się nie interesował polityką. Była wredna dla innych dziewczyn. – Zapaliła papierosa. – Sonia nie była miłą osobą – powtórzyła.

Natalie mogła sobie wyobrazić, co Sonia Terselius sądziła o beztroskiej dziewczynie z arystokratycznego rodu, którą interesowała przede wszystkim sztuka.

– Ale faceci szaleli. Chodzili za nią jak szczeniaki. – Ciotka wstała, zebrała ze stołu kieliszki i wyszła do małego aneksu kuchennego. – To wszystko, co wiem. Chodziło ci o coś szczególnego?

Nie czekając na odpowiedź, zaczęła zmywać. Natalie czekała cierpliwie. Kiedy ciotka wróciła, powiedziała:

– Tak. Rzeczywiście chcę cię spytać o coś szczególnego.

Ciotka oparła się o framugę i czekała.

– Rok 1963, Bukareszt. Kongres Pokoju dla lewicowych studentów. Byłaś tam?

Ciotka wybuchnęła tak gwałtownie, że Natalie zaczęła podejrzewać, że może w kuchni coś wypięła.

– Bukareszt! A niby po co miałabym jechać do Bukaresztu? Co cię napadło, Natalie? Byłam młoda i głupia, nie byłam żadną rewolucjonistką.

– Wielu z waszej grupy jeździło na takie kongresy, między innymi trio z Uppsali. Chcę porozmawiać z kimś, kto był w Bukareszcie.

– Ja na pewno nie.

Ciotka odwróciła się i wyszła do pokoiku na zapleczu. Natalie

usłyszała, jak najpierw otwiera, a potem zamyka jakąś szafę, jak szarpie za wieszak, zdejmując z niego płaszcz. Potem usłyszała ciche przekleństwo. Kiedy ciotka wróciła, trzymała w ręku klucze. Ale Natalie nie zamierzała wstawać.

– Gdzie mogę się dowiedzieć, kto tam był?

– Nie mam pojęcia.

– Nie było żadnego rejestru, w którym notowano, że towarzysz taki a taki był tu i tu? Nie masz na strychu żadnych notatek?

Ciotka przekrzywiła głowę, uniosła lekko brwi.

– Nie bądź śmieszna. Naprawdę muszę już iść.

– Daj mi jakieś nazwisko. Kto mógł pojechać na taki kongres?

– Nie rozśmieszaj mnie.

– Jedno nazwisko, cioteczko kochana. I ta rozmowa nigdy się nie odbyła.

Ciotka przyglądała się jej. Była wyraźnie spięta.

– Nie chciałabym, żebyś...

– Obiecuję, że nikomu o tym nie wspomnę.

Ciotka nerwowo ścisnęła klucze.

– Olof Salling, z oddziału sztokholmskiego. Biedak jeździł na wszystkie takie imprezy.

*

Światłówki rzuciły zimne światło na zielone kanapy. Nieco dalej w głębi korytarza hałasowali studenci. Rozmawiali głośno. Stali przed tablicą, na której wywieszono wyniki egzaminów. Meijtns poczuł się dziwnie obco. Cokolwiek się stanie, nigdy tu nie wrócę, pomyślał.

Spędzili razem cały wieczór, szczegółowo omówili wszystko po kolei. Tym razem mówił głównie on. Od czasu do czasu Jakub przerywał mu krótkimi pytaniami. Mruczał coś pod nosem. Jakiś student podszedł do stojącego nieopodal automatu z kawą. Maszyna zasyczała, umilkła na chwilę. Jakub po raz kolejny zaczął czytać dokumenty, które przyniósł. Tym razem nucił arię ze starej operetki. Nieczysto, zauważył Meijtns.

Kiedy student zniknął z kawą, Jakub mówił dalej:

– Więc podejrzewacie, że Tristanem jest któreś z nich?

Meijetns wzruszył ramionami.

– Mamy taką teorię. Wydaje się pasować.

Jakub spoglądał w zamyśleniu na swój kubek. Stwierdził, że niestety jest pusty.

– Tak wygląda przyjaźń. I miłość. I życie w Arkadii. A może właśnie w tym tkwi klucz do zagadki – powiedział nagle i uśmiechnął się.

– Jak to?

– Motyw, którym się kierował Tristan, zdradzając Erika Lindmana, mówi nam o tym, jakim jest człowiekiem – stwierdził Jakub.

– Pewnie po prostu chciał się bronić.

– To na pewno, ale czy to wystarczy? Wystarczy, żeby skazać swojego najlepszego przyjaciela albo narzeczonego na pewną śmierć w więzieniach Hodży? – Pokręcił powoli głową, a potem sam odpowiedział na swoje pytanie: – Może dla człowieka takiego jak Tristan.

Przez dłuższą chwilę żaden z nich się nie odezwał. Twarz Jakuba wykrzywił grymas bólu.

– To pismo... Tobiasie...

– Tak?

– Niepokoi mnie. I nie chodzi mi tylko o treść. – Podniósł głowę i przyglądał się Meijetnsowi. – Dlaczego ten ktoś przysłał ci te kopie? Może nie powinniśmy zakładać, że miał szlachetne zamiary?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Ani Wijkman, ani Terselius nie mają chyba dostępu do tego rodzaju materiałów, ale mają kontakty. Jeśli Tristan zostanie obnażony, wstrząśnie to elitami władzy. Nie tylko Tristan na tym ucierpi, ale wszyscy, którzy nieświadomie mu pomagali. Ważni ludzie, którzy na pewno mają wrogów. Wrogów, którzy może nawet się domyślali, jaka jest prawda, ale nie mogli nic powiedzieć. I teraz nagle dostrzegli szansę.

Gdzieś z daleka doszły ich wesołe głosy. Po chwili przebiegło obok nich kilku roześmianych studentów.

– Peter Laurén. Co o nim wiesz? – rzucił lekko Jakub.

– Niewiele. Poznał Sonię kilka lat po zniknięciu Lindmana. Pobrali się, a potem rozwiedli. Ma dużą władzę w partii, chociaż jest niewidoczny. Karierowicz.

Jakub uśmiechnął się.

– Uzupełnię twoją wiedzę – powiedział, spoglądając na jakieś kartki. – Peter Laurén pod każdym względem bardzo się różni od naszej trójki z Uppsali. Tak bardzo, że można się dziwić, że ich drogi w ogóle się skrzyżowały. Laurén stawiał pierwsze, nieco chwiejne kroki w polityce w najmniejszym w Szwecji, ale najbardziej wpływowym zrzeszeniu studenckim, a mianowicie w studenckim klubie socjaldemokratów, działającym przy sztokholmskiej Wyższej Szkole Handlowej. Wstępuje do niego zaledwie kilku studentów z każdego rocznika, ale potem wszyscy odnajdują się na korytarzach władzy w ministerstwie finansów.

Jakub zaczął pracowicie ustawiać jeden na drugim puste kubki po kawie.

– Wybrał klasyczny model kariery. Pracował za kulisami wielkich wydarzeń. Od bycia urzędnikiem przeszedł do bycia politykiem. Zmieniał też kilka razy ministerstwa, aż na początku lat siedemdziesiątych dołączył do grupy doradców ministra spraw zagranicznych. Wcześniej, w drugiej połowie lat sześćdziesiątych, aktywnie działał w związku studentów. I wtedy właśnie go poznałem.

Meijntens spojrzał na niego zdziwiony.

– Znasz Laurèna?

– Znam to za dużo powiedziane. Spotkałem go kilka razy, ale w niezbyt sprzyjających okolicznościach.

To były lata sześćdziesiąte. Jakub stwierdził, że pewnie był to rok 1966, może 1967, ale pewności nie miał. W Kopenhadze odbywał się kongres socjalistycznej międzynarodówki. Dyskutowano o Wietnamie. Grupa studentów z socjaldemokratycznego związku studentów robiła notatki i zdjęcia. Atmosfera była napięta. Wszyscy wiedzieli, że zbierano informacje o socjaldemokratach o lewicowych poglądach, tylko nikt nie wiedział dlaczego. Przyjęto więc, że robiono to dla

własnych celów. Dopiero wiele lat później odkryto powiązania między prawym skrzydłem partii a prowadzoną przez służby bezpieczeństwa akcją rejestracji poglądów.

– Pamiętam, że było ich troje – ciągnął Jakub. – Wszyscy mieli małe notesy i prowadzili szeptaną kampanię oszczerstw przeciwko ludziom, których uważano za sympatyków partii komunistycznej albo których po prostu uznano za niegodnych zaufania. Jak się zapewne domyślasz, nie sympatyzowałem z komunistami, ale tego rodzaju metody były mi znane skądinąd i budziły mój sprzeciw.

– Peter Laurèn był w tej trójce?

– Jak najbardziej.

Niewiarygodne, pomyślał Meijdens. Laurèn robił karierę jako tajny obrońca państwa i socjaldemokratów, jeden z chłopców z IB, a potem ożenił się z dziewczyną, która mogła być agentką KGB. Nic dziwnego, że wpadł w panikę, kiedy zaczęli grzebać w jej przeszłości.

– Mniej więcej rok później spotkałem go podczas jakiejś publicznej debaty – mówił dalej Jakub. – Wypowiadał się dość bezsensownie o Wietnamie. Twierdził, że w Szwecji źle rozumie się ten konflikt i rolę, jaką odgrywają w nim Stany. Że tak naprawdę chodzi o ekspansję Chin. O ile dobrze pamiętam, został wygwizdany, bo wtedy cała opinia publiczna dokonała już ostrego skrętu w lewo.

– Jak poznał Sonię Terselius i jak zareagował, kiedy się dowiedział, co robiła w przeszłości?

Jakub rozłożył ręce.

– A jak ludzie się spotykają? Żyjemy w małym kraju. A miłość wszystko zwycięża. Poza tym nie wiem, ile mu powiedziała. Kiedy się poznali, pewnie zdążyła już wyprzeć z pamięci dużą część swojej przeszłości. A może w ogóle nic mu nie powiedziała. A może było mu wszystko jedno? – Odchylił się do tyłu, położył ręce na oparciu kanapy. W jego oczach pojawił się błysk triumfu.

– O co chodzi? – spytał Meijdens.

– Muszę ci coś wyznać. Kiedy w zeszłym tygodniu wspomniałeś o Soni Terselius i o Carlu Wijkmanie,

rozpocząłem drobne dochodzenie. Prawdę mówiąc, sięgnąłem po prostu do ostatniego wydania Kto jest kto? i dowiedziałem się, że Sonia była żoną Laurèna. Wtedy przypomniałem sobie o tym, o czym przed chwilą ci opowiedziałem. Zadzwoiłem nawet do dawnego przyjaciela, żeby go spytać, czy dobrze pamiętam.

Meijtens spojrział na niego z niepokojem. Jakub uniósł rękę w uspokajającym geście.

– Nie denerwuj się. Nie wspomniałem ani słowem o waszym dochodzeniu. Chciałem się tylko upewnić, czy pamięć nie płata mi figla.

– I twój przyjaciel wszystko potwierdził?

Jakub skinął głową.

– Nie tylko potwierdził, ale też opowiedział mi o rzeczach, o których ja sam nie miałem pojęcia.

Jakub jak zwykle się nie spieszył. Najwyraźniej nie przejmował się tym, że jest późno.

– Lewicowe tendencje, o których ci mówiłem, przybrały na sile pod koniec lat sześćdziesiątych. I dotyczyły nie tylko środowisk studenckich, ale całej partii socjaldemokratycznej. Do tego stopnia, że dawni zwolennicy zimnej wojny, tacy jak Laurèn, stali się nagle nie do zaakceptowania. Mój przyjaciel twierdzi, że kariera Laurèna zawisła na włosku. Nie dostał długo wyczekiwanego wysokiego stanowiska. I wtedy nagle z najbardziej niespodziewanej strony nadeszła pomoc.

Meijtens pochylił się do przodu, a Jakub mówił dalej. Jakby odpowiadał na pytania, których nikt mu nie zadawał.

– Nikt nie potrafił zrozumieć, dlaczego Carl Wijkman nagle stanął w obronie Laurèna. Bo Carl rzeczywiście wziął go pod swoje skrzydła. A wrogowie Laurèna na lewicy odsunęli się na bok. Zrobili mu miejsce w grupie radykalnych doradców ministra spraw zagranicznych. Dzięki Wijkmanowi wszystkie drzwi stanęły przed nim otworem. Jego dawni mocodawcy z IB mogli zaświadczyć, że stał po właściwej stronie, a Wijkman skutecznie odpierał ataki coraz bardziej wpływowej lewicowej falangi w łonie samej partii.

– Więc to obojętne, czy to Wijkman, czy Terselius...

– Jest pewne, że Laurèn był w tamtym okresie bardzo mocno związany z Tristanem. Albo jako mąż, albo przyjaciel, którego czuł się dłużnikiem. – Jakub uśmiechnął się, ale uśmiech szybko zniknął z jego twarzy. – Obawiam się, że trafiliście na zawiłą sprawę – ciągnął dalej. – Może zbyt zawiłą, żeby można było o niej pisać w gazecie. I to jeszcze przez wiele lat. – Nagle wziął do ręki złożone plastikowe kubki i zadziwił Meijtensa trafiając nimi do kosza na śmieci. – Wszyscy chcą usłyszeć o tym, jak Erik Lindman wrócił do ojczyzny i jak zginął. Fanatyk, który zdradził swój kraj i został usunięty przez odpowiednie służby, zanim zdążył wyrządzić więcej szkód. Taka wersja wydarzeń nas fascynuje, ale też pozwala nam spokojnie patrzeć w przeszłość. Tristan został obnażony. Tristan nie żyje. – Jego twarz znów wykrzywił grymas. – Tym bardziej niewygodna jest wasza teoria. Jeśli Wijkman albo Terselius są winni, to na pewno jest wiele osób, które nieświadomie służyły im za źródła informacji. Tacy pożyteczni idioci. Nie tylko Laurèn. Również wielu innych, którzy dzisiaj zajmują wysokie stanowiska. Jeśli ich związki z Tristanem zostaną ujawnione, ich kariery mogą zawisnąć na włosku. Pamiętaj, że ci ludzie uważają się za niewinnych i będą walczyć o swój honor. Nie macie pojęcia, ilu ich może być. Poza tym obawiam się, że jest jeszcze jeden problem, i to znacznie poważniejszy. – Wstał i zaczął wkładać płaszcz. Spojrzał na Meijtensa smutnym wzrokiem. – Mam na myśli postrzeganie Szwecji jako dobrego, sprawiedliwego kraju. Neutralnego, leżącego między Wschodem a Zachodem, zawsze po stronie słabszych. A co, jeśli teraz się okaże, że Tristan w tym wszystkim nieźle namieszał? Jeśli zdradzał nasze tajemnice, szepcząc je do ucha swoim mocodawcom? Jeśli wykorzystywał swoje kontakty w rządzie, żeby w tajemnicy kierować nami zgodnie z interesami innego mocarstwa? Jeśli naszczał nam do zupy, którą teraz grzecznie zjadamy? Jakie ma to dla nas znaczenie? Czy wszystko, co dotychczas uważaliśmy za święte, nagle może się okazać kłamstwem? – Jego głębokie westchnienie odbiło się echem od ścian pustego już korytarza. – Obawiam się, że o tym nikt nie będzie chciał czytać.

WINDA Z CICHYM ZAWODZENIEM ruszyła na siódme piętro. Dom był jednym z bardziej udanych przykładów programu miliona mieszkań. Klatka była czysta, fasada nie nosiła śladów graffiti ani wandalizmu. Meijtns uparł się, że pojedzie na spotkanie sam, ale właściwie nie potrafił powiedzieć dlaczego. Przed drzwiami zatrzymał się i zaczerpnął powietrza. Miał świadomość, że teraz już na pewno przekracza granicę, którą wyznaczył Rydman. Zawsze mogę znów zacząć jeździć taksówką, pomyślał i zadzwonił.

Rozległ się głuchy dźwięk. Usłyszał szybkie kroki. Po chwili drzwi się otworzyły, szeroko, bez wahania.

– Tobias Meijtns? Proszę.

Olof Salling uśmiechnął się szeroko i trochę niezgrabnie wziął do ręki jego płaszcz. Rzadkie włosy sterczały mu na wszystkie strony. Spodnie podtrzymywały szelki, na nogach miał kapcie z owczego futra. Zza szkieł w nieco za dużych oprawkach patrzyły na Meijtnsa przyjazne oczy, bez cienia podejrzliwości. Meijtns pomyślał, że tego rodzaju emocje są chyba Sallingowi obce.

– Przepraszam, ale nastawiłem coś w kuchni.

Salling pospiesznie wyszedł do kuchni. Meijtns poczuł zapach mięsa i buraków. Zachęcony przez gospodarza wszedł do salonu, ale zatrzymał się zaraz za progiem. Na półkach pod ścianami stały książki wymieszane ze stertami czasopism i teczkami na dokumenty. Na krzesłach i na podłodze zalegały kartony pełne pozółkłych papierów. Na kanapie, na której też leżało kilka segregatorów, spały dwa koty.

– Próbuję zaprowadzić tu trochę porządku. Właściwie od wiosny... – Salling urwał, jakby sam zadumał się nad upływem czasu.

Nachylił się nad kanapą, wziął koty i zaniósł je do

sąsiedniego pokoju. Poprosił Meijtensa, żeby usiadł.

– Jako historyk zapewne przywykłeś do stert papierów – powiedział.

Zdjął plik kartek z jednego z krzeseł i usiadł naprzeciwko gościa.

– Byłem mile zaskoczony, kiedy mi opowiedziałeś o swoim projekcie badawczym. To temat, który raczej nie budzi większego zainteresowania.

Meijtens sięgnął po notes.

– To prawda – przytaknął. – Bardzo niewiele wiemy o ruchach pokojowych w okresie powojennym. Co może dziwić, kiedy się weźmie pod uwagę, jaki miały wpływ na ówczesną sytuację polityczną. Weźmy na przykład wojnę w Wietnamie...

Salling z entuzjazmem pokiwał głową.

– Walka przeciwko broni atomowej w Europie Zachodniej. Presja opinii publicznej na ograniczenie zbrojeń... – podawał kolejne przykłady, przywołując z pamięci różne wydarzenia.

Kiedy poprzedniego wieczoru Meijtens przygotowywał się z Natalie i Jakubem do spotkania, zastanawiał się, jak Salling zareaguje. Czy zacznie wydzwaniać po znajomych, żeby się czegoś dowiedzieć o projekcie badawczym „Zachodnioeuropejskie ruchy pokojowe w latach 1945–1990”? Sympatyczny starszy pan nie wykazywał jednak nawet cienia podejrzliwości.

– Czasem próbuję rozmawiać o tych sprawach z kolegami z muzeum, ale nikt nie jest zainteresowany. Dziwne.

Spojrzał na Meijtensa, jakby miał nadzieję, że mu to wytłumaczy.

Po chwili wstał z krzesła i podszedł do półki zastawionej teczkami z dokumentami.

– Mówiłeś przez telefon, że masz jakieś konkretne pytania dotyczące kongresu w Bukareszcie w 1963 roku.

Zdjął z półki plik wyblakłych kartek. Usiadł, położył je na kolanach i marszcząc czoło, zaczął je przeglądać.

– Przejrzałem trochę papierów. Próbowałem sobie przypomnieć pewne rzeczy. Opracowałem cały system...

– Wspominał pan, że uczestniczył w tym kongresie.

– Mam tu materiały dotyczące szeregu różnych inicjatyw pokojowych. Te z Bukaresztu też powinny tu być.

Zaczął czytać na głos nagłówki kolejnych dokumentów: marsz przeciwko broni atomowej, Anglia, rok 1960, instrukcja dla uczestników. Światowe Forum Młodzieży, Moskwa 1961, przesłanie komisji do młodzieży świata...

– Interesują nas uczestniczący w kongresie Szwedzi – wtrącił Meijdens.

Salling nadal wpatrywał się w leżącą przed nim stertę papierów.

– Seminarium na temat rozbrojenia, Kraków, praca na rzecz pokoju w ramach europejskich organizacji studenckich...

– Chcielibyśmy poznać ich zdanie na temat dialogu między delegatami ze Wschodu i Zachodu, a także na temat rozbieżności między Rosjanami a Chińczykami.

– Szukam końcowej proklamacji. Każdy kongres kończył się takim dokumentem. To dla ciebie najważniejsze – powiedział Salling uprzejmie, ale stanowczo. Jakby był przewodnikiem, który oprowadzając zwiedzających po muzeum, mówi im, co warto obejrzeć, a co mogą sobie darować.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, pan też tam był.

– Takie kongresy bywają nieocenione. Członkowie Veritasu zawsze na nie jeździli. Zawsze. Natomiast szwedzka prasa w ogóle nie doceniała działań krajów socjalistycznych na rzecz pokoju.

– A pana osobiste wrażenia? Jakie były?

Salling wziął do ręki kolorową broszurę.

– Koreańczycy, wspaniali ludzie – rzucił, po czym wrócił do przeglądania papierów.

Meijdens zerknął na kartkę w swoim notesie. Była pusta.

Obok Sallinga stało kilka kartonów pełnych papierów i najróżniejszych dokumentów. Meijdens zaczął się obawiać, że starszy pan może nigdy nie znaleźć nic o kongresie w Bukareszcie, i uznał, że musi spróbować trochę go przycisnąć.

– Ile osób uczestniczyło w tym kongresie?

– Zwykle przyjeżdża kilka tysięcy. Nie pamiętam dokładnie, ale...

– Miałem na myśli Szwedów. Z Veritasu.

Salling zdążył już podzielić materiały na dwie kupki. Siedział i przyglądał im się.

– Tutaj mamy protokoły ze spotkania w Sofii w 1969 roku. Sądzę, że to byłoby dla ciebie nawet bardziej interesujące.

– Pozostańmy jeszcze przez chwilę przy kongresie w Bukareszcie – przerwał mu Meijtnens. Jego cierpliwość zaczynała się kończyć.

Salling wrócił do przeglądania dokumentów. Dotarł do dna kolejnej sterty i ze smutkiem pokiwał głową.

– Nic z tego nie rozumiem. Powinny tu być. Wiem, że tam byłem. W marcu 1963 roku.

Przeciagnał palcem po półce, po czym zaczął zaglądać do kolejnych kartonów.

– Przedziwne. Skoro już tu jesteś, chciałbym, żebyś...

– Nic nie szkodzi – przerwał mu znów Meijtnens. – Gdyby zechciał pan mi odpowiedzieć na kilka pytań...

Salling wyprostował się i uśmiechnął szeroko.

– A może obejrzysz moje krzaczki pomidorów?

Meijtnens wyszedł ze starszym panem na balkon, który okazał się najbardziej zadbanym miejscem w całym mieszkaniu. Skrzynki nawet o tej porze roku były pełne roślin. Pod jedną ze ścian zamontowano półki na krzaczki pomidorów. Na balkonie stały też dwa krzesła, na każdym z nich leżał koc.

– Siadaj, proszę, a ja zaraz przyniosę szklaneczkę żeń-szenia – powiedział Salling.

Wyszedł i rzeczywiście po chwili wrócił z dwiema szklankami i butelką przezroczystego płynu, w którym zanurzony był jakiś korzeń.

– Koreańczycy to wspaniali ludzie – powiedział, unosząc butelkę. – Okryj się kocem, jeśli ci zimno – dodał. – Sam siedzę tu jeszcze nawet w listopadzie.

Starszy pan zaczął opowiadać o swoich sadzonkach. Jego oczkiem w głowie były pomidory. Recytował z pamięci nazwy poszczególnych odmian. Udzielał Meijtnensowi wskazówek na temat ich uprawy niemal z takim samym entuzjazmem, z jakim chwilę wcześniej opowiadał o kongresach pokojowych w

Europie Wschodniej.

Stuknęli się szklankami. Meijtnens wypił łyk i z trudem powstrzymał odruch wymiotny.

Zrobiło się już ciemno. W bloku naprzeciwko niemal we wszystkich oknach paliły się światła. Z dziedzińca na dole dobiegały głosy bawiących się dzieci i rodziców wołających je na kolację. Meijtnens i jego gospodarz w milczeniu siedzieli na balkonie. Meijtnens zastanawiał się, jak skłonić Sallinga, żeby mu coś opowiedział o Veritasie i o kongresie w Bukareszcie. I nagle Salling sam się odezwał:

– Veritas to było moje życie, cała moja młodość – powiedział bez żadnych emocji, jakby odpowiadał na pytania kontroli paszportowej. – Oczywiście byłem też członkiem partii, ale nigdy aktywnym. Trudno było mi się rozeznać w różnych frakcjach, więc w końcu dałem sobie spokój. Veritas to było coś zupełnie innego.

Zaczął opowiadać o swoich studiach w Sztokholmie. Jako główny przedmiot wybrał nauki polityczne.

– Idealny kierunek dla niższego rangą pracownika muzeum – uśmiechnął się sam do siebie. – Poza tym raczej nieprzydatny – dodał, patrząc na bloki naprzeciwko. – Często widuję dawnych kolegów w mediach, ale rzadko się z nimi spotykam.

A potem zaczął wymieniać różne nazwiska, te znane i te mniej znane. Meijtnens zadawał mu od czasu do czasu jakieś pytanie, próbując go naprowadzić na Erika Lindmana i jego środowisko. Po chwili ze zdziwieniem stwierdził, że jego szklaneczka jest pusta. Salling zamilkł i dołał i jemu, i sobie. Odchylił się do tyłu i zamknął oczy.

– Wtedy w Bukareszcie nie było nas wielu. Właściwie tylko ja i ci z Uppsali. No i oczywiście Rooth. On był wszędzie.

Powiał wiatr i gałązki pomidorów zaszumiały. Meijtnens miał właśnie zadać kolejne pytanie, kiedy nagle Salling odwrócił się w jego stronę i spojrzał na niego smutno.

– To on cię do mnie przysłał?

– Kogo ma pan na myśli? – spytał ze zdziwieniem Meijtnens.

– Rootha. To on chciał, żebyś mnie o to wszystko wypytał?

– Johan Rooth? Oczywiście, że nie. Dlaczego miałyby to robić?

– To był tylko niewinny felieton, bez żadnego podtekstu.

Spojrzał na swoje pomidory, a potem podniósł głowę i powiódł wzrokiem po podmiejskim krajobrazie. Meijdens miał wrażenie, że pogrążył się we własnych myślach. A może jego gospodarz, który cały czas dolewał sobie hojnie z butelki, po prostu wypił trochę za dużo żeń-szenia?

– Felieton? – spytał.

– Tak. Po powrocie z zagranicznych imprez zawsze zamieszczałem obszerne sprawozdanie w naszym piśmie. Pisałem też inne rzeczy, najczęściej recenzje książek.

Uniósł szklaneczkę i wypił łyk. Delektował się nim, jakby smakował zupę.

– Ale wtedy napisał pan felieton?

– Rooth powiedział, żebym w ogóle nic nie pisał. Może uznał to za niestosowne w sytuacji, gdy cały kongres przebiegał pod znakiem rozłamu między Związkiem Radzieckim a Chinami.

Wiatr przestał wiać, wokół nich zapadła cisza. Kiedy Salling znów zaczął mówić, w jego głosie dawało się wyczuć lekko błagalną nutkę. Jakby chciał, żeby Meijdens wszystko naprawił.

– Napisałem więc coś w rodzaju felietonu, lekkiego i zabawnego. Pamiętam, że pewnego wieczoru poszedłem gdzieś z jakimiś Polakami, a potem ciągle się na nich natykałem. To zabawne, bo... – nagle zamilkł. Patrzył przed siebie i wyglądał na nieszczęśliwego. – Nie mogę sobie przypomnieć, co w tym było takiego zabawnego, a właśnie o tym był mój felieton. O kongresie w ogóle nie pisałem!

– Ale Rooth miał podejrzenia.

– Przesłałem tekst do redakcji i już o nim nie myślałem. I nagle zadzwonił do mnie Rooth. Był wściekły, krzyczał, że jestem zdrajcą. Kiedy go spotkałem kilka dni później, był jeszcze bardziej zły. A potem nie pozwolili mi już nic więcej napisać.

– Dlaczego nazwał pana zdrajcą?

Salling nie odpowiedział, jakby nie usłyszał.

– Wydrukowali pana felieton? – spróbował Meijdens jeszcze

raz.

– Nie, i wątpię, żeby zachowali go w archiwum.

Meijtens też w to wątpił.

– O czym był? – spytał.

Salling najwyraźniej należał do ludzi, u których stan upojenia alkoholowego oznacza niezdolność do słuchania innych. Ciągnął dalej swoją opowieść:

– Po tym incydencie wiele osób przestało mi podawać rękę. Byli to ludzie, którzy na pewno nie znali historii z felietonem, więc zapewne chodziło o coś zupełnie innego. Poczuję się tak, jakby ktoś wyciągnął mi dywan spod nóg. Przyjaciele z Veritasu zniknęli, a innych nie miałem.

Nagle starszy pan przypomniał sobie, że zostawił w kuchni garnek na elektrycznej kuchence. Wstał. Potknął się i musiał się chwycić poręczy, żeby nie upaść.

– Pójdę sprawdzić – zaproponował Meijtens, świadom, że w tym stanie Salling nie nadaje się ani do rozmowy na poważne tematy, ani do gotowania.

W kuchni okazało się oczywiście, że potrawa się przypaliła. Zdjął garnek z kuchenki i zaczął w nim mieszać, podejmując daremną próbę ratowania jego zawartości. Wokół piętrzyły się brudne naczynia i otwarte puszkę, w których kiedyś zapewne były gotowe dania, tylko do podgrzania, po promocyjnych cenach. Gdzieś w rogu stały puste butelki po bułgarskim winie. Meijtens zaczął się zastanawiać, na ile może wierzyć w opowieści Sallinga o sprawach sprzed niemal trzydziestu lat.

Kiedy wrócił na balkon, zobaczył, że Salling stoi na krześle i usiłuje dosięgnąć do krzaczka na najwyższej półce.

– Pomyślałem, że może masz ochotę spróbować mojego ostatniego tegorocznego pomidorka. Zachowałem go dla szczególnego gościa.

Na szczęście Meijtensowi udało się przekonać Sallinga, że nie musi próbować pomidora. Podziękował mu za rozmowę i poprosił, żeby się do niego odezwał, jeśli sobie przypomni coś o kongresie w Bukareszcie.

– A jeśli znajdzie pan ten felieton, też chętnie rzucę na niego okiem – powiedział już w progę. – To zapewne ciekawy

przykład panującej w tamtych czasach atmosfery. Proszę zadzwonić, jeśli przypomni pan sobie, czego mógł dotyczyć – rzucił lekko. Nie chciał, żeby starszy pan nabrał podejrzeń. – Ci inni, którzy też tam byli, to tych troje z Uppsali, prawda? I jeszcze Rooth – powiedział, wkładając płaszcz.

Salling wydawał się nieobecny, ale kiedy Meijtnens wymienił nazwiska, skinął głową.

– Tak, oni też tam byli. Ci z Uppsali – powiedział i zanim Meijtnens zdążył się pożegnać, ruszył chwiejnym krokiem do sypialni.

MEIJTENS PRZESUNĄŁ talerz z chlebkiem nan. Natalie oderwała kawałek i zamoczyła w miseczce z kaszmirskim curry. Z głośników leciała indyjska muzyka, na stole i na krzesłach leżały porozkładane brązowe tekturowe teczki. W ostatnim czasie przychodzili tam niemal co wieczór.

W redakcji pracowali zgodnie z zaleceniami Anderssona, według reguł ustalonych przez Rydmana. Natalie kazano obserwować, co się dzieje na rozchwianych rynkach finansowych. Świetnie sobie z tym radziła. Meijtns po raz kolejny został pomocnikiem szefa działu wiadomości. Poza tym redagował stały felieton podsumowujący wydarzenia tygodnia. Nikt już nie wspominał o Eriku Lindmanie. Sprawę uznano za zamkniętą.

Meijtns sięgnął po najcieńszą z teczek, zawierającą owoce jego ostatnich działań, zarwanych nocy spędzonych nad papierami i dzbankiem herbaty jaśminowej i na telefonach do Natalie.

Od czasu do czasu dzwonił także Jakub, żeby się dowiedzieć, co nowego, i ewentualnie coś doradzić.

– No dobrze, co mamy? – spytała Natalie.

Meijtns podał jej dokument. Niecałe dziesięć stron, na których przedstawiono zawodową drogę dwóch osób. Ciekawe dane, ale nie wypełniały wszystkich pustych miejsc w ich układance.

Potwierdzenie informacji, że zarówno Carl Wijkman, jak i Sonia Terselius należeli do urzędników przygotowujących stanowisko Szwecji na Konferencję Helsińską nie wymagało wielu zabiegów. Tylko trochę czasu. W tej grupie według zeznań Sorokina był kret przekazujący wszystko ze szczegółami swoim mocodawcom z KGB. Może miał nawet wpływ na stanowisko Szwecji podczas rokowań.

To, że ich nominowano, było oczywiste. Wszystko odbyło się oficjalnie, zgodnie z przepisami. Kiedy Związek Radziecki i jego sojusznicy zażądali, żeby na konferencji poruszyć także wybrane zagadnienia związane z gospodarką i handlem, kraje neutralne ze Szwecją na czele podjęły się koordynacji przygotowań. Sekretarz ministra przemysłu, Carl Wijkman, wydawał się doskonale do tego przygotowany. Już wcześniej zajmował się zarówno kwestiami handlu z zagranicą, jak i rozwojem przemysłu. I zbierał same pochwały. Referencje Terselius były nie mniej entuzjastyczne.

– No to teraz już wiemy, czego Laurén tak się boi – wymamrotała Natalie, nie podnosząc głowy znad papierów.

Meijtens skinął głową.

Chodziło o coś więcej niż była żona czy przyjaciel z młodości. Między apolitycznymi urzędnikami ministerstwa spraw zagranicznych a politycznymi doradcami ministra toczyła się walka o władzę, z której zwycięsko wyszli ci ostatni. Wszelkie sprawozdania z prac grupy roboczej kierowano bezpośrednio do Lauréna. To on podpisał entuzjastyczny list, w którym rekomendował włączenie Carla Wijkmana do zespołu doradców. Rekomendacja dla Terselius została podpisana przez jednego z jego podwładnych, zapewne po to, żeby uniknąć podejrzeń o konflikt interesów.

– Klasyczny przykład wymiany przysług – zauważył Jakub. – Wijkman, korzystając ze swoich kontaktów, załatwia pracę Laurénowi, który z wdzięczności wspiera jego przedsięwzięcia. Wszystko zgodnie z prawem. Ale gdyby się okazało, że dawny przyjaciel był agentem KGB, sprawa niewątpliwie nabrałaby pikanterii.

Śledząc dalszą karierę Terselius, a także Wijkmana, stwierdzili, że Laurén o nich nie zapomniiał. Nie zawsze było to oczywiste, ale Jakub nie miał wątpliwości i podczas ich nocnych rozmów wielokrotnie wskazywał na decyzje, na które Laurén zapewne także miał wpływ. Tak więc człowiek, który miał stać na straży interesów kraju i socjaldemokratów, mógł się okazać jednym z najważniejszych pożytecznych idiotów Tristana. Kiedy Laurén i Sonia Terselius się rozwiedli, sytuacja

uległa zmianie.

Natalie odłożyła papiery do teczki.

– W tej sprawie chyba już niczego więcej się nie dowiemy – stwierdziła.

Meijtens siedział i bębnił palcami w stół.

– Oboje mogą być Tristanem.

To Jakub zasugerował, żeby prześledzili kariery Terselius i Wijkmana i sprawdzili, jakie zostawili ślady, jak się wyraził. Ślady okazały się wyraźne, ale zaprowadziły ich w ślepią uliczkę. Potrzebowali czegoś więcej niż danych z archiwum i snutyh po alkoholu opowieści Sallinga. Gdyby chodziło tylko o jego karierę, Meijtens pewnie by zaryzykował i machnął ręką na zastrzeżenia Rydmana, ale było jak było.

Natalie nie podzielała jego entuzjazmu dla tajnego pro memoria i kręciła głową za każdym razem, kiedy po nie sięgał.

– Nie lubię takich źródeł.

Meijtens przypomniał sobie, co złamało jej telewizyjną karierę. Posłużyła się anonimowym źródłem i nie chciała go zdradzić. Albo nie potrafiła.

– Jeśli źródło się do nas nie odezwie, musimy potwierdzić autentyczność tego dokumentu inaczej – oznajmił.

Położył dużą porcję pikli z chili na kawałku chlebka nan i włożył go do ust. Zamknął oczy. Rozkoszował się smakiem.

Natalie przyglądała mu się z rozbawieniem. Sięgnęła po ostatni kawałek opiekanego kalafiora.

– Więc jesteś pianistą? Takim prawdziwym? – spytała, żeby zmienić temat.

– Może mógłbym być.

– To znaczy?

– Czegoś mi zabrakło.

– Czego? Talentu? Cierpliwości?

Meijtens wzruszył ramionami i nalał piwa do szklanki.

– Pianina?

Roześmiał się, wypił łyk i odchylił się do tyłu. Może to przez alkohol, a może przez jej ciemne oczy i nagłe zainteresowanie nim... w każdym razie opowiedział jej wszystko. Zaczął od madame Esterházy, trochę cholerycznej nauczycielki muzyki z

dzieciństwa. Miała duże oczekiwania i duże wymagania, co dość paradoksalnie w małym, oddającym się marzeniom i uchodzącym za dość leniwego chłopcu obudziło ducha walki.

– Madame Esterházy?

– Chciała, żeby tak się do niej zwracać.

W dość swobodnym i niestawiającym mu żadnych wymagań świecie zajęcia z madame Esterházy stały się jedynym stałym punktem. Jej bezkompromisowość była niczym twarde krzesło, na które najpierw się godzimy, bo jest dobre dla naszych pleców, a potem uczymy się lubić. Nie przyjmowała żadnych usprawiedliwień, była zwolenniczką dyscypliny i piła tylko jeden gatunek herbaty.

Natalie chciała o coś spytać, ale rozmyśliła się i dała mu znak, żeby mówił dalej.

Jeśli zdarzało mu się czasem nie przygotować do lekcji, nie krzyczała, tylko siadała obok niego, kładła kościstą rękę na jego ramieniu i zaczynała opowiadać historie ze swojej młodości, którą spędziła w Budapeszcie. Opowiadała mu, jak to musiała porzucić studia na akademii, ponieważ jej rodzina należała do starej burżuazji. I o tym, jak grała w restauracjach, żeby zarobić na życie i móc rano ćwiczyć. Nawet w czasach komunizmu ćwiczyłam sześć godzin dziennie, mówiła z dumą.

– Nigdy nie opuściłem żadnej lekcji – powiedział Meijtens.

Natalie roześmiała się, a on doszedł do wniosku, że jeszcze nigdy nikomu o tym nie opowiadał. Może czekał na właściwego słuchacza.

Jego matka dziwiła się, że tak dużo ćwiczy, ale nie wiedziała, że jeśli zdarzyło mu się popełnić błąd, bił się po palcach. Otwierając drzwi klasy madame Esterházy, wkraczał do tajemniczego świata, o którym nigdy z nikim nie rozmawiał. Za każdym razem kiedy spotykał jej uważne spojrzenie, mimo woli się prostował i usiłował zetrzeć ze spodni plamy po grze w piłkę na przerwie śniadaniowej.

– Nagle byłem w czymś dobry. To mi się nie zdarzało często, więc chodziłem na te lekcje.

W wieku dwudziestu jeden lat był gotów zdawać na akademię muzyczną. Na egzamin końcowy wybrał Liszta.

– Jedną z wcześniejszych kompozycji, bardzo trudną technicznie...

Natalie ze zniecierpliwieniem machnęła ręką, dając mu znak, żeby sobie darował szczegóły.

– Siedziałem i czekałem na swoją kolej. Nie mogłem być przygotowany lepiej. Całymi miesiącami ćwiczyłem jak oszalały. I wtedy to usłyszałem.

– Co usłyszałeś? – spytała Natalie, zniecierpliwiona kolejną przerwą.

Tuż przed nim grał chłopak, niski, pulchny, w koszuli, która kleiła mu się do ciała. Ale kiedy zaczął grać przed komisją, Meijtens nagle zrozumiał, co madame Esterházy miała na myśli, kiedy mu powtarzała raz za razem: „Musisz interpretować muzykę, Tobiasie. Nie wystarczy, że zagrasz”. Pojął, że nigdy nie będzie grał tak jak ten spocony mały grubasek.

Wypił kolejny łyk piwa.

– Nadeszła moja kolej i właściwie nie poszło mi najgorzej. Grałem najlepiej jak potrafiłem, nie popełniłem żadnego błędu. Ale im dłużej grałem, tym przepaść między mną a spoconym tłuszciochem stawała się głębsza. Więc przestałem grać.

Natalie spojrzała na niego, autentycznie zdziwiona.

– Jak to?

– Zagrałem mniej więcej trzy czwarte utworu, kiedy dotarło do mnie, że to bez sensu. I przestałem grać. Wziąłem głęboki wdech i powoli opuściłem klapę fortepianu. Zapadła absolutna cisza. Uznałem to za ważny szczegół.

– Zamknąłeś klapę?

– Tak, a potem skinąłem głową i wyszedłem. Od tamtej pory grywam jedynie klasyczne kawałki, evergreens.

Natalie patrzyła na niego.

– Przestałeś grać? Tak po prostu?

– A dlaczego nie? Zrozumiałem, że moja gra to owoc dyscypliny, dobrej nauczycielki i nadmiaru wolnego czasu i że akademia to nie miejsce dla mnie.

– A madame Esterházy?

Twarz Meijtensa wykrzywił grymas.

– Obiecałem do niej zadzwonić, jeśli zostanę przyjęty. A ponieważ nigdy nawet nie pofatygowałem się sprawdzić, jak mi poszło, uznałem, że w czysto technicznym rozumieniu jestem zwolniony z tej obietnicy.

– I nie przyszło ci do głowy, że to głupie?

– Pewnie że tak, ale minęło tyle czasu, że doszedłem do wniosku, że pewnie się domyśliła. Nigdy więcej ze sobą nie rozmawialiśmy, a kilka lat temu przeczytałem gdzieś, że umarła.

Natalie posłała mu przeciągłe spojrzenie i pokręciła głową. Po chwili zamówiła jeszcze po piwie.

– Jak się czułeś, kiedy wyszedłeś z egzaminu? Nie robiłeś sobie wymówek?

– Żadnych. Czułem jedynie ulgę. Że mam to już za sobą. Że mogę robić, co chcę. Że nie muszę spełniać niczyich oczekiwań. Zrobiłem sobie wolne. Kilka lat bez żadnych zobowiązań. Czułem się cudownie.

Zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy opowiedział komuś o tym, niczego nie ubarwiając, niczego nie ukrywając. Nawet Hannie przedstawił nieco złagodzoną wersję, może w obawie, że tej prawdziwej mogłaby użyć przeciwko niemu podczas kolejnej kłótni.

Kiedy stali już na dworze i trzęśli się z zimna, Natalie spojrziała na niego z powagą.

– Meijtens, pracujemy razem. W duecie, że tak powiem. Oczekuję, że tym razem, do cholery, dotrwasz do ostatniego akordu!

Kiedy wrócił do domu, natychmiast zauważył, że w telefonie miga światelko. Miał dwie wiadomości. Pierwszą od Hanny. „Musimy porozmawiać, wszystko sobie wyjaśnić”. Coś w jej głosie go zaniepokoiło. Sięgnął po słuchawkę, żeby do niej zadzwonić. I wtedy włączyła się druga wiadomość. Która zmieniła wszystko. Bo przecież zakaz Rydmana nie mógł dotyczyć tych, którzy sami proponowali rozmowę. Zapomniał o Hannie i zadzwonił do Natalie.

MEIJTENS POZWOLIŁ Natalie zadać pierwsze pytanie. Sam krążył po ogromnym pokoju. Ale to nie antyczne meble ani dzieła sztuki przyciągnęły jego uwagę, tylko kilka porcelanowych figurek stojących na kominku. Przedstawiały grupę muzykantów i, co było wyraźnie widać, były poobijane. Tu brakowało kawałka ręki, tam nogi, a doboszowi całej dolnej połowy. Pochwycił spojrzenie starszej pani i oboje się uśmiechnęli.

– Kiedy pani do nas zadzwoniła... – zaczęła Natalie i urwała. Pozwoliła, żeby pytanie zawisło w powietrzu.

Frieda Stiernspetz ostrożnie postawiła filiżankę na talerzyku, jakby nie chciała o niego stuknąć.

– Kiedy przeczytałam wasze artykuły o człowieku, który uległ wypadkowi, byłam niemal pewna, że do mnie zadzwonicie.

– Dlaczego? – spytała Natalie.

– Bo napisaliście, że Erik Lindman mógł zostać niesłusznie oskarżony o szpiegostwo.

Starsza pani najwyraźniej oczekiwała, że sami z siebie wypełnią luki w tej zawilej historii, zadając jej pytania, których się spodziewała. Ale Natalie zdecydowała się milczeć, a Meijtns postanowił jej zaufać.

– Wydało mi się oczywiste, że napiszecie także o innych przypadkach, kiedy służba bezpieczeństwa źle oceniła sytuację – rzuciła Frieda Stiernspetz trochę wyzywająco.

– O ile nam wiadomo, policja bezpieczeństwa jest przekonana o winie nie tylko Erika Lindmana, ale także pani męża – powiedział Meijtns.

Frieda Stiernspetz wymamrotała coś po niemiecku, po czym powiedziała już głośniej po szwedzku:

– Ci ludzie nie byliby zdolni znaleźć nawet skradzionego roweru. Zachowywali się bez sensu.

Siedziała wyprostowana w fotelu. Najwyraźniej zadawanie jej pytań nie miało sensu. Była już w takim wieku, że wystarczyło tylko dać jej czas, żeby opowiedziała wszystko sama, po swojemu.

Urodziła się jako Frieda Hauptman w mieście, które wówczas było miastem niemieckim i nazywało się Breslau, a które teraz jest miastem polskim i nazywa się Wrocław. Po upadku Niemiec uciekła do Berlina.

– Trafiliśmy do obozu przeznaczonego dla ludzi, dla których w nowej Europie nie było miejsca. Displaced persons, tak nas nazwano. Nie ma określenia, którego bym nienawidziła bardziej.

Żyła z dnia na dzień. W końcu się poddała i sprzedała wszystko, co jeszcze mogła sprzedać, kilka drobiazgów, które udało jej się wynieść ze zbombardowanego rodzinnego domu. Kupił je jakiś brytyjski żołnierz za kilka dolarów. Dostała za nie bochenek chleba.

Usiadła przed bramą obozu i rozplakała się.

– I wtedy go zobaczyłam. Najpierw rzuciło mi się w oczy, że nie ma na sobie munduru i jest za dobrze ubrany, żeby być Niemcem. Na rękę miał opaskę Czerwonego Krzyża.

W odróżnieniu od innych alianckich żołnierzy, którzy od czasu do czasu przyjeżdżali do obozu na inspekcję, mówił niemal bezbłędnie po niemiecku, z lekkim akcentem, który od razu jej się spodobał.

– To był Henric Stiernspetz? – spytała Natalie.

Starsza pani skinęła głową.

– Tak, był tam z ramienia Czerwonego Krzyża.

Podbił ją miłym sposobem bycia. Milczał, kiedy trochę chaotycznie zaczęła mu opowiadać swoją historię, a potem przyniósł jej wodę do picia i jakieś konserwy. I obiecał, że wkrótce znów ją odwiedzi. Ona w to oczywiście nie uwierzyła. Ale trzy dni później znów zjawił się przed bramą. Odnalazł brytyjskiego żołnierza i odkupił od niego jej porcelanowe figurki.

Spojrzała na kominek i uśmiechnęła się.

– To był cały Henric. Inni mężczyźni przynosili mi czekoladę i papierosy, które bez problemu można było kupić na czarnym

rynku, jeśli tylko miało się dolary. Ale Henric zawsze intuicyjnie rozumiał innych. Najbardziej jednak zadziwiające było to, że nie oczekiwał niczego w zamian, co niestety w tamtych czasach było dość powszechne.

Tak więc Henric zaczął jej przynosić jedzenie. Załatwił jej też ubranie, a z czasem pomógł nawet wynająć mały pokoik na mieście. I cały czas zachowywał się jak dżentelmen.

– Zabrał mnie nawet do lekarza, który przepisał mi penicylinę na pewną krępującą dolegliwość, na którą cierpiało wówczas wiele młodych kobiet. I o nic nie pytał, ani wtedy, ani później.

Oczywiście zakochała się w nim, a kiedy w końcu jej się oświadczył, rozpląkała się. Słowa były zbędne, nawet rytualne „tak”. Pojechali do Sztokholmu. Henric wrócił do pracy w ministerstwie spraw zagranicznych, a ona powoli zaczęła się przyzwyczajać do życia w nowej ojczyźnie.

– Na pierwszą placówkę wyjechaliśmy do Rzymu. Te cztery lata we Włoszech były najlepszymi w naszym życiu. Potem mieszkaliśmy w Madrycie, w Wiedniu, a potem Henric trafił do Moskwy.

Natalie sięgnęła po dzbanek i dołała wszystkim herbaty, ostrożnie i dyskretnie, żeby nie przerywać starszej pani. Meijters był pełen podziwu. Obserwował, jak niczym kameleon dostosowuje się do rozmówcy. Była w tym świetna, o ile oczywiście chciała.

– Dziękuję, Liebchen. Wiem, że zaniedbuję obowiązki gospodyni – powiedziała pani Stiernspetz, sięgając po filiżankę. Wypiła łyk herbaty i wróciła do opowieści: – Życie w Moskwie nie było takie złe. Nie przepadałam co prawda za Rosjanami, ale towarzystwo innych dyplomatów było stymulujące, a Henric kochał swoją pracę. Byliśmy szczęśliwi. Aż do tego dnia w 1973 roku, kiedy wezwano go do ambasadora. W jego gabinecie czekał na Henrica pewien człowiek. Niski, drobny, ze służby bezpieczeństwa. I zaczął mu zadawać zaskakujące pytania. Henric natychmiast się zorientował, że chodzi o wysoko uplasowanego szpiega. Wrócił do domu wzburzony i wstrząśnięty.

– Miał wrażenie, że go oskarżają? – spytał Meijtnens.

Pani Stiernspetz spojrzała na niego surowo.

– Ależ nie. Wypytywano go jako kogoś zaufanego, kogoś, kto wie pewne rzeczy, które mogą się okazać przydatne. Na pewno nie jako podejrzanego. Był wstrząśnięty, że w ich gronie jest szpieg, którego może nawet znał.

Pytano go o osoby zaangażowane w przygotowania do Konferencji Helsińskiej. W pracach uczestniczyła garstka ludzi, głównie z ministerstwa spraw zagranicznych, ale i z kilku innych ministerstw. Kiedy byliśmy w Sztokholmie, Henric kierował pracami komisji. Po jakimś czasie został jednak odsunięty przez grupę politycznych doradców. Zarzucono mu, że nie zna się na szwedzkiej polityce neutralności i że broni interesów mieszczańskiej opozycji. Zabawne. Tak czy inaczej między innymi z tego powodu zaczął się starać o placówkę w Moskwie. Miał dosyć intryg. Ale kiedy już tam pojechaliśmy, nadal uczestniczył w pracach komisji.

Meijtnens pilnował, żeby w magnetofonie nie zabrakło taśmy. Tym razem całkiem zrezygnował z notowania. Natalie też trzymała notes na kolanach. Jakby się bali poruszyć, jakby opowieść Friedy Stiernspetz była równie krucha jak ona sama.

– Henric był spokojny. Nawet kiedy został wezwany na rozmowy do Szwecji. Oczywiście bardzo przeżywał to, że w jego otoczeniu działa szpieg. Kiedy zadzwonił do mnie ze Sztokholmu, stwierdził, że powiedział wszystko, co wie, i pewnie za kilka dni wróci do Moskwy. Ale dzień po naszej rozmowie ukazał się ten tygodnik.

Starsza pani odstawiła filiżankę. Tym razem nie udało jej się nie stuknąć o talerzyk.

– Pismo nazywało się „Dookoła Szwecji”. Zresztą po kilku latach upadło. Kolorowy tabloid, specjalizujący się w opowieściach kryminalnych i w obnażaniu tajemnic celebrytów. Coś okropnego – stwierdziła starsza pani.

Rzeczywiście było trochę dziwne, że informacja o szpiegu w ministerstwie spraw zagranicznych najpierw pojawiła się w tabloidzie. Ale gazeta oferowała czytelnikom więcej sensacji. Napisano, że służba bezpieczeństwa ma już podejrzanego, że

wezvano go na rozmowy do Sztokholmu. Jakby tego było mało, podano także motywy. Miało chodzić o szantaż. Wspomniany dyplomata był bowiem homoseksualistą. W młodości, kiedy uczył się w renomowanym liceum z internatem, miał odbywać stosunki homoseksualne z kolegą.

Pani Stiernspetz z dumą uniosła głowę.

– A czego się spodziewali, zamykając młodych chłopców w takich internatach?

Meijtens zauważył, że Natalie jest zdziwiona tak samo jak on. Starsza pani wyczuła, że są skonsternowani.

– Liebchen, widziałam gorsze rzeczy niż dwóch chłopców dotrzymujących sobie towarzystwa. Wiem, do czego może ludzi doprowadzić samotność i desperacja – powiedziała, żeby po chwili wrócić do opowieści: – Artykuł pozwalał bez problemu zidentyfikować Henrica jako domniemanego szpiega. Podano, że pracował w szwedzkiej ambasadzie w Moskwie, podano nazwę szkoły, do której kiedyś chodził, a nawet datę jego urodzenia.

– Więc to nie była prawda? – spytał Meijtens.

– A co dokładnie masz na myśli, mój drogi? – spytała pani Stiernspetz, przyglądając mu się uważnie. Już po chwili, nie czekając na odpowiedź, ciągnęła dalej: – Henric oczywiście nie był żadnym szpiegiem. Cóż za nedorzeczne oskarżenie. Dziwne jest jednak to, że do dnia, w którym się ukazał ten nieszczęsny artykuł, nikt nie twierdził, że nim był. Służby chciały tylko usłyszeć jego wersję, poznać jego zdanie w tej sprawie. – Otuliła się szczelniej sweterkiem. – Ale to nie oskarżenie o szpiegostwo pchnęło go do ostatecznego kroku. Wiedział, że jest niewinny, i zamierzał się bronić. Bardziej przeżył ten drugi zarzut. Było mu wstyd. Całe życie postępował zgodnie z wpojonymi mu w dzieciństwie zasadami. Zawsze żył w cieniu matki i gotów był zrobić wszystko, byle zyskać jej uznanie. Podejrzewam, że został dyplomata, żeby się od niej trochę uwolnić. Nie pozwolili mi zachować listu, który mi zostawił. Dałam go im, bo obiecali, że zwrócą mi go, jak tylko skończy się dochodzenie. A potem oświadczyli po prostu, że to niemożliwe. „Przez wzgląd na bezpieczeństwo kraju”. Ale nadal pamiętam

każde słowo.

W liście Henric zapewniał ją o swojej miłości, pisał, że jest dla niego wszystkim. O oskarżeniach o szpiegostwo właściwie nie wspomniał.

Pani Stiernspetz przymknęła powieki. Próbowała sobie przypomnieć słowa.

– „Absurdalne oskarżenia o zdradę, rzucone na mnie w artykule, zostaną zapewne wkrótce oddalone i nie będą rzutować na twoje dalsze życie”. – Otworzyła oczy. – To wszystko, co o tym napisał. Uznał, że nawet nie warto tego komentować. Drugi zarzut był znacznie poważniejszy. Pisał, że postawione mu zarzuty sprawią, że wyjdą na jaw pewne sprawy z jego młodości. Prosił mnie o wybaczenie. Całkiem niepotrzebnie. Pisał, że z czymś takim nasze środowisko nigdy się nie pogodzi, a tym bardziej jego rodzina. – Zaczęła się lekko trząść. Znów na kilka sekund zamknęła oczy. Ale szybko się opanowała. – Biedny Henric. Zrozumiałam wtedy, skąd się brała jego wyrozumiałość wobec mojej przeszłości. Może to, że ja też nie byłam ideałem, było dla niego jakimś pocieszeniem? A jeśli chodzi o jego przekonanie, że sprawa szpiegostwa szybko się wyjaśni, to niestety nie miał racji. Bo nagle służby uznały, że to on był szpiegiem.

Natalie zmarszczyła czoło.

– Twierdzi pani, że podejrzenia pojawiły się dopiero po samobójstwie pani męża?

W oczach pani Stiernspetz pojawiły się groźne błyski.

– Tak właśnie uważam. Z wiarygodnego świadka zamienił się nagle w podejrzanego. Chociaż nie było żadnych dowodów, poza niecnymi insynuacjami skandalizującego tabloidu. W liście pożegnalnym także nie było nic, co mogłoby na to wskazywać. Ale służby uznały jego samobójstwo za wystarczający dowód.

Czy to możliwe? – zastanawiał się Meijdens. Czyżby odtrąbiony wielki sukces szwedzkich służb specjalnych opierał się na tak kruchych podstawach? Przypomniał sobie pewnego siebie Hanssona i to, co powiedział, oraz uwagi Rydmana. I nagle poczuł, jak wzbiera w nim złość.

– Kiedy przeczytałam wasze artykuły o tym biednym człowieku, który zaginął w Albanii, nie mogłam nie dostrzec podobieństwa do tego, co spotkało Henrica. Jak łatwo oskarżyć kogoś, kto nie żyje albo zaginął i nie może się bronić.

W salonie zapadła cisza. Siedzieli przytłoczeni ostatnimi słowami starszej pani. W końcu Meijters przerwał milczenie:

– Erik Lindman i pani mąż pracowali w ministerstwie spraw zagranicznych. Znali się?

Pani Stiernspetz pokręciła głową.

– Nie sędzę. Pamiętam, że Henric mówił o zaginięciu Lindmana, ale nie wspominał, że go zna.

– Więc nie byli ze sobą w żaden sposób powiązani?

Ku ich zdziwieniu Frieda Stiernspetz uśmiechnęła się.

– Jeszcze kilka tygodni temu odpowiedziałabym, że nie.

I wtedy starsza pani opowiedziała im o niedawnej wizycie pewnego policjanta. Meijters bez problemu domyślił się, o kogo chodzi.

– To był Tilas?

– Tak chyba się przedstawił. – Pani Stiernspetz pokiwała głową. – Człowiek, który zginął, miał w portfelu kartkę z numerem mojego telefonu. Policja pytała mnie, czy przed wypadkiem nie dzwonił do mnie jakiś cudzoziemiec. Odpowiedziałam, że nie. Kiedy ukazał się wasz artykuł, zrozumiałam wszystko.

– A mianowicie? – weszła jej w słowo Natalie.

– Że wiadomość, którą ktoś mi zostawił na automatycznej sekretarce, musiała być od niego. Od Erika Lindmana.

Stojący zegar wybił trzecią, przez okna w wykuszu wpadały promienie popołudniowego słońca. Natalie i Meijters czekali.

– Nie przedstawił się. Zostawił tylko krótką wiadomość. Ale po waszych artykułach wszystko stało się jasne.

– Jest pani tego pewna?

Frieda Stiernspetz przypatrywała się Natalie.

– Kochanie, jestem pewna, że do pani bez przerwy ktoś dzwoni. I że różni mężczyźni zostawiają pani wiadomości. Mnie zdarza się to niezmiernie rzadko. Poza tym ten człowiek już raz do mnie dzwonił. Rozpoznałam jego głos.

*

Pamiętała go, chociaż od tamtego czasu minęło już wiele lat, a połączenie było kiepskie.

– To było jakieś pół roku po odejściu Henrica. Był późny wieczór. Ten mężczyzna się nie przedstawił, przekazał mi tylko krótką, zwięzłą wiadomość. – Frieda Stiernspetz zamilkła na chwilę. Próbowała sobie przypomnieć jakiś szczegół. – Miałam wrażenie, że bardzo dokładnie zaplanował, co mi powie, jakby miał mało czasu. Oznajmił, że Henric był niewinny. – Nagle się roześmiała. – Oczywiście nie powiedział „Henric”, tylko „pani mąż”.

– Podał jakieś szczegóły? Powiedział, skąd o tym wie? – spytała Natalie. Była podniecona.

– Nie. Tylko że był niewinny i że chce, bym to wiedziała. Jak już mówiłam, sprawiał wrażenie, jakby się spieszył. A potem dodał jeszcze coś, coś bardzo dziwnego. „Chcę panią o coś spytać. Proszę się dobrze zastanowić, zanim pani odpowie”. Tak właśnie powiedział.

Ani Natalie, ani Meijtnens nie notowali. Po prostu siedzieli i czekali.

– Wtedy nagle rozmowa została przerwana. Zresztą cały czas na linii słyszałam trzaski. Byłam pewna, że dzwoni z zagranicy.

– A skąd pani wie, że teraz to też był on? – zdziwiła się Natalie.

– Zostawił mi wiadomość. Chciał wrócić do naszej rozmowy sprzed lat. Do tamtego przerwane połączenia, powiedział. I dodał, że zadzwoni znowu.

Meijtnens starał się połączyć ze sobą te dwa zdarzenia. A może trzy.

– Kiedy zadzwonił po raz pierwszy? To były lata siedemdziesiąte? Potrafi pani podać dokładniejszą datę?

– Dokładniejszą? – Frieda Stiernspetz spojrzała na niego zdziwiona. – Nie wiem, czy...

– W którym roku to było? Może pamięta pani porę roku, miesiąc. Bardzo by nam to pomogło.

Meijtnens podniecał się coraz bardziej.

– To było tak dawno temu. Pewnie wiosną 1974 roku, może

nawet latem...

Pokręciła głową. Nie mogła sobie przypomnieć. Natalie otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Meijtens ją uprzedził.

– Czy to mogło być w maju 1974 roku?

Frieda Stiernspetz przez chwilę przyglądała mu się uważnie.

– Niech no się zastanowię. Tak, to mogło być wtedy. To ma jakieś znaczenie? Meijtens skinął głową.

Pożegnali się i wyszli na ulicę. Szli w milczeniu. Od czasu do czasu któreś z nich coś rzucało, cicho. Nawet na siebie nie patrzyli. Można by pomyśleć, że wybrali się na zakupy i uzgadniają, co kupić. Ale nie chodziło o zakupy, tylko o coś znacznie ważniejszego. Meijtens próbował przypomnieć sobie, gdzie zostawił rower. Spieszył się do domu. Musiał sprawdzić kilka dat.

*

Frieda Stiernspetz patrzyła na nich z okna. Widziała, jak wymieniają kilka słów, a potem sympatyczny młody chłopak wsiadł na rower i odjechał, a elegancka młoda kobieta, którą znała z telewizji, przeszła na drugą stronę ulicy i ruszyła w stronę Sibyllegatan. Kiedy straciła ich z oczu, z bramy naprzeciwko wyłonił się mężczyzna. Rozpoznała go bez trudu. Zerknęła w dół i zobaczyła, jak przechodzi przez jezdnię.

Usiadła w fotelu i czekała na dzwonek. Zdziwiła się, kiedy zamiast dzwonka odezwał się telefon. Odebrała i usłyszała brzęk monety. Ktoś dzwonił z automatu.

– O co pytali? – usłyszała znajomy głos.

– Opowiedziałam im o rozmowie telefonicznej i o Henricu.

– Dlaczego przestali o tym pisać?

– Nie wiem.

– Interesowało ich coś szczególnego?

– Nie odniosłam takiego wrażenia.

Ten ktoś po drugiej stronie nie był zadowolony. Usłyszała mamrotanie. Westchnęła ciężko.

– Wolałabym się w to nie angażować. Nic dobrego z tego nie będzie.

Ktoś po drugiej stronie wyraził zrozumienie i obiecał więcej nie dzwonić, chyba że w ostateczności.

MEIJTENS CAŁKIEM ZAPOMNIAŁ o czasie. Nagle usłyszał warkot silnika. Jakiś samochód zatrzymał się pod domem. Uniósł głowę znad notatek i wyjrzał na ulicę. Zobaczył, jak Natalie wysiada z taksówki i wchodzi do bramy. Niech to szlag!

Na stole, na krzesłach, nawet na łóżku były porozkładane sterty papierów, na każdej z nich leżała kartka ze starannym opisem zawartości. Nie było gdzie usiąść. Zaczął zbierać papiery. Przełożył je z łóżka na parapet. Już nie były ułożone tematycznie, ale na to nie mógł nic poradzić.

– Przepraszam za bałagan – powiedział, wpuszczając ją.

Natalie wyslizgnęła się z płaszcza, powiodła wzrokiem po pokoju i usiadła na łóżku.

– W porządku – rzuciła.

Miała mokre włosy, wokół niej unosił się lekki zapach perfum. Ubrana była swobodnie, w zniszczone jeansy i czerwony T-shirt.

– Poczęstujesz mnie tą swoją lurą?

Meijtens zabrał się za parzenie herbaty w aneksie, a Natalie zaczęła mu opowiadać, do czego ostatnio doszła. Słuchał jej w milczeniu. Kiedy zaparzył herbatę, stał dłuższą chwilę i wyglądał przez okno.

– Myślisz, że nasza Królowa Lodu jest Tristanem? Pewne powiązania wydają się ciekawe.

Natalie wzięła filiżankę z herbatą w obie dłonie i powoli pokręciła głową.

– Nie wiem, co o tym myśleć.

– O czym mówisz? – spytał Meijtens, siadając na podłodze.

– Znalazłam artykuły, które wskazywały na Stiernspetza jako szpiega – zaczęła. – Pierwsza wzmianka ukazała się w artykule, a właściwie felietonie, który napisał Wilhelm Tell. Rozpuściłam wici wśród znajomych dziennikarzy. Podobno tego pseudoni-

mu używał Jan Sonnerby. Umarł dziesięć lat temu, zapewne zapił się na śmierć. – Wypiła łyk herbaty. – Ale przy okazji dowiedziałam się też różnych innych rzeczy. Sonnerby podobno chodził i opowiadał wszystkim dookoła, że jest zbyt leniwy, żeby pisać felietony. Podobno zlecał to kumplom. Jednym z nich okazał się były attaché prasowy w Londynie, który się nawet chwalił, że w felietonach Sonnerby’ego atakuje swoich wrogów. Drugim były dziennikarz „Stockholms-tidnigen”.

Meijtens uniósł brwi, a Natalie przytaknęła.

– Dobrze myślisz. Carl Wijkman regularnie dostarczał materiały Wilhelmowi Tellowi. Przejrzałam dokładnie kilka numerów i mogę je bezbłędnie wskazać. Złośliwe komentarze pod adresem polityków i przemysłowców, którzy, jak się domyślam, nadepnęli Wijkmanowi na odcisk. Ale podkreślam, że to tylko spekulacje.

– Skąd wiesz, że to on był autorem felietonu, w którym ogłoszono, że Stiernspetz jest szpiegiem?

– Oczywiście nie wiem tego na pewno, ale wszystko wydaje się zgadzać. Najpierw robi wszystko, żeby odsunąć Stiernspetza od przygotowań do konferencji, potem wkłęca do komisji swojego człowieka, Laurèna.

– Pewności nie mamy.

– Ale podejrzewamy, że tak właśnie było. Potem, niejako w podziękowaniu, sam zostaje dokooptowany do komitetu przygotowawczego. Ma wgląd we wszystko. Mógł słyszeć plotki o szpiegu, może nawet był w tej sprawie przesłuchiwany, może czuł, że służby depczą mu po piętach.

– To samo można powiedzieć o Terselius – wtrącił Meijtens.

Natalie zdawała się go nie słuchać. Ciągnęła dalej:

– Przede wszystkim musiał mieć kogoś, kto mu doniósł o tym, co się wydarzyło w jednej z naszych słynnych szkół z internatem.

Minęło kilka sekund, zanim Meijtens zrozumiał, co ma na myśli.

– Chodzi ci o Trefinerorden? Snobistyczny klub Wijkmana z Uppsali? Nie przesadzasz?

– Wszystko jest możliwe – ucięła Natalie. – Stiernspetz należał co prawda do starszego pokolenia, ale takie pikantne historie mają długie życie. Więc kiedy Wijkman odkrywa, że sieć zaczyna się zamykać, postanawia wykorzystać ostatnią szansę i skierować podejrzenie na kogoś, kto mógł zacząć się domyślać prawdy o Tristanie. No i wskazał na Stiernspetza.

– Ale nie mógł wiedzieć, że facet popełni samobójstwo – wtrącił Meijters.

– Pewnie nie, ale wiedział, że plotka podkopie jego pozycję i na pewno zmusi go do milczenia. Mam wrażenie, że Lindmana potraktowano bardzo podobnie.

Meijters oparł głowę o ścianę.

– Stąpamy po grząskim gruncie.

Natalie z hukiem odstawiała filiżankę.

– Myślisz, że nie zdaję sobie z tego sprawy? Twoje rozliczne „powiązania” też nie są jakoś szczególnie przekonujące. Do starszej pani dzwoni ktoś, kogo ona w ogóle nie zna, a ty wyciągasz z tego wnioski, że pani sędzia jest agentką KGB.

Oczywiście miała rację. Siedzieli w milczeniu i słuchali, jak zegar na kościelnej wieży wybija dziewiątą.

– Tylko nie nastawiaj wiadomości. Proszę.

Meijters spojrział na nią zdzwiony.

– Wiem, co dzisiaj będzie sensacją dnia – powiedziała cicho.

Opadła na łóżko i rozłożyła ręce.

– Oczyszczony z zarzutów przedsiębiorca budowlany wnosi o odszkodowanie od Telewizji Szwedzkiej. Jest szansa na polubowne załatwienie sprawy, pod warunkiem że autorka programu przeprosi pomówionego.

Minęło kilka sekund, zanim Meijters zrozumiał, o co jej chodzi.

– Masz na myśli tego przedsiębiorcę budowlanego z twojego reportażu?

Natalie wydała dziwny dźwięk, jakby jęk albo westchnienie.

– Przeprosiny – wymamrotała.

Meijters wstał i trochę niepewnym krokiem ruszył w stronę łóżka, na którym siedziała.

– Nie, proszę. Nie potrzebuję współczucia.

Poszedł więc do kuchni i nastawił wodę na herbatę.

– Jak się dowiedziałas?

– Zawsze się znajdzie ktoś, kto cię natychmiast poinformuje.

Leżała na łóżku i patrzyła w sufit. Meijters podszedł i okrył ją pledem w szkocką kratę. Na jej ustach pojawił się niepewny uśmiech.

– Wiesz, kiedy należy milczeć, Tobiasie. To rzadkie.

Zdjął papiery z jednego z krzesel, usiadł i zaczął przeglądać dokumenty. Natalie leżała na boku. Podpierała ręką brodę. Postanowił zostawić ją w spokoju.

– Tobiasie... – odezwała się po chwili.

Odwrócił się do niej. Czekał.

– Nie wolno nam się pomylić.

Powoli pokiwał głową. Natalie zamknęła oczy i położyła głowę na poduszce. Meijters sięgnął po swoje notatki, włączył komputer i zaczął pisać, żeby uporządkować myśli. Natalie zasnęła. Stukał w klawisze delikatnie, żeby jej nie obudzić.

Maj 1974: Rząd Albanii wysłała dużą delegację do Chin. Doktor Pecanin twierdzi, że Erik Lindman podczas pobytu w Pekinie znika na kilka godzin. To prawdopodobnie jedyne godziny, jakie spędził poza więzieniem, a potem aresztem domowym.

Maj 1974: Do Friedy Stiernspetz dzwoni nieznamy mężczyzna. Wiele wskazuje na to, że był nim Erik Lindman.

Odchylił się do tyłu, z rękami na karku. Dzięki pomocy Jakuba udało mu się potwierdzić, że Pecanin mówił prawdę. Albania rzeczywiście wysłała wówczas do Chin dużą oficjalną delegację. Próbowano ratować stosunki z Chinami i negocjować umowę handlową. Meijters zerknął na Natalie. Nadal spała. Leżała skulona, w pozycji płodowej, zasłaniała twarz dłońmi.

Czerwiec 1974: Sonia Terselius i Peter Laurèn wnoszą o rozwód do sądu rejonowego w Sztokholmie.

Nie podano powodu. Laurèn ożenił się ponownie dopiero

pięć lat później, a Terselius pozostała samotna. Tak więc przyczyną rozvodu raczej nie był nikt trzeci. Meijtns sięgnął po kolejny dokument i zaczął porównywać notatki.

Sierpień 1974: Sonia Terselius odchodzi z ministerstwa sprawiedliwości. Przyjmuje znacznie gorzej płatną posadę w sądzie apelacyjnym. Potem na krótko wraca do ministerstwa, za rządów partii mieszczańskich, ale nie zatrudnia się tam na stałe.

Spojrzał na monitor. Ile czasu Erik Lindman miał dla siebie w Chinach? Zdążył zadzwonić do kogoś jeszcze? Zwierzył się komuś ze swoich podejrzeń? Odnosił Tristana. I wiadomość dotarła do partyjnego jądra i kręgu skupionego wokół IB. Dlatego Laurèn wpadł w panikę? Może zrozumiał, że także on padł ofiarą Tristana, szwedzkiego szpiega wszechczasów.

Ale jeśli to Terselius była Tristanem, to dlaczego tak nagle zrezygnowała ze stanowiska w ministerstwie na rzecz kariery prawniczej? Kiedy pracowała w sądownictwie, nie była potrzebna Moskwie. A może pozwolono jej zachować wolność właśnie pod warunkiem, że odejdzie z polityki? By chronić Laurèna i innych, których przez lata oszukiwała? Może plotki, które Wijkman rozsiewał w felietonach w „Dookoła Szwecji”, nie miały chronić jego, tylko jego dawnego kumpla. Może także Wijkman był ofiarą Tristana?

Meijtns spędził na takich rozmyślaniach wiele godzin. Kiedy znów spojrzał na zegarek, dochodziło wpół do pierwszej. Natalie nadal spała skulona na łóżku. Okrył ją dokładniej kocem, dotknął ręką jej ramienia. Ku jego zdziwieniu wymamrotała coś pod nosem i cofnęła się pod ścianę.

Właściwie łóżko było wystarczająco szerokie, żeby pomieścić dwie osoby. Innego miejsca do spania w jego małym mieszkaniu nie było. Uderzyło go, jaka jest drobna i krucha. Zastanawiał się, co przed chwilą powiedziała, a przede wszystkim co powie, kiedy się obudzi. Uznał, że sytuacja jest wystarczająco skomplikowana. Poszukał dodatkowych poduszek i rozłożył je na podłodze. Było mu niewygodnie.

Niech cię diabli wezmą, Natalie, pomyślał i zasnął z uśmiechem na ustach.

*

Bertil Andersson podrapał się w brodę.

– Nadal nie mam dla ciebie żadnej wiadomości. Gdyby to ode mnie zależało, przedłużyłbym ci staż, ale Rydman wije się jak piskorz. Przyjdź w przyszłym tygodniu, porozmawiam z nim. Zostało ci jeszcze kilka miesięcy.

W redakcji aż huczało od plotek. Mówiono o dużych stratach i o tym, że zarząd coraz bardziej się niecierpliwi. Zmęczony wzrok Anderssona zdawał się te plotki potwierdzać. Ale Meijtens się nie niepokoił. Jego sytuacja finansowa ostatnio się poprawiła. Jedno z pism, dla których wcześniej pisał, ruszyło sumienie. Wypłacono mu zaległe honoraria za dwa artykuły. Przyjaciel z Možels Bar dostał dość nieoczekiwanie stypendium i zwrócił mu dług, o którym zdążył już dawno zapomnieć. Wszystko zaczynało się układać.

Kiedy wyszedł z gabinetu szefa, lekko utykał. Po źle przespanej nocy czuł się cały połamany. Natalie zniknęła bez słowa.

Na biurku zastał kartkę od Moniki. Ma natychmiast zadzwonić do niejakiego Jakoba Bena, z adnotacją: pilne.

Jakub odebrał już po pierwszym sygnale. Czyżby siedział i czekał na jego telefon? – zastanawiał się Meijtens.

Jego dawny mentor był bardzo poruszony.

– Zadzwonil! – krzyczał w słuchawkę. – Coś sobie przypomniał!

Minęło kilka sekund, zanim Meijtens zrozumiał, kogo ma na myśli.

– Chodzi ci o Sallinga?

Wcześniej uzgodnili, że Meijtens poda Sallingowi służbowy numer Jakuba. Dla zachowania pozorów, skoro w grę wchodził projekt naukowy. Jakub zgłosił go nawet niezadowolonemu sekretarzowi Instytutu.

– Oczywiście, że o Sallinga, a o kogo innego? – Jakub niemal dyszał w słuchawkę. Był tak podekscytowany, że z trudem łapał

oddech. – Rozmawialiśmy chwilę. Mam ci przekazać, że coś sobie przypomniał i chce z tobą rozmawiać!

Meijtens nie do końca podzielał jego entuzjazm.

– Może chodzić o jakiś drobny szczegół. Może chce, żebym spróbował jakiejś odmiany pomidorów. Albo opowie mi o kongresie pokoju w Mińsku w 1971 roku.

Jakub cmoknął z niezadowoleniem.

– Nie, nie, nic takiego. Powiedział, że przypomniał sobie, o czym był ten felieton. Dodał jeszcze, że jest pewien, że cię to zainteresuje. Powiedział, że ma wrażenie, że coś źle zrozumiałeś, i że chce ci to wyjaśnić.

Meijtens aż podskoczył na krześle.

– Chce się ze mną spotkać już? Teraz?

– Nie, powiedział, że najpierw chce porozmawiać z kimś, kogo ta sprawa dotyczy. Żeby się upewnić, że dobrze pamięta. Potem do ciebie zadzwoni. – Jakub zamilkł. – To ostatnie trochę mnie niepokoi – dodał po chwili, ale Meijtens ruszył już do drzwi.

NAJPIERW ZOBACZYŁ TŁUM zebrany przed domem Sallinga i karetkę pogotowia. Podświadomie zwolnił i zerknął na balkon na siódmym piętrze. Chociaż było to wysoko, nawet z ulicy można było dostrzec małą plantację pomidorów. Drzwi balkonowe były otwarte. Salling powinien być w domu. Kiedy Meijtns dotarł do zawrotki przed bramą, zobaczył dwóch funkcjonariuszy. Grzecznie, ale stanowczo prosili ciekawskich, żeby się rozeszli i przepuścili karetkę.

Meijtns wyjął legitymację prasową i pokazał ją jednemu z nich, młodemu mężczyźnie o krótko obciętych włosach i rozbieganych oczach.

– Proszę się rozejść. Zdarzył się wypadek – powiedział funkcjonariusz niezbyt władczo.

Meijtns znów pomachał mu przed nosem legitymacją i przedstawił się. Funkcjonariusz spojrział na legitymację, a potem na niego, jakby nigdy wcześniej nie miał do czynienia z dziennikarzem.

– Co się stało? – spytał Meijtns.

– Zdarzył się wypadek. Proszę się rozejść – powtórzył policjant, zerkając na legitymację.

Meijtns poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia.

– To ja go znalazłem. Byłem na miejscu pierwszy.

Meijtns odwrócił się i zobaczył niskiego mężczyznę z yorkiem na smyczy.

– Wypadł przez balkon. Ostrzegałem go! To ja go znalazłem – powiedział, podniecony i przestraszony zarazem.

– Przed czym go pan ostrzegał?

– Żeby się nie wspinał na te półki. Znaliśmy się. Był moim sąsiadem dwadzieścia lat.

– Jak on się nazywa, ten pana sąsiad? – spytał Meijtns, chociaż był pewien, że zna odpowiedź.

– Salling – odparł mężczyzna. Po brodzie pociekła mu ślina.
– Olof Salling. Pracuje w Muzeum Etnograficznym. Wykształcony człowiek, tylko trochę za dużo pił.

Meijters znów zwrócił się do policjanta.

– Możecie potwierdzić, że to Olof Salling? Upadek z tak wysokiego piętra...

Policjant zrobił krok w jego stronę i rozłożył ręce.

– Proszę odejść. Tu nie ma nic do oglądania. – Rzucił okiem na legitymację prasową i dodał: – Ani do opisywania.

– Dzwoniliście do niego? Do drzwi? – nie poddawał się Meijters. – Może jest tam jeszcze ktoś?

– Wszystko zostanie sprawdzone, proszę się nie obawiać. Ale teraz...

Meijters znów poczuł na ramieniu rękę mężczyzny z yorkiem.

– Chętnie udzielę panu wywiadu. Byłem przy tym, jak policja do niego pukała. Wskazałem im jego drzwi. Zaprowadziłem ich prosto do niego.

Meijters się odwrócił.

– Widział pan, jak policja puka do jego drzwi?

– Mieszkam naprzeciwko. Znam go. To znaczy znałem. No i jego tam nie było. Bo leżał tu, na ulicy. Mogę panu wszystko opowiedzieć.

– W jego mieszkaniu ktoś był?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie, nikt nie otworzył. Zresztą jego prawie nikt nie odwiedzał.

– Kiedy to się stało?

– Przed chwilą.

Meijters podziękował mu i ruszył do drzwi, kiedy nagle usłyszał za sobą szczekanie. Obejrzał się i znów zobaczył mężczyznę z yorkiem.

– Zostawię panu wizytówkę. Chętnie opowiem, jak go znalazłem. W końcu go przecież znałem.

Meijters podziękował mu jeszcze raz. Odwrócił się, ale słyszał, że mężczyzna dalej coś mówi. Coś w tym potoku słów zwróciło jego uwagę. Zatrzymał się.

– Co pan powiedział?

– To przez te pomidory. Musiał się potknąć, kiedy robił coś przy pomidorach. Ostrzegalem go, żeby uważał.

Meijtens czekał, aż skończy.

– Musiał go mieć w ręce, kiedy spadł. Widziałem to na własne oczy. Nie mogłem się pomylić. Obok niego leżał zmiążdżony pomidor, umazany krwią i w ogóle. Pewnie sięgał po niego i stracił równowagę.

Meijtens poczuł, że robi mu się niedobrze. Wziął się w garść, ale minęło kilka sekund, zanim odzyskał kontrolę nad głosem.

– Proszę tu zostać. Zaraz wrócę i wtedy porozmawiamy.

Zostawił mężczyznę z pieskiem, z zadowoleniem kiwającego głową.

Myślał tylko o jednym. O zmiążdżonym pomidorze.

Trzymam go dla wyjątkowego gościa.

*

Ruszył biegiem na siódme piętro. Nasłuchiwał windy, ale wokół panowała absolutna cisza. Zastanawiał się, czy Salling w chwili wypadku był w domu sam, czy może jakaś pomocna dłoń pchnęła go, kiedy sięgał po pomidor. Chce najpierw porozmawiać z kimś, kogo ta sprawa dotyczy.

Kiedy zbliżał się do siódmego piętra, zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Wokół nadal panowała cisza. Pewnie większość mieszkańców od razu zeszła na dół. Ludzie, którzy tu mieszkali, dobrze się znali. Jeśli Tristan rzeczywiście odwiedził Sallinga, pewnie uznał, że może spokojnie zostać jeszcze chwilę. Przeczekać największe zamieszanie, a przy okazji sprawdzić, czy nie należy czegoś usunąć z prywatnego archiwum Sallinga. Mógł chcieć wykorzystać szansę.

Meijtens podszedł do drewnianych drzwi i przyłożył do nich ucho. Nic. Zaczął się zastanawiać, ile czasu musi minąć, zanim policja przeszuka mieszkanie ofiary. Z pewnością kilka godzin. Nikt przecież nie podejrzewa, że doszło do przestępstwa. Ale jednak musiał zachować ostrożność. Nie chciał się narażać na spotkanie z przedstawicielem władzy i musieć tłumaczyć, co robi w mieszkaniu Sallinga. A może powinien się skontaktować

z policją? Wiedział, że już dawno przekroczył wyznaczone przez Rydmana granice, a włączenie do sprawy policji na pewno mu nie pomoże. Musi po prostu jak najszybciej zniknąć, tak dyskretnie, jak to możliwe.

Nagle usłyszał coś zza drzwi. Ktoś otworzył szafę, a potem ciągnął coś po podłodze. Po chwili znów usłyszał jakieś dźwięki. Tym razem nie miał już żadnych wątpliwości. Słyszał wyraźnie, jak uderzają o siebie drewniane kulki, z których zrobiono zasłonkę oddzielającą kuchnię od pokoju. Był pewien, że w mieszkaniu Sallinga ktoś jest. Tym kimś musiał być Tristan.

Nie mógł się oderwać od drzwi. Zamiast odejść, kucnął i przez szparę na listy ostrożnie zajrzał do środka. Usłyszał kroki. Ktoś chodził po mieszkaniu i rozmawiał. Nagle doszedł go jeszcze inny dźwięk, tym razem bliżej drzwi. Czyżby w mieszkaniu były dwie osoby?

A potem usłyszał coś, co sprawiło, że na chwilę zrobiło mu się czarno przed oczami.

– Dobrze, spróbuję złapać tego Meijtensa – usłyszał zza drzwi głos mężczyzny.

Z głębi mieszkania ktoś mu odpowiedział, ale nie usłyszał co.

Wstał i wstrzymał oddech. Bezszelestnie zszedł po schodach i zatrzymał się piętro niżej. Musiał wszystko przemyśleć. Nie rozpoznał bliższego głosu, ale ten, który dobiegał z głębi mieszkania, brzmiał znajomo.

Nagle usłyszał, jak drzwi mieszkania Sallinga się otwierają. Ktoś podszedł do windy i wcisnął guzik, a potem zaczął cicho gwizdać. Meijtens zszedł pół piętra niżej, żeby pasażer windy go nie widział. Zamierzał zaczekać, aż winda zjedzie na dół. Potem wróci do domu i zacznie się zastanawiać, co, do diabła, ma teraz zrobić.

Kiedy winda ruszyła na dół, usłyszał, jak drzwi mieszkania Sallinga znów się otwierają. Ktoś zaklął, pewnie dlatego, że winda właśnie odjechała, i nie czekając, ruszył schodami na parter. Meijtens pomyślał, że odległość jest bezpieczna. Nie musiał przyspieszać kroku, zwłaszcza że nie chciał się znaleźć na dole przed windą. Kiedy dotarł do pierwszego piętra, stanął i zaczął nasłuchiwać. Winda zjechała na parter i zatrzymała się.

Usłyszał, że drzwi się otwierają, wstrzymał oddech. Wychylił się lekko i zobaczył fruujące poły trencza. Ktoś, mężczyzna, szybko ruszył do drzwi. Kroki na schodach zaczęły się niebezpiecznie zbliżać. Ostrożnie ruszył na dół. Tak, dobrze pamiętał. Schody prowadziły dalej w dół, do piwnic. Spojrzał przez ramię i najciszej, jak potrafił, ruszył biegiem. Drzwi do piwnicy były zamknięte, ale obok stała sterta pustych kartonów, wystarczająco duża, żeby mógł się ukryć i zaczekać, aż mężczyźni, którzy byli w mieszkaniu Sallinga, się oddalą.

Usłyszał ciężkie kroki, na parterze. Nagle się zatrzymały. Cisza. Podejrzanie długa cisza. A może tylko tak mu się zdawało? W końcu usłyszał, jak ten ktoś wychodzi.

Nie minęło pół minuty, a drzwi znów się otworzyły. Usłyszał głosy. Dwóch mężczyzn coś do siebie szeptało. I wtedy doszedł go jeszcze inny głos, z ulicy:

– Miał zrobić ze mną wywiad! Jak długo można czekać? To...

Drzwi się zamknęły i zapadła cisza.

Dwaj nieznani mężczyźni stali chwilę na parterze. W milczeniu. Meijtns pomyślał, że może rozmawiają na migi. Potem usłyszał ciche, ostrożne kroki na schodach prowadzących do piwnicy. Chwycił za klamkę, chociaż wiedział, że drzwi są zamknięte. Światło nadal było zgaszone. Ledwie widział sylwetkę mężczyzny w trenczu, tego, który wysiadł z windy. Czyżby trzymał w ręku broń? Po chwili zobaczył drugiego. Schodził na dół. Był wysoki, szedł wyprostowany, jak wojskowy.

– Bardzo mi miło – powitał go inspektor Tilas, zapalając światło. – Widzę, że redaktor Meijtns już czeka, żeby nam wszystko opowiedzieć.

*

Natalie postawiła na tacy dzbanek z herbatą, dżem z fig, sucharki i kubek, pamiątkę z Londynu. Potem zaniósła wszystko do salonu i postawiła na stoliku obok fotela. Otworzyła okno i zaczerpnęła powietrza. Liście wina na fasadzie domu obok zrobiły się już czerwone. Siąpił deszcz.

Zbliżała się siódma, a ona nadal nie miała żadnych

wiadomości od Meijtensa. Była trochę zdziwiona, ale Meijtens był dość szczegółny. Przypomniała sobie, jak znalazła go rano na podłodze obok łóżka. Nie usłyszała, co mu powiedziała? A może inaczej to zrozumiał? Pomyślała, że nie powinna sobie za wiele wyobrażać. Nalała do kubka herbaty i uśmiechnęła się sama do siebie.

Zacząła gryźć sucharki. Podstawiła talerzyk pod brodę, a potem starła z kącików ust resztki dżemu. Otrzeпаła dłonie z okruchów i sięgnęła po kasetę. „Wywiad z Johanem Roothem”, napisał Meijtens swoim nieco niezadarnym pismem na przyklejonej do kasety karteczce. Jak tylko opowiedział jej o rozmowie z Roothem, wiedziała, że chce jej posłuchać. Pragnęła poznać wszystkie szczegóły opowieści starego rewolucjonisty. Mogły okazać się pomocne, szczególnie to, co mówił o Wijkmanie i Terselius.

Był też jeszcze inny powód. Musiała, aczkolwiek niechętnie, przyznać, że Meijtens wykonał kawał dobrej roboty. Była pełna podziwu, że udało mu się tyle ze starszego pana wyciągnąć. Chciała to usłyszeć na własne uszy.

Włączyła kasetę i zapadła się w fotelu. Popijała herbatę i słuchała. Nagranie pochłonęło ją całkowicie, do tego stopnia, że kiedy się skończyło, siedziała jeszcze dłuższą chwilę bez ruchu i patrzyła przed siebie pustym wzrokiem. To było coś naprawdę wyjątkowego. Nie do pojęcia. Cofnęła taśmę i sięgnęła po notes. Włączyła magnetofon i słuchając jeszcze raz, zaczęła notować.

Stwierdziła, że jednak miała rację. Tak jak sądziła, wywiad nie był popisem sztuki dziennikarskiej. Nie dlatego, że Meijtens nie był zdolny. W tym przypadku akurat w ogóle nie musiał się wysilać. Rooth z własnej woli, bez żadnej zachęty opowiedział mu wszystko o Carlu Wijkmanie, Soni Terselius i Eriku Lindmanie. A nawet więcej.

Przypomniało jej się coś, co, jak sądziła, całkowicie wyparła ze świadomości. Miała wtedy piętnaście lat. Została sama w wielkiej rodzinnej willi w Saltsjöbaden, dokąd, mimo próśb i zakazów rodziców zaprosiła młodego mężczyznę, pod każdym względem nieodpowiedniego. Wypili trochę za dużo, flirtowali,

nie całkiem niewinnie, a potem postanowili wypłynąć wielką łodzią motorową jej ojca. Ale rejs nie trwał długo. Kiedy próbowali przycumować w niewielkiej przystani, młody mężczyzna, zamroczony alkoholem, bez żeglarskiego doświadczenia, wbił łódź w cumującą przy przystani żaglówkę i wybił dziurę w burcie.

Zeszli na ląd, a młody mężczyzna okazał się znacznie mniej odpowiedzialny, niż sądziła. Poszedł sobie, belkocząc coś. Zostawił ją samą.

Wracała do domu dobrą godzinę. Już na progu spotkała zdenerwowanych rodziców. Kiedy wytrzeźwiała, natychmiast ich przeprosiła. Była zdruzgotana. Tak, odwiedził ją znajomy. Tak, zauważyła, że zostawił w holu kurtkę. Owszem, wypili za dużo. W tym momencie się rozplakała. Szlochała, niepokieszona. Pojechali do miasta, chociaż wiedziała, że nie wolno jej tego robić. Spacerowali po Kungsträdgården. Miał ze sobą butelkę wódki, pili oboje. Kiedy się zorientowała, że sytuacja wymyka jej się spod kontroli, po prostu uciekła. W przerwach między atakami histerycznego płaczu wyrażała skruchę i obiecywała poprawę.

Wtedy matka, która zwykle raczej nie okazywała przesadnej czułości, objęła ją i zaczęła pocieszać. Ojciec cały czas zachowywał spokój. W pewnym momencie powiedział, że stało się coś jeszcze. Kiedy dom stał pusty, jakiś łobuz ukradł łódź. Znalaziono ją rozbitą przy przystani niedaleko domu. Natalie znów zaczęła szlochać. Gdyby została w domu, na pewno nic by się nie stało. Ojciec zapewnił ją, że to nie jej wina. Ale musi obiecać, że nigdy więcej nie upije się do nieprzytomności i nigdy już nie spotka się z tym chłopakiem. Mogła im to spokojnie obiecać. Bo godzinę wcześniej dokładnie to samo solennie obiecała samej sobie. Cała ta historia nauczyła ją jeszcze jednego. Przekonała się, że jeśli się chce coś ukryć, należy udawać, że szczerze wyznaje się wszystkie swoje przewinienia.

Uśmiechnęła się na wspomnienie tamtego zdarzenia.

– Mam wrażenie, że zrobiłeś dokładnie to samo, Johanie Rooth – powiedziała głośno.

BYŁ TO NORMALNY biurowy pokój. Meijters nie bardzo wiedział, czego się spodziewał. Pokoju przesłuchań bez okien? Z lampą świecącą mu w twarz?

Sprawiał wrażenie rzadko używanego. Biurko pokrywała cienka warstwa kurzu, półki były puste, nie było telefonu. Za to na stole stał magnetofon. Właściwie nie było to formalne przesłuchanie. Tak mu powiedziano.

Tilas włączył magnetofon.

– 30 października 1990 roku, godzina szesnasta trzydzieści. Rozmowa z Tobiasem Meijtensem – powiedział do mikrofonu.

Odchylił się do tyłu i mrużąc oczy spojrzał na Meijtersa.

– Zaczniemy od początku. Co pan robił na klatce schodowej bloku, w którym mieszkał Olof Salling?

– Jak już mówiłem, chciałem z nim porozmawiać o ruchach lewicowych w latach sześćdziesiątych. Skontaktował się ze mną, chciał mi coś przekazać. Podobno coś ciekawego – powiedział Meijters, lekko wzruszając ramionami.

Tilas wyjął notes, na którym nieco chwiejnym, staromodnym pismem napisano: „Zadzwoń do Tobiasa Meijtersa”. Meijters przyjął, że to notes Sallinga. Zrozumiał, dlaczego policji zależało na skontaktowaniu się z nim.

– Rozmawiał pan z nim wcześniej?

Meijters słyszał, jak w magnetofonie cicho obraca się taśma.

– Kilka dni temu. Już wtedy zapowiedział, że będzie coś dla mnie miał. Potem zostawił mi wiadomość – dodał.

Zawahał się – i to był błąd. Czuł to. Widział, jak Tilas próbuje powściągnąć uśmiech.

– Rozmawiał pan z funkcjonariuszem i z sąsiadem Sallinga. Obaj powiedzieli panu, że zdarzył się wypadek. A mimo to poszedł pan na górę. Dlaczego?

– Chciałem się upewnić. Postanowiłem zadzwonić do drzwi i

sprawdzić.

Tilas pochylił się do przodu i złożył dłonie.

– Więc dlaczego pan tego nie zrobił? Dlaczego pan nie zadzwonił?

Meijtens zwilżył wargi. Doskonale wiedział, że to wątpliwy punkt jego opowieści. Zastanawiał się, jak się wytłumaczyć, nie mówiąc za dużo.

– Odniosłem wrażenie, że słyszę jakieś głosy.

– Słyszał pan głosy? – zapytał Tilas z sarkazmem.

– Uznałem, że byłoby to nierozsądne, że powinienem zaczekać, aż zjawi się policja.

– A ja mam wrażenie, że pan wręcz nie chciał rozmawiać z policją. Kontaktuje się pan z nami tylko wtedy, gdy z jakiegoś powodu to panu odpowiada.

Meijtens pokręcił głową. Tilas wskazał na magnetofon, Meijtens pochylił się demonstracyjnie nad stołem i patrząc na Tilasa, powiedział prosto do mikrofonu:

– Nie, nie próbowałem unikać kontaktu z policją.

– A potem postanowił pan się schować w piwnicy – bardziej stwierdził, niż spytał inspektor.

Meijtens w napięciu czekał na kolejne pytanie. Ale ku jego zdziwieniu Tilas milczał. Siedział i przyglądał się swoim paznokciom. Jakby go znudziły jego oczywiste kłamstwa. Milczenie się przedłużało. Meijtens zaczął się zastanawiać, co w takich wypadkach robi się z taśmą. Czy technicy wycinają ciszę?

– Co łączyło Olofa Sallinga z Erikiem Lindmanem? – spytał w końcu Tilas. W jego głosie pojawiła się czujność, chociaż nadal przyglądał się swoim paznokciom.

Co on wie? – zaczął się zastanawiać Meijtens. Myśli kłębiły mu się w głowie.

– Mam wrażenie – zaczął, starając się, żeby jego głos brzmiał obojętnie – że w latach sześćdziesiątych byli członkami tej samej organizacji.

To była prawda, chociaż nie do końca. Meijtens czekał. Tilas zachował kamienną twarz.

– Byli członkami Veritasu, organizacji studenckiej, lekko

lewicującej – dodał.

Tilas powoli pokiwał głową.

– Byli członkami tej samej organizacji – powtórzył beznamietnie. – Organizacji studenckiej, lekko lewicującej.

Przez chwilę inspektor znów mu się przyglądał, a potem ku jego zdziwieniu nachylił się i położył dłoń na magnetofonie.

– Jest godzina szesnasta czterdzieści osiem, rozmowa z Tobiasem Meijtensem została zakończona.

Wyłączył urządzenie i zamyślony spojrzał na Meijtensa.

– Naprawdę nie ma pan nam nic do powiedzenia?

Meijtens pokręcił głową.

Nagle oczy inspektora zrobiły się wąskie jak szparki. Mięśnie przy skroniach zaczęły mu lekko drgać.

– Jeśli sądzisz, że będziesz mógł tak dreptać w kółko w nieskończoność, to się cholernie mylisz!

Kompletnie zaskoczony Meijtens zaczął nieśmiało protestować.

– Zamknij się! – ryknął Tilas. – Zamknij się i zacznij w końcu słuchać! Za każdym razem, kiedy trafiamy na kolejnego zamordowanego bolszewika, na jego ciele znajduję twoje odciski palców albo twoją wizytówkę w kieszeni ofiary, albo ciebie krążącego po miejscu zbrodni. I oczywiście nigdy nie masz mi nic do powiedzenia. Ale kiedy zaczynasz się ukrywać na miejscu zbrodni, zaczyna to wyglądać naprawdę źle.

Meijtens uznał, że inspektor przesadził. Wyjaśnił mu, że nie ma obowiązku nic mu mówić. Zwrócił za to uwagę na określenie, którego Tilas użył.

– Zamordowanego? Sądzicie, że Erik Lindman i Olof Salling zostali zamordowani?

Tilas odwrócił wzrok. Pytanie najwyraźniej wytrąciło go z równowagi.

– Tego nie powiedziałem.

– Powiedział pan, że...

– Wszystkie te zdarzenia zostały uznane za nieszczęśliwe wypadki – przerwał mu Tilas.

Meijtens postanowił nie ciągnąć tematu. Ale zastanowiła go jeszcze jedna rzecz. Tilas wspomniał o wizytówce. Nie dał

Sallingowi wizytówki. Kogo więc Tilas mógł mieć na myśli.

– Chce pan powiedzieć, że ten bezdomny został przejechany? Sven Emanuel? Ale on nie był... bolszewikiem.

Tilas patrzył na niego. Był wściekły. Meijters domyślił się, że inspektor najwyraźniej powiedział więcej, niż zamierzał, i był na siebie zły.

– Możesz już iść. Tylko nie myśl sobie, że ci odpuszczę. Wiem, że nie mówisz nam wszystkiego. Zadzwońię do Bertila i spytam, co wy wyprawiacie – wysyczał przez zęby.

Meijters poczuł na twarzy krople śliny.

Tilas ruchem głowy wskazał mu drzwi.

– Któryś z funkcjonariuszy odprowadzi cię do wyjścia.

Meijters wstał. Wiedział, że to się dobrze nie skończy. Kiedy oparł się dłońmi o stół, poczuł, że ma zdrętwiałe palce. Ruszył do drzwi i nagle znów usłyszał głos Tilasa:

– Czy Salling i Lindman znali się z Uppsali?

Inspektor mówił już spokojniej.

– Nie – odpowiedział Meijters. – Lindman studiował na uniwersytecie w Uppsali, a Salling w Sztokholmie.

– Wiesz, z kim Lindman spotykał się w Uppsali?

– Nie do końca, ale rozmawiałem z niektórymi z jego dawnych kumpi – powiedział.

Czekał w napięciu na kolejne pytanie, ale Tilas pograżył się już we własnych myślach i chyba nawet nie zauważył, że on wciąż jeszcze jest w pokoju.

*

Tilas przewrócił na drugą stronę smażące się na patelni krążki parówkowej kielbasy. Potem wyjął słoik skanskiej musztardy i położył kapkę na każdym krążku. Wyrównał je nożem i sięgnął po talerz. Położył na nim trzy zimne ziemniaki, które wyjął z lodówki. Kiedy plasterki kielbasy się usmażyły, przełożył je łąpatką na talerz. Wyjął z szafki szklankę i puszkę mocnego piwa. Zamknął nogą drzwi od lodówki i ruszył ze wszystkim do pokoju.

Był to jego stały rytuał. Odprawiał go co wieczór już od dziesięciu lat i musiał przyznać, że w ten sposób wyjątkowo

skutecznie oszczędzał czas i miał mniej zmywania.

Do rytuału należały także wieczorne wiadomości telewizyjne. Kiedy otwierał puszkę z piwem, rozległ się znajomy dźwięk rozpoczynający program. Południowa Afryka, kolejne sankcje wobec Iraku, podejrzane powiązania banków z towarzystwami ubezpieczeniowymi. Włożył do ust kolejny kawałek kiełbasy. Oglądał wiadomości raczej dla zabicia czasu niż z prawdziwym zainteresowaniem. Jak tylko zjadł, wyłączył telewizor. Dolał do szklanki piwa i odchylił się do tyłu. Sięgnął po portfel i coś z niego wyjął. Coś, co na pewno nie powinno się tam znajdować. Powinno zostać w mieszkaniu Sallinga albo w komisariacie. Ale cóż, w końcu to tylko album ze zdjęciami, a technicy już wcześniej sprawdzili, czy nie ma na nim odcisków palców. Nie było, poza odciskami palców Sallinga.

Odsunął talerz i położył przed sobą album. Cienki, liczący zaledwie kilkanaście stron. Czarno-białe zdjęcia młodych, poważnych ludzi. Tytuły wskazywały na to, że każda strona była poświęcona innemu wydarzeniu. Marsz przeciwko broni atomowej, Anglia, 1960. Szkoła letnia w Kijowie, 1962. I tak dalej.

Wszystkie zdjęcia ilustrowały lewicowe wydarzenia polityczne. To by się zgadzało z tematyką książek, które widział na półkach w mieszkaniu Sallinga. Niestety zdjęcia nic mu nie mówiły.

Dotarł do stron, na których album był otwarty, kiedy go znalazł. Kongres młodzieży w Bukareszcie, 1963. Jedno ze zdjęć natychmiast przykuło jego uwagę. Młody mężczyzna w garniturze przemawiał na mównicy. Wysoki, postawny, jasne włosy miał zaczesane do tyłu. Rysy wydały mu się znajome. Zerknął na podpis pod zdjęciem: Wystąpienie Erika Lindmana na plenum.

Tilas poczuł, jak płoną mu policzki. Ze złości. To oczywiście nie był przypadek, że Meijdens szukał kontaktu z Sallingiem. Pisząc o Eriku Lindmanie, musiał wpaść na trop czegoś większego. I najwyraźniej był przekonany, że uda mu się coś zataić. Niestety jego, Tilasa, pomysł, żeby wykorzystać młodego dziennikarza do własnych celów, okazał się nietrafiony.

Meijtens go zawiódł. Okazał się całkowicie bezużyteczny. Najwyraźniej niczego się nie domyślił. Przed południem rozmawiał z Anderssonem. Zadał mu kilka pytań, którymi najwyraźniej go zaskoczył. Czym oni się zajmują w tej redakcji?

Znów zerknął na otwarty album Sallinga. Zauważył, że brakuje jednego zdjęcia. Na środku strony pozostał ciemny prostokąt. Ktoś usunął fotografię, ale miejsce po niej wyraźnie odcinało się od wyblakłej strony. Dotknął palcem śladów po taśmie klejącej, w rogach. Nic. Ale kiedy dotykał ich w mieszkaniu Sallinga, czuł wyraźnie, że się kleją. Ktoś musiał usunąć zdjęcie dosłownie chwilę wcześniej. Kiedy przeszukiwali mieszkanie, nie znaleźli żadnego zdjęcia luzem. Założył więc, że wziął je ktoś, kto jako ostatni odwiedził zmarłego pracownika muzeum.

Przeczytał podpis pod zdjęciem: Trio z Uppsali otwiera butelkę wina. Kilka niewinnych słów, a jednak ktoś uznał, że należy zdjęcie usunąć. A może nawet z tego powodu kogoś zabić?

Dopił piwo. Coś musiało się za tym kryć, ale kiedy spytał Meijtensa o znajomych Lindmana z Uppsali, ten sprawiał wrażenie autentycznie zdziwionego. Tilas nie sądził, żeby widział to zdjęcie.

Wyszedł do kuchni i otworzył kolejną puszkę piwa.

– Tak więc nadal jestem o krok przed tobą – wymruczał pod nosem z niejakim zadowoleniem.

Z POKOJU ZARZĄDU na ostatnim piętrze rozciągał się oszałamiający widok na Riddarfjärden i cały Sztokholm. Może to dlatego właśnie tu wręcza się pracownikom wypowiedzenia, pomyślał Meijtens. Żeby nieszczęśnicy mieli przynajmniej na co popatrzeć.

Kobieta z działu personalnego siedziała i w zamyśleniu obracała w rękę pióro. Meijtens był pewien, że jeszcze nigdy jej nie widział. Zapamiętałby te ufarbowane na niebiesko włosy.

Andersson z trudem znajdował słowa. Jakby próbował dać wyraz tłumionej złości, której tak naprawdę nie czuł. Widać było, że sytuacja jest dla niego bardzo niewygodna.

– Uzgodniliśmy, że zawieszamy sprawę Lindmana. Żadnych wywiadów, żadnych poszukiwań, nic bez naszej zgody, mojej i Sverkera – powiedział. Po chwili ciągnął dalej: – Zorganizowaliśmy ci spotkanie z wysoko postawionym źródłem. Żebyś mógł się przekonać, że twoje teorie są bezpodstawne. Ale ty dalej robiłeś swoje. Nie informując mnie o niczym.

Meijtens pomyślał, że przynajmniej jedno mu się udało: nie wciągnął w to Natalie. Kiedy Andersson wezwał go do siebie, przyznał się, że spotkał się z Sallingiem. Tak, zdawał sobie sprawę, że to wbrew ustaleniom. Po tym jak redaktor naczelny rozmawiał z Tilasem, nie było sensu zaprzeczać. Na szczęście nikt go nie zapytał o Natalie.

Andersson perorował dalej. Mówił coś o polityce redakcji, ale Meijtens już go nie słuchał. Jeszcze zanim zaczęli, wiedział, że zostanie zwolniony.

Za każdym razem, kiedy trafiamy na zamordowanego bolszewika, powiedział Tilas. To nie mogło być zwykłe przejęzyczenie, policja najwyraźniej miała swoje podejrzenia. Meijtens zastanawiał się, ile wiedzą.

– Pewnie się domyślasz, że nie dałeś nam wyboru – zakończył Andersson.

Zapanowała konsternacja. Nie bardzo było wiadomo, kto ma zabrać głos. Scenariusz z pewnością został opracowany wcześniej, ale, jak widać, nie dość starannie. Andersson zaczął wymownie spoglądać na kobietę z działu kadr. W końcu się ocknęła. Sprawiała wrażenie uroczo roztrzepanej miłej cioteczki.

– Cięcia zawsze są przykre, ale mamy nadzieję, że nasza propozycja zrekompensuje panu tę przykrą wiadomość.

Mówiła, jakby nie słyszała tego, co przed chwilą powiedział Andersson, jakby uczestniczyła w zupełnie innym spotkaniu. Meijters uznał, że doskonale to zaaranżowali. Po reprimendzie Anderssona okaże się, że tak naprawdę zostanie zwolniony z całkiem innych powodów.

Kobieta wyłożyła mu zasady obowiązujące wszystkich zatrudnionych, a w szczególności stażystów. Brzmiało to tak, jakby mu przedstawiała ofertę zagranicznej wycieczki, a nie zwalniała go z pracy.

Właściwie sprawa była prosta. Gazeta przynosi straty. W takiej sytuacji zwolnienie stażysty wydaje się czymś naturalnym. Niepotrzebne było żadne tłumaczenie. Prawdę mówiąc był pełen podziwu, że postanowiono załatwić sprawę tak elegancko.

– Zwykle w podobnych przypadkach – ciągnęła kobieta, kiedy już zapoznała go z całym regulaminem obowiązującym stażystę – wypłacamy równowartość miesięcznych zarobków. Tak mówi nasz regulamin – powtórzyła. – Ale Bertil i Sverker doszli do wniosku, że otrzyma pan nieco hojniejszą rekompensatę, w wysokości dwumiesięcznych zarobków.

Skończyła i spojrzała na szefa działu wiadomości. W gabinecie zapadła cisza. Zdawała się trwać wieczność, chociaż w rzeczywistości było to zapewne kilka sekund. Bertil Andersson milczał, wyglądał na zmęczonego. Pewnie nawet on uznał wystąpienie za przesadnie długie, a może miał już dość tej gry. Mimo to szybko wziął się w garść.

– Wypłacimy ci dwumiesięczne wynagrodzenie – stwierdził

rzeczowo. – Pod warunkiem że teraz spokojnie, nie robiąc scen, zejdziesz na dół, zbierzesz swoje klamoty i po prostu znikniesz. Rydman nie chce cię tu więcej widzieć.

Meijtens skinął głową. Zdawał sobie sprawę, że musi załatwić różne formalności, zebrać kilka podpisów i tak dalej. Mógł oczywiście zwrócić uwagę na absurdalność sytuacji, w której wypłaca mu się dwie pensje, motywując jednocześnie jego zwolnienie koniecznymi oszczędnościami. Ale postanowił machnąć na to ręką. Dwie miesięczne pensje powinny, biorąc pod uwagę niski czynsz i jego skromne przyzwyczajenia, starczyć mu na co najmniej cztery miesiące. A nawet więcej, jeśli znów zacznie dorabiać, jeżdżąc w nocy taksówką.

Kobieta z kadr życzyła mu powodzenia, co w tej sytuacji zabrzmiało dość niezręcznie. Andersson się zachnął.

– Meijtens, do diabła. Po co to robiłeś? To było głupie i niepotrzebne.

Głupie – może, ale potrzebne, pomyślał Meijtens, chociaż nie zamierzał o tym z nikim dyskutować.

– Co zamierzasz robić – spytał Andersson.

– Nie mam pojęcia.

Andersson spojrzał na niego z niedowierzaniem. Kiedy Meijtens zaczął się zbierać do wyjścia, ledwie zauważalnie skinął głową.

*

W windzie panowała przyjemna cisza i Meijtens na chwilę zamknął oczy. A więc miał to już za sobą. Poczuł wręcz ulgę, a nawet coś w rodzaju zadowolenia. Chociaż musiał przyznać, że nie był wobec Anderssona do końca szczery, bo doskonale wiedział, czym zamierza się w najbliższym czasie zająć.

Kiedy drzwi się rozsunęły, zobaczył Natalie. Siedziała na jednym z wysokich stołków przy recepcji. Czyżby na niego czekała?

– I co?

– A jak myślisz? – odpowiedział, odwracając się w jej stronę.

– Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że cię zwolnili?

Dał jej znak, że lepiej będzie, jeśli znajdą jakieś spokojniejsze

miejsce. Stała obok niego, tak blisko, że miał wrażenie, że dotyka go nogami. Czuł zapach jej perfum i jej ciepły oddech na szyi. W krótkich zdaniach zdał jej sprawę z tego, co się stało na ostatnim piętrze. O tym, że przesłuchał go Tilas, opowiedział jej już wcześniej.

Natalie zakłęła i przeciągnęła ręką po włosach.

– Ty możesz się czuć bezpieczna. Nie podejrzewają, że jesteś w to zamieszana. I niech tak zostanie – dodał.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie, którego do końca nie zrozumiała.

– Mówię serio. Nie zrób jakiegoś głupstwa. Bez sensu by było, gdyby i ciebie wyrzucili. – Położył rękę na jej ramieniu i się roześmiał. – Właściwie to nie jest źle. Będę teraz mógł zajmować się Tristanem na pełen etat i jeszcze będą mi za to płacić.

Natalie roześmiała się.

– Co zamierzasz... – zaczęła, ale Meijters jej przerwał.

– Bertil kazał mi spakować rzeczy i wyjść, a ja nie mam ochoty na kolejne spotkanie, ani z nim, ani z Rydmanem.

Podszedł do biurka i spakował notesy do torby. Nagle zdał sobie sprawę, że nie miał w pracy żadnych rzeczy osobistych, żadnych zdjęć Hanny, pamiętek, nic. Odwrócił się do Natalie.

– Spadam, ale się odezwę – wyszeptał.

Dogoniła go, zanim dotarł do drzwi.

– Odprowadzę cię, bo jest coś, o co chcę cię spytać – powiedziała.

Ruszyli w milczeniu przez hol, wyszli na ulicę. Meijters zauważył, że po raz pierwszy od wielu dni pokazało się słońce.

– Co będziesz teraz robił? – spytała.

– To, co dotychczas. Muszę się dowiedzieć czegoś więcej o Wijkmanie i Terselius. I o ich ewentualnych powiązaniach z Tristanem.

– To znaczy?

– Prześlę ich kariery, sprawdzę w archiwach, a potem będę próbował dyskretnie wypytać różnych ludzi o pewne sprawy. Tristan musiał zostawić jakieś ślady, jeśli nie w Komitecie helsińskim, to gdzie indziej.

Natalie zamyśliła się. Po chwili pokręciła głową.

– Nie sądzę. Jestem raczej pewna, że kiedy Tristan podjął ostateczną decyzję, zadbał, żeby nie popełnić żadnego błędu. Erik Lindman siedział w więzieniu gdzieś w Albanii, a większość informacji zdobywał dzięki tak zwanym pożytecznym idiotom. To nie było coś, do czego sam miał dostęp. Dlatego w archiwach raczej nie znajdziesz nic istotnego.

– Może, ale chcę je przejrzeć. Musimy mieć konkretne dowody, nie tylko poszlaki.

Natalie pokiwała głową. Jej oczy wydawały się ciemniejsze niż zwykle, ale była to zapewne tylko gra świateł.

– Jest jedna rzecz, którą na pewno będę chciał sprawdzić – odezwał się Meijters.

Opowiedział jej o rozmowie z Tilasem. O zamordowanych bolszewikach i o tym, że Sven Emanuel miał w kieszeni jego wizytówkę.

– Myślisz, że coś z tego wynika?

Meijters przypomniał sobie włamanie do mieszkania Hanny. I karton z dokumentami. W głowie cały czas miał słowa Tilasa. I bezdomnego, którego spotkał na Erstaterrassen... Skojarzenia i myśli. Za mało, żeby mógł o tym z nią rozmawiać.

– Myślę, że tak – powiedział więc tylko. – Mam dużo czasu – dodał.

– Jest coś, o czym ostatnio myślałam – zaczęła Natalie. – Wygląda na to, że miałeś rację. Wszyscy ludzie, z którymi rozmawialiśmy, są w jakiś sposób ze sobą powiązani. Może powinniśmy podchodzić bardziej sceptycznie do tego, co mówią? W ich interesie leży ukrywanie pewnych spraw. Na pewno są skłonni posunąć się do kłamstwa. Wszyscy z wyjątkiem Sallinga. Ja... – nagle przerwała, jakby się zastanawiała, czy mówić dalej. – Siedziałam wczoraj w domu i myślałam. I uderzyło mnie, że wszystko, co usłyszeliśmy, rozmawiając z Roothem, z Wijkmanem i z Terselius, nie do końca jest prawdą. Niekoniecznie musi chodzić o coś ważnego, to może być jakiś szczegół, ale prowadzi nas w niewłaściwym kierunku. Jeśli któreś z nich jest Tristanem albo mu pomaga,

to muszą kłamać, prawda?

Meijtens nie mógł się z nią nie zgodzić. Nagle uświadomił sobie, jak różnie myślą. Dla niego cała sprawa była układanką, polowaniem na właściwy dokument, który wszystko wyjaśni. Natalie skupiała się raczej na ludziach, na ich motywach, tajemnicach i kłamstwach.

– Musimy dotrzeć do kogoś, kto wie coś o tym, co się działo w środowisku przed zniknięciem Lindmana, ale kto w jakiś sposób był trochę poza tym wszystkim.

– Jasne – przytaknął Meijtens – To by było fantastyczne. Tylko czy ktoś taki istnieje? I jak go znajdziemy?

Natalie nieco nonszalancko odrzuciła włosy do tyłu.

– Pomyślałam, że mimo wszystko spróbuję.

Objął ją.

– W porządku, współpracuj. Ja będę tropił prawdę, a ty kłamstwo. Zdzwonimy się.

Nie czekając na odpowiedź, zarzucił torbę na ramię i ruszył w stronę stojącego nieopodal roweru. Muszę zadzwonić do Hanny, pomyślał.

*

Natalie wróciła do redakcji i usiadła przy biurku. Zobaczyła Anderssona. Minął ją, nawet nie zaszczycając jej spojrzeniem. Nikt w redakcji zdawał się nie wiedzieć, że Meijtens właśnie został zwolniony. Szefowie postanowili zapewne zakomunikować to za jakiś czas, przy okazji zebrania. Usłyszała, jak Andersson rzuca jakiś dowcip. Sölvebring roześmiał się radośnie. Uznała, że musi wyjść.

Dlaczego nie wtajemniczyła Meijtensa w swoje plany? Może dlatego, że nie chciała mu mówić o wywiadzie z Roothem? Nie chciała pogarszać sytuacji, dając mu do zrozumienia, że pozwolił Roothowi wodzić się za nos. Przesłuchała kolejny raz taśmę z wywiadem i była pewna, że szczerść starszego pana nie była wynikiem dziennikarskich zabiegów Meijtensa. Wszystko zostało starannie zaplanowane i odegrane. Pytanie brzmi: co ta zasłona dymna miała ukryć?

Ale Rooth powiedział coś jeszcze. I nie przypuszczał, że to

coś pozwoli jej dostrzec szczelinę w murze wzniesionym wokół Tristana, szczelinę, której tak bardzo potrzebowała. W tym kręgu bliskich znajomych był ktoś, kto tak naprawdę wcale do niego nie należał. Ktoś, kto według Rootha przyglądał się wszystkiemu z przerażeniem i zachwytem.

– O czym to nasza gwiazda tak duma?

Minęła chwila, zanim się zorientowała, że Sölvebring mówi do niej. Uśmiechał się serdecznie, ale w jego oczach widziała pogardę.

– Pracujesz nad czymś? – spytał, rechocząc.

Natalie spojrzała na niego spokojnie. Nie zamierzała się silić na dowcip. Nie był tego wart.

– Skoro pytasz, to powiem ci, że zamierzam poszukać tweedowej spódnicy i sweterka.

Sięgnęła po słuchawkę i zaczęła wybierać numer.

Gdzieś z boku dobiegł głos Sölvebringa. Wyzłościwił się na primadonny, które w godzinach pracy planują zakupy, zamiast ratować zagrożoną redakcję.

ZADZWONIŁ DO HANNY tego samego wieczoru, kiedy wyleciał z redakcji. Nie żeby jej o tym opowiedzieć, tylko żeby porozmawiać o nich. Hanna uparła się, że muszą się spotkać. Uznał to za zły znak. Umówili się na najbliższą niedzielę.

Przez następnych kilka dni szukał informacji o Svenie Emanuelu. Ale poszukiwania nie zbliżyły go do Tristana nawet o milimetr. Policja uznała śmierć bezdomnego za wypadek. Sprawdził to, nie włączając do sprawy Tilasa.

Kobieta, która w opiece społecznej opiekowała się Svenem, okazała się nadzwyczaj rozmowna. Poszli razem na kawę.

– Właściwie obowiązuje mnie tajemnica zawodowa – powiedziała, zapalając papierosa. – Mogę więc tylko powiedzieć, że był to wyjątkowo nieszczęsny człowiek.

Mimo obowiązującej ją zawodowej tajemnicy opowiedziała mu dość szczegółowo o życiu cierpiącego na paranoję człowieka z marginesu. O jego licznych pobytach w zakładach, cierpieniu i walce o przetrwanie.

– Zawsze twierdził, że ktoś go śledzi. Mówił coś o jakimś spisku, no i okazało się, że miał rację, jeśli rozumie pan, o co mi chodzi. – Zaciągnęła się dymem. Przyglądała mu się, mrużąc oczy. – Spotkałam się z nim kilka dni przed jego śmiercią. Odniosłam wrażenie, że jego paranoja jeszcze się pogłębiła – westchnęła. – Cień. Nazywał ich Cieniami. Tych, którzy za nim chodzili – powiedziała i pokiwała głową.

Podawała mu nazwisko jednego z jego kumpli. Zadzwoił do niej po jego śmierci. Ponieważ był to człowiek dość znany, dziennikarz, a raczej felietonista zajmujący się kulturą, zapamiętała jego nazwisko.

Meijtens zadzwonił do niego. Kiedy początkowa podejrzliwość została przełamana, opowiedział mu sporo ciekawych rzeczy.

Okazało się, że w latach sześćdziesiątych Sven Emanuel był związany z ruchami lewicowymi. Tyle że była to już końcówka lat sześćdziesiątych. Bo kiedy Erik Lindman zniknął w Albanii, Sven Emanuel chodził jeszcze do szkoły. Kilka lat później został zatrzymany podczas jakiejś demonstracji i prawdopodobnie wtedy trafił do policyjnego rejestru. Dlatego Tilas wspomniał o zamordowanych bolszewikach.

Rozmówca Meijtensa twierdził, że przyczyniło się to do paranoi Svena Emanuela. Często mówił o służbach, które go śledzą. To był jego główny urojony wróg. Nie najlepsza rekomendacja dla świadka, pomyślał Meijtens i postanowił na razie dać sobie spokój ze Svenem Emanuelem.

W niedzielę spotkał się z Hanną. Przy Djursgårdsbrunn, w tłumie rodzin z dziećmi i zakochanych par. Ledwie zdążyli zrobić kilka kroków wzdłuż kanału, kiedy mu to powiedziała. Poznała kogoś i chce zakończyć sprawę definitywnie. Poza tym najwyraźniej miała dość tajemnic.

Początkowo sądziła, że to będzie tylko przelotny romans, coś w rodzaju testu, ale wkrótce okazało się, że to coś znacznie poważniejszego.

– Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, stało się to bardzo szybko. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Rozumiał. Chociaż przyznawał to z pewnymi oporami.

Postanowił nie zadawać zbyt wielu pytań. Szli obok siebie zwirową alejką. Świeciło słońce, liście drzew mieniły się wszystkimi kolorami jesieni. No tak, pomyślał tylko.

Hanna spytała, jak mu idzie w pracy. Odparł, że dobrze. Potem zastanawiał się, dlaczego nie powiedział jej prawdy.

– W ostatnim numerze niewiele pisałeś – zauważyła.

– Wiesz, jak to jest. Niektóre artykuły wymagają więcej pracy.

Uścisnęła mu dłoń, mocno i czule.

– Wiedziałam, że w końcu ci się ułoży.

To rozstrzygnęło sprawę. Nic jej nie powie. Poszli do „Blå Porten” i zamówili po kieliszku wina.

– Nadal pracujesz z tą pięknością z telewizji? – spytała Hanna, kiedy usiedli. Niby żartem, ale usłyszał w jej głosie

nutkę zazdrości.

– Czasem. Tak.

Spuścił wzrok, kiedy nachyliła się nad stołem, żeby mu spojrzeć w oczy. Roześmiali się.

– Jak wam poszło z artykułem o tym facecie, co to zniknął za żelazną kurtyną? Wróćcie do tego?

– Zobaczymy. Pracujemy nad tym.

Nagle nabrał ochoty, żeby jej o wszystkim opowiedzieć. Bo w jego życiu Hanna zawsze była głosem rozsądku. Często spacerował po pokoju i zwierzał jej się ze swoich pomysłów. A ona leżała na kanapie w swoim szarym dresie i trochę go zachęcała, a trochę studziła jego zapędy. Czasem wskazywała na niego łyżeczką od lodów albo kubkiem herbaty i punktowała luki w jego rozumowaniu. A on, o ile pamiętał, zwykle słuchał jej rad. Ale teraz było już na to za późno.

Objęli się na pożegnanie i stali tak chwilę. Patrzył za nią, kiedy ruszyła w stronę przystanku autobusowego. Kiedy zniknęła mu z oczu, odwrócił się. Spieszył się na prom. Chciał wrócić do domu, do stert papierów, jaśminowej herbaty i niezapłaconych rachunków.

Stał na pokładzie i czuł na twarzy chłodne porywy wiatru. Zastanawiał się, czy zadzwonić do Natalie, ale postanowił zaczekać. Kiedy ostatnio rozmawiali, była trochę oschła. Powiedziała, że musi coś sprawdzić, jakiś drobiazg. On natomiast wybierał się następnego dnia do archiwum ruchu robotniczego, za radą Jakuba. Potem zamierzał się zastanowić, jak dalej pocić Tristana.

Jedno jest pewne: mam dużo czasu, pomyślał.

SPOJRZAŁ NA ZEGAREK i poprawił się w fotelu. Siedział za kierownicą i już zamierzał się poddać, kiedy nagle zauważył samochód wyjeżdżający z redakcyjnego garażu. Ze swojego miejsca po drugiej stronie ulicy nie miał żadnych problemów z rozpoznaniem jej ostro zaznaczonego profilu i ciemnych włosów. Powoli przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył za nią. Kiedy skręciła na most Västebroen, dzieliły ich już tylko dwa samochody. Tym razem naprowadzi go na właściwy trop, to pewne. Dziewczyna była uparta, bez dwu zdań.

Dotarła do starych artykułów o Veritasie, dokładnie tak, jak on kiedyś. I zapewne ona także nic w nich nie znalazła. Na szczęście okazała się na tyle rozsądna, że poszła do wdowy po Stiernspetzu. Musiał przyznać, że ostatnio z trudem dotrzymywał jej kroku. Jechał za nią dalej, do południowej obwodnicy, a potem za miasto. Wkrótce będzie po wszystkim. Nareszcie.

*

Pół godziny później Natalie wjechała na duży parking przed klubem golfowym i odetchnęła z ulgą. Zdążyła na czas. Tym razem zarezerwowała samochód. Nie chciała niepotrzebnie zwracać na siebie uwagi. Kiedy ruszyła alejką w stronę klubu, zwir skrzypiał jej pod butami.

Bar był po brzegi wypełniony golfistami. Zrobili sobie wolne popołudnie na partię golfa. Podobno był to najpopularniejszy klub golfowy w kraju. Wszyscy zabiegali o to, żeby zostać jego członkami. Wędrowała wzrokiem między stolikami, ale nie dostrzegła nikogo, kto by odpowiadał opisowi, który jej podano przez telefon.

– Witaj!

Kobieta w średnim wieku, która właśnie zeszła z pola

golfowego, pomachała do niej. Miała na sobie jaskrawozielony sweterek i spodnie w kratkę, dokładnie tak, jak zapowiedziała.

– Natalie Petrini? Rozpoznałam cię. Z telewizji. Rebecka Wester.

Wyciągnęła do niej rękę, a na jej opalonej twarzy pojawił się promienny uśmiech. Włosy miała ściągnięte do tyłu, pewnie po to, żeby nie ograniczały jej widoku podczas gry. Ucisnęła mocno jej dłoń i odwróciła się do koleżanek:

– Nie czekajcie na mnie, dziewczynki. Mój przyjedzie po mnie za pół godziny.

Koleżanki pomachały jej na pożegnanie. Rebecka Wester podeszła do baru i zamówiła dżin z tonikiem.

– W rzeczywistości jesteś jeszcze ładniejsza – rzuciła.

Natalie nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Dziękuję, ty też jesteś niczego sobie?

– Makijaż zabija mój wdzięk osobisty.

Rebecka roześmiała się i poprowadziła ją do jednego z wolnych stolików.

– Muszę przyznać, że twój telefon mnie zaskoczył. Pomyślałam, że dopadły mnie cienie młodości. Jakbym nie miała dość bieżących problemów.

Zdjęła opaskę i rozpuściła włosy.

– Cienie mojej niegrzecznej młodości – powiedziała, uśmiechając się ironicznie. – Oczywiście czytałam wasze artykuły o Eriku. Doprawdy trudno w to uwierzyć. To był taki fantastyczny chłopak.

Natalie już chciała zadać jej pytanie, ale nie zdążyła.

– Nie żebym kiedykolwiek uwierzyła, że uciekł do Moskwy.

– Nie?

Rebecka Wester pokręciła głową.

– Nigdy w życiu. Erik nie był człowiekiem, który by się z czymś krył. Oczywiście miał poglądy polityczne. Jak oni wszyscy zresztą. Ale był ostatnim człowiekiem, którego bym podejrzewała o to, że jest szpiegiem. Nasze zdrowie, towarzyszeko.

Rebecka wypiła łyk dżinu z tonikiem. Natalie grzecznie sączyła wodę gazowaną.

– Najbardziej zadziwiające było to, że porzucił Sonię. Bo jej na pewno by się tam spodobało. No i byli taką świetną parą.

– Jak ty i Wijkman.

Rebecka się roześmiała.

– Nie, Calle i ja to co innego. Raz ze sobą byliśmy, potem się rozstawaliśmy, i tak w kółko przez wiele lat. Ale w sumie nie było nam ze sobą źle.

Wyłowiła ze szklanki kawałek cytryny i wzięła go do ust.

Poznała Carla Wijkmana za jego drugiego życia, w Uppsali. Korporacje studenckie, Trefinerorden i imprezy z udziałem jego kolegów z internatu. Nie zamierzała ukrywać, że wybrała Uppsalę raczej ze względu na bogate życie studenckie niż same studia, które zresztą szły jej dość opornie.

– Mój kolega grał razem z nim w jakiejś orkiestrze. Poznaliśmy się na imprezie. Był inny, delikatnie mówiąc. Miał wszystko to, co inni, pewność siebie, sposób mówienia, ale i coś jeszcze.

Opowiedziała Natalie, jak na jakiejś imprezie doszło do kłótni na tle politycznym i Carl po prostu wyszedł, a ona pobiegła za nim. To był impuls. Potem przez kilka godzin spacerowali po Uppsali. Opowiadał jej o Algierii, a ona słuchała zafascynowana. Opowiadał jej też o sztuce, do której każdy ma prawo. Była pod wrażeniem. Opowiadał jej o rewolucji na Kubie, a potem kochali się na klatce schodowej jakiejś kamienicy.

– Ale sama nigdy nie wstąpiłaś do Veritasu?

– Nie, coś ty. – Rebecka Wester roześmiała się perliście. – Wszystko było takie piękne, ale kiedy rozmawiali o obaleniu klasy mieszczańskiej, wiedziałam, że mają na myśli mojego tatę i moją kochaną mamusię. I jakoś nie potrafiłam tego zaakceptować. Zresztą Calle chyba wcale nie zamierzał mnie do niczego przekonywać. Chciał, żebym była taka, jaka byłam. Dopóki mieszkaliśmy w Uppsali, było nam cudownie, trochę jak w bajce. Jeśli mam być szczerą, chyba się nawet nie zastanawiałam, co jego poglądy oznaczają.

Może nie miała wcześniej okazji rozmawiać o tych sprawach, a może sprawiły to dwa dziny z tonikiem, w każdym razie wszelkie hamulce puściły i wróciły wspomnienia. Czas

spędzony w Uppsali był sielanką. Carl dodawał jej życiu napięcia. Był czymś w rodzaju bliżej nieokreślonej obietnicy tego, co czeka ich gdzieś tam, w wielkim świecie. A może był dla niej tym, czym ona sądziła, że jest dla niego: całą resztą.

– Na początku różnice, które już wtedy między nami były, nie stanowiły problemu. Ale podczas ostatniego semestru w Uppsali to się zmieniło. Nagle gdzieś wyjechali, całą bandą. To była wielka tajemnica, nie chcieli mi nic powiedzieć. Więc oczywiście miałam im to za złe. Oświadczyłam, że skoro tak, to ja też mam prawo zaszaleć i zrobić coś, czego dotychczas nie robiłam – powiedziała nieco zadziornie. Patrzyła na Natalie, jakby była Carlem Wijkmanem, albo przynajmniej go reprezentowała. – I wtedy on stwierdził, że jeśli tak, to mogę spróbować zdać jakiś egzamin. Cholerny gówniarz – dodała z czułym uśmiechem.

– Czy właśnie wtedy coś się zmieniło?

Rebecka Wester skinęła głową i zapaliła papierosa.

– Tak, nagle jakby wszyscy spowaźniali. Nie potrafię powiedzieć, o co dokładnie chodziło, ale zmienił się też ich stosunek do mnie. Jakby chcieli mnie trzymać trochę na dystans. Zniknęły niewinność i idealizm.

– Kiedy to było? Ten ich wyjazd?

Rebecka Wester spojrzała na nią zdziwiona.

– Ten wyjazd, który wszystko zmienił.

– Ach tak. Podczas ostatniego semestru.

– W marcu 1963 roku?

Rebecka Wester zaczęła się zastanawiać. Natalie pomyślała, że jest idealnym źródłem: miała świetną pamięć i mnóstwo empatii, ale dość ograniczoną wyobraźnię.

– Tak, to możliwe, pewnie mniej więcej właśnie wtedy – powiedziała. Spojrzała z ciekawością na Natalie, ale nie spytała, dlaczego data jest taka ważna. – A potem wszyscy wyjechali do Sztokholmu. Ja zresztą też. Erik i Sonia zamieszkali z Carlem w jego wielkim mieszkaniu przy Tegnérslunden, a ja z koleżanką w wynajętej kawalerce na Kommendörsgatan.

– Nigdy nie mieszkałaś u Carla?

– Calle tego nie chciał. Poza tym ja i Sonia nie bardzo

wyobrażałyśmy sobie mieszkanie pod jednym dachem. A w końcu to wokół nich wszystko się kręciło. Zawsze tak było.

– Ale wspomniałaś, że coś się zmieniło.

Rebecka Wester zaciągnęła się dymem i zamyśliła.

– To prawda. To znaczy nadal odbywały się szalone imprezy, ale zaczęli mieć tajemnice. I jakby radość gdzieś się ulotniła. I coś jeszcze, coś, czego nie potrafię do końca nazwać. Jakby coś się popsuło między nimi. No i do tego wszystkiego bez przerwy przychodził tam ten obrzydliwy pedzio.

– Johan Rooth?

Rebecka Wester się roześmiała.

– Widzę, że odrobiłaś lekcje. Tak, Johan Rooth, intrygant pierwszej wody. Dupek jeden – powiedziała i uniosła kieliszek.

– Przyznaję, że on też nie darzył mnie sympatią, więc jesteście kwita.

Opowiadała dalej o pierwszym okresie pobytu w Sztokholmie i życiu w mieszkaniu przy Tegnérunden. Chociaż chodziło o ten sam okres, o którym Rooth tak wzruszająco opowiadał Meijtensowi, jej opowieść brzmiała inaczej. Rooth mówił o politycznym zwycięstwie i o dojrzałości. Rebecka widziała coś zupełnie innego. Jakaś nieznama im siła zaczęła nagle niszczyć ich przyjaźń. Sprawiała, że się od siebie odsunęli.

– Może coś sobie wyobrażałam, ale mam wrażenie, że Erik też to czuł. Zrobił się podejrzliwy, humorzasty.

– A potem zniknął?

Rebecka Wester kiwnęła głową.

– Tak, a potem zniknął. A jeszcze potem wszystko się rozsypało.

– Jak Sonia i Carl przyjęli jego zniknięcie?

– Byli zrozpaczeni. Calle wykorzystał wszystkie swoje, w tamtym czasie jeszcze nieliczne kontakty, żeby wszcząć dyskretne dochodzenie. Skontaktował się nawet ze swoim ojcem, którego szczerze nienawidził. Problem w tym, że nie bardzo wiedzieli, gdzie go szukać. Wtedy ktoś wspomniał o Moskwie, a po kilku dniach rozpisywały się o tym wszystkie gazety. To było straszne. – Wzdrygnęła się. – Bałam się, że Sonia się załamie. Jej przekonania były jej prywatną sprawą,

ale zawsze bardzo dbała o pozory. A już na pewno wobec kolegów prawników. Myśl o tym, że ktoś mógłby zacząć ją wytykać palcami jako zwolenniczkę bolszewizmu, na pewno ją przerażała.

Zamówiła kolejny dzin z tonikiem. Natalie po raz kolejny odmówiła, wyjaśniając, że przyjechała samochodem.

– Sonia nigdy nie była osobą szczególnie otwartą, ale po zniknięciu Erika schowała się w swojej skorupie jeszcze głębiej. Ja i Calle chodziliśmy ze sobą jeszcze przez jakiś czas, ale z nią prawie już się nie spotykałam. W ogóle rzadko bywałam w mieszkaniu przy Tegnérunden – powiedziała, spoglądając na szklankę z dzinem. – Po kilku latach Sonia wyszła za mąż za Petera Lauréna – ciągnęła po chwili. – Nikt już się nie spodziewał, że Erik może jeszcze wrócić. A ona potrzebowała kogoś takiego jak Peter. Miłego, dobrego, kogoś, kto by jej zapewnił poczucie bezpieczeństwa i zawsze tkwił przy jej boku.

– Znasz Petera Lauréna?

Rebecka Wester spojrzała na nią znad szklanki. W jej spojrzeniu była konsternacja, może zdziwienie. A może to wina alkoholu, pomyślała Natalie.

– Oczywiście, że go znam – powiedziała pani Wester. Spojrzała na zegarek i westchnęła. – Kiedy ten mój facet zamierza się zjawić? Wyczerpałam już chyba cały zapas wspomnień.

Natalie zastanawiała się chwilę, zanim zadała następne pytanie:

– Myślisz, że Peter Laurén znał polityczne poglądy Soni?

Wyglądało na to, że Rebecka Wester nagle straciła zainteresowanie jej pytaniami.

– Co takiego? – spytała, zerkając w stronę drzwi.

– Czy Laurén znał polityczne poglądy Soni, czy wiedział o jej komunistycznych sympatiach i o jej zaangażowaniu w Veritas. Myślisz, że mu o tym powiedziała?

Rebecka Wester jakby na chwilę zapomniała o spóźniającym się mężu. Przyglądała się Natalie ze zdziwieniem i rozbawieniem. Zmarszczyła czoło.

– Coś chyba źle zrozumiałaś, kochanie.

*

Meijtens westchnął i otworzył kolejną teczkę. Był ostatnim gościem archiwum ruchu robotniczego. Spędził tam cały dzień. Rozentuzjasmowany archiwista podszedł i nachylił się nad nim. Meijtens poczuł słaby zapach potu.

– Bardzo się cieszę, że jakiś badacz w końcu zainteresował się zbiorami Richarda Salmqvista – powiedział. – Najwyższa pora – dodał.

Były od niego dobre chęci. Meijtens odwzajemnił uśmiech i wrócił do czytania.

Wizyta w archiwum była pomysłem Jakuba. Jego dawny mentor nalegał, żeby Meijtens kontynuował poszukiwania. Bo kiedy się przyjrzało bliżej poczynaniom Carla Wijkmana i Soni Terselius, można było dostrzec pewien wzór. Oboje w pewnym momencie dostali wsparcie od Richarda Salmqvista. Jakub zwrócił mu uwagę, że Salmqvist sam nigdy nie aspirował do elity władzy, nie licząc kilku lat, kiedy był sekretarzem ministra, a potem ambasadorem Szwecji w Helsinkach. Ale w partii socjaldemokratycznej odgrywał rolę prawdziwego sztukmistrza: był biznesmenem, postacią bardzo wpływową, chętnie wyświadczał znajomym najróżniejsze przysługi. Był lobbystą, zanim to słowo wymyślono. Aparatczykiem najgorszego rodzaju. Jakub takimi po prostu gardził.

– Wyobraź sobie, że cały swój zbiór dokumentów podarował archiwum ruchu robotniczego – grzmiał podniecony, kiedy spotkali się na kawie w Instytucie. – To ponoć prawdziwa żyła złota dla kogoś, kto chciałby się przyjrzeć braterstwu władzy.

Meijtens zdawał się mieć zastrzeżenia.

– Posłuchaj, mój sceptyczny przyjacielu – przerwał mu Jakub, bębniąc niecierpliwie palcami w stół. – W 1969 roku Wijkman zostaje sekretarzem Salmqvista w ministerstwie przemysłu. Dostał to stanowisko, chociaż prawdę mówiąc, nie miał żadnych kwalifikacji. Pół roku później Sonia dostaje wysokie stanowisko w ministerstwie sprawiedliwości, którego szef jest bliskim przyjacielem i zaufanym Salmqvista.

Jakub wyliczał dalej. Wskazywał na rozliczne kontakty i

powiązania. Ale Meijtens nie był przekonany.

– Uważasz, że Salmqvist świadomie pomagał Tristanowi? Że był uczestnikiem całej tej konspiracji? – spytał sceptycznie.

– Nie, nie, posłuchaj. Salmqvist należał do prawego skrzydła partii. A jednak w pewnym momencie pomógł obojgu w karierze, podświadomie biorąc Tristana pod swoje skrzydła. Trzeba sprawdzić, nad czym wtedy pracowali, u kogo szukali pomocy, komu udzielali rad i jakich. To wszystko może nas doprowadzić do Tristana. I niewykluczone, że można się tego dowiedzieć z archiwum Salmqvista.

Meijtens szybko zauważył, że Richard Salmqvist był nudziarzem pierwszej wody. Podejrzewał, że to, że nigdy nie został ministrem, mogło wynikać z faktu, że fatalnie prezentował się w telewizji. W całej jego korespondencji dawał się słyszeć ton wiecznego niezadowolenia. Był strasznym pedantem, gderliwym, przesadnie usłużnym.

Jakub najwyraźniej miał rację co do jego politycznych poglądów. Pracując w ministerstwie przemysłu, zajmował się przede wszystkim przeciwdziałaniem szpiegostwu przemysłowemu. Miał też liczne osobiste powiązania z wieloma osobami, które, jak się później okazało, stały za pomysłem z rejestracją poglądów, a także za innymi okrytymi tajemnicą projektami socjaldemokratów i sztabu obrony. Co jednak nie przeszkodziło mu – jak twierdził Jakub – promować zarówno Wijkmana, jak i Terselius. Jeśli tak rzeczywiście było, to w jego prywatnej korespondencji nie pozostało nic, co mogłoby na to wskazywać.

Chociaż w jego archiwum były kopie wielu listów z referencjami. Obsesyjnie usiłował wpływać na obsadę bardzo wielu stanowisk, a potem bez najmniejszego skrępowania przypominał się tym, którym pomógł. Po całym dniu spędzonym nad pismami tego człowieka Meijtens miał wrażenie, że robi mu się niedobrze. Pomyślał, że chyba nie ma siły sięgać po kolejną teczkę.

I wtedy zobaczył ten list. Przeglądał archiwum od końca, od najświeższych dokumentów. List napisano w 1963 roku. Adresatem był ówczesny szef kancelarii w ministerstwie

obrony. Meijtens przeleciał go wzrokiem i nagle poczuł, że serce zaczyna mu bić mocniej. Zaczerpnął głębiej powietrza i zaczął czytać jeszcze raz, tym razem powoli i uważnie. Już po chwili nie miał wątpliwości, że od początku się mylili.

Drogi bracie!

Zacznę od tego, że w Londynie miałem przyjemność spotkać się z twoim synem. Mam wrażenie, że dobrze się zaaklimatyzował w ambasadzie. Mój przyjaciel, ambasador Gunnarsson, wspomniiał mi w zaufaniu, że chociaż wielu ubiegających się o to stanowisko mogło się wykazać lepszymi kwalifikacjami, postanowił zrobić tak, jak mu radziłem. I bynajmniej tego nie żałuje. Cieszę się, że choć w ten skromny sposób mogłem pomóc zdolnemu młodemu człowiekowi.

Zwracam się teraz do ciebie w podobnej sprawie, prosząc oczywiście o zachowanie dyskrecji. Kilka lat temu w studenckim klubie młodzieży socjaldemokratycznej przy Wyższej Szkole Handlowej poznałem młodego, dobrze się zapowiadającego wówczas jeszcze studenta Petera Lauréna. Chłopak miał potencjał, chociaż był trochę nieśmiały i wycofany. W zeszłym roku starał się o staż w ministerstwie spraw zagranicznych, ale odpadł na dość wczesnym etapie. Podjąłem pewne kroki, żeby mu pomóc przebrnąć przez dzisiaj już nieco archaiczny proces selekcji, ale bez powodzenia. Jak zapewne wiesz, już od jakiegoś czasu staram się używać swoich wpływów, by trochę poszerzyć rekrutację do tego resortu, między innymi dając odpowiednie możliwości zdolnym członkom naszej młodzieżówki.

Laurén był oczywiście zawiedziony, ale w końcu bardzo rozsądnie zdecydował się poprawić swój francuski i podjąć studia na wydziale administracji państwowej w Uppsali, by w ten sposób przygotować się do powtórzenia egzaminu za rok.

Kiedy ostatnio się z nim spotkałem, mogłem stwierdzić, że ten dodatkowy rok nauki dobrze mu zrobił. Nie tylko pogłębił swoją wiedzę z dziedziny ekonomii, ale również stał się bardziej śmiały i swobodny. Kiedy mu o tym wspomniałem,

odpowiedział, że to zapewne zasługa jego nowych, pełnych energii przyjaciół z Uppsali.

Niestety powodem jego wizyty u mnie było to, że po raz kolejny odpadł na stosunkowo wczesnym etapie rekrutacji. Był tym bardzo wzburzony, ale mimo to prosił, żebym spróbował czuwać nad pewnym jego znajomym, któremu udało się przejść przez rekrutacyjne sito. Twierdził, że chłopak, choć pochodził z prostego środowiska, jest niesłychanie zdolny. Uznałem, że to wielkoduszna prośba, i postaram się ją spełnić. Jeśli zaś chodzi o samego Lauréna, uważam za swój obowiązek pomóc mu w znalezieniu stanowiska, które odpowiadałoby jego umiejętnościom. On sam widziałby siebie w administracji. Biorąc pod uwagę jego wykształcenie, zaproponowałem mu finanse. Okazało się jednak, że wolałby ministerstwo obrony.

Po namyśle uznałem to za trafny wybór. Należy do młodzieżówki socjaldemokratów, jest człowiekiem godnym zaufania, odbył służbę wojskową w sztabie w dziale objętym tajemnicą państwową. Ma wiedzę z tego zakresu, a jeśli chodzi o sprawy bezpieczeństwa, możesz być spokojny. Mam nadzieję, że uda ci się znaleźć jakieś stanowisko odpowiadające umiejętnościom tego młodego człowieka.

*Oddany ci
Richard Salmquist*

Meijters przeczytał list i sięgnął po segregator z notatkami, ten z wypisami z Kto jest kim.

Laurèn, Peter, urodzony 371205 w Mariefred. Ukończył Wyższą Szkołę Handlową w 1962 roku, zatrudniony w ministerstwie obrony w latach 1963–1968, w kancelarii rządu w latach 1968–1970, w ministerstwie spraw zagranicznych w latach 1970–1976.

Dalej następowała wyliczanka kolejnych pełnionych przez niego funkcji, nigdzie jednak nie wspomniano o roku, który spędził w Uppsali, uzupełniając studia i liżąc rany po pierwszym niepowodzeniu. Roku, w ciągu którego zmienił się

nie do poznania. Pod wpływem energicznych nowych przyjaciół z Uppsali. Roku, który nie istniał w jego życiorysie. Muszę się skontaktować z Natalie, pomyślał Meijdens.

*

Natalie od kilku minut milczała. Siedziała i słuchała opowieści Rebecki Wester. Wokół nich panował gwar, spragnieni golfiści prowadzili ożywione rozmowy, tworzyli wokół stolików barwne grupy. Słuchając pani Wester, Natalie myślała o kłamstwie. O kłamstwie, które cały czas przeczuwała, ale którego nie potrafiła wyraźnie wskazać. Coś, co usłyszeli, skierowało ich na fałszywy trop. Może nawet nie było to kłamstwo, pewnie raczej drobne odstępstwo od prawdy.

I to nie Tristan kłamał. Natalie zastanawiała się, czy chodziło o zdystansowanie się od Tristana, czy też o to, by go chronić. Czy Sonia Terselius próbowała ukryć związek między oskarżeniem Sorokina a winnym, czy próbowała umieścić go z dala od wydarzeń poprzedzających zniknięcie Lindmana? Ostatni gest lojalności wobec człowieka, który ją oszukał i wykorzystał, a jej narzeczonego skazał na śmierć w więzieniu Hodży. Natalie przypominała sobie, jak wspominała o tym niemal mimochodem. Kilka słów dających do zrozumienia, że można było odnieść wrażenie, że go tam w ogóle nie było. Dlatego nie mógł być Tristanem. Ale jakaś fałszywa nuta w jej głosie sprawiła, że Natalie to zapamiętała. Kilka lat później poznałam człowieka, za którego potem wyszłam za mąż.

Rebecka Wester zapaliła kolejnego papierosa i opowiadała dalej:

– To Erik go znalazł. Podczas jakiejś dyskusji w kole studenckim. Peter właśnie zaczął dodatkowy semestr w Uppsali, po tym jak nie przeszedł przez jakąś rekrutację. Był samotny i zagubiony, ale próbował trzymać fason. Kiedyś podczas pewnej debaty zaczął dowodzić, że Szwecja nie powinna uznać NRD. W tamtym czasie był pravicowym socjaldemokratą. Ale Erik dojrzał w nim coś więcej. Zmiażdżył go podczas dyskusji, a potem zaprosił do domu. Rozmawiali dalej przy obiedzie, przy serze i winie. Taki był Erik –

powiedziała. – Calle opowiadał potem, że w ciągu czterdziestu ośmiu godzin zrobili z Petera marksistę. – Roześmiała się. – I chyba miał rację – dodała. – Chociaż nie wiem, co miało na to większy wpływ: inteligencja Erika, wdzięk osobisty Callego czy uroda Soni. Pewnie wszystko razem, chociaż ja powiedziałabym, że jednak przede wszystkim to ostatnie.

Natalie ze zdziwieniem uniosła brwi. Rebecka Wester uśmiechnęła się.

– Widzisz, na polityce się nie znam, ale znam się na ludziach. A Petera rozgryzłam natychmiast. W końcu w swoim czasie studiowałam psychologię.

Natalie roześmiała się. Podziwiała jej intuicję.

– Dla mnie zawsze był typowym jedynakiem. Chciał się dobrze uczyć, spełniać pokładane w nim nadzieje, ale zupełnie nie potrafił się odnaleźć w większym towarzystwie. Podejrzewam, że jego największym marzeniem było, żeby gdzieś przynależeć, wejść w jakieś towarzystwo, stać się jego częścią. – Zaciągnęła się dymem. – Początkowo było to niemal wzruszające. We wszystkim próbował ich naśladować. Bardzo się starał mówić to, co powinien, ale jakoś niespecjalnie mu to wychodziło. Brakowało mu ich charyzmy, tej iskry, którą oni wszyscy mieli. No i nie miał za sobą okresu buntu, jak Calle czy Sonia, nie musiał walczyć o awans jak Erik. Zawsze był szaraczkiem, socjaldemokratą, jak większość. Synem kierownika sklepu z Mariefred. Chociaż bardzo się starał.

– Co robił?

– Pewnie to co zawsze: chciał być najlepszy w klasie. Wiedział, że nigdy nie będzie tak błyskotliwy jak Calle ani tak inspirujący jak Erik, a już na pewno nie tak dominujący jak Sonia, więc zaczął się uczyć. Czytał wszystko, co mu podsuwali, i starał się zapamiętać wszystko, co mówili. Tylko nie zawsze mu to wychodziło, zwłaszcza w większym gronie. Wtedy po prostu znikał gdzieś w tle. Współczułam mu, przynajmniej na początku. – Nagle urwała, wyprostowała się. – Prawdę mówiąc, to ja go nauczyłam tańczyć walca wiedeńskiego. A powiem ci, że nie było to łatwe. Facet ma pięć nóg i za grosz poczucia rytmu.

Roześmiały się obie.

– Wspomniałaś, że Laurèn... jak by to powiedzieć...

– Że oszalał na punkcie Soni? Od pierwszego spojrzenia.

Kiedy Rebecka Wester opowiadała o jego beznadziejnej miłości, w jej głosie słyhać było współczucie. Mówiła, jak wpatrywał się Sonię Terselius, zakochany, jak chłonał każde jej słowo, jak się czerwienił, kiedy zwracała się bezpośrednio do niego. Jej życzenia stawały się jego poglądami, za jej poglądy gotów był się bić.

– Co pozostali na to?

– Erik chyba w ogóle tego nie widział. W każdym razie nie reagował. Pewnie uznał, że biedny Peter nie jest dla niego żadnym zagrożeniem. Sonia nie zwróciłaby na niego uwagi, gdyby Erik nagle nie zniknął. Chociaż oczywiście widziała, co się święci. My, kobiety, czujemy takie rzeczy. Więc na pewno wiedziała, ale nie dawała nic po sobie poznać. Traktowała go uprzejmie, może z lekką wyższością. – Rebecka Wester roześmiała się już lekko pijana. – Kilka razy wspomniałam o tym Callemu. Zawsze się wtedy wściekał. Bo to nie pasowało do jego obrazu ich życia w Arkadii, do genialnej forpoczty rewolucji. Towarzysz, który zakochał się w dziewczynie drugiego towarzysza? – Zachnęła się, jakby oburzona w imieniu Callego. – Jak każdy Casanova Calle w głębi duszy był okropnym moralistą.

Natalie musiała zadać właściwie jeszcze tylko jedno pytanie, to rozstrzygające. Kiedy Rebecka Wester na chwilę zamilkła, zwilżyła usta i rzuciła niby od niechcenia:

– Kiedy podczas ostatniego semestru wszyscy wyjechali, Laurèn pojechał z nimi?

Rebecka Wester zdjęła coś z języka i zerkając na drzwi, powiedziała lekko:

– Peter wtedy już wszędzie z nimi jeździł. I prawdę mówiąc, po powrocie to on najbardziej się zmienił.

– W jaki sposób?

– Do tamtego czasu mu współczułam. Był zagubiony, chodził za nimi jak szczeniak. I to nieszczęśliwy szczeniak. Ale podczas tamtego wyjazdu zdarzyło się coś, co go zmieniło.

Tym czymś była zapewne szwedzka polityka bezpieczeństwa, pomyślała Natalie.

– Właściwie powinnam się cieszyć. Zyskał pewność siebie. Ale zaczął mnie denerwować. Nagle wszystko wiedział najlepiej, uśmiechał się, przekonany o swoich racjach. Nawet jakby urósł kilka centymetrów. Ale co mnie to obchodziło? Te ich ważne sprawy w ogóle mnie nie interesowały. – Zgasiła papierosa i schowała paczkę do torebki. – Rooth też się zmienił, chociaż nie wiem dlaczego. Na początku traktował Petera pobłażliwie, z pogardą, i nagle zaczął się nim zachwycać. Nasz Lenin, mówił o nim, i takie różne bzdury. Ale Rooth już taki był, zawsze wybierał sobie jakiegoś faworyta. – Wzdrygnęła się. – Osobiście uważałam, że była to bardzo powierzchowna zmiana, i okazało się, że miałam rację, prawda?

Natalie spojrzała na nią pytającym wzrokiem.

– Kiedy tamtej jesieni przenieśliśmy się do Sztokholmu, zostawił ich wszystkich! – krzyknęła, patrząc na Natalie, jakby powinna była to wiedzieć. – Znów zaczął się zadawać z tymi swoimi socjaldemokratami, zaczął pracować w ministerstwie obrony. I zadzierać nosa, gówniarz jeden! Nie żeby mnie to jakoś specjalnie dotknęło. Dla mnie mógł robić, co chciał, ale przyznaję, że było to dziwne.

– Odciał się od nich?

– Właśnie to było dziwne. W ciągu dnia żył swoim życiem, a wieczorami zjawiał się w mieszkaniu przy Tegnérleden z tym swoim przyklejonym uśmiechem, który przećwiczył w Uppsali. Chociaż miałam wrażenie, że zaczął się od nich trochę dystansować. Bo jemu zaproponowali, żeby z nimi zamieszkał. Tylko ja stałam na drodze wielkiej rewolucji. Ale on odmówił. Co, prawdę mówiąc, mnie zdziwiło.

Natalie słuchała w skupieniu. Wiedziała, że lada chwila po panią Wester przyjedzie mąż, a nie chciała uronić nawet najdrobniejszego szczegółu.

– Co to znaczy, że Laurèn wrócił w Sztokholmie do swojego dawnego życia? Że spotykał się z dawnymi przyjaciółmi?

– To było coś więcej, skarbie. Pamiętam, jak pewnego razu

napisał w artykule, że socjaldemokraci muszą się odciąć od lewicy i zadbać o dobre stosunki ze Stanami. Znalazłam ten artykuł u Callego i nawet mnie jego poglądy wydały się dziwne. Przecież zaledwie kilka tygodni wcześniej w mieszkaniu przy Tegnérunden opluwał Amerykanów razem z bolszewikami, przed którymi teraz wszystkich przestrzegał.

– Jak zareagowali?

– Jeśli mam być szczerą, nigdy tego do końca nie rozumiałam. Wiele razy pytałam o to Callego, ale on nie chciał o tym rozmawiać, przynajmniej ze mną. Czasem miałam wrażenie, że coś go gryzie. Jakby nie bardzo rozumiał Petera. W tym czasie Erik zaczął się coraz bardziej wycofywać. Ostatni rok przed jego zniknięciem był zdecydowanie dziwny.

Nagle spojrzała na drzwi. Natalie podążyła za jej wzrokiem. Przy barze stał mężczyzna. Przystojny, postawny, z kluczykami w ręku. Rebecka Wester pomachała do niego, dając mu znak, że już idzie.

– Mój facet czeka. Pewnie niewiele byłam ci w stanie powiedzieć, ale ostrzegałam cię przez telefon. I proszę, napiszcie o Eriku coś miłego – powiedziała. Zarzuciła torbę na ramię i zgodnie z kontynentalnym zwyczajem pocałowała Natalie w policzek. – Pozdrów Callego, jeśli go zobaczysz. Nadal jest taki seksowny?

Natalie uśmiechnęła się i skinęła głową. Rebecka Wester, śmiejąc się, ruszyła do drzwi. Lekko się chwiała. Natalie zauważyła, jak jej mąż przewraca oczami i rusza w stronę parkingu.

Muszę zadzwonić do Meijtensa – pomyślała. Znalazła automat przy drzwiach. Wybrała numer, ale był zajęty. Kiedy stała i czekała, minął ją szybkim krokiem mężczyzna. Wcześniej siedział niedaleko nich i czytał gazetę. W pewnym momencie przeszło jej nawet przez myśl, że może je słyszeć, ale dla kogoś niewtajemniczonego ich rozmowa pewnie była po prostu nieciekawa. Coś jednak zwróciło jej uwagę. Mężczyzna kogoś jej przypominał, tylko nie potrafiła sobie przypomnieć kogo.

Wyjrzała na parking. Rebecka Wester szła u boku męża w

stronę dużego błyszczącego samochodu. Mąż niósł jej torbę z kijami. Ona obejmowała go w pasie i głośno się śmiała. Normalna, szczęśliwa kobieta, pomyślała Natalie. Żyjąca w szczęśliwym małżeństwie. Patrząc na nią, nikt by się nie domyślił, że kiedyś uczyła tańczyć walca wiedeńskiego szwedzkiego szpiega wszechczasów.

MEITJENS OPARŁ SIĘ o balustradę balkonu i poczuł, jak zimne powietrze wciska mu się pod kołnierz. Nie spuszczać wzroku z Natalie, wypił łyk wina.

– Dobrze, Bertil, niech tak będzie – powiedziała, przytrzymując słuchawkę brodą i coś notując. Po kilku końcowych frazesach odłożyła słuchawkę i przeciągnęła się w fotelu.

– Jutro rano, o dziewiątej – powiedziała. – On i Rydman, razem – dodała.

Meijtens wznosił kieliszek. Natalie schyliła się po swój, który stał na podłodze obok fotela.

– Bertil rozmawiał z Rydmanem, który oczywiście się opiera. Ale nie jest głupi i rozumie, jak się sprawy mają – ciągnęła. – Więc nawet się zgodził, żebyś wrócił, chociaż na początku obaj ostro protestowali.

– A co z jego długoletnią przyjaźnią z Laurènem?

Natalie zmarszczyła czoło i zaczęła się wpatrywać w sufit.

– Podejrzewam, że w obecnej sytuacji woli, żeby temat pojawił się w jego gazecie niż u konkurencji. Nie należy przeceniać długoletnich przyjaźni.

Meijtens odchylił głowę do tyłu i się roześmiał.

– Ale kiedy zaproponowałam, żebyśmy się umówili na wywiad z Hanssonem, dostał szału. Jutro do tego wrócę.

– Niewykluczone, że Hansson nie będzie chciał z nami rozmawiać – ostrzegł ją Meijtens. – Nie mamy wystarczających dowodów, żeby przekonać go o niewinności Lindmana, a tym bardziej żeby stwierdzić, że Laurén to Tristan. I że sowiecki szpieg miał powiązania z IB i służbami bezpieczeństwa.

Natalie wstała i lekko się zataczając, podeszła do stolika i sięgnęła po butelkę wina. Rozlała resztę do kieliszków i usiadła obok niego na podłodze pod oknem.

– Boże, jak cudownie odetchnąć świeżym powietrzem – powiedziała, zamykając oczy. – Jeśli Hansson odmówi, mamy innych. Tym razem rozmowa z Wijkmanem i Terselius będzie zapewne miała odmienny przebieg.

Siedzieli obok siebie i w milczeniu popijali wino.

– Zastanawiałaś się, jakie pytania im zadamy, jeśli dostaniemy drugą szansę? – spytał Meijdens po dłuższej chwili.

– Jestem pewna, że dostaniemy drugą szansę. Ją spytam o telefon z Chin. Na pewno będzie zaskoczona. A potem dlaczego rozwiodła się z Laurénem.

– Ostry początek.

– Podważasz umiejętności Natalie Petrini?

Nie podważał.

– A co z Wijkmanem?

Natalie siedziała chwilę zamyślona.

– Wiem, o co chciałabym go spytać. Ile z tego wszystkiego rozumiał i wobec kogo jest lojalny. Wobec dawnego przyjaciela, który spędził życie w albańskim więzieniu, czy wobec ideałów, które zdradził już dobre dwadzieścia lat temu. I dlaczego przez te wszystkie lata chronił Laurèna.

– O ile rzeczywiście tak było – wtrącił Meijdens. – Bo pewności nie mamy.

– Ale podejrzewamy, że tak było – powiedziała i znów zamknęła na chwilę oczy. – No, dobrze, masz rację. To nie jest dobry początek. Chyba zacznę od pytania o artykuły o Stiernspetzu. Jestem ciekawa, czy był jego pomysł. No i chciałabym posłuchać o jego kontaktach z Laurénem.

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego. Klepnęła go po przyjacielsku w udo i ruszyła do drzwi.

– A co z samym Laurénem? – zawołał za nią Meijdens.

Natalie zatrzymała się i oparła o regał z książkami.

– Jest jeszcze wiele spraw, które trzeba wyjaśnić. Nie wiemy, jaką rolę w tym wszystkim odegrał. Mam na myśli to, że Lindman został zdradzony i utknął w Albanii. Czy jego powrót do socjaldemokratów i jastrzębi z IB był jedynie przykrywką? Czy może nasz przyjaciel Laurèn jest człowiekiem bardziej skomplikowanym, niż nam się wydaje? Ale to chyba zostawię

tobie. No i jeszcze pytanie o służby bezpieczeństwa. – Odwróciła się do niego. – Chcę tylko wiedzieć dlaczego. Czy była to po prostu nieszczęśliwa miłość i zazdrość, czy też motywem były jego poglądy. Pewnie nikt go o to nie pytał. Zresztą nie sędzę, żeby sam to wiedział.

– A propos pytań, kiedy zawiadomimy policję?

– Kiedy będziemy wiedzieć dostatecznie dużo, żeby oznajmić publicznie, że najprawdopodobniej zarówno Erik Lindman, jak i Henric Stiernspetz byli niewinni. Że obaj zostali obarczeni winą za coś, co naprawdę zrobił Laurén. Zanim to się stanie, musimy jeszcze kilka rzeczy potwierdzić.

– Ale jeśli podejrzewamy, że zarówno Sallingowi, jak i Erikowi Lindmanowi ktoś „pomógł” spaść i że obaj zostali zamordowani, to nie powinniśmy poinformować Tilasa? – Meijtens pomyślał o Svenie Emanuelu. Miał przed oczami jego dziwny uśmiech, niemal czuł słaby zapach potu. Co on mówił? Coś o jakimś Cieniu?

Natalie podeszła do barku i nie przestając mówić, zrobiła sobie i jemu drinka.

– Zastanówmy się jeszcze chwilę, zanim wciągniemy w to policję. Poza tym najpierw musimy porozmawiać z Rydmanem i z Bertilem.

Meijtens wziął drinka i ostrożnie wypił łyk. Smakował zadziwiająco dobrze. Zaczął przeglądać skromny zbiór płyt. Wybrał nagranie z Dexterem Gordonem. Natalie niespokojnie wędrowała po salonie. Bębniła palcami i zastanawiała się nad różnymi scenariuszami. Nagle się zatrzymała.

– Do diabła, Meijtens, udało nam się.

Przytaknął.

Natalie zmarszczyła czoło.

– Przyjmujesz to tak spokojnie?

Meijtens zaczął się przyglądać swojej szklance. Myślni był w małym chłopięcym pokoju w Sandviken. Wspominał też opowieść Sundströma i jego słowa: Nie był zwyczajnym człowiekiem, jak ty czy ja.

Natalie zachwiała się lekko na środku pokoju.

– O czym myślisz?

– O niczym – odpowiedział i nastawił głośniejszą muzykę.

Zostawili na chwilę Tristana i zaczęli rozmawiać o innych sprawach. O różnych powiązaniach, o dzieciństwie, o życiu. Tak jak rozmawiają ze sobą ludzie, którzy co prawda już się znają, ale dotychczas nie mieli dla siebie dość czasu. Kiedy Meijntens zaczął opowiadać o Hannie, Natalie patrzyła na niego zamyślona.

– Mam wrażenie, że dobrze to znosisz.

– Spodziewałem się tego. No i zasłużyłem sobie na to.

Posłała mu badawcze spojrzenie. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale najwyraźniej zmieniła zdanie i tylko pokręciła głową.

– Wrócimy do tego innym razem – powiedziała na koniec.

Poszli do kuchni po kolejną butelkę wina. Nagle Meijntens uświadomił sobie, że oboje są pijani. Kiedy niezgrabnymi ruchami otwierał wino, Natalie usiadła na stole. Dochodziła druga w nocy. Meijntens chwycił mocno butelkę i dotknął czołem jej czoła.

– Chyba znasz moje zasady, Meijntens – powiedziała, ale nie ruszyła się.

Pocałował ją lekko w policzek. Nie odwróciła głowy, ale poczuł, jak zeszywniała w biernym oporze. Chwycił ją za kark i odchylił jej głowę.

– To się nie może zdarzyć, prawda?

A potem zaczęli się całować, spragnieni siebie.

Natalie chwyciła Meijntensa za kark i spojrzała mu w oczy.

– Żadnej nieszczęśliwej miłości, żadnych nadziei na coś więcej. Rozumiemy się?

Skinął głową, gotów się zgodzić na wszystko.

Dopiero po kilku sygnałach zorientowali się, że dzwoni telefon. Natalie wyszła do holu odebrać.

– Halo? Natalie.

Jej głos brzmiał spokojnie.

– Bertil? Dzwonisz o tej porze? Coś się stało?

Meijntens stanął za nią. Kiedy przyłożył ucho do słuchawki, usłyszał, że po drugiej stronie Bertil ciężko dyszy.

– Przepraszam, że tak późno i w ogóle, ale mamy wyjątkową

sytuację, delikatnie mówiąc.

– Co się stało? – spytała Natalie już po raz drugi. Jej głos brzmiał poważnie.

– Widziałaś może naszego drogiego Meijtensa?

Zawahała się.

– A dlaczego pytasz?

– Mam nadzieję, że masz go pod kontrolą.

– O co chodzi? Upiłeś się?

– Dobrze, żeby miał alibi.

Przez kilka sekund nikt się nie odezwał. Meijtens stał bez ruchu, wstrzymując oddech.

– Pół godziny temu znaleziono Petera Lauréna martwego. Został zabity, kiedy biegł na Lidingö.

*

Jesień weszła w kolejną fazę. Przejrzyste, chłodne powietrze zastąpiło dojmujące zimno. Wszystkie kolorowe liście opadły na ziemię i zaczęły butwieć. Wokół panowała nieprzenikniona ciemność. Meijtens zerknął na zegarek. Wpół do trzeciej. Niewielki zagajnik, w którym znaleziono Lauréna, został wygradzony z dziesięciometrowym zapasem po każdej stronie. Wokół wygradzenia tłoczyli się dziennikarze, którzy wszelkimi sposobami próbowali wyciągnąć kilka słów komentarza od obecnych na miejscu funkcjonariuszy.

Meijtens trzymał się nieco z boku. Nie był już dziennikarzem. A w każdym razie nie było gazety, na której łamach mógłby się podzielić swoimi obserwacjami z czytelnikami. A jedyny człowiek, który mógłby potwierdzić historię, nad którą ostatnio pracował, umarł przed chwilą w karetce.

Nagle z ciemności wyłoniła się Natalie.

– Zamordowany. Zmarł od uderzenia tępym narzędziem. Ciało znalazł jakiś nocny spacerowicz. To wszystko, co wiemy, albo wszystko, co policja jest skora nam powiedzieć. Idziemy na konferencję prasową.

Idziemy? My? Już chciał ją spytać, kiedy z grona policjantów wyłoniła się znana mu postać. Mężczyzna szybkim krokiem ruszył w ich stronę.

– Meijtens, no proszę – powitał go inspektor Tilas, ściągnając cienkie gumowe rękawiczki. – Powiniennem się domyśleć, że jesteś gdzieś w pobliżu.

Natalie oddaliła się i Meijtens został z Tilasem sam. Inspektor przyglądał mu się z dyskretnym uśmiechem.

– Nadal pracujesz dla „7Plus”? Miałem wrażenie, że Andersson nie był zachwycony twoimi poczynaniami.

Meijtens się zawahał.

– Odszedłem z redakcji – odpowiedział po chwili.

Tilas przyglądał mu się kilka sekund, potem się odwrócił, tak że obaj stali przodem do wygrodenia.

– To ma związek z poprzednimi sprawami, prawda? I z Erikiem Lindmanem? – spytał Tilas. Starał się sprawiać wrażenie niezainteresowanego, jakby go to wręcz nic nie obchodziło.

Meijtens znów się zawahał. Zastanawiał się, co odpowiedzieć.

– Tak sądzę – rzucił w końcu. Był zmęczony.

Tilas odwrócił się do niego.

– Od kiedy wiecie, że ci dwaj się znali?

– Od wczoraj.

Tilas ściągnął brwi, ale nic nie powiedział.

– Wczoraj udało nam się coś ustalić – zaczął wyjaśniać Meijtens. – Pewne powiązania między Lindmanem a Laurénem. Wcześniej nie mieliśmy o niczym pojęcia – dodał, jakby się tłumaczył.

Czekał na kolejne pytanie. Postanowił nic Tilasowi nie ułatwiać. I może w ten sposób zyskać coś w zamian. Ale Tilas odwrócił się i tylko pokiwał głową. Tłum zaczął się przerzedzać, zarówno policjanci, jak i dziennikarze zaczynali się rozjeżdżać. Zapadła cisza.

– Odezwę się – powiedział w końcu Tilas, ruszając do radiowozu.

Kiedy go mijał, Meijtens poczuł, że dotknął jego ramienia. Lekko, serdecznie. Uznał to za najbardziej zadziwiające zdarzenie ostatniej doby.

Tilas wysiadł z radiowozu na małej willowej uliczce. Dom zbudowano w modernistycznym stylu funkcjonalnym, który zapewne uchodził za ładny. W oknach na parterze paliły się światła. Zobaczył sylwetki krzątających się w środku policjantów. Wszedł. Nie zapukał do drzwi ani nie zadzwonił.

Siedząca na kanapie funkcjonariuszka spojrzała na niego. Obok niej siedziała płacząca histerycznie kobieta. Tilas przyjął, że to wdowa po Laurénie. Funkcjonariuszka odwróciła się do niego.

– Nie jest w stanie odpowiadać na pytania. Nie dzisiaj – oznajmiła.

Stanowczość, którą usłyszał w jej głosie, zirytowała go. Spojrzał na zegarek. Było wcześniej rano.

– Telefon? – wyszeptał do drugiego funkcjonariusza, nieśmiało młodego chłopaka, który wyraźnie wolałby być gdzie indziej.

Młody funkcjonariusz zaprowadził go do gabinetu na piętrze, zadowolony, że może się czymś zająć. Tilas wszedł, podziękował mu i zamknął za sobą drzwi. Zadzwonił do Fahléna, ale nikt nie odebrał. Zadzwonił więc na pager szefa i czekał, gotów w każdej chwili odebrać.

Zaczął się rozglądać po pokoju. Wszędzie panował porządek, dwie ściany były zastawione półkami z książkami od podłogi do sufitu. Jedną z niższych półek przy biurku w całości zajmowały teczki z dokumentami. Na specjalnej tacce na biurku leżała korespondencja i rachunki.

Powiódł wzrokiem po stojących na półkach książkach. Spojrzał na kilka tomów leżących obok, na stoliku. Przeczytał tytuły. Głównie pamiętniki i publicystyka, pióra mniej lub bardziej znanych polityków. Wziął je do ręki, zaczął przeglądać. W niektórych były osobiste dedykacje.

Pewnie leżą tu, żeby goście je zauważyli i po nie sięgnęli – pomyślał. Wrócił do biurka i zaczął się wpatrywać w telefon. Fahlén zapewne jeszcze spał. Gdyby wiedział to, co ja wiem, pomyślał Tilas. Zaczął się zastanawiać, ile tak naprawdę wie Meijdens. Miał wrażenie, że w końcu, z niewielką pomocą,

udało im się dotrzeć do kilku istotnych rzeczy. Roześmiał się. Zaczął się zastanawiać, dlaczego nic nie napisali. Pewnie nie byli jeszcze do końca pewni.

Zaczął się przyglądać komputerowi Lauréna. Był mniejszy i nowocześniejszy niż graty, które mieli w komendzie. Zastanawiał się, co w nim znajdzie. Zapewne nic ważnego, pomyślał. Może żona zna hasło? A może jest zapisane na jakiejś kartce? Uniósł leżącą na biurku podkładkę, raczej dla zabicia czasu – wciąż czekał na telefon od Fahléna – niż w nadziei, że naprawdę coś znajdzie.

I rzeczywiście, pod podkładką nie było karteczki z hasłem. Ale było coś innego. Sięgnął ostrożnie po stare czarno-białe zdjęcie. Format wydał mu się znajomy. Wziął je w dwa palce i zaczął się w nie wpatrywać. Odwrócił je i w rogach zobaczył ślady po kleju. Odwrócił jeszcze raz. Na zdjęciu było czworo młodych ludzi. W środku stał niski mężczyzna, długą grzywkę odrzucił nonszalancko na bok. W ręce trzymał butelkę wina i uśmiechał się szeroko. Drugi młody mężczyzna pochylał się nad nim. Śmiał się, szeroko, radośnie. I patrzył w aparat. Tilas widział go także na innych zdjęciach w albumie Sallinga, więc bez trudu go rozpoznał. To był Erik Lindman. Tuż obok niego, obejmując go w pasie, z głową na jego ramieniu, stała uderzająco piękna młoda dziewczyna. Z wysoko upiętymi włosami, jak nakazywała moda początku lat sześćdziesiątych.

Trochę dalej, za nimi, z nieśmiałym uśmiechem, stał czwarty członek grupy. Wyróżniał się nie tylko ubraniem, schludnym i porządnym. Przede wszystkim brakowało mu pewności siebie. Tilas nie był pewien, ale miał wrażenie, że zerka na kobietę. Banda z Uppsali otwiera butelkę wina. Ostatni z mężczyzn wydał mu się znajomy. Przyłożył fotografię do stojącego na biurku zdjęcia rodziny. Dzieliło je zapewne dobrych dwadzieścia pięć lat, ale nie miał wątpliwości. Chociaż minęło ćwierć wieku, Peter Laurén nie zmienił się aż tak bardzo.

Włożył zdjęcie do małej foliowej torebki, którą przyniósł ze sobą. Był przekonany, że technicy znajdą na nim odciski palców Sallinga i ustalą, że pochodziło z albumu, który znaleźli w jego mieszkaniu. Pytanie tylko, co z tą wiedzą zrobią.

Nagle zaczął się zastanawiać, dlaczego Laurén nie pozbył się zdjęcia. Naprawdę można być tak cholernie sentymentalnym? – pomyślał poirytowany. A potem przypomniał sobie spotkanie z ludźmi ze służby bezpieczeństwa i z ich kolegami z armii i nie mógł się nie uśmiechnąć. Miał przed oczami pewnego siebie skanskiego rotmistrza Hanssona, zapewniającego go o nieocenionych zasługach Lauréna.

Gdyby nie Peter Laurén, nie moglibyśmy z całą pewnością stwierdzić, że Lindman był szpiegiem. Laurén już wcześniej należał do grupy zaufanych informatorów związanych z partią socjaldemokratyczną. Kilka dni po zniknięciu Lindmana odwiedził nas i powiedział, że znał, chociaż dość pobieżnie, Erika Lindmana, i ma powody przypuszczać, że Lindman wyjechał do Moskwy. Połączyliśmy to z tym, czego dowiedzieliśmy się wcześniej o szpiegu w administracji państwowej i doszliśmy do wniosku, że są powody, by ogłosić alarm. Także później w kilku sytuacjach Laurén okazał się przydatny. Przekazał nam między innymi kluczowe informacje o bardzo drażliwej sprawie, o wielkim znaczeniu dla kontrwywiadu.

– Bla bla bla – wymamrotał Tilas pod nosem z udawanym skanskim akcentem rotmistrza.

To ironia losu, że przez kilka lat był mężem kobiety, która była narzeczoną Erika Lindmana w chwili, kiedy zniknął. Nadmierne, niczym nieuzasadnione skupianie się na niej i na ich dawnych znajomych może Laurénowi zaszkodzić, a przy okazji niepotrzebnie wyeksponować także nasze działania.

Tilas się zachnął. Cóż za niekompetencja. Daliście się im wodzić za nos. Nie mógł się doczekać, kiedy rzuci im to w twarz, im wszystkim, Fahlénowi, służbom i panu rotmistrzowi ze sztabu.

W głębi duszy wiedział jednak, że nigdy tego nie zrobi. Bo i po co? Ten, który ponosił za to winę, nie żył, a przekonanie władzy, że prawda była inna, niż do tej pory przyjmowano, nie będzie łatwe. Kto uwierzy, że jeden z filarów społeczeństwa, Peter Laurén, okazał się szpiegiem i prawdopodobnie trzykrotnym zabójcą? A na koniec, kiedy zaczęło się wokół

niego robić gorąco, najprawdopodobniej zginął z rąk swojego mocodawcy. Tilas wzruszył ramionami. Lepiej milczeć.

Wyjął z wewnętrznej kieszeni zdjęcie i znów się uśmiechnął. Wiedział, że jednak coś na tej historii zyska. Miał teraz swoje zabezpieczenie. Już nigdy go nie zmuszą, żeby chodził na te cholerne spotkania.

W MOŽELS BAR zgotowano Meijtensowi entuzjastyczne przyjęcie. Nagle znów zaczął tam wpadać i spędzać długie godziny, bo przecież rano nie musiał się nigdzie spieszyć. Wstawał na ogół koło południa. Potem przeglądał swoje stare notatki z wykładów i zastanawiał się, czy niektórych z nich nie mógłby przerobić na artykuły i wysłać do nowo powstałego pisma „Historia popularna”. Na razie nie podjął jeszcze żadnych decyzji. Wszędzie w mieszkaniu leżały sterty papierów dotyczących sprawy Erika Lindmana. Nie miał siły ich uprzątnąć. Chodził za to regularnie na basen i coraz ostrzej ćwiczył.

Wszyscy żalowali, że został zwolniony, ale tak naprawdę pasowało to doskonale do powszechnego w tych kręgach wyobrażenia o polityce wielkiego koncernu prasowego. Większość kolegów dziękowała więc swojej szczęśliwej gwiazdzie, że udało im się w inny sposób zapewnić sobie utrzymanie, że nie dali się skusić komercyjnym mediom.

Nikt nie powiedział tego wprost, ale wielu dawało mu do zrozumienia, że jego zwolnienie miało związek z artykułami o Sjöhagem. Bowiem kilka dni wcześniej konkurencyjny dziennik opublikował artykuł, w którym pokazał całą sprawę z nieco innej perspektywy. Zwracano uwagę na to, że ci, którzy podejmowali decyzje, byli usadowieni znacznie wyżej, w samym kierownictwie urzędu gminy. Meijtens tłumaczył poirytowany, że właśnie na to starał się zwrócić uwagę w swoich artykułach i że cieszy się, że ktoś w końcu to zauważył. Kiedy mówił, że jest mu wszystko jedno, kto o tym napisał, jego znajomi wymieniali znaczące spojrzenia i zmieniali temat.

Później tego wieczoru doszło do nieprzyjemnego incydentu. Dyskutowano o śmierci ideologii i o skostniałej estetyce idealizmu. Było późno i wszyscy wypili nieco za dużo. Padały

coraz mocniejsze argumenty, aż nagle Meijtens wszystko popsuł swoim niespodziewanym wybuchem. Znany dotychczas z cynizmu, nagle zaczął mówić o prawdzie, o zasadach. Bełkotał, że świat jest pełen bohaterów, tylko w Možels Bar ich nie ma. Nikt nic z tego nie rozumiał, ale wiele osób poczuło się urażonych.

Wtedy Meijtens nagle oświadczył, że następnego dnia ma ważne spotkanie i musi iść. Oczywiście nikt mu nie uwierzył. Podejrzewano, że minie sporo czasu, zanim znów się pokaże.

*

Meijtens przywiązał rower do latarni przed wejściem na cmentarz Skogskryrkogården. Zdjął spinki, którymi spiął nogawki spodni od garnituru, i poprawił czarny krawat. Potem zamknął oczy, wziął głęboki wdech i powoli ruszył w stronę kaplicy.

– Dlaczego jesteś smutny? – spytał Jakub, kiedy się spotkali kilka dni wcześniej. Siedzieli na ławce przed biblioteką uniwersytecką z plastikowymi kubkami z kawą w rękach. – Dlatego, że winny nie poniesie kary, czy dlatego, że niewinni nie zostaną oczyszczeni? A może chodzi o coś innego, nie aż tak szlachetnego?

Ku zdziwieniu Meijtensa wiadomość o śmierci Petera Lauréna Jakub przyjął wręcz ze stoickim spokojem. Jego początkowe zainteresowanie gdzieś się ulotniło. Ale też tragiczna historia zdawała się dobrze pasować do jego widzenia świata.

– Bo może tak naprawdę jest ci smutno dlatego, że odebrano ci coś, co ci się należało? Pozbawiono cię smaku zwycięstwa – ciągnął Jakub.

Meijtens poruszył się na krześle. Nic nie powiedział, a Jakub uśmiechnął się z zadowoleniem. Najwyraźniej jego milczenie uznał za potwierdzenie swoich słów.

– Powodzenie i zaszczyty nie są godnymi zaufania kochankami, przyjacielu. Jeśli chcesz, żeby twoje małżeństwo było szczęśliwe, ożeń się z pracą. Ona wynagrodzi ci twój trud. Prawdziwa miłość nigdy nie przynosi splendorów.

Spytał, czym Meijtnens się teraz zajmie, ale on nie potrafił odpowiedzieć.

– Może wrócisz do Instytutu? Tak, wiem, że to niemożliwe. I nie mam o to do ciebie żalu. Tegoroczny zestaw kretyńców jest gorszy niż poprzedni.

Nie, pomyślał Meijtnens. Nie wrócę do Instytutu, do kawy z automatu i napawania się niepowodzeniami.

Pożegnali się, nie umówiwszy się na kolejne spotkanie. Jakub stał jeszcze chwilę i przyglądał się, jak Meijtnens wyprowadza rower.

– Po twoim odejściu to miejsce nie jest już takie jak kiedyś – odezwał się nagle.

Meijtnens spojrzał na niego zdziwiony. Jakub lekko się zgarbił i chyba po raz pierwszy nie wyglądał na wyższego niż swoje sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Zanim Meijtnens zdążył cokolwiek powiedzieć, starszy pan odwrócił się na pięcie i ruszył do drzwi.

Meijtnens spojrzał na zegarek, a potem na kaplicę. Zobaczył pojedyncze osoby zmierzające w stronę drzwi. Poza tym cmentarz spowijała cisza. Świeciło słońce, ale było zimno. Zwolnił. Nie chciał przyjść za wcześnie, przed rozpoczęciem ceremonii.

Pomyślał, że to dziwne zakończenie jego poszukiwań prawdy o Eriku Lindmanie. Kilka dni wcześniej zadzwoniła do niego Lillemor Lindman, matka Erika.

– Podobało nam się to, co pan pisał o Eriku. I że napisał pan, że być może był niewinny. Wcześniej nikt tak o nim nie pisał.

Wyraziła wdzięczność, a Meijtnens poczuł się zażenowany. Miał świadomość, że powinni byli pociągnąć temat.

– Przygotowania do pogrzebu trochę się przedłużyły. W takiej sytuacji wydaje się to zrozumiałe. Tak czy inaczej ceremonia odbędzie się w poniedziałek. Postanowiliśmy pochować Erika w Sztokholmie. Mąż jest skłócony z miejscowymi władzami, a Erik miał w Sztokholmie przyjaciół. Uznaliśmy, że tak będzie najlepiej.

Meijtnens powiedział, że to rozumie. I rzeczywiście rozumiał. Przypomniał sobie ponure mieszkanie i mały chłopięcy pokój.

To nie był świat Erika Lindmana.

Niewielka gromadka ruszyła w stronę kaplicy. Na przedzie rodzice Erika. Arvid Lindman szedł sztywny, zgarbiony. Żona trzymała go pod rękę, szła z wysoko podniesioną głową. Kiedy zobaczyła Meijtensa, pozdrowiła go przyjaźnie.

Tuż za nimi szła Sonia Terselius, z pustym spojrzeniem. Meijtens zastanawiał się, o czym myśli. Pogrzeb jej zaginionego byłego narzeczonego odbywał się zaledwie kilka dni po pogrzebie jej byłego męża. Był ciekaw, co naprawdę wie.

Krok za nią, niczym jej anioł stróż, na którego chyba nigdy nawet nie zwróciła uwagi, szedł Carl Wijkman. Szedł ze zmarszczonym czołem, a na jego twarzy widać było napięcie.

Byli też inni, których Meijtens nie znał. Jednak większość dawnych przyjaciół Erika Lindmana najwyraźniej postanowiła zostać w domu. Meijtens zamierzał usiąść trochę z boku, świadom, że nie należy do grona najbliższych. I właśnie wtedy podeszła do niego Sonia Terselius. Była blada i trzęsła się ze złości.

– Co pan tu robi? Nie dość krzywdy pan już wyrządził? – wysyczała.

Meijtens bąknął coś, że zaprosiła go matka Erika, kiedy nagle przyszedł mu z pomocą Sundström.

– Sonia, usiądź. I opanuj się.

Sonia Terselius ruszyła w stronę swojego miejsca, ale w połowie drogi odwróciła się.

– Jesteś sępem. Nędznym sępem – warknęła, a Meijtens poczuł, że jeszcze nikt nie nienawidził go tak jak ona w tej chwili.

Rozejrzał się i zauważył Johana Rootha. Siedział niedaleko i przyglądał mu się uważnie. Oczy miał jak szparki, usta zaciśnięte, jakby Meijtens był plamą na dywanie, która nie daje się usunąć. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, Rooth skinął mu głową, ale jego twarz zachowała złowrogi wyraz.

Meijtens odetchnął z ulgą, kiedy w końcu zaczęła się ceremonia. Rozległy się dźwięki irlandzkiej melodii ludowej. Wijkman kiwał głową do taktu. Meijtens pomyślał, że pewnie to on wybierał muzykę.

Nagle usłyszał, że ktoś wchodzi do kaplicy. Odwrócił się. Ze zdziwieniem stwierdził, że w drzwiach stoi Frieda Stiernspetz. Z bukietem kwiatów w ręku. Po chwili lekko chwiejnym krokiem ruszyła przed siebie. Podeszła do Meijtensa i usiadła obok niego.

Nad trumną przemawiał Carl Wijkman. Stał pewny siebie, gładził ręką czarny garnitur. Rozpiął jeden guzik marynarki. Mówił swobodnie, bez kartki. Nie wygłosił pamfletu, ale też nie upiększał rzeczywistości. Mówił o wybitnych zdolnościach Lindmana, który miał przed sobą wielką przyszłość, ale podążył za głosem ideałów. Gdy wspomniał o cenie, jaką przyszło mu za to zapłacić, a której, jak powiedział, możemy się jedynie domyślać, zacisnął dłonie i na chwilę zamknął oczy.

Miesiąć temu pewnie uznalby, że to bzdury, pomyślał Meijtens. Ale gdy Wijkman wspomniał o tym, jak Lindman ich wszystkich zmienił, zrozumiał, że znalazł odpowiedź na pytanie, które zadał mu Jakub. Zrozumiał, skąd się brał jego smutek. I wtedy poczuł na ręce suchą, kościstą dłoń Friedy Stiernspetz. Ścisnęła ją mocno.

Kiedy Wijkman skończył, wszyscy przeszli przed trumną. Frieda Stiernspetz wzięła go bez słowa pod rękę i poszli razem. Kiedy pomógł jej złożyć bukiet, zauważył łzę spływającą jej po policzku. Potem znów rozległy się dźwięki gitary, ktoś odczytał fragment wiersza Sonneviego i ceremonia dobiegła końca. A przynajmniej tak się wszystkim zdawało. Bo nagle z ławki wstał Arvid Lindman i nie spuszczać wzroku z trumny, zaczął śpiewać Międzynarodówkę. Na początku cicho, ledwie słyszalnie, a po chwili coraz głośniejsze i wyraźniejsze.

Wszyscy wstali, trochę niepewnie, raczej ze względu na ojca zmarłego niż na pieśń. Meijtens spojrzał na zgromadzonych. Niektórzy śpiewali, inni tylko poruszali wargami, jakby z poczucia obowiązku, a jeszcze inni, w tym on i Frieda Stiernspetz, stali w milczeniu. Usta Wijkmana poruszały się mechanicznie. Stał ze wzrokiem wbitym w trumnę. Sonia Terselius śpiewała czysto i głośno, jej piękny alt wypełnił niewielką kaplicę. Meijtens zauważył, że płacze.

Kiedy wychodzili, Frieda Stiernspetz znów wzięła go pod

rękę. Był jej wdzięczny, bo podejrzewał, że w ten sposób uchroniła go przed kolejnym atakiem Soni Terselius. Powoli ruszyli na cmentarz.

– Henric leży tu niedaleko. Chciałabym podejść do jego grobu.

Meijdens skinął głową. Ruszyli razem, w milczeniu. Szli wąskimi leśnymi alejkami w stronę grobów. Frieda Stiernspetz była tam najwyraźniej częstym gościem, bo prowadziła go pewnie między grobami. Po chwili zatrzymali się przed zadbanym nagrobkiem. Stali chwilę w ciszy.

– Wie pan, o co Erik chciał mnie spytać? Wtedy, przed śmiercią?

Meijdens spojrzał na nią. Czyżby przyprowadziła go tu, żeby mu zadać to pytanie?

– Przypuszczam, że wiem – odpowiedział po chwili. – Pewnie chciał się dowiedzieć, czy pani mąż kontaktował się z pewną osobą.

– A co ta osoba ma wspólnego z Henrikiem i Erikiem Lindmanem?

– Ten ktoś był szpiegiem, a im dwóm przyszło za wszystko zapłacić.

Meijdens czuł, że jest coś starszej pani winien. Zaczął jej więc opowiadać o radzieckim dyplomacie z Hagi i o Sorokinie, i o informacjach o Tristanie, z którymi służba bezpieczeństwa musiała coś zrobić, żeby uspokoić sytuację i wojskowy kontrwywiad. Starsza pani stała, patrząc na grób.

– Dlaczego akurat Henric musiał za to zapłacić?

– Nie wiem. Może to był zbieg okoliczności. Miał dostęp do informacji, które wyciekły, a potem odgrzebali tę starą historię. I uznali, że jest dobrym kandydatem.

Frieda Stiernspetz się wzdygnęła, a Meijdens pożałował, że tak swobodnie to powiedział.

– A dlaczego poświęcono Erika Lindmana?

– W jego wypadku sprawa jest bardziej skomplikowana.

– Czy to ten szpieg, Tristan, go zamordował?

– Prawdopodobnie tak. O ile nie zrobił tego ktoś inny, na jego zlecenie.

Znów stali chwilę w milczeniu. Między świerkami świeciło słońce, gdzieś obok jakiś mężczyzna próbował w zmarzniętej ziemi posadzić wrzos.

– Napisze pan o tym wszystkim? – spytała w końcu Frieda Stiernspetz.

– Pewnie nie.

– Ktoś inny to zrobi?

– Nie sądzę.

– Dlaczego?

– Bo Tristan nie żyje. Bo trudno to wszystko udowodnić. A przede wszystkim dlatego, że zrobiliby się za duże zamieszanie. Wielu ludzi uważa, że w takiej sytuacji dwa niewinne życia nie są wystarczającym argumentem.

– Jestem innego zdania – powiedziała starsza pani i przesunęła palcem po krawędzi grobu.

*

Kiedy wracali, Meijters uświadomił sobie, że Frieda Stiernspetz nie zadała mu jednego pytania. Nie spytała, kim był Tristan. Zaczął się zastanawiać dlaczego. I w tym momencie zobaczył Åkego Sundströma. Siedział na ławce naprzeciwko kaplicy i patrzył przed siebie pustym wzrokiem, jakby nie miał w sobie już żadnych emocji. Frieda Stiernspetz podążyła za wzrokiem Meijtersa.

– Na pewno jest mu ciężko. Stracił w ten sposób przyjaciela z młodości. I mieć świadomość, że nigdy już niczego sobie nie wyjaśni. To okropne.

Meijters pokiwał głową. Powiew wiatru poruszył jesienne liście. Coś nie dawało mu spokoju, ale nie potrafił powiedzieć co.

Zaproponował starszej pani, że odprowadzi ją do metra, ale odmówiła.

– Jestem stara, ale jakoś jeszcze sobie radzę.

Pocałowała go w oba policzki i poklepała serdecznie po ramieniu.

– Wiem, że zrobił pan wszystko, co mógł, Tobiasie Meijters.

Kiedy podszedł do roweru, nagle uświadomił sobie, co go

dręczy. Co nie pasuje do całości. Dogonił ją. Zawołał, a ona natychmiast się odwróciła, jakby była pewna, że wróci, jeśli nie od razu, to za jakiś czas. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, przerwała mu z uprzejmym uśmiechem.

– Już wystarczy, mój drogi. Zrobił pan wystarczająco dużo. Zostawmy tę sprawę w spokoju. Tak będzie najlepiej.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie. Meijtens patrzył, jak stanowczym krokiem idzie do stacji metra.

MEIJTENS WZIAŁ KUBKI z kawą i wyniósł je na zewnątrz. Natalie otuliła się szczelniej kocem i przysunęła bliżej gazowego grzejnika. Spojrzała w stronę zatoczki Nybroviken i objęła dłońmi gorący kubek. Jeźdźnią jeździły samochody, chodnikiem spieszyli zestresowani przechodnie. Nikt nie zwracał uwagi na dwoje gości przy stoliku, którzy postanowili stawić czoło zimnu.

Nie chciała się z nim spotykać w domu, ani u siebie, ani u niego. Poza tym to było najlepsze miejsce: mogli spokojnie porozmawiać, nie niepokojeni przez nikogo.

Nie widzieli się kilka dni, ale żadne nie było szczególnie rozmowne. Natalie sprawiała wrażenie, jakby niedawno się obudziła. Gazety oczywiście pisały o zabójstwie Lauréna. Uznały je za kolejny chuligański wybryk. Kilku pijanych młodych ludzi żelaznym prętem zatłukło na śmierć samotnego mężczyznę, który wyszedł pobiegać. Oczywiście nie mieli pojęcia, kogo atakują. Chociaż, jak podkreśliła Natalie, jeśli się napada na człowieka w średnim wieku, biegającego w lasu na ekskluzywnym Lindingö, należy przyjąć, że jest to jakaś szycha.

– Rydman osobiście napisze nekrolog do najbliższego wydania. W redakcji mamy żalobę, chociaż nikt z nas osobiście nie znał Lauréna. – Spojrzała na Meijtensa, mrużąc oczy. – Oczywiście zdajesz sobie sprawę z tego, że nie należysz do najpopularniejszych osób miesiąca. Rydman spytał mnie nawet, czy nadal z tobą współpracuję.

– I co mu powiedziałaś?

– Nic.

Włożyła okulary przeciwsłoneczne i zwróciła twarz do jesiennego słońca.

Spotkanie z Rydmanem i Anderssonem po tym, jak Laurén zginął, zostało oczywiście odwołane. Nie można było grzebać w

przeszłości zamordowanego człowieka i na dodatek oskarżać go o szpiegostwo.

– Co teraz zamierzasz? – spytał Meijdens.

Natalie zastanawiała się nad tym z pozoru prostym pytaniem bardzo długo. W końcu odwróciła się do niego. Nie zdjęła okularów.

– Nie wiem, czy powinnam ci o tym mówić. To jeszcze nie pewnego, więc nikomu ani słowa.

Meijdens skinął głową.

– Zaproponowali mi Londyn.

– Londyn? Kto? Co?

– Telewizyjne wiadomości. Wróciłam do łask. Redakcja chce mnie wysłać do Londynu. Kilka miesięcy temu rzeczywiście podjęłam pewne kroki w tym kierunku, a potem o wszystkim zapomniałam. No i nagle się odezwali.

Patrzył na nią zdziwiony. Po chwili uśmiechnął się szeroko i położył dłoń na jej ramieniu.

– Gratuluje, naprawdę.

– Właściwie to idealne rozwiązanie. Po tym wszystkim, co się ostatnio wydarzyło. Zarówno w moim życiu osobistym, jak i zawodowym. Jeśli mam być szczerą, to chętnie wrócę do telewizji. Lars oczywiście też jest zachwycony. Było nam to potrzebne – stwierdziła, zdradzając w ten sposób, że w jej związku z tajemniczym bankowcem były jakieś problemy.

Potem zaczęła się rozwodzić na temat nowej pracy, początkowo z pewnym wahaniem, jakby nie była pewna, jak Meijdens zareaguje. Jej perspektywy, zarówno na płaszczyźnie prywatnej, jak i zawodowej, rysowały się znacznie jaśniej niż jego. Ale jego reakcja sprawiła, że odetchnęła z ulgą i szybko się odprężyła.

Meijdens zaczął ją znów o coś wypytywać, ale przerwała mu w połowie zdania:

– Powiedz lepiej, co ty zamierzasz.

Odniosł wrażenie, że jest jej trochę wstyd. Może dlatego, że dopiero teraz go o to spytała.

– Sam nie wiem – powiedział. – Jeśli mam być szczerą, to jeszcze się nad tym nie zastanawiałem.

– Masz świadomość, że nie możesz liczyć na powrót do „7Plus”.

Meijdens lekko zdenerwowany machnął ręką.

– Tak, na litość boską, zdaję sobie z tego sprawę. Nie wiem, czy w ogóle chcę dalej siedzieć w dziennikarstwie. Chyba zaczynam mieć dość.

– Szybko.

– Taki już jestem.

– Brakuje ci cierpliwości?

– Od dziecka.

Roześmiali się, jak starzy znajomi porozumiewający się szyfrem. Ale jeśli się spotkamy za kilka lat, pomyślał Meijdens, to pewnie ledwie się poznamy.

– Wiesz, że żadne z nas już nigdy nie będzie mogło ruszyć tej sprawy? – powiedziała Natalie.

– Tak, wiem.

Meijdens miał wrażenie, że odetchnęła z ulgą.

– Czasem trzeba sobie pewne rzeczy odpuścić.

Nagle coś sobie przypomniał. Coś podobnego powiedziała mu dzień wcześniej Frieda Stiernspetz.

Natalie zdjęła okulary i spojrzała na niego z powagą.

– Ale nie powinniśmy też przejść obojętnie obok śmierci Lauréna – stwierdziła nagle.

– Chodzi ci o to, że to nie byli chuligani? Pewnie masz rację.

– Podejrzewam, że nigdy się nie dowiemy, kto go zamordował. Tych ludzi pewnie nie ma już w Szwecji. Ale pytania pozostają.

– Na przykład jakie?

– Dlaczego zdecydowali się go zabić właśnie teraz? Dla swojego mocodawcy nadal był ważnym źródłem. Może nawet ważniejszym teraz niż kiedyś. Prawdę mówiąc, widzę tylko jeden powód.

Meijdens skinął głową. Wiedział, o czym myśli. Ale ona mówiła dalej, jakby koniecznie musiała powiedzieć wszystko głośno:

– A tym powodem jesteśmy my. Zaczęliśmy odgrzebywać stare sprawy. Uznali, że Laurén stał się dla nich zbyt dużym

obciążeniem. Rozumiesz, co to znaczy?

Nagle w jej głosie usłyszał strach. To nie było do niej podobne.

– Mają na nas oko. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Meijtens musiał przyznać, że coś w tym jest.

– Ale skąd mogli wiedzieć, że byliśmy o krok od zdemaskowania Lauréna?

Natalie przyglądała się mijającym ich ludziom.

– Boję się, że uznasz, że oszalałam, jeśli to powiem – odezwała się w końcu. – Ale czasem miałam wrażenie, że ktoś mnie śledzi. – Spojrzała na niego, czekała na jakąś reakcję. – Na początku pomyślałam, że coś sobie ubzdurałam. Ze to przypadek, że po prostu kilka razy widziałam na ulicy tego samego faceta. Ale teraz zaczęłam się zastanawiać. Może jednak rzeczywiście ktoś nas śledził?

Meijtens pomyślał o włamaniu do mieszkania Hanny, ale nic nie powiedział. Nie chciał jej straszyć jeszcze bardziej.

– To brzmi dość niewiarygodnie.

– Nigdy nie miałaś takiego wrażenia? – spytała lekko przestraszona, ale i pełna nadziei.

Meijtens pokręcił głową.

– Nie. Jak on wygląda?

Natalie dość dokładnie opisała mu tego człowieka. Najwyraźniej sporo o nim ostatnio myślała. Myślała i przywoływała w pamięci różne zdarzenia. Nie tylko jego wygląd, ale i charakterystyczne gesty, zachowania.

– Od czasu zabójstwa Lauréna go nie widziałam – dodała.

– Ostatnio pauzujemy.

– Na razie i tak niczego więcej nie jesteśmy w stanie się dowiedzieć.

Meijtens pokiwał głową, a potem się roześmiał.

– We always have Paris.

Oboje zaczęli się śmiać.

Po chwili wstali i ruszyli do wyjścia. Natalie powiedziała, że wraca do domu. Meijtens stwierdził, że ma do załatwienia jakąś sprawę na Östermalmstorg. Chciał mieć pretekst, żeby pójść w inną stronę. Objęli się, Natalie pocałowała go lekko w szyję.

– Dziwny z ciebie człowiek, Tobiasie. Wiesz o tym?

Roześmiał się i pocałował ją w czoło.

Rozstali się. Natalie poszła się przygotować do nowego życia, Meijters z kimś się spotkać. Z kimś, kto niemal idealnie pasował do opisu Natalie.

MEIJTENS RUSZYŁ NA ROWERZE w stronę boiska do piłki nożnej i stwierdził, że wszystko wygląda jak wtedy, jak tamtego wieczoru już dobry miesiąc temu. Grała ta sama drużyna i ten sam mężczyzna spacerował wzdłuż ogrodzenia. Tylko pora roku trochę się zmieniła. W powietrzu czuło się już zimę. Drzewa były nagie, chłopcy mieli na rękach rękawiczki, a kiedy trener wykrzykiwał polecenia, z jego ust leciała para.

I podobnie jak wtedy musiał chwilę zaczekać, zanim Åke Sundström w końcu go zauważył. Tym razem Meijdens był jednak pewien, że nie udawał. Kiedy potężnie zbudowany mężczyzna odwrócił się w jego stronę, na jego twarzy malowało się autentyczne zdziwienie. Szybko wziął się w garść.

– No proszę, nasz zaginiony dziennikarz rewolwerowiec – powiedział i natychmiast znów odwrócił się w stronę boiska.

– Chciałem podziękować, że przyszedł mi pan z pomocą tam, w kaplicy. Kiedy Terselius na mnie napadła.

– O, przyjechałeś tylko po to, żeby mi to powiedzieć?

– Nie tylko.

Sundström przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu.

– Pomyślałem, że może jest pan ciekaw, do czego doszliśmy w sprawie Erika Lindmana.

– Zakładam, że wkrótce przeczytam o tym w tym waszym szmatławcu.

– Już tam nie pracuję. Wyrzucili mnie.

– No cóż, więc przeczytam o tym gdzie indziej.

Meijdens pokręcił głową, ale Sundström wrócił już na boisko i zagrzewał chłopców do gry.

– Nie jestem już dziennikarzem. A o tej sprawie już nigdzie nic pan nie przeczyta. Nie po śmierci Petera Lauréna.

Sundström nadal wykrzykiwał polecenia, ale widać było, że nie jest już skupiony tak samo jak jeszcze przed chwilą.

– Ach tak – powiedział i splunął na ziemię.

Meijtens odnotował, że o nic go nie zapytał.

– Dlatego pomyślałem, że przyjadę i wszystko panu opowiem.

– Nie widzę sposobu, żeby cię powstrzymać.

Wyszedł na boisko i kazał chłopcom zebrać piłki i wracać do domu. Potem odszedł na bok i usiadł na jednej z ławek stojących wokół boiska. Meijtens uznał to za swoiste zaproszenie i usiadł obok niego.

Zaczął od początku. Opowiedział, jak wyszli z założenia, że Erik Lindman jest niewinny. Rozmowy z jego dawnymi przyjaciółmi i godziny spędzone w archiwach zdawały się potwierdzać ich hipotezę. Sundström słuchał z kamienną twarzą. Dopiero kiedy zaczął mu referować rozmowę z Pecaninem, w jego oczach pojawił się błysk zainteresowania. Zaczął zadawać pytania, poprosił nawet o adres Pecanina.

Meijtens opowiedział mu też o Sallingu, o liście od Richarda Salmqvista i o rozmowie Natalie z Rebecką Wester. I o tym, jak w końcu uznali, że to Peter Laurén był Tristanem, a zapewne także mordercą. Czego teraz już nie udowodnią. Nie chciał, żeby to zabrzmiało jak oskarżenie, ale był ciekaw, jak Sundström zareaguje.

A on po prostu siedział i patrzył przed siebie.

– I tak nigdy byście go nie dopadli.

– Dlaczego? – spytał Meijtens z lekką irytacją.

Sundström chwilę milczał, a potem powoli odwrócił się w jego stronę.

– Dlatego, że takim jak Laurén zawsze wszystko uchodzi płazem.

Przez jakiś czas obaj milczeli. Meijtens pomyślał, że wokół jest bardzo cicho.

– Dlatego to zrobiłeś? – spytał w końcu. – Bo byłeś przekonany, że się wywinie?

Åke Sundström się zachnął.

– A kto powiedział, że ja coś zrobiłem?

Meijtens spojrział na drugą stronę boiska i zaczął się zastanawiać, jak powinien sformułować następne pytanie.

Postanowił zapytać wprost.

– Moja koleżanka cię zauważyła. Natalie Petrini. Zauważyła, że za nią chodzisz. Opisała mi cię.

– A nie pomyliła mnie przypadkiem z jakimś innym dość niechlujnie ubranym, otyłym facetem w średnim wieku, których pełno na ulicach? Nie jestem jakiś wyjątkowy, nie grzeszę urodą, ale takich jak ja jest mnóstwo, mimo porad kącików urody – zachichotał.

I to właśnie ten kiepski żart ostatecznie przekonał Meijtensa, że się nie pomylił.

– Myślę, że od początku miałeś swoje podejrzenia. Nie wykluczam, że wiesz coś, o czym my nie wiemy. Nasz artykuł wzmocnił twoje domysły, ale całkowitej pewności nadal nie miałeś. Kiedy przestaliśmy pisać, zacząłeś się niecierpliwić i wszcząłeś własne śledztwo. Zacząłeś śledzić Natalie i domyśliłeś się, że jesteśmy na tropie. Że szukamy Tristana w kręgu dawnych znajomych Lindmana z czasów Veritas. Zrozumiałeś, że chodzi o Lauréna. Podejrzewam, że podsłuchiłeś rozmowę Natalie z Rebecką Wester, a może także jej rozmowę telefoniczną ze mną.

Spojrzał na niego. Sundström patrzył przed siebie, twarz miał bez wyrazu.

– Napisz o tym – powiedział i wzruszył ramionami. – Napisz i zobaczymy, co się stanie. O ile ktoś w ogóle zechce to wydrukować.

– Nie zamierzam nic pisać, nie jestem już dziennikarzem. Ale chcę wiedzieć, włożyć na miejsce ostatni kawałek układanki.

Sundström powędrował wzrokiem po boisku.

– Nie mam ci nic do powiedzenia.

– Sądzę, że masz.

– Kilka dni temu spotkałem się z kumplami. Rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym, o takich tam bzdurach. Spytaj ich.

– Nie chcę cię skrzywdzić. Ktokolwiek zabił Lauréna, sprawiedliwości stało się zadość. Wiem to pewnie lepiej niż ktokolwiek inny.

– Czasem nie jest nam dane poznać prawdy. Musimy się

nauczyć z tym żyć. To akurat ja pewnie wiem lepiej niż ktokolwiek inny. Nie opiszesz tej historii i będziesz musiał z tym żyć, Tobiasie Meijtns. – Wziął do ręki kamień i rzucił. Celował w jakiś niewidzialny punkt. – Ale za to opowiem ci zupełnie inną historię.

*

– Nie wiem, co stary Lindman ci naopowiadał o mnie i o mojej rodzinie, ale nie przypuszczam, żeby to było coś budującego.

– Wspomniał, że gdyby nie jego syn, pewnie zostałbyś alkoholikiem. Że wszyscy faceci w twojej rodzinie to pijacy.

Åke Sundström westchnął.

– Nawet ślepej kurze czasem trafi się ziarno. – Roześmiał się, chociaż Meijtns nie bardzo rozumiał dlaczego.

– To ciekawe, jak człowiek czasem może przewidzieć swój los. Nauczyciele w tej cholernej szkole od początku się na mnie uwzięli. I nie winię ich. Gdybym wcześniej miał do czynienia z trzema Sundströmami, też patrzyłbym podejrzliwie na kolejnego. I rzeczywiście nie musieli długo czekać, żebym poszedł w ślady braci. – Zamilkł na chwilę. – Moja nauczycielka w końcu się poddała. Przeniesiono mnie dla klasy równoległej i zagrożono, że jeśli się nie poprawię, to mnie wyrzucą albo trafię do szkoły specjalnej. Nie przejąłem się specjalnie i akurat ten jeden jedyny raz mój ojciec mnie wspierał. – Splunął przed siebie z wyraźną złością. – Nowa nauczycielka, tak samo zasuszona i pobożna jak poprzednia, i najwyraźniej uprzedzona, z kim ma do czynienia, spojrzała na mnie z lekkim przerażeniem, ale zakasała rękawy – powiedział, uśmiechając się pod nosem. Po chwili zaczął zmienionym głosem: – Siadaj, powiedziała. Zobaczmy, czy da się coś z tobą zrobić, Åke. Stara wiedźma pewnie nawet nieświadomie zmieniła moje życie. Wpadła na prosty i dość idiotyczny pomysł. Uznała, że jeśli posadzi klasowego kretyna obok klasowego geniusza, być może jakieś umiejętności tego drugiego przeniosą się na tego pierwszego. Bez sensu, ale w tym wypadku okazało się to skuteczne. Co wcale nie potwierdza

jej teorii. Dobrzy uczniowie nie zarażają zdolnościami złych. To tak nie działa. Chyba że klasowy geniusz nazywa się Erik Lindman. Zaprzyjaźniliśmy się.

Meijdens się nie odzywał, nie chciał mu przerywać. Wiedział, że jeśli okaże cierpliwość, ostatni kawałek układanki wkrótce trafi na swoje miejsce.

– Nie chodziło o to, że pomagał mi w algebrze albo że w odpowiednim momencie podrzucił mi właściwy niemiecki zaimek, chociaż to też się zdarzało. Erik nauczył mnie czegoś znacznie ważniejszego. Ważniejszego niż wiedza i odrobione lekcje. Nauczył mnie wierzyć w siebie.

Gdzieś z oddali doszedł ich warkot silnika skutera. Poza tym nadal panowała niczym niezmacona cisza. Pojedyncza latarnia oświetlała ich ławkę. Jedyne jasne punkty w jesiennym mroku.

– Wszystkiego, co umiem i co jest coś warte, nauczyłem się od Erika. Może trochę przesadziłem, ale niewiele. To, kim dzisiaj jestem, zawdzięczam jemu. W jakiś sposób udało mu się przeciągnąć mnie przez szkołę, a potem przez liceum i przez maturę. Już to było cudem. – Roześmiał się. – Ojciec chciał mnie zabić, ale ja byłem uparty, a Erik mnie wspierał. Potem pojechałem razem z nim do Uppsali, a resztę już znasz. Pierwszy z rodziny skończyłem studia. – Zamilkł, spojrzął na korony rosnących nad nimi drzew. – Rodzina oczywiście nigdy mi tego nie wybaczyła – dodał.

Zapadła cisza, ale zanim Meijdens zdążył zadać kolejne pytanie, Sundström znów zaczął mówić:

– Jak już wiesz, w Uppsali trochę się od siebie oddaliśmy. Ale z czasem, po tym jak zniknął, różne rzeczy poszły w zapomnienie. I został Erik. Jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Meijdens rozumiał.

– Od początku uważałem, że w tym jego zniknięciu jest coś podejrzanego. I że całe to zamieszanie też nie przyniosło nic dobrego. Kiedy gazety zaczęły się rozpisywać o tym, że był szpiegiem, coś zaczęło mi świtać. Wiedziałem, że jest niewinny, i dość szybko zorientowałem się, że któryś z tych salonowych bolszewików musiał być w to zamieszany. Tyle że ten ktoś zdradził nie tylko swój kraj, ale i swojego przyjaciela. A może

nawet narzeczonego.

– Kiedy zacząłeś podejrzewać Lauréna?

Sundström przyglądał mu się przez chwilę. Meijtnens miał wrażenie, że trwa to całą wieczność.

– Jeśli mam być szczerzy, długo podejrzewałem całą trójkę. Ale potem Laurén ożenił się z Sonią, no i wydarzyła się ta druga historia. Sposób działania wydał mi się znajomy.

– Chodzi ci o Stiernspetza?

Sundström nie odpowiedział. Meijtnens pomyślał, że pewnie kontaktował się z Friedą Stiernspetz. Zauważył, że starsza pani rozpoznała go na cmentarzu.

– Ale pewności nie miałem. A potem ty i ta twoja donna to wszystko odgrzebaliście. Byłem ciekaw, co z tego wyniknie, ale nagle przestaliście pisać. – Odwrócił się i spojrzał na Meijtnensa.

– Dlaczego? – spytał.

– Nie pozwolono nam.

Sundström pokiwał głową.

– No tak. Mówiłem. Tacy jak Laurén zawsze sobie poradzą.

Nagle się roześmiał. Meijtnens zauważył, że w jesiennym mroku ktoś się do nich zbliża.

– Erik! – zawołał Sundström. – Co ty tu robisz, do licha?

Kiedy Meijtnens otrząsnął się z szoku, zobaczył mniej więcej dwudziestoletniego mężczyznę, który zmierzał w ich stronę parkową alejką.

– To Erik, mój najstarszy. Eriku, poznaj Tobiasa Meijtnensa, byłego dziennikarza.

Podali sobie ręce. Erik uśmiechnął się do niego serdecznie.

– Matka zadzwoniła, żebym wpadł na kolację. Pomyślałem, że zajdę po ciebie.

– Erik – zaczął Sundström, obejmując syna – mieszka w akademiku. Woli nędzny pokoik, niż męczyć się ze starymi w domu.

– Z korzyścią dla zdrowia psychicznego – roześmiał się Erik.

– Studiuje w Królewskiej Wyższej Szkole Technicznej – powiedział z dumą Sundström.

Erik zaczął przewracać oczami.

– Daj spokój. Kogo to interesuje?

Pożegnali się, podając sobie ręce. Sundström puścił syna przodem, chwycił Meijtensa za rękę i przyciągnął do siebie.

– Wracasz do domu, żeby napisać ten artykuł? A może planujesz coś więcej? Jakiś bestseller?

– Prawdę mówiąc, nie myślałem o tym.

Sundström nie puszczał jego ręki.

– Co teraz zamierzasz?

– Poszukać pracy. Może znów zacznę jeździć taksówką. A może będę grał w barze...

Sundström pokiwał głową, a potem uśmiechnął się szeroko i puścił jego rękę.

– A myślałeś o zawodzie nauczyciela? Pewnie znalazłby się u nas jakieś wolny etat. Takich przeciętniaków wszędzie potrzeba.

Usłyszeli, jak Erik woła ojca:

– Tato, chodź już, matka zaraz się wścieknie.

Sundström dogonił syna, położył mu rękę na ramieniu. Po chwili zniknęli między starymi trzypiętrowymi blokami.

Meijtens wsiadł na rower i ruszył wąską parkową alejką. Nappełnił płuca chłodnym jesiennym powietrzem. Wieczorem spakuje do kartonu wszystkie materiały o Eriku Lindmanie i wyniesie je na strych. Kolejny karton stanie obok poprzednich, z notatkami jeszcze ze studiów. A potem rozejrzy się za jakąś pracą. Wszystko się ułoży, jak zawsze.

MAGNUS MONTELIUS

SZPIEGOWSKA ZAGADKA, PRZYJAŹŃ, ZDRADA...

Wrześniowy wieczór w Sztokholmie. Z tarasu widokowego spada na ulicę mężczyzna. Ginie na miejscu.

Samobójstwo? Nieszczęśliwy wypadek? Zabójstwo?


Przy denacie znaleziono albański paszport. W trakcie dochodzenia policja ustala, że mężczyzna niedawno przyleciał do Szwecji. Tu trafił do ośrodka dla uchodźców, gdzie ubiegał się o azyl. Po kilku dniach jednak zniknął bez śladu.

Tobias Meijters, dziennikarz, który przypadkiem znalazł się na miejscu zdarzenia, postanawia pomóc rozwiązać zagadkę. Sprawę komplikuje, jak się wydaje nieprzypadkowa, śmierć jedyne go świadka.

Dlaczego Albańczyk miałby popełnić samobójstwo? Dlaczego władze jego kraju stanowczo odcinają się od sprawy? Kim jest tajemniczy mężczyzna?



MAGNUS MONTELIUS – urodził się w 1965 roku, z zawodu jest doradcą ds. energetyki i ochrony środowiska. *Mężczyzna z Albanii* to jego pierwsza powieść, choć doczekał się wielu nagród za opowiadania kryminalne. Przez wiele lat mieszkał w Afryce i Ameryce Południowej, pracował w Europie Wschodniej i byłych krajach Związku Radzieckiego. Obecnie mieszka w Sztokholmie.

Dostępna także jako 

Wydawnictwo

**CZARNA
OWCA**

www.czarnaowca.pl

 deckare.pl

Cena: 36,99 zł

ISBN978-83-7554-841-9



9 788375 548419 >

lesiojot